

Val McDermid

# ANATOMIA ZBRODNI

Sekrety kryminalistyki

VIRTUALO  
Digital platform of tomorrow

Val McDermid

ANATOMIA ZBRODNI  
Sekrety kryminalistyki

Przełożyli Piotr Grzegorzewski i Marcin Wróbel



Tytuł oryginału: *Forensic. The Anatomy of Crime*

Copyright © Val McDermid 2014, 2015

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Piotr Grzegorzewski, Marcin Wróbel, MMXV

Wydanie I

Warszawa MMXV

# Spis treści

Dedykacja

Przedmowa

1. Miejsce zbrodni
2. Badanie pożarów
3. Entomologia
4. Medycyna sądowa
5. Toksykologia
6. Odciski palców (daktyloskopia)
7. Rozbryzgi krwi i badanie dna
8. Antropologia
9. Rekonstrukcja twarzy
10. Informatyka śledcza
11. Psychologia sądowa
12. Sala sądowa

Podsumowanie

Podziękowania

Strona

Wybrana bibliografia

Źródła zdjęć

Przypisy

Stopka

*Cameronowi, z wyrazami miłości.*

*Bez nauki nie byłoby Ciebie; z kolei bez Ciebie przyszłość miałaby o wiele mniej do zaoferowania. Dobra robota, nauko.*

# Przedmowa

Oblicze sprawiedliwości nie zawsze było tak rozumne, jak się wydaje dzisiaj. Idea, że prawo karne winno opierać się na dowodach, jest względnie nowa. Przez wieki oskarżano i skazywano ludzi ze względu na ich status materialny albo kolor skóry. Podstawą oskarżenia mogło być niewłaściwe pochodzenie lub współzycie z nieodpowiednią osobą, a do więzień trafiali ci, których żony lub matki zbyt dobrze znały się na ziołach, albo ci, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Skazywano ludzi też ot tak – po prostu.

Zmiana nastąpiła dopiero wtedy, gdy zrozumiano, że miejsce zbrodni może dostarczyć wielu użytecznych informacji. To odkrycie zaowocowało narodzinami nowych gałęzi nauki, skupionych na badaniu zbrodni i prezentowaniu wyników przed sądem.

Osiemnastowieczny strumyczek odkryć naukowych przekształcił się w kolejnym stuleciu – i w następnych – w rwącą rzekę nowych informacji i wynalazków znajdujących praktyczne zastosowanie poza laboratoriami badawczymi. Pojawiła się idea przeprowadzania prawidłowego dochodzenia, a pierwsi detektywi gorliwie rozglądali się za dowodami, które poparłyby ich teorie na temat danego śledztwa.

W ten oto sposób narodziła się kryminalistyka – nauka służąca dostarczaniu dowodów. Bardzo szybko stało się jasne, że wiele innych dyscyplin może oddać pewne przysługi tej nowej dziedzinie.

Jednym z najwcześniejszych jej zastosowań było połączenie medycyny sądowej i tego, co dziś określamy mianem kryminalistycznej analizy dokumentów. W 1794 roku od postrzału w głowę zginął Edward Culshaw. W tamtych czasach pistolety ładowano od przodu, przez lufę, a kulę i proch zabezpieczano papierową przybitką. Lekarz badający zwłoki Culshawa odkrył w ranie strzępki takiego właśnie papieru. Kiedy je wydobył, okazało się, że morderca wykorzystał róg kartki, na której zapisano treść pewnej ballady.

Gdy przeszukano głównego podejrzanego w tej sprawie, Johna Tomsa, znaleziono w jego kieszeni naderwaną kartkę z balladą. Papier wydobyty z rany pasował do niej idealnie. Sąd w Lancaster skazał Tomsa za zabójstwo.

Mogę sobie jedynie wyobrazić przyjemność płynącą z przekształcania odkryć naukowych w instrument sprawiedliwości. Aby pomóc sądom, naukowcy zaczęli zamieniać podejrzenia w pewniki. Spójrzmy na przykład na trucizny. Przez setki lat były one najpopularniejszym narzędziem zbrodni, właściwie niewykrywalnym, brakowało bowiem odpowiednich testów toksykologicznych. To jednak miało się zmienić.

Niestety, od samego początku dowody naukowe często były kwestionowane. Pod koniec osiemnastego wieku opracowano test pozwalający na wykrywanie dużych ilości arszeniku. Później ulepszył go angielski chemik James Marsh. W 1832 roku Marsh został wezwany w charakterze eksperta podczas procesu człowieka oskarżonego o zamordowanie swego dziadka za pomocą arszeniku dodanego do kawy. Marsh zbadał swoim testem próbkę podejrzaną kawy i odkrył w niej obecność trucizny. Jednak próbka uległa rozkładowi, nim dotarła przed oblicze sądu, co odebrało jej wartość dowodową. Oskarżonego uniewinniono z powodu braku niepodważalnych dowodów.

Nowo mianowany ekspert nie dał się jednak zniechęcić. James Marsh był prawdziwym naukowcem. Porażka stała się dla niego zachętą do dalszych badań. Aby zapomnieć o rozczarowaniu przed sądem, postanowił opracować jeszcze lepszy test. Okazał się on tak dokładny, że wykrywano nim nawet śladowe ilości arszeniku; zaprowadził na stryczek wielu wiktoriańskich trucicieli, niezorientowanych w osiągnięciach kryminalistyki. Korzystamy z tego testu do dziś.

Kryminalistyka oraz te wszystkie rzeczy, które dzieją się pomiędzy miejscem zbrodni a salą sądową, to materiał dla tysięcy powieści kryminalnych. W mojej pracy także korzystam z jej osiągnięć. Kryminolodzy zawsze chętnie i szczerze dzielili się ze mną czasem i wiedzą. Najistotniejsze jest jednak to, w jaki sposób ich praca wpłynęła na działanie wymiaru sprawiedliwości na całym świecie.

My, twórcy powieści kryminalnych, lubimy doszukiwać się korzeni tego gatunku w najgłębszych czeluściach historii literatury. Historie kryminalne odnajdujemy na kartach Biblii: oszustwo w Edenie, bratobójstwo w opowieści o Kainie i Ablu, zabójstwo Uriasza dokonane przez króla Dawida. Przekonujemy samych siebie, że Shakespeare był jednym z nas. Prawda jest jednak taka, że prawdziwe kryminały zaczęły powstawać dopiero wtedy, gdy pojawił się system prawny opierający się



na dowodach. Zawdzięczamy go właśnie pionierskim odkryciom detektywów i badaczy.

Od początku jasne było, że nauka może pomóc sprawiedliwości – jednak sądy również pomogły nauce, stawiając przed nią nowe wyzwania. Obie strony odgrywają równie znaczącą rolę w zaprowadzaniu sprawiedliwości. Podczas pracy nad tą książką rozmawiałam z najlepszymi ekspertami z różnych dziedzin kryminalistyki. Pytałam o historię, teraźniejszość i przyszłość prowadzonych przez nich badań. Wspięłam się na szczyt najwyższej wieży Muzeum Historii Naturalnej w poszukiwaniu pewnego gatunku larw; zostałam zmuszona do skonfrontowania się z własnym lękiem przed nagłą brutalną śmiercią; trzymałam w ręku czyjeś serce. Przez całą tę podróż odczuwałam ogromny podziw i szacunek. Dramatyczne opowieści naukowców o tym, co dzieje się pomiędzy miejscem zbrodni a salą sądową, są niezwykle fascynujące. Przypominają nam także, że prawda bywa znacznie dziwniejsza niż fikcja.

Val McDermid, maj 2014

# 1. Miejsce zbrodni

*Miejsce zbrodni to milczący świadek.*

Peter Arnold, specjalista dochodzeniowy

Kod zero. Potrzebna pomoc dla funkcjonariusza – to słowa, których obawia się każdy policjant. Słyszac, z jakim trudem wypowiada je posterunkowa Teresa Millburn, wszyscy obecni na posterunku w Bradford w West Yorkshire poczuli nagłe dreszcze. Wezwanie stało się początkiem sprawy, która poruszyła każdego policjanta. Lęk, z którym żyją na co dzień, stał się ponurą rzeczywistością dla dwóch funkcjonariuszek.

Teresa i jej partnerka, posterunkowa Sharon Beshenivsky, zatrudniona w policji zaledwie przed dziewięcioma miesiącami, kończyły właśnie patrolować swój rewir. Podczas dyżuru krążyły radiowozem po okolicy, by interweniować w pomniejszych sprawach i zwiększać poczucie bezpieczeństwa na ulicach. Sharon marzyła o powrocie do domu, czekały ją bowiem urodziny najmłodszego dziecka, które akurat kończyło cztery lata. Wszystko wskazywało na to, że zdąży na dzielenie tortu i późniejsze zabawy.

Wtedy jednak, w okolicach 15.30, nadeszło wezwanie. W miejscowym biurze podróży Universal Express uruchomił się cichy alarm, połączony bezpośrednio z posterunkiem. Policjantki wracały akurat drogą prowadzącą tuż obok, więc postanowiły to sprawdzić. Zaparkowały naprzeciwko biura i przeszły przez ruchliwą ulicę. Zbliżyły się do parterowego budynku i witryny zasłoniętej pionowymi żaluzjami.

Wchodząc do środka, natknęły się na trzech uzbrojonych rabusiów. Sharon została postrzelona w pierś z bliskiej odległości. Później, w trakcie procesu jej zabójców, Teresa tak opisała szczegóły tego zajścia: „Rozdzieliliśmy się. Sharon weszła przede mną i zamarła. A potem umarła. Umarła tak nagle, że się o nią potknęłam. Usłyszałam huk i Sharon osunęła się na ziemię”.

Chwilę później Teresa również została postrzelona. „Leżałam na podłodze, dławiałam się krwią. Nie potrafiłam złapać oddechu, czułam, jak

krw ścieka mi po twarzy”. Udało jej się jednak nacisnąć przycisk alarmowy radia i wypowiedzieć te złowieszcze słowa: „Kod zero”.



Sharon Beshenivsky, policjantka postrzelona na służbie przez rabusiów

Peter Arnold, śledczy z wydziału dochodzeniowego w Yorkshire i Humberside, usłyszał to wezwanie przez radio.

Nigdy tego nie zapomnę, naprawdę. Mogliśmy zobaczyć to miejsce z okien posterunku, wszystko działo się dosłownie przy tej samej ulicy. Nagle zewsząd zaroilo się od policjantów. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu biegnących funkcjonariuszy, wyglądało to tak, jakby zarządzono ewakuację budynku.

Z początku nie miałem pojęcia, co się dzieje. Później usłyszałem, że kogoś postrzelono, prawdopodobnie policjantkę. Wtedy sam tam pobiegłem. Byłem pierwszym oficerem śledczym obecnym na miejscu. Chciałem pomóc pozostałym w rozciągnięciu kordonu i upewnić się, że żadne dowody nie ulegną przypadkowemu zniszczeniu. Jak łatwo sobie wyobrazić, emocje sięgały zenitu i ktoś musiał nad tym zapanować.

Badałem miejsce zbrodni przez kolejne dwa tygodnie. Praca ciągnęła się całymi godzinami. Zaczynałem o siódmej rano i wracałem do domu po północy. Pamiętam, że byłem kompletnie wyczerpany, ale wtedy zupełnie mnie to nie obchodziło. Nigdy tego nie zapomnę, ta sprawa utkwiała na zawsze w mojej pamięci. Nie z powodu wielkiego zainteresowania tym zabójstwem, tylko dlatego, że było to coś niezwykle osobistego, chodziło przecież o naszą zabitą koleżankę. Sharon, podobnie jak każdy inny policjant, stanowiła część mojej rodziny. Ci, którzy ją znali, przeżywali o wiele głębszą rozpacz, ale przełknęli łyżę i zabrali się do policyjnej roboty.

Znaleźliśmy obfity materiał dowodowy, bardzo przydatny w rozwikłaniu tej sprawy. Przebadaliśmy nie tylko miejsce zbrodni, lecz także najbliższą okolicę, samochody, którymi zbiegli podejrzani, i miejsca ich późniejszego pobytu.

Mężczyźni odpowiedzialni za śmierć Sharon i osierocenie trójki dzieci, które pozostały pod opieką ojca, zostali ujęci i skazani na dożywotnie więzienie. Skazano ich przede wszystkim dzięki pracy oficerów śledczych i ekspertów kryminalistyki, ludzi znajdujących, badających i interpretujących dowody, które zostają w końcu przedstawione przed sądem. W tej książce zajmiemy się ich pracą.

Każda nagła śmierć niesie ze sobą własną opowieść. Aby ją odczytać, śledczy skupiają się na dwóch najważniejszych źródłach: miejscu zbrodni i ciele ofiary. W idealnych warunkach ciało znajduje się tam, gdzie dokonano zabójstwa, a odkrycie powiązań łączących zwłoki z miejscem pomaga w ustaleniu przebiegu wydarzeń. Nie zawsze jednak można liczyć

na takie warunki. Sharon Beshenivsky została natychmiast odwieziona do szpitala, z nadzieją, że uda się ją reanimować. Czasem śmiertelnie ranni ludzie potrafią ostatkiem sił oddalić się od miejsca ataku. Zdarza się, że zabójca przenosi ciało, aby ukryć je lub zmylić śledczych.

Naukowcy opracowali różne metody pomagające detektywom w zbieraniu informacji na temat okoliczności śmierci, niezależnie od jej przyczyny. Aby uwiarygodnić te informacje w obliczu prawa, oskarżenie musi dostarczyć solidny i niepodważalny materiał dowodowy. Dlatego właśnie badanie miejsca zbrodni stało się najważniejszym elementem każdego dochodzenia w sprawie o zabójstwo. Jak mówi Peter Arnold: „Miejsce zbrodni to milczący świadek. Ofiara nie może nam niczego powiedzieć, sprawca najpewniej nie będzie mówił prawdy, dlatego musimy tworzyć hipotezy wyjaśniające przebieg wydarzeń”.

Dokładność tych hipotez wzrastała równoległe z naszą wiedzą o tym, czego można się dowiedzieć podczas badania miejsca zbrodni. W dziewiętnastym wieku, kiedy to prawo karne zaczęło opierać się na dowodach, nie przywiązywano większej wagi do zabezpieczania śladów. Nie brano pod uwagę możliwości zniszczenia lub zanieczyszczenia materiału dowodowego. Jednak ze względu na wąskie zastosowanie analizy naukowej w tamtych czasach nie stanowiło to większego problemu. Jej rola praktyczna wzrosła nieco później, gdy można było w większym stopniu oprzeć się na wiedzy.

Francuz Edmond Locard to jedna z postaci najbardziej zasłużonych dla rozwoju kryminalistyki. W 1910 roku, ukończywszy studia prawnicze i medyczne, założył pierwsze na świecie laboratorium kryminologiczne. Miejscowy wydział policji odstąpił mu dwa pokoje na poddaszu i pozwolił zatrudnić paru asystentów, on zaś przekształcił te klitki w międzynarodowe centrum dochodzeniowe. Locard od najmłodszych lat zaczytywał się w dziełach Arthura Conana Doyle'a, a szczególne wrażenie wywarło na nim opublikowane w 1887 roku *Studium w szkarłacie*, gdzie po raz pierwszy pojawia się Sherlock Holmes. Wielki detektyw wspomina tam: „Zajmowałem się popiołem z cygar, napisałem nawet rozprawę na ten temat. Pochlebiam sobie, że od jednego rzutu oka rozpoznam popiół każdego ze znanych gatunków cygar czy tytoniu”<sup>1</sup>. W 1929 roku Locard opublikował własną rozprawę identyfikującą różne gatunki tytoniu, opartą na analizie popiołów znalezionych na miejscu zbrodni.



Edmond Locard, twórca pierwszego na świecie laboratorium kryminalistycznego, propagator zasady wzajemnej wymiany: „Każdy kontakt pozostawia ślady”

Napisał także siedmiotomowy podręcznik objaśniający podstawy kryminalistyki, jak sam nazwał nową metodę. Jednak jego najważniejszym wkładem w tę dziedzinę jest najprawdopodobniej jednozdaniowa zasada wzajemnej wymiany: „Każdy kontakt pozostawia ślady”. Pisał: „Jeśli wziąć pod uwagę gwałtowność wydarzeń na miejscu zbrodni, niemożliwe jest, by zbrodniarz nie pozostawił żadnych śladów

swej obecności”. Mogą to być odciski palców lub butów, nitki z noszonej przez sprawcę odzieży albo materiały organiczne przyniesione na ubraniu lub obuwiu, włosy, fragmenty skóry, broń lub upuszczone przypadkiem przedmioty. Zasada działa również w drugą stronę: zbrodnia pozostawia ślady na sprawcy, takie jak zanieczyszczenia, fragmenty DNA, krew lub inne plamy, materiał biologiczny z miejsca zbrodni albo ciała ofiary. Locard udowodnił siłę tej zasady we własnych dochodzeniach. W jednej ze spraw zdemaskował zabójcę dysponującego solidnym alibi. Ofiarą była dziewczyna mordercy. Przebadawszy drobiny różowego proszku znalezione pod paznokciami sprawcy, Locard udowodnił, że jest to rzadko spotykany puder do twarzy, którego używała zamordowana. Morderca w obliczu nowych dowodów przyznał się do winy.

Skrupulatne badania laboratoryjne wywierają coraz większy wpływ na kształt śledztwa, ale nauka nie miałaby tu nic do roboty, gdyby nie drobiazgowość praca na miejscu zbrodni. Jedną z bardziej zaskakujących pionierek traktowania miejsca zbrodni niczym opowieści była Frances Glessner Lee, zamożna chicagowska dziedziczka, założycielka Harwardzkiej Szkoły Medycyny Sądowej (Harvard School of Legal Medicine), pierwszej tego rodzaju placówki w Stanach Zjednoczonych. Szkołę tę otwarto w 1931 roku. Tworzono tam dokładne, choć pomniejszone repliki miejsc zbrodni, łącznie z drzwiami, oknami, wyposażeniem i oświetleniem. Lee nazywała te makabryczne domki dla lalek „kieszonkowymi laboratoriami badań nad niewyjaśnioną śmiercią” i prezentowała je na licznych konferencjach, by pomóc ludziom zrozumieć, na czym polega badanie miejsca zbrodni. Śledczy mieli półtorej godziny na zbadanie makiety, następnie proszono ich o napisanie raportu. Erle Stanley Gardner, twórca cyklu powieści kryminalnych o Perrym Masonie, na podstawie których nakręcono popularny serial telewizyjny, opisywał je tak: „Przyglądając się tym modelom, można w ciągu godziny dowiedzieć się o wiele więcej o dowodach poszlakowych niż w czasie miesięcy studiów z dala od miejsca zbrodni”. Pół wieku później biuro koronera stanu Maryland nadal wykorzystuje osiemnaście takich modeli w celach szkoleniowych.

Choć Frances Glessner Lee rozpoznałaby dziś zapewne podstawowe zasady rządzące badaniem miejsca zbrodni, większość współczesnych działań byłaby dla niej niezrozumiała. Papierowe kombinezony techników, gumowe rękawiczki, maski ochronne – cała ta skrupulatność

w zabezpieczeniu dowodów, o jakiej pierwsi kryminolodzy mogli jedynie pomarzyć. Tę pieczołowitość w zbieraniu śladów widać było również w czasie dochodzenia w sprawie śmierci Sharon Beshenivsky. Stanowiło ono wręcz podręcznikowy przykład śledztwa, w którym sprawdzono każdy obiecujący ślad i wyciągnięto z niego wnioski. Jak zwykle oficerowie śledczy opierali się w głównej mierze na informacjach dostarczonych przez naukowców.

Na pierwszej linii ognia podczas dochodzenia są pracownicy CSI – Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego (Crime Scene Investigation). Ich ścieżka kariery jest jasno wytyczona: najpierw uczestniczą w programach edukacyjnych, podczas których zdobywają podstawowe umiejętności oraz poznają techniki identyfikowania, znajdowania i przechowywania materiału dowodowego. Po powrocie do macierzystej jednostki pod nadzorem doświadczonych funkcjonariuszy systematycznie zdobywają wiedzę praktyczną. Zaczynają od względnie prostych spraw i zajmują się stopniowo coraz bardziej skomplikowanymi dochodzeniami, wymagającymi większej wiedzy i umiejętności. Co jakiś czas muszą poddawać się ocenie kompetencji na podstawie zebranych przez siebie dowodów.

Telewizja pokazuje nam niezliczone obrazy badań miejsca zbrodni. Możemy myśleć, że wiemy, na czym to polega: zawodowcy w białych kombinezonach robią setki szczegółowych zdjęć i pakują do woreczków kluczowe dowody. Ale jak to wygląda naprawdę? Czym się zajmują technicy z laboratorium kryminalistycznego? Co się dzieje po odnalezieniu zwłok?

Zazwyczaj jako pierwsi na miejscu zdarzenia pojawiają się funkcjonariusze mundurowi. Decyzję dotyczącą tego, czy danej śmierci towarzyszyły podejrzane okoliczności, podejmuje noszący się po cywilnemu oficer w stopniu co najmniej inspektora (lub wyższym). Jeśli uzna, że doszło do zabójstwa, miejsce zdarzenia zostaje zabezpieczone do czasu przyjazdu techników z laboratorium kryminalistycznego. Policja się wycofuje, otacza miejsce taśmami, spisuje również wszystkich wchodzących i wychodzących, a więc tworzy listę osób, które miały kontakt z materiałem dowodowym.

Śledztwem kieruje starszy oficer dochodzeniowy, który nadzoruje pracę wszystkich techników. Doradza mu w tym regionalny kierownik grupy techników, koordynujący wszystkie potrzebne działania naukowe.



Pełniący tę funkcję Peter Arnold to prawdziwy wulkan energii i niepohamowanego entuzjazmu wobec własnej pracy, obdarzony przy tym bystrym spojrzeniem i sokolim wzrokiem. Kierowana przez niego pięciusetosobowa grupa techników kryminalistyki współpracuje z policją, ale pomaga również czterem innym służbom porządkowym. Pracują w trybie całodobowym i wspomagają detektywów zajmujących się wszystkimi rodzajami zbrodni. Ich kwatera główna mieści się nieopodal Wakefield, w budynku nazwanym na cześć sir Aleca Jeffreysa, pioniera profilowania genetycznego wykorzystywanego w kryminalistyce. Widok na sztuczne jezioro i spokojny wiejski krajobraz stanowi mocny kontrast dla przełomowych badań prowadzonych wewnątrz tej budowli.

Natychmiast po otrzymaniu wezwania rozpoczynam działania koordynacyjne – wyjaśnia Peter. Jeśli do wydarzeń doszło w jakimś pomieszczeniu i nie istnieje groźba zalania dowodów lub zasypania ich śniegiem, a wszystko zostało dokładnie zabezpieczone, możemy działać względnie bez pośpiechu i dokładnie się przygotować. Jeśli zbrodnia miała miejsce na zewnątrz, zimą lub istnieje obawa, że spadną deszcze, natychmiast wysyłam grupę operacyjną, by zebrała dowody, nim ulegną zniszczeniu.

Z uwagi na to, że do zabójstwa Sharon Beshenivsky doszło przed drzwiami biura podróży, w dodatku na ruchliwej ulicy, zabezpieczenie materiału dowodowego było priorytetowym zadaniem, ale nie tylko o to musieli się martwić Peter i jego współpracownicy:

Ludzie myślą o miejscu zdarzenia jako określonym obszarze. W przypadku morderstwa zajmujemy się zwykle pięcioma, sześcioma różnymi przestrzeniami: miejscem zabójstwa, mieszkaniem lub kryjówką podejrzanego, jego samochodem, miejscem, w którym doszło do aresztowania, jeśli zaś morderca próbował pozbyć się zwłok, badamy także miejsce ich ukrycia. Każdym z nich zajmujemy się osobno.

Pierwszym problemem, z jakim muszą się zmierzyć technicy kryminalistyczni, jest ich własne bezpieczeństwo. W przypadku strzelanin

zdarza się, że sprawcy wciąż przebywają na wolności. Technicy nie noszą kamizelek ani broni, nie mają przy sobie paralizatorów i kajdanek. Nie szkoli się ich do aresztowań brutalnych przestępców, choć na co dzień mają do czynienia z efektami ich działań. Dlatego też towarzyszą im najczęściej uzbrojeni funkcjonariusze.

Kolejny krok to zabezpieczenie dowodów. Jak wyjaśnia Peter:

Możemy mieć zabezpieczone miejsce zbrodni i sprawców, którzy zbiegli, korzystając z pojazdu zaparkowanego na ulicy. Jeśli wciąż jeżdżą po niej samochody, istnieje niebezpieczeństwo, że jakieś ślady zostaną zatarte – łuski, plamy krwi, odciski opon. Należy więc zamknąć całą ulicę do czasu zebrania wszystkich materiałów.

Po odizolowaniu miejsca zdarzenia do akcji wkracza funkcjonariuszka odpowiedzialna za jego zabezpieczenie. Jest ubrana w kombinezon, dwie pary rękawiczek (niektóre cieczki mogą się przesączyć przez pojedynczą warstwę) oraz obuwie ochronne, na włosach ma siatkę lub kaptur. Nakłada również maskę chirurgiczną, aby nie skazić dowodów swoim DNA oraz zabezpieczyć się przed materiałami biologicznymi – krwią, wymiocinami, fekaliami i tym podobnymi.

Obchodząc miejsce zdarzenia, funkcjonariuszka rozkłada na podłodze maty chroniące jej powierzchnię. W trakcie pierwszego obchodu rozgląda się za dowodami, które mogą ułatwić szybką identyfikację sprawców. Tego rodzaju ślady poddawane są błyskawicznej analizie. Może to być zakrwawiony odcisk palca na oknie, przez które wymknął się przestępca, albo plamy krwi ciągnące się od domu na ulicę. Jeśli dysponuje się próbką krwi, można w ciągu dziewięciu godzin uzyskać profil DNA, ale im więcej czasu przeznaczy się na badanie, tym niższy jest jego koszt.

Peter musi o tym wszystkim pamiętać. Państwowa Baza Danych Genetycznych (National DNA Database) działa tylko w dni robocze, więc nie ma sensu płacić za ekspresowe badanie krwi, jeśli jego wyniki będą musiały czekać na otwarcie dostępu do danych. Lepiej wybrać dwudziestoczworogodzinny czas oczekiwania na wyniki, aby były gotowe na poniedziałkowy poranek, gdy będzie można wysłać je do bazy.

Zawsze musimy przemyśleć, czego potrzebujemy. Część spraw pokazywanych nagminnie w telewizji wydarza się niezwykle rzadko

i najczęściej jako ostatnia deska ratunku. Technicy muszą się wysypiać, by rzetelnie wykonywać swoją pracę, ale czas ma olbrzymie znaczenie z prawnego punktu widzenia. Kiedy dojdzie do aresztowania podejrzanego, policja musi jak najszybciej otrzymać wszystkie dowody pozwalające na sporządzenie aktu oskarżenia, nie można bowiem nikogo przetrzymywać zbyt długo w areszcie. Trzeba to zawsze jakoś zrównoważyć.

Podczas gdy Peter stara się wszystko skoordynować, technicy wciąż badają miejsce zdarzenia. Fotografują pomieszczenie ze wszystkich narożników, robią zdjęcia podłogi i sufitu, by w przypadku przemieszczenia jakiegoś dowodu sprawdzić, gdzie się początkowo znajdował. Nie ma tu rzeczy nieistotnych – czasem dopiero dziesięć lat po zamknięciu sprawy policyjni rewidenci odkrywają jakiś nowy, kluczowy ślad.

Kryminolodzy korzystają również z kamery obrotowej wykonującej zdjęcia, które po poddaniu obróbce specjalnym oprogramowaniem pozwalają ławnikom odbyć wirtualny spacer po miejscu zdarzenia i przyrzeć się przedmiotom. Mogą oni nawet otwierać drzwi i zaglądać do sąsiednich pomieszczeń. „Kiedy na przykład ktoś strzela przez okno i trafia ofiarę wewnątrz domu, a przy tym dziurawi ściany, możemy zeskanować całe pomieszczenie i z bardzo dużą dokładnością odtworzyć trajektorię pocisków, a tym samym miejsce, z którego padły strzały” – wyjaśnia Peter. Dzięki temu ławnicy mogą zobaczyć jednocześnie oba kluczowe miejsca – ulicę, na której stał zabójca, oraz wewnątrz domu ofiary.

Podobnie wyglądało to tamtego popołudnia w Bradford. Technicy musieli przebadać ulicę, na której doszło do ataku na Sharon, i wewnątrz biura podróży – tam napastnicy zwiążali i pobili jego pracowników. Na ulicy znaleziono plamy krwi, które należało sfotografować i przekazać do specjalistycznej analizy, by potwierdzić zeznania świadków na temat kolejności wydarzeń. Dzięki dokładnym poszukiwaniom odnaleziono również trzy łuski po pociskach wystrzelonych z pistoletu kalibru dziewięć milimetrów – broni łatwo dostępnej na czarnym rynku i cieszącej się dużą popularnością wśród zawodowych przestępców.

W środku biura odkryto kilka kluczowych dowodów: torbę na laptopa, którą przestępcy wykorzystali do transportu broni, nóż używany przez

jednego z nich oraz tkwiący w ścianie pocisk. Pomogło to ekspertom balistycznym w zidentyfikowaniu broni, z której go wystrzelono. Lufy współczesnych pistoletów są gwintowane: oznacza to, że mają w środku spiralne rowki nadające pociskowi ruch obrotowy, co zwiększa precyzję strzału. Każdy model broni ma swój charakterystyczny wzór rowków. Eksperci zajmujący się sprawą z Bradford przebadali zadraśnięcia i wgłębienia na pocisku wyciągniętym ze ściany. Ustalili, że wystrzelono go z pistoletu maszynowego MAC-10. Później udało się także odkryć, że broń prawdopodobnie zacięła się w czasie napadu i być może dlatego obyło się bez kolejnych ofiar.

Choć technicy zajmujący się tą sprawą korzystali z potężnych mikroskopów i obszernych baz danych usprawniających identyfikację, balistyka jako część kryminalistyki wywodzi się z pracy dziewiętnastowiecznych detektywów. W tamtych czasach pociski były raczej odlewane ręcznie przez właścicieli broni niż produkowane w fabrykach. W 1835 roku Henry Goddard, członek pierwszej organizacji policyjnej w Wielkiej Brytanii – Bow Street Runners – został wezwany do domu pani Maxwell mieszkającej w Southampton. Z zeznań lokaja Josepha Randalla wynikało, że mężczyzna wdał się w strzelaninę z włamywaczem. Twierdził, że walczył z nim z narażeniem własnego życia. Goddard zwrócił uwagę na wyważone tylne drzwi i nieporządek panujący w budynku, sytuacja wydała mu się jednak podejrzana. Poprosił Randalla o broń, amunicję, formy do odlewania kul oraz pocisk, który wystrzelono w kierunku lokaja. Gdy porównał kule, odkrył ich podobieństwo: oba pociski miały niewielkie okrągłe wybrzuszenie odpowiadające wgłębieniu w formie odlewniczej używanej przez Randalla. Kiedy lokaj o tym usłyszał, przyznał, że wymyślił tę napaść. Miał nadzieję, że pani Maxwell wynagrodzi go za dzielność. To właśnie wtedy po raz pierwszy udało się zidentyfikować broń dzięki badaniom kryminalistycznym, jakim poddano pocisk.

Samo miejsce zbrodni może być niemy świadkiem wydarzeń, jednak w wielu przypadkach można też wykorzystać ludzi, których zeznania wskażą nowe ślady. W przypadku zabójstwa Sharon Beshenivsky świadkowie zeznali, że sprawcy uciekli srebrnym SUV-em z napędem na cztery koła. Policjanci z drogówki natychmiast zaczęli przeglądać materiały zarejestrowane przez okoliczne kamery monitoringu i odkryli na zdjęciach opisany samochód, toyotę RAV4. Kilka miesięcy wcześniej

sprawa mogłaby utknąć w tym miejscu. Jednak na początku 2005 roku Bradford stało się jednym z pierwszych angielskich miast, w których zainstalowano system monitoringu rejestrujący wszystkie pojazdy wjeżdżające do miasta i z niego wyjeżdżające. W ramach programu Big Fish codziennie robiono i archiwizowano sto tysięcy zdjęć.

Policja zgubiła ślad samochodu, gdy pojazd opuścił centrum miasta. Kiedy jednak przesłano jego numery rejestracyjne do Automatycznego Systemu Rozpoznawania Rejestracji (Automatic Number Plate Recognition, ANPR), analitycy poinformowali detektywów, że samochód wynajęto na lotnisku Heathrow. Policjanci w ciągu kilku godzin odnaleźli wskazany pojazd i aresztowali sześciu podejrzanych.

Znów jednak wyglądało na to, że detektywom z Bradford zabrakło szczęścia. Aresztowani mężczyźni potrafili błyskawicznie udowodnić, że nie mieli nic wspólnego z tragicznym napadem w Bradford. Wypuszczono ich bez stawiania zarzutów. Zdawało się, że śledztwo utknęło w ślepym zaułku.

Raz jeszcze zwrócono się o pomoc do laboratorium kryminalistycznego. Przeszukanie samochodu przyniosło wiele nowych tropów: karton po napoju Ribena, butelkę po wodzie, opakowanie po kanapce oraz paragon fiskalny pochodzący ze stacji Woolley Edge przy autostradzie M1, na południe od Leeds. Wystawiono go o osiemnastej, niecałe dwie godziny przed momentem, w którym Sharon Beshenivsky natknęła się na swojego zabójcę. Wszystkie te przedmioty stanowią klasyczny przykład śladów identyfikacyjnych, które można szybko przeanalizować.

Policjanci przeglądający dane z monitoringu na stacji zauważyli mężczyznę kupującego rzeczy odnalezione w toyocie. Wszystkie ślady poddano od razu badaniom na obecność odcisków palców i fragmentów DNA. Kiedy zaś przepuszczono wyniki tych badań przez państwową bazę danych, policja zdołała ustalić nazwiska sześciu podejrzanych powiązanych z brutalnym londyńskim gangiem.

Wyśledzenie sprawców było już tylko kwestią czasu. Trzech, którzy w czasie napadu stali na czujce i prowadzili pojazdy, skazano za napaść i pozbawienie życia. Dwóch oskarżono o zabójstwo i posłano na resztę życia do więzienia. Ostatni owinął się burką i w tym przebraniu zbiegł do ojczystej Somalii. Policjanci z West Yorkshire nie zamierzali się jednak poddać. Dzięki potajemnej współpracy z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych doprowadzili do ekstradycji zbiega i postawili go przed

sądem, który skazał go na dożywotnie więzienie. Policyjna rodzina Sharon Beshenivsky nigdy się nie poddała i dla tego pościgu za sprawiedliwością poświęciła wszystkie dostępne środki.



Technicy z laboratorium kryminalistycznego ułatwiają różne śledztwa – nie tylko te z pierwszych stron gazet. Także w powszechnych sprawach, takich jak włamania, wykorzystuje się badania DNA, pobiera próbki biologiczne, bada się odciski palców i stóp, jeśli istnieją realistyczne szanse zdobycia jakichkolwiek śladów. Czasem wystarczy przebadać jeden ślad, by poznać odpowiedź – wówczas można zrezygnować z bardziej skomplikowanych metod badawczych. Jeśli policjanci mają odcisk palca na nożu, którym dokonano zabójstwa, nie muszą już szukać śladów genetycznych. Peter wyjaśnia to tak: „Nie warto sięgać po jakieś kosmiczne wynalazki, jeśli te same efekty uzyskamy w prostszy i tańszy sposób”. Niektórzy wielbiciele seriali kryminalnych pracujący w policji zapominają czasem o tej zasadzie. Val Tomlinson wspomina:

Może ci się trafić oficer prowadzący, który nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w terenie. Pamiętam, jak kiedyś znaleźliśmy zadźganego mężczyznę, a oficer natychmiast zaproponował, byśmy zrobili badanie na obecność cząstek metalu w ranie, aby udowodnić, że ofiarę faktycznie zabito nożem. Trzeba mu było wyjaśnić, że nie jest to konieczne, skoro ostrze wciąż tkwi w ciele.

Zdarza się jednak, że trzeba sięgnąć po kosmiczne wynalazki. Ta książka wam o nich opowie. Szczególnymi względami Petera cieszy się Brytyjska Baza Odcisków Stóp pozwalająca na łączenie różnych spraw dzięki odciskom obuwia. Korzystał z niej ostatnio, by przebadać nietypowy ślad pozostawiony na miejscu gwałtu. Okazało się, że ów odcisk pojawił się także w kilku innych śledztwach prowadzonych w West Yorkshire, a ta zbieżność pozwoliła policji skupić się na sprawcy, który został ostatecznie skazany.

O sprawach zakończonych sukcesem pamięta się najdłużej. Peter wspomina:

Pamiętam pewne śledztwo, w którym osiągnęliśmy naprawdę doskonałe wyniki, co nie zdarza się zbyt często. Jeden z naszych techników sfotografował dotkliwie pobitą kobietę, która trafiła na oddział intensywnej terapii. Ofiara niestety zmarła, technik zauważył jednak dziwne obrażenia na jej twarzy. Poprosiliśmy więc naszego specjalistę od obróbki obrazów, by wykonał dodatkowe zdjęcia w podczerwieni i ultrafiolecie. Przyglądając się fotografiom, odkryliśmy, że są to ślady pozostawione przez podeszwę trampek.

Później, gdy przebadaliśmy buty podejrzanego, znaleźliśmy nie tylko ślady krwi, lecz także mieliśmy potwierdzenie naszego eksperta, że ofiara została ośmiokrotnie podeptana – na to bowiem wskazywały ślady pozostawione przez podeszwy. Był to wyraźny dowód, że padła ofiarą brutalnego ataku. Podejrzany zeznał, że „mógł przypadkiem nastąpić jej na twarz”, uważam jednak, że wysoki wyrok, jaki wydano w jego sprawie, opierał się przede wszystkim na niepodważalnym materiale dowodowym.

Zwieńczeniem każdego mozolnego dochodzenia jest prezentacja dowodów w sali sądowej. Tam wszystko, co zbiorą Peter i jego współpracownicy, zostaje skrupulatnie przebadane przez prawników i może wpłynąć na decyzje ławników oraz sędziów. Trudno o rzeczywistość bardziej odmienną od wyzutego z emocji świata naukowców. Jak mówi Peter, nikt nie może liczyć na specjalne względy.

Pamiętam takie przesłuchanie, które trwało trzy godziny. Mieliśmy dowody genetyczne wskazujące na udział podejrzanego w brutalnej napaści na kobietę. Był to taki przypadek, w którym zrobiliśmy naprawdę wiele, by zdobyć te dowody, być może więcej, niż ktokolwiek by się spodziewał.

Śladów genetycznych nie można podważyć, więc obrona skupiła się na sugestjach, że sam podłożyłem te dowody. Musiałem udowodnić, że postępowałem zgodnie z etyką. W takiej sytuacji dokumentacja śledztwa nabiera kluczowego znaczenia. Zaprezentowałem oryginalne fotografie zrobione na miejscu zdarzenia, nim ktokolwiek coś tam poruszył lub dotknął, by ławnicy mogli się przyjrzeć, jak to wszystko wyglądało w punkcie wyjścia. Zdjęcia przedstawiały po kolei cały proces zbierania materiału dowodowego, w tym również moment

pobierania śladów, z których ostatecznie otrzymaliśmy próbki DNA. Wszyscy mogli się przyjrzeć, co robiłem i w jakiej kolejności, każdy ze śladów miał unikatowy numer identyfikacyjny.

Obrońcy zasugerowali, że mogła zaistnieć możliwość późniejszej manipulacji tymi śladami. Ja jednak miałem pełną dokumentację opisującą każdy szczegół badań, jakim je poddano. Choć wszystkie etapy tego procesu widoczne były jak na dłoni, obrona nie przerywała ataków. Skończyło się na tym, że musiałem założyć kombinezon, maskę, rękawiczki, siatkę na włosy, a potem zaprezentować sądowi wysterylizowaną kartkę papieru, na której położyłem rzeczony dowód. Dzięki unikatowym numerom identyfikacyjnym ławnicy mogli zobaczyć, że jest to ten sam dowód, który przedstawiały zdjęcia z miejsca zdarzenia. To potwierdziło ostatecznie jego prawdziwość, ale dowiedziałem się przy tej okazji, jak daleko mogą się posunąć adwokaci próbujący wybronić swojego klienta.

Było to dla mnie mocno irytujące, choć rozumiem konieczność istnienia systemu kontradyktoryjnego. Musiałem zmierzyć się z tym wyzwaniem, ale gdy pokazałem, że dowody nie zostały w żaden sposób zmanipulowane, wzmocniłem akt oskarżenia. Nie grozi nam więc, że za dziesięć lat ktoś wniesie apelację i spróbuje podważyć materiał dowodowy. Wolałem od razu mieć to za sobą i poddać się drobiazgowemu przesłuchaniu.

Techniki kryminalistyczne przeszły długą drogę, wciąż jednak wiele przed nimi. A zgodnie z tym, co mówi Peter, my, twórcy fikcyjnych opowieści o zbrodniach, wcale nie pomagamy w ich dalszej ewolucji. „Ludzie naoglądali się telewizji i mają zawyżone oczekiwania. Nie chcą nam wierzyć, gdy wyjaśniamy, że jakieś badania są zbędne. Wychodzimy na tych złych, bo nie dostarczamy im tego, czego od nas oczekują”.

To tak zwany efekt CSI wywołany przez słynny amerykański serial *CSI: Crime Scene Investigation* (w Polsce znany pod tytułem *CSI. Kryminalne zagadki*), który całkowicie zaburzył widzom obraz tego, jak wygląda kryminalistyka. Całkiem spora liczba ławników zaczęła wierzyć, że badania DNA to niezbędny element każdego śledztwa. Są też jednak tacy, którzy twierdzą, że efekt CSI poprawił ogólną wiedzę społeczeństwa na temat technik kryminalistycznych, nawet jeśli robi to niezbyt dokładnie.



To eksperci i sędziowie muszą pomóc ławnikom zrozumieć znaczenie, jakie mają różne typy materiałów dowodowych.

W pewnej nadzwyczajnej sprawie, do jakiej doszło w 2011 roku w Wiltshire, ofiara przestępstwa chcąc dopomóc w śledztwie uciekła się do sztuczki pojawiającej się w jednym z odcinków *Kryminalnych zagadek*. W okolicach Chippenham od miesięcy krążył samochodem jakiś podejrzany mężczyzna. Kiedy zauważył interesującą go kobietę, nakładał kominiarkę, rękawiczki i atakował ofiarę, wciągając ją do swojego auta. Później jechał do opuszczonego magazynu, gwałcił ją, a na końcu kazał jej się wycierać ręcznikami, by usunąć wszelkie ewentualne ślady. Złapano go, gdy ostatnia z wypuszczonych ofiar celowo zostawiła w jego samochodzie kosmyk włosów. Jak opowiadała później, dzięki temu miała pewność, że niezależnie od tego, czy uda jej się przeżyć, policja odnajdzie próbkę jej DNA. „Zawsze uwielbiałam *Kryminalne zagadki*. Widziałam tyle odcinków, że wiem, co należy zrobić i co zadziała”. Kosmyk włosów i krople śliny pozostawione przez nią w samochodzie doprowadziły do skazania starszego szeregowego Jonathana Haynesa, oskarżonego o sześć gwałtów.



## Technicy kryminalistyczni przeszukujący miejsce zabójstwa Sharon Beshenivsky

Peter Arnold twierdzi, że w niektórych sprawach brytyjscy technicy kryminalistyczni powinni się nieco bardziej upodobnić do swoich telewizyjnych odpowiedników.

Naprawdę potrzebujemy porządnych rozwiązań mobilnych, by nasi ludzie nie marnowali czasu na ciągłe powroty do bazy, tylko przesyłali informacje i nagrania uzyskane na miejscu zdarzenia. Nie wydaje się to skomplikowane, prawda? Mógłbym mieć wszystkie potrzebne rzeczy w telefonie, w zasięgu palców. Jednak przy tworzeniu i wdrażaniu takiej aplikacji musimy się liczyć z dużymi kosztami. Nie stać nas na wydatki rzędu milionów funtów, by stworzyć mobilne oprogramowanie dla techników kryminalistycznych. Ważna jest też kwestia bezpieczeństwa takich danych.

Możliwość analizowania śladów bezpośrednio na miejscu zdarzenia mogłaby przynieść spore zmiany. Dziś, jeśli dojdzie gdzieś do włamania, ślady znalezione na miejscu są dostarczane za pośrednictwem kuriera do naszych laboratoriów, w których bada się je pod kątem obecności DNA. Każdy z nich trzeba zarejestrować i dopiero potem trafia do analizy. Obecnie włamania ze względu na swoją powszechność traktowane są priorytetowo, dlatego też przyspieszyliśmy proces analizy próbek genetycznych, a czas oczekiwania na wyniki wynosi około dziewięciu godzin. Dlaczego mielibyśmy czekać dwa lub trzy dni, nim uda nam się zidentyfikować sprawcę, skoro w ciągu kilku godzin możemy mieć go w areszcie i powstrzymać tym samym dalsze włamania? Gdy zajmujemy się najbardziej rozpowszechnionymi typami przestępstw, trzymamy się najskuteczniejszych metod. Podobnie jest w przypadku odcisków palców. Rzeczywiście udało nam się przyspieszyć ten proces, proszę jednak pomyśleć, jak bardzo można by go skrócić, gdybyśmy mieli możliwość analizowania odcisków na miejscu zdarzenia.

Proszę tylko pomyśleć – docieramy na miejsce w godzinę po włamaniu i w ciągu trzydziestu minut identyfikujemy sprawcę. Mamy jego dane półtorej godziny po zgłoszeniu zajścia. Policja puka do drzwi przestępców, którzy nie mieli czasu, by upłynnić zrabowane łupy.

Ofiara odzyskuje zagrabione dobra, a włamywacze zaczynają rozumieć, że ich działalność nie ma sensu.

Poza satysfakcją praca ta wiąże się także z ciągłym stresem wynikającym z nieustającej presji. Mamy olbrzymie wymagania wobec pracowników wymiaru sprawiedliwości i nie zawsze potrafimy zrozumieć, jak trudne bywają powierzone im zadania. Posłuchajmy raz jeszcze Petera:

Widujemy najgorsze przykłady zbrodni, ale nadal się zdarza, że trafiamy na rzeczy, które nas szokują. Większość ludzi wraca po pracy do domu i opowiada bliskim, co robiła tego dnia. My nie możemy. A nawet gdybyśmy mogli, nie chciałbym, żeby moja rodzina wiedziała o wszystkim, na co byłem zmuszony patrzeć.

## 2. Badanie pożarów

*Zwykle pracujemy w ciemnych, cuchnących, trudno dostępnych i niebezpiecznych miejscach. Robota ciągnie się całymi godzinami, a po powrocie do domu śmierdzimy spalonym plastikiem. Praca ta nie niesie ze sobą żadnego prestiżu, ale bywa fascynująca.*

Niamh Nic Daéid, ekspertka do spraw pożarów

Niedziela, 2 września 1666 roku. W budynku przy Pudding Lane budzi się pierwszy służący. Uświadamia sobie, że w sklepie mieszczącym się na parterze wybuchł pożar, i natychmiast zaczyna się dobijać do drzwi sypialni swojego pracodawcy, piekarza Thomasa Farrinera. Wszyscy domownicy szukają schronienia na dachu budynku, ale płomienie pochłaniają sparaliżowaną strachem pokojówkę Rose.

Ogień szybko rozprzestrzenia się na sąsiednie domy, więc strażacy proszą burmistrza Londynu, sir Thomasa Bloodwortha, by udzielił im zgody na wyburzenie budynków, co powinno zahamować rozwój pożaru. Burmistrz rozwścieczony tym, że zbudzono go tak wcześnie, odmawia poparcia tych drastycznych działań. „Też coś” – prycha.

„Nawet kobieta ugasiłaby ten pożar jednym siknięciem”. Po czym wraca do siebie.

O poranku pamiętnikarz Samuel Pepys zwraca uwagę na to, że „wiatr bardzo silny przerzuca płomienie ku Śródmieściu i że wszystko po tak długiej suszy okazuje się palne, nawet same kamienie kościołów”<sup>2</sup>. Nim nadejdzie południe, Londyn znajduje się w objęciach pożaru, który pochłania „domy towarowe z olejami, z winem, gorzałką i innymi rzeczami”<sup>3</sup>, niszczy drewniane domy, kryte strzechą dachy, tkaniny, tłuszcze, węgiel, proch – wszystkie łatwopalne materiały obecne w codziennym życiu ludzi siedemnastego wieku. Eksplodują straszliwie gorące gazy, które unoszą się pod wpływem olbrzymiego żaru, a powstała próżnia zasysa powietrze z huraganową siłą, podsycając ogień jeszcze większą ilością tlenu. Wielki pożar Londynu wytwarza wokół siebie własną atmosferę.

Kiedy cztery dni później płomienie wreszcie przygasły, okazało się, że pochłonęły praktycznie całą średniowieczną część Londynu, w tym trzysta tysięcy domów, osiemdziesiąt siedem kościołów i katedrę Świętego Pawła.

Siedemdziesiąt tysięcy ludzi z osiemdziesięciotysięcznego miasta nagle zostało bez dachu nad głową.

Nim ostygły popioły, zaczęły się mnożyć teorie spiskowe.

Większość mieszkańców nie wierzyła, że to był wypadek. Wskazywali na wiele podejrzanych zbiegów okoliczności: ogień wybuchł w gęsto zabudowanej dzielnicy, pełnej drewnianych domów, kiedy wszyscy spali, akurat tego dnia tygodnia, gdy na ulicach było zazwyczaj pusto.

Na dodatek wiał wtedy silny wiatr, a poziom wody w Tamizie znacznie się obniżył.

Pogłoski o umyślnym podpaleniu szybko się rozprzestrzeniały.

Zdaniem chirurga Thomasa Middletona, który przyglądał się pożarowi ze szczytu kościelnej wieży, pierwsze płomienie pojawiły się jednocześnie w kilku różnych miejscach. „To i kilka podobnych obserwacji wzbudziło we mnie przekonanie, że pożar spowodowano umyślnie” – zapisał w swoim dzienniku.

Główny cień podejrzeń padł na obcokrajowców, a w Moorfields omal nie zabito pewnego Francuza, który jakoby miał przy sobie „ogniste kule”; okazało się, że były to piłki tenisowe. W pieśniach i poematach z tamtego okresu możemy wyczytać, jak wielka konsternacja towarzyszyła próbom wykrycia przyczyn pożaru:

*Co ognia przyczyną: piłki tenisowe.*

*Czyż pochodzą z Piekła, Francji, Rzymu, Amsterdamu?*

(anonimowy *Poemat o pożarze Londynu z 1667 roku*)

Najwyżej postawione osoby zaczęły się domagać wyjaśnienia prawdziwych przyczyn pożaru. Karol II Stuart stracił w płomieniach olbrzymi majątek w nieruchomościach i był najbardziej poszkodowaną ofiarą. Udzielił parlamentarzystom pełnomocnictw do powołania specjalnej komisji dochodzeniowej. Zebrano setki zeznań naocznych świadków. Niektórzy z nich twierdzili, że widzieli jakichś ludzi rzucających ognistymi kulami, lub przyznawali się do wywołania pożaru w ten sposób. Niejaki Edward Taylor wyznał, że sobotniej nocy poszedł wraz ze swym wujem, Holendrem, na Pudding Lane, a kiedy natknęli się na otwarte okno piekarni Thomasa Farrinera, wrzucili do środka „dwie

kule ogniste z siarki i prochu zlepione”. Jako że Edward miał dopiero dziesięć lat, nikt nie uwierzył jego zeznaniom. Do wywołania pożaru przyznał się także Robert Hubert, ociężały na umyśle syn francuskiego zegarmistrza. Jemu również nikt początkowo nie wierzył, ale Hubert zdołał w końcu przekonać ławników, by wydali wyrok skazujący.

Powieszono go w Tyburn.

Jeden z członków komisji parlamentarnej, sir Thomas Osborne, zanotował, że „wszystkie te pogłoski są absurdalne, a ludność z satysfakcją przyjmuje odpowiedź o przypadkowym źródle pożaru”.

Ostatecznie komisja ustaliła, że za całą przerażającą pożogę odpowiadają „Boska ręka, potężny wiatr i wyjątkowa susza”.

Trudno się dziwić nieprzekonującym wnioskom komisji. Aby przebadać miejsce pożaru, śledczy muszą rozumieć, w jaki sposób rozprzestrzenia się ogień. W siedemnastym wieku wiedza naukowa na ten temat była żałośnie niewielka. Stała się powszechna dopiero w 1861 roku, gdy Michael Faraday opublikował zbiór wykładów na temat ognia i zaprezentował go szerszej publiczności. Zbiór ten, złożony z sześciu tekstów i zatytułowany *Dzieje świecy*, kierowany był do młodszych odbiorców, ale po dziś dzień uważa się go za jeden z kluczowych tekstów poświęconych temu zagadnieniu. Wykorzystując świecę jako symbol, Faraday naświetlił ogólne zasady rządzące ogniem. W jednym z najważniejszych wykładów opisuje gaszenie płomienia za pomocą szklanego słoja. „Powietrze to niezbędny składnik spalania” – wyjaśnia.

„Co ważniejsze, musi to być świeże powietrze”. Oczywiście miał na myśli tlen.

Faraday był jednym z pierwszych ekspertów przybliżających sędziom i ławnikom wiedzę uzyskaną w laboratorium, czasem całkiem dosłownie. W 1819 roku właściciele cukrowni zniszczonej w pożarze londyńskiej dzielnicy Whitechapel pozwali firmę ubezpieczeniową, która odmówiła wypłaty odszkodowania wynoszącego piętnaście tysięcy funtów. Sprawa rozbiła się o to, czy wprowadzony przez cukrowników nowy proces technologiczny, wykorzystujący rozgrzany tran, o którym nie poinformowano ubezpieczyciela, mógł zwiększyć ryzyko wybuchu pożaru.



Michael Faraday, którego książka *Dzieje świecy*, opublikowana w 1861 roku, stała się jednym z głównych źródeł wiedzy o ogniu, wykorzystywanej podczas badania pożarów

Przed złożeniem zeznań Faraday przeprowadził kilka eksperymentów z tranem, podgrzewając go do temperatury dwustu stopni, aby dowieść, że „wszystkie opary tranu z wyjątkiem wody palą się szybciej niż sam

tran”. Jeden z ławników nie chciał mu uwierzyć, więc naukowiec wydobyl fioletową z wydestylowanym tranem i podpalił opary, a „w całej sali uniosła się okropnie smrodliwa woń”.

Najważniejszym dokonaniem Faradaya w dziedzinie kryminalistyki było dochodzenie w sprawie eksplozji w kopalni Haswell, w okręgu Durham, gdzie w 1844 roku śmierć poniosło dziewięćdziesięciu pięciu mężczyzn i chłopców. Do wybuchu doszło w czasie niepokołów społecznych wśród miejscowych górników.

Obrońca wynajęty przez pogrążone w żałobie rodziny zwrócił się z prośbą do premiera Roberta Peela o udzielenie rządowej pomocy w prowadzeniu śledztwa. Jednym z członków grupy przysłanej przez władze był właśnie Faraday.

Badacze spędzili cały dzień w kopalni, skupiając się przede wszystkim na kwestii przepływu powietrza. Faraday uświadomił sobie w pewnym momencie, że usiadł na beczce pełnej prochu stojącej tuż obok nieosłoniętego płomienia świecy. Natychmiast zerwał się na równe nogi i „udzielił wszystkim reprimendy za taką nieostrożność”. Sąd orzekł, że pożar wybuchł przypadkowo, a Faraday zgodził się z takim werdyktem. Jednak po powrocie do Londynu grupa badawcza złożyła raport, z którego wynikało, że dużą rolę w rozprzestrzenianiu się ognia odegrał także pył węglowy, zalecono więc ulepszenie systemu wentylacji kopalni. Właściciele kopalń zaprotestowali, ponieważ nie chcieli ponosić dodatkowych kosztów. Przez kolejne sześćdziesiąt lat ignorowano zagrożenia, aż w końcu w 1913 roku doszło do podobnej eksplozji w walijskiej kopalni Senghenydd. Śmierć poniosło wówczas czterystu czterdziestu górników. Była to największa katastrofa górnicza w dziejach Wielkiej Brytanii.

W dwudziestym wieku zarówno strażacy, jak i naukowcy rozwijali badania nad źródłami ognia, zachęceni do tego przez rządy, którym bardzo zależało na poznaniu ogólnej liczby pożarów, ich źródeł i przyczyn. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dochodzenia nabrały naukowego charakteru, wprowadzono szczegółowe procedury, a nowe narzędzia pomagały w identyfikowaniu złożonych mieszanek chemicznych, takich jak benzyna, użytych w miejscu zdarzenia.



Pojawili się pierwsi eksperci w tej dziedzinie. Częściowo to właśnie dlatego rzadko się dziś zdarza, by w czasach pokoju pożar czy eksplozja



związana z gwałtownym rozprzestrzenianiem się ognia przyniosły tak wiele ofiar jak dawniej. Każde śledztwo w takiej sprawie pozostawia niezatarte wrażenia w umysłach śledczych.

Wśród nowej grupy ekspertów zajmujących się przyczynami pożarów jest pewne irlandzkie małżeństwo. Ich córka Niamh Nic Daéid, chemiczka z Uniwersytetu Dundee i ekspertka w sprawach kryminalnych, kontynuuje działania rodziców, szukając prawdy pośród straszliwych zniszczeń. Wyjaśnia: To moje dziedzictwo, ponieważ ojciec i matka byli niezależnymi ekspertami do spraw pożarów; mama zresztą zajmuje się tym do dzisiaj.

Dorastałam w tym środowisku. Razem z bratem zarabialiśmy kieszonkowe, pomagając im we wklejaniu zdjęć z pożarów do raportów – dostawaliśmy po pięć pensów od fotografii. Jak łatwo się domyślić, rozmowy przy stole zawsze krążyły wokół tego tematu.

Tam, gdzie ogień pochłania czyjąś własność lub bliskich, śledztwo toczy się w miejscu, w którym najbrutalniejszy z żywiołów obraca w perzynę ludzki świat. Przypomniałam sobie o tym boleśnie, gdy zapytałam Niamh o sprawę, która wywarła na niej szczególne wrażenie.

„Pożar w dyskotecie Stardust” – odpowiedziała bez wahania.

Wczesnym rankiem w dzień świętego Walentego w 1981 roku spałam we własnym łóżku w Derbyshire. Byłam wtedy młodą dziennikarką zatrudnioną w północnym oddziale ogólnokrajowego tygodnika. Jeszcze nigdy nie pracowałam przy żadnej katastrofie, ale to miało się zmienić, gdy o świcie zbudził mnie dzwonek telefonu.

Znajomy burkliwy głos mojego szefa oznajmił: „W dublińskiej dyskotecie wybuchł straszliwy pożar. Mówi się o dziesiątkach ofiar śmiertelnych. O siódmej masz samolot”.

Nim dojechałam na manchesterskie lotnisko, radio potwierdziło informacje przekazane mi przez szefa. Ogromny pożar. Przerazająca liczba ofiar śmiertelnych, głównie młodych ludzi, którzy wyszli się zabawić i już nigdy nie wrócą do domu. Na lotnisku roiło się od dziennikarzy i fotoreporterów gromadzących się w małych grupach i rozdzielających pomiędzy sobą zadania czekające ich po przylocie.

Moja ekipa – dwóch dziennikarzy i dwóch fotografów – przedarła się do baru. Ktoś postawił przede mną podwójną whisky. Nawet w tych przesiąkniętych alkoholem czasach nie byłam przyzwyczajona do picia

o tak wczesnej porze. „Wypij” – nalegał jeden z moich kolegów. „Zaufaj mi, przyda ci się, żeby dotrzeć dziś do końca pracy”.

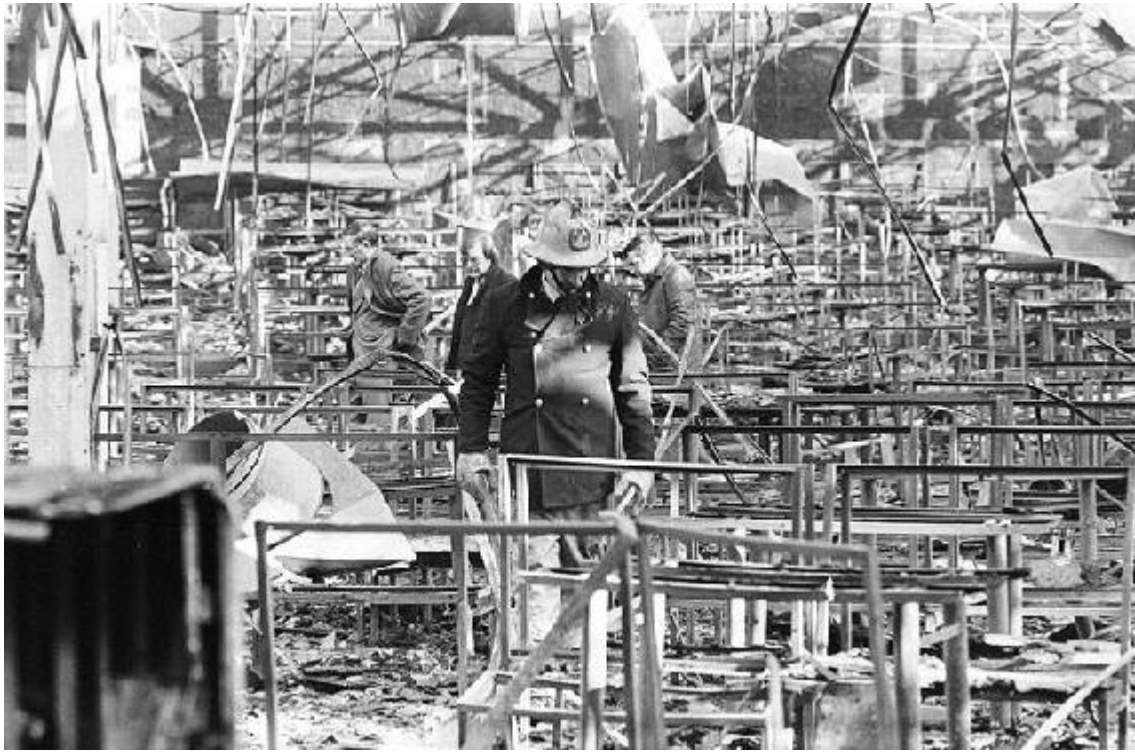
Miał rację. Po wyładowaniu w Dublinie ludzie z tamtejszego oddziału przekazali nam straszliwe wieści. Ponad czterdzieści ofiar śmiertelnych. Jako że byłam kobietą, na dodatek znaną z tego, że potrafię rozmawiać z ludźmi w żałobie i wyciągać z nich potrzebne informacje, oddelegowano mnie do spotkań z rodzinami zmarłych, bym zdobyła poruszające wyznania i fotografie ofiar.

Cały dzień spędziłam na osiedlu Coolock, skąd pochodziła większość tragicznie zmarłych nastolatków. Zszokowani bliscy okazywali mi swego rodzaju wdzięczność za to, że ktoś chciał opowiedzieć o śmierci ich dzieci. Nigdy nie przeżyłam w pracy czegoś bardziej przygnębiającego. A przecież byłam tylko widzem. Kiedy próbowałam sobie wyobrazić, co czują ci wszyscy zrozpaczeni ludzie, moje serce ogarniała pustka.

Po odesłaniu pierwszych materiałów umówiłam się z jednym z kolegów na miejscu pożaru. Od frontu budynek dyskoteki nie nosił śladów większych zniszczeń, jeśli nie liczyć wybitych okien i osmalonej fasady. Gdyby nie gryząca woń dymu i spalenizny, trudno byłoby uwierzyć, że zginęło tu czterdzieści osiem osób, a ponad dwieście czterdzieści odniosło obrażenia. Choć wewnątrz budynku zostało doszczętnie zdewastowane, można się było tego domyślić jedynie dzięki samochodom służb porządkowych otaczającym miejsce zdarzenia.

Matka Niamh Nic Daéid była jedną z osób wezwanych do wyjaśnienia przyczyn pożaru.

Walentynki w Stardust miały być niezapomniane z zupełnie innych powodów. Ośmiuset czterdziestu młodych ludzi zapłaciło trzy funty za bilet, by bawić się, tańczyć i jeść do drugiej nad ranem. Na dwadzieścia minut przed zamknięciem DJ ogłosił zwycięzców konkursu na najlepszych tancerzy.



Eksperci badający zgliszcza dyskoteki Stardust, w której zginęło czterdzieści osiem osób, a ponad dwieście czterdzieści odniosło obrażenia

Minutę później pierwsi z imprezowiczów dostrzegli dym wydobywający się z za rolet po lewej stronie parkietu.

Większość z nich uznała to za kolejny efekt dyskotekowy i nie przerwała zabawy.

Tymczasem żaluzje zasłaniały pięć rzędów kinowych foteli. Gdy w końcu za nie zajrzano, część z tych foteli stała już w ogniu. Nad wyścielonymi poliuretanem oparciami unosiły się kłęby czarnego dymu zawierającego niezwykle toksyczny cyjanowodór. Z początku pożar zdawał się niewielki i możliwy do opanowania, ale szybko zaczął się rozprzestrzeniać. Pracownicy dyskoteki bez skutku opróżniali kolejne gaśnice. W ciągu pięciu minut na tancerzy zaczęły spadać krople roztopionego plastiku, później runęła część sufitu, a salę wypełnił trujący dym. Ci, którym udało się ocaleć, nie potrafili uwierzyć, że wszystko stało się tak błyskawicznie.

Ludzie ogarnięci paniką instynktownie próbują opuścić miejsce zagrożenia tą samą drogą, którą weszli. Wąski przedśrodek prowadzący

do wyjścia ze Stardust momentalnie się zakorkował. Wszyscy pędzący ku drzwiom odkryli jednak, że zamknięto je, a ochroniarz stracił kilka cennych minut, przeciskając się z kluczem przez zdesperowany tłum.

Nadal jeszcze można było uniknąć katastrofy. Dyskoteka miała sześć wyjść ewakuacyjnych, ale właściciel Eamon Butterly nie chciał dopuścić, by ktoś wślizgnął się nimi bez biletu, więc zdecydował, że jedno ma być zamknięte, a pozostałe zabezpieczone łańcuchami.

Spanikowani klienci zdołali je w końcu wyważyć. Inne wyjścia przeciwpożarowe były przyblokowane po obu stronach stołami i krzesłami, kolejne blokował plastikowy kontener.

Sufit runął o 1.45, gdy w środku znajdowało się wciąż około pięciuset osób. Wysiadła również elektryczność. Szalejące płomienie były jedynym źródłem światła. Piosenka w wykonaniu Adam and the Ants ustąpiła miejsca przerażonym krzykom. Wystarczyło dziewięć minut, by całe wnętrze dyskoteki – krzesła, ściany, sufity, podłogi, stoliki, a nawet stojące na nich metalowe popielniczki – zostało pochłonięte przez ogień.

Część ofiar uciekła do łazienek. Na sześć tygodni przed tragiczną imprezą do właściciela dotarły pogłoski o klientach przemycających własny alkohol na teren lokalu, kazał więc zabezpieczyć okna w toaletach za pomocą metalowych płyt. Od zewnątrz blokowały je stalowe kraty. Kiedy po jedenastu minutach pojawiły się pierwsze wozy straży pożarnej, strażacy próbowali wyrwać metalowe sztaby zabezpieczające okna, ale mimo użycia pojazdów i linek holowniczych udało im się je tylko wygiąć. Ludzie w toaletach utknęli pośród płomieni i duszącego dymu.

Wszyscy mieszkańcy tych okolic, robotniczych osiedli Artane, Kilmore i Coolock, znali przynajmniej jedną z ofiar tragedii. Cała Irlandia pograżyła się w żałobie. Pięć ciał było zwęglonych do tego stopnia, że nie udało się ustalić ich tożsamości. (Zrobiono to dopiero w 2007 roku – ekshumowano wówczas zwłoki i poddano je analizie DNA).

W walentynkowy poranek detektyw Seamus Quinn rozpoczął pierwsze oględziny zdemolowanego wnętrza dyskoteki. W ciągu pięciu godzin od 8.45 ustalił, że w miejscu wybuchu pożaru nie ma żadnych śladów materiałów łatwopalnych, a instalacja elektryczna wydaje się sprawna. Rzucił też zapalonego papierosa na jeden z kinowych foteli i odkrył, że są one pokryte tapicerką z niepalnego polichloru winylu.

Czyżby ktoś celowo rozpruł oparcie fotela i podpalił poliuretanową wyściółkę?

Pracownicy laboratorium badawczego straży pożarnej zrekonstruowali w Cardington miejsce wybuchu ognia. Wykorzystali do tego pusty hangar. Prowadzący dochodzenie Bill Malhotra zdołał wywołać ogień zarówno poprzez przecięcie tapicerki foteli i podpalenie wyściółki, jak i przez ułożenie pod nimi kilku płonących gazet.

Płomienie szybko sięgnęły niskiego sufitu i oklejonych wykładziną płytek, które zaczęły się topić, a rozgrzane krople spadły na kolejne fotele. Ciasnota i gwałtownie rosnąca temperatura sprawiły, że winylowa tapicerka straciła swoje właściwości. Kiedy zapłonęły fotele w ostatnim rzędzie, płomienie bez trudu przeskoczyły na sąsiednie siedziska.

Doświadczenia Quinna i Malhotry wskazywały, że źródłem pożaru mogło być podpalenie.

Osiemnaście miesięcy po tych tragicznych zdarzeniach, w czerwcu 1982 roku, rząd irlandzki opublikował wyniki oficjalnego dochodzenia w sprawie przyczyn pożaru. Odpowiedź na pytanie o jego źródło okazała się dość niejednoznaczna. W pewnym miejscu autorzy raportu stwierdzają, że „ogień najprawdopodobniej podłożono celowo”, w innym zaś czytamy, że „przyczyna pozostaje nieznana i możemy jej nigdy nie poznać. Brak jakichkolwiek dowodów na przypadkowe lub celowe zaproszenie ognia”. Eksperti zajmujący się badaniem materiału dowodowego również nie zgadzali się ze sobą. Trzy osoby, w tym Quinn i Malhotra, twierdziły, że tragedia w dyskotecie nastąpiła w wyniku podpalenia, dwie pozostałe nie wykluczały awarii instalacji elektrycznej.

Raport nie pozostawił suchej nitki na Eamonie Butterlym.

Zarzucono mu niedopatrzenia w kwestii bezpieczeństwa i brak ochroniarzy pilnujących drzwi – w ramach oszczędności zastąpiono ich dodatkowymi zamkami. Koszt zatrudnienia kolejnej osoby wynosił zaledwie pięćdziesiąt funtów – funta za każdą osobę, która zginęła w dyskotecie. Jeśli zaś chodzi o zablokowane okna w toaletach, zdaniem autorów raportu, „choć ich pierwotnym celem było zapewnienie odpowiedniej wentylacji, w chwili zagrożenia można było je wykorzystać jako wyjście ewakuacyjne”. Mimo tych zarzutów Butterly został zwolniony z odpowiedzialności za tragiczne wydarzenia w swoim lokalu, ponieważ nastąpiły one „najprawdopodobniej w wyniku podpalenia”. Rok później państwo wypłaciło mu rekompensatę za straty materialne wynoszącą mniej więcej pół miliona funtów, podczas gdy rodziny ofiar

otrzymały odszkodowania dopiero w 1985 roku. Wypłaty te wynosiły nie więcej niż dwanaście tysięcy funtów od osoby.

Większości bliskich o wiele bardziej zależało na wyjaśnieniu przyczyny śmierci ofiar niż na pieniądzu. Wiele potencjalnych dowodów uległo zniszczeniu, więc wydawało się, że uzyskanie odpowiedzi jest niemożliwe. To ich jednak nie powstrzymało.

W 2006 roku stowarzyszenie osób poszkodowanych w pożarze dyskoteki Stardust opłaciło nowych ekspertów kryminalistycznych i zaczęło nawoływać do ponownego wszczęcia oficjalnego śledztwa.

Specjaliści szybko zwrócili uwagę na to, że podczas eksperymentu w hangarze ogień potrzebował trzynastu minut, by rozprzestrzenić się na wszystkie fotele, i nie zdołał przedrzeć się na dach, podczas gdy na miejscu zdarzenia płomienie w ciągu zaledwie pięciu minut od godziny 1.41 opanowały szczyt budynku. Coś tu się wyraźnie nie zgadzało.

Potwierdzały to również zeznania licznych świadków. Część z nich, stojąca w chwili wybuchu pożaru przed budynkiem, opowiadała o płomieniach na dachu. Pojawiły się one parę minut przed 1.41. Kilka tygodni wcześniej pracownicy Stardust zwrócili uwagę na dym i iskry unoszące się w sali nad głównym barem, czyli tuż obok miejsca, w którym odkryto płonące fotele. Linda Bishop i jej partner, którzy siedzieli w walentynkowy wieczór pod wywietrznikiem w suficie, wsłuchując się w *Born to Be Alive*, poczuli nagle gwałtowny wzrost temperatury. Dziewczyna spojrzała na swój nowy elektroniczny zegarek, który dostała na święta Bożego Narodzenia. Wskazywał 1.33. Barman walczący tego wieczoru z pożarem również wspomina, że poczuł „falę ogromnego gorąca buchającą z sufitu. Byłem przekonany, że to właśnie tam zaczął się pożar”.

Eksperci zatrudnieni przez stowarzyszenie osób poszkodowanych w Stardust uznali ostatecznie, że kinowe fotele musiały zająć się ogniem w wyniku pożaru sufitu. Dotychczas twierdzono, że było dokładnie na odwrót. Ich zdaniem to awaria instalacji elektrycznej w sali na poddaszu nad barem, pełnej plastikowych krzeseł oraz punktowych reflektorów, stała się źródłem ognia, który opanował sufit. Tuż obok mieścił się magazyn, a zdaniem badaczy w czasie pierwotnego dochodzenia właściciel nie ujawnił wszystkich szczegółów na temat jego zawartości.

Obrońcy Butterly'ego dostarczyli listę opisującą „w przybliżeniu”

przedmioty przechowywane w pomieszczeniu, w tym „wybielacze, woski do politory, aerozole, środki czyszczące zawierające naftę”.

W żadnym miejscu nie wspomniano jednak o beczkach pełnych oleju spożywczego, które również się tam znajdowały.

Zdaniem profesora Michaela Delichatsiosa, zajmującego się naukowo dynamiką rozprzestrzeniania się ognia, temperatura w sali nad barem mogła osiągnąć taki poziom, że w sąsiednim magazynie doszło do spontanicznego samozapłonu łatwopalnych materiałów. Wyjaśniałoby to olbrzymią prędkość, z jaką ogień ogarnął wnętrze budynku i stopił plastik, który zaczął skapywać na tancerzy i doprowadził ostatecznie do całkowitego zawalenia sufitu. W 2009 roku władze oddelegowały Paula Coffeya, by przebadał zasadność prośby o ponowne rozpoczęcie dochodzenia, z którą wystąpiło stowarzyszenie osób poszkodowanych w pożarze Stardust. Jego zdaniem niektóre wnioski w pierwotnym raporcie zostały „celowo tak sformułowane, by pojawiło się mylne wrażenie, (...) jakoby istniały faktyczne dowody potwierdzające świadome zaprószenie ognia, a nie tylko hipotetyczne wyjaśnienia próbujące dociec przyczyny tragedii”. Coffey sprzeciwił się rozpoczęciu nowego dochodzenia, zasugerował jednak, że władze powinny jasno dać do zrozumienia, iż przyczyna tej tragedii wciąż pozostaje nieznana. I tak dwadzieścia siedem lat po najbardziej zabójczym pożarze w dziejach Irlandii rząd oficjalnie ogłosił, że źródło płomieni jest wciąż nieustalone.

Ponieważ sala na poddaszu „uległa całkowitemu zniszczeniu”, zarówno świadkowie tego wydarzenia, jak i liczni eksperci zapewne nigdy nie dowiedzą się, jak powstał ten ogień.



Płomienie zniszczyły wszystko, co mogłoby wskazać na ich pochodzenie. Jest to jedna z najbardziej frustrujących sytuacji, z jakimi muszą się mierzyć specjaliści od badania przyczyn pożarów.

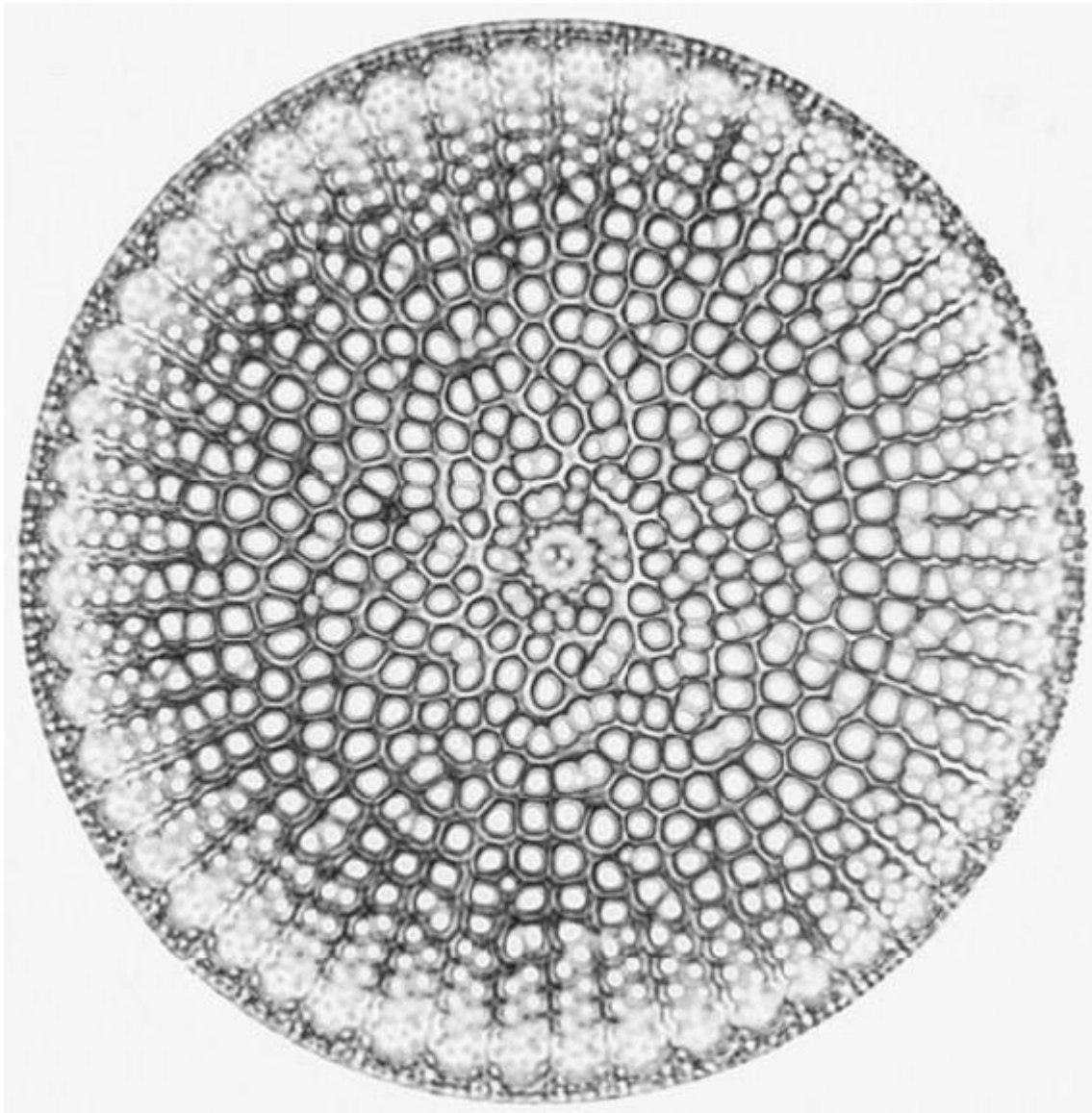
Dochodzenia w sprawie pożarów mogą się różnić stopniem trudności, ale nawet te pozornie proste stawiają spore wyzwania przed ekipą dochodzeniową, która musi odtworzyć kolejność niszczycielskich wydarzeń. Weźmy na przykład taką typową sytuację: przypadkowy przechodzień zauważa płonący dom i wzywa straż pożarną, której udaje się ugasić ogień. Jeśli inspektor nadzoru budowlanego uzna, że budynek nie grozi zawaleniem, na miejsce przyjeżdżają eksperci kryminalistyczni,

tacy jak Niamh Nic Daéid, i próbują ustalić pochodzenie pożaru, jego przyczynę i sposób rozprzestrzeniania.

Choć badacze i eksperci rzadko mają do czynienia ze świadkami wydarzeń, Niamh Nic Daéid czasem zaczyna swoją pracę właśnie od rozmów z tymi, którzy widzieli pożar na własne oczy. Prosi ich, by dokładnie opisali miejsce, w którym zauważyli ogień. Czy były to żółte płomienie i biały dym, co wskazywałoby na użycie benzyny, czy też gęste czarne kłęby, co sugeruje palącą się gumę? Umiejętność wyciągnięcia potrzebnych informacji od świadków jest bardzo przydatna. Zazwyczaj Niamh musi rozmawiać z ludźmi na krawędzi załamania nerwowego albo takimi, których świat właśnie legł w gruzach.

Zdarza się też, że eksperci do spraw pożarów „przerywają rozmowę i informują policję, że dana osoba może być kandydatem na podejrzanego”. Powszechnie wiadomo, że w czasach niezbyt dobrych dla gospodarki rośnie liczba pożarów przemysłowych, ponieważ niektórzy właściciele wolą skasować odszkodowanie za straty materialne, niż utrzymywać niedochodową fabrykę. Ludzie zatajają nie tylko podpalenia, lecz także zwykłe wypadki. Gdy Niamh pyta świadków, czy i gdzie palili papierosy przed wybuchem pożaru, słyszy zazwyczaj, że palacze korzystali z wyznaczonej im strefy. Wieloletnie doświadczenie podpowiada jej jednak, że „w przypadku złej pogody ludzie zwykle idą zapalić w okolice tylnego wyjścia, a tam leży sporo śmieci”.





Skamieniałe resztki jednokomórkowych okrzemków, widoczne pod mikroskopem

Po zakończeniu rozmów Niamh obchodzi z zewnątrz miejsce zdarzenia i stara się zapamiętać wszystkie szczegóły. Zwraca uwagę na osmolone ściany, wybite okna, szuka potencjalnych śladów w okolicy domu – mogą to być kanistry po benzynie lub niedopałki papierosów walające się po ziemi. Później „chowa dłonie do kieszeni” i wchodzi na pogorzelnisko w poszukiwaniu jakichś wskazówek, „niczego przy tym nie podnosząc”. Dopiero po tym wszystkim może przystąpić do właściwej, brudnej roboty. Zajmuje się kanistrami i niedopałkami odkrytymi na zewnątrz: „Robię im zdjęcia, zazwyczaj z użyciem skali porównawczej, oznaczam ich położenie na planie, a później pakuję i opisuję jako materiał dowodowy”.

W środku budynku stara się zaś znaleźć miejsce, w którym pojawiło się ognisko pożaru, przechodząc od najmniej zniszczonych pomieszczeń do tych, z których pozostały tylko zgliszcza, i tworząc w trakcie tego obchodu potrzebną dokumentację.

Wraz z rozprzestrzenianiem się pożaru wzrasta temperatura płomieni i powstaje reakcja łańcuchowa, podsycana przez dopływ tlenu i świeże paliwo. Bywa, że przed ugaszeniem ognia dochodzi do zawalenia ścian i sufitów. Po zalaniu pogorzeliska hektolitrami wody prawidłowa interpretacja wydarzeń staje się jeszcze trudniejsza. „Często zostaje tylko skorupa domu wypełniona różnymi materiałami. Aby dotrzeć do źródła pożaru, musimy przegrzebywać się przez kolejne warstwy jak archeologowie na wykopaliskach”. Tak jak lekarz medycyny sądowej krojący zwłoki, by przeprowadzić autopsję, tak i Niamh musi dokonać jeszcze większych zniszczeń, aby uzyskać satysfakcjonujące wyjaśnienie. Zaczyna swoje badania tam, gdzie szkody są najmniej widoczne, ponieważ „jeśli ta wielka czarna dziura w rogu to faktycznie miejsce, w którym rozlano benzynę, to badanie jej na początku zwiększy ryzyko rozniesienia śladów po całym miejscu zdarzenia”. W krańcowych przypadkach technicy dzielą pogorzelisko na siatkę kwadratów oddzielonych za pomocą taśmy, numerują je, a potem wynoszą wiadrami całą zawartość każdego z nich i przesiewają ją przez sito, próbując znaleźć przydatne ślady.

Jako że ogień zwykle rozprzestrzenia się ku górze i na boki, czasem udaje się odnaleźć charakterystyczne zwęglone V wskazujące pierwotne miejsce wybuchu pożaru. Jeśli jednak podpalacz rozchlapie benzynę w kilku punktach, sytuacja staje się o wiele trudniejsza.

Odkrycie wąskich pasów mocnej spalenizny otoczonych mniejszymi zniszczeniami może wskazywać na użycie materiałów łatwopalnych, ale płomienie pochłaniają benzynę w tak gwałtownym tempie, że często nie sposób ustalić, gdzie znajdowało się zarzewie ognia. Czasem na podpalenie może wskazywać obecność kilku równie mocno wypalonych punktów – niezmiernie rzadko się zdarza, by w jednym budynku w tym samym czasie wybuchły dwa niepowiązane ze sobą, przypadkowe pożary.

Po ustaleniu najbardziej prawdopodobnych miejsc, z których mógł rozprzestrzenić się pożar, Niamh zaczyna się rozglądać za jego źródłem – zapalkami, zapalniczkami, świecami – oraz potencjalnym paliwem – resztkami telewizora, strzępami nadpalonych gazet, koszami na śmieci.

Podpalacze często zostawiają zapalaki, bo wierzą, że pochłonie je ogień.

Ale fosforowa główka każdej z nich zawiera skamieniałe resztki jednokomórkowych okrzemków.

Zawarta w skorupkach tych organizmów krzemionka wzmacnia tarcie i jest niezwykle odporna na wysokie temperatury. Każdy z ośmiu tysięcy gatunków okrzemków można zidentyfikować za pomocą mikroskopu po unikatowej budowie skorupy. Wytwórcy zapalek uzyskują fosfor z różnych źródeł, a na podstawie badania znalezionych na miejscu zdarzenia okrzemków specjaliści kryminalistyczni są w stanie ustalić markę zapalek. Łącząc tę informację z wiedzą uzyskaną dzięki kamerom monitoringu w okolicznych sklepach lub dzięki przeszukaniu kieszeni podejrzanego, można czasem znaleźć jednoznaczne dowody.

Niamh próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądało miejsce pożaru w momencie jego wybuchu. Później je rekonstruuje. O tym, jakie pomyłki zdarzają się ekspertom na tym etapie, miała okazję przekonać się na własnej skórze. Pewnego razu badała sprawę podejrzanego ognia, którego źródło znajdowało się w okolicach biurka właściciela domu.

Gdy specjaliści od podpaień zakończyli oględziny, policja poprosiła ich o odłożenie pokrytych sadzą przedmiotów tam, gdzie znajdowały się w chwili wybuchu pożaru. Niamh, wezwana na miejsce zdarzenia, uznała, że przeprowadzi własną rekonstrukcję i porówna ją z wcześniejszymi ustaleniami.

Dowody materialne w żaden sposób nie wspierały tez postawionych przez twórców pierwszej rekonstrukcji. Nie zauważono na przykład okręgu pozostawionego na biurku przez szklanekę, która ochroniła ten fragment przed osmaleniem. Przedmioty znalazły się w niewłaściwych miejscach, a zrobione później zdjęcia przekazywały nieprawdziwe informacje. Kiedy ustaliliśmy ich pierwotne położenie, udało nam się odtworzyć okoliczności wybuchu pożaru.

W 2012 roku Niamh poprowadziła cykl warsztatów związanych z badaniem miejsc wybuchu pożarów. Skonstatowała jednocześnie, że choć wielu szkockich ekspertów ma spore kompetencje, to „w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach przypadków do badania pożarów wysyła się ludzi z niewystarczającym, zaledwie tygodniowym przeszkoleniem”. Mimo że wiele dochodzeń nie sprawia większych trudności i kończy się sukcesem, uwaga o właściwej edukacji personelu jest jak najbardziej słuszna. Odpowiednio wyszkoleni specjaliści

odgrywają kluczową rolę w ustalaniu przyczyn i źródeł pożaru, co jest szczególnie istotne, „gdy w płomieniach giną ludzie. Cięży na nas olbrzymia odpowiedzialność wobec ofiar i ich rodzin, pragnących poznać prawdę na temat śmierci bliskich”.

Nieumiejętne obchodzenie się z materiałem dowodowym prowadzi do zamieszania i przedstawiania przed sądem sprzecznych hipotez.

Pierwsze oględziny są najważniejsze i powinny być przeprowadzone prawidłowo, nie tylko dlatego, że w przypadku pożarów ślady łatwo ulegają zniszczeniu. Czy są szanse na zdobycie odcisków palców? Czy można pobrać próbkę DNA? Czy da się odzyskać dane z twardego dysku tkwiącego w roztopionym komputerze? „Odpowiedź na te wszystkie pytania jest twierdząca, o ile jesteśmy na tyle ostrożni, by nie zniszczyć tych śladów”.

Trudno jednak zachować zwinność i uważność w ciężkich, okutych stalą butach, kasku i kombinezonie ochronnym – a to wszystko należy do roboczego stroju Niamh. Na pogorzeliście czyha wiele zagrożeń: odsłonięta instalacja elektryczna, potłuczone szkło, zawałone częściowo ściany. „Zwykle pracujemy w ciemnych, cuchnących, trudno dostępnych i niebezpiecznych miejscach. Robota ciągnie się całymi godzinami, a po powrocie do domu śmierdzimy spalonym plastikiem. Praca ta nie niesie ze sobą żadnego prestiżu, ale bywa fascynująca”.

Podczas badania podejrzanego miejsca Niamh zbiera popioły i przesiewa je między palcami.

Bylibyście zdumieni tym, co może ocaleć z płomieni. Choć to destrukcyjny żywioł, wiele rzeczy pozostawia we względnie nienaruszonym stanie – guziki, zapalniczki, butelki, puszki po piwie, większość metalowych przedmiotów.



Plastik może się z jednej strony nadtopić, a z drugiej pozostać nietknięty. W taki sposób można na przykład zdobyć odciski palców pozostawione na pilocie do telewizora.

Instalacja elektryczna na miejscu zdarzenia również może pomóc w wyjaśnieniu przyczyn i okoliczności rozprzestrzenienia się pożaru i dostarczyć materialnych dowodów potwierdzających postawione hipotezy. Specjaliści tacy jak Niamh posuwają się na klęczkach i z kombinerkami w dłoniach podążają śladem kabli. Idą za nimi niczym za nicią Ariadny wiodącą przez labirynt.

Spora część ekspertów nie zwraca większej uwagi na instalację.

Badanie jej zajmuje dużo czasu i jest mozolne, bywa jednak niezwykle przydatne, może bowiem dostarczyć solidnych materialnych dowodów, podczas gdy wnioski wyciągane na podstawie śladów pozostawionych przez płomienie bywają interpretowane na wiele różnych sposobów.

Na ścianie swojego biura Niamh zawiesiła fotografię dwunastopiętrowego budynku stojącego niedaleko stacji metra Piccadilly w Londynie. Siedem górnych pięter budowli spłonęło w pożodze, która przyniosła straty wycenione na dwanaście milionów funtów. Specjaliści przybyli na miejsce przesłuchali sprzątaczkę, która jako pierwsza dostrzegła niewielki pożar systemu oświetlenia na jednym z pięter. Była to jakaś wskazówka, jednak ustalenie dokładnych przyczyn tak potężnego pożaru nadal stanowiło poważne wyzwanie. Niamh i jej koledzy spędzili w tym budynku dwa dni, nim udało im się odgadnąć, że źródłem ognia była awaria instalacji przy automacie z wodą.

„Dochodzenie okazało się bardzo ciekawe, ponieważ musieliśmy przeprowadzić dokładne badania instalacji, by potwierdzić, że to właśnie tam znajdowało się zarzewie ognia. To śledztwo było dla mnie bardzo ważne i stąd właśnie to zdjęcie w moim biurze”.

Czasem za pożar odpowiada instalacja. Zdarza się jednak, że przyczyny są bardziej złowieszcze. Eksperci często wykorzystują w swoich dochodzeniach psy, które dzięki swojemu węchowi – dwustukrotnie czulszemu niż ludzki – potrafią odnaleźć ślady łatwopalnych cieczy, takich jak benzyna, parafina czy spirytus. W całej Anglii jest dwadzieścia takich psów, wyszkolonych w wyczuwaniu węglowodorów. Chodzą one po miejscu zdarzenia w specjalnych bucikach chroniących łapy (oraz ślady obecne na pogorzeliści).

„Widziałam je przy pracy i muszę przyznać, że są świetne. Kiedy coś zwęszą, siadają obok, by wskazać miejsce”.

Gdy psy potwierdzą obecność węglowodorów, specjaliści rozpoczynają zbieranie i pakowanie dowodów. Jako że plastikowe torebki wchodzi w reakcję z węglowodorami takimi jak nafta, podejrzane materiały odsyła się do analizy w nylonowych woreczkach.

Gdy prowadzący dochodzenie natykają się na spalony dywan, próbują zdobyć również jego nienaruszony fragment, by później dokonać porównań. Zatrudnieni w laboratorium kryminalistycznym chemicy poddają analizie wszystkie odzyskane szczątki.

Korzystają z różnorodnych technik, przede wszystkim z analizy oparów, i starają się wyodrębnić cząstki najpopularniejszych łatwopalnych chemikaliów.

Zwykle zamyka się dany materiał w pojemniku i podgrzewa, aż opary uniosą się ku górze, a później zbiera się je za pomocą absorbentów i ekstrahuje z wykorzystaniem rozpuszczalników. Chromatograficzna technika analizy gazów służy do identyfikowania poszczególnych składników. To skomplikowana procedura, podczas której molekuły obecne w mieszance oparów rozdzielane są według wielkości cząsteczek. Niamh wyjaśnia: Proszę sobie wyobrazić trzymetrową rurę wysmarowaną od środka melasą. Wsypujemy do niej garść szklanych kulek różnej wielkości.

Mniejsze z nich pozostaną w środku dłużej, bo muszą pokonać większy opór. Po drugiej stronie najpierw pojawią się większe. Na tym mniej więcej polega chromatografia gazowa. Ławnicy przyglądający się temu procesowi są w stanie go zrozumieć.

Jeśli badania wykażą obecność benzyny, w zależności od rodzaju sprawy może zaistnieć konieczność ustalenia jej „marki”. Większość molekuł obecnych w kanistrze benzyny ulatnia się w temperaturze pokojowej (i dlatego potrafimy je wyczuć), ale producenci paliwa używają różnych dodatków, które w ogóle się nie ulatniają. Służą one zwiększeniu wydajności silnika i mogą przetrwać nawet bardzo wysokie temperatury. Każda marka ma swoje charakterystyczne dodatki, które są tak trwałe, że nie usuwa ich nawet pranie w silnych detergentach, gdy osiadą przypadkiem na ubraniu.

To właśnie tego rodzaju badanie doprowadziło do wyroku skazującego w sprawie jednego z najtragiczniejszych pożarów w ostatnich czasach. Wybuchł on w Allenton 11 maja 2012 roku o 4 nad ranem, za drzwiami domu przy Victory Road. Dwie minuty później płomień wspięły się na piętro, pochłaniając okryte dywanem schody i docierając do sypialni pełnej śpiących dzieci. Ich ojciec Mick Philpott zadzwonił na straż pożarną: „Pomocy! Moje dzieci utknęły w płonącym domu!”. Młodsze z nich, liczące od pięciu do dziesięciu lat – Jade, John, Jack, Jesse i Jayden – zginęły na miejscu, a ich trzynastoletni brat Duwayne zmarł w szpitalu. Przyczyną wszystkich zgonów było zatrucie dymem.

W kilka godzin po ugaszeniu pożaru na miejscu pojawił się Matt Lee ze straży pożarnej okręgu Derbyshire.

Jeden z jego współpracowników natknął się w pobliżu Victory Road na porzucony kanister i rękawicę, więc Matt zwracał szczególną uwagę na wszelkie ślady sugerujące podpalenie. Kiedy usunął pierwszą warstwę zgliszczy pod drzwiami wejściowymi, pies wyszkolony do wykrywania węglowodorów natychmiast się rozszczękał. Lee pobrał próbki i odesłał je do Rebecki Jewell, chemiczki specjalizującej się analizie kryminologicznej.

Pięć dni po tych tragicznych wydarzeniach rodzice zmarłych dzieci, Mick i Mairead Philpott, zwołali konferencję prasową, aby podziękować za wsparcie otrzymane od rodziny i przyjaciół. Ich zachowanie wzbudziło podejrzenia policji. Zastępca nadkomisarza Steve Cotterill uznał, że Mick zachowywał się jak „podniecony dzieciak”

i zupełnie nie wyglądał na pogrążonego w żałobie ojca. „Spodziewałem się, że będzie kompletnie załamany” – wyjaśniał później Cotterill.

„Moim zdaniem to wszystko wyglądało na oszustwo”.

Policja wzięła Philpottów pod dyskretną dwudziestoczterogodzinną obserwację.

Pluskwa umieszczona w ich hotelowym pokoju zarejestrowała, jak Mick mówi do żony: „Upewnij się, że trzymasz się swojej wersji”, później zaś pyta: „Nie uda im się znaleźć żadnych dowodów, prawda? Rozumiesz, o co mi chodzi?”. Oboje zostali aresztowani 29 maja i oskarżeni o morderstwo (później zmieniono im zarzuty na nieumyślne spowodowanie śmierci).

Rebecca Jewell przez pół roku analizowała wszystkie próbki pobrane na miejscu zdarzenia oraz pochodzące z ubrań oskarżonych.

W porzuconym plastikowym kanistrze znalazła mieszanę dodatków stosowanych na stacjach Shella. Ślady benzyny wykryto również na dywanie leżącym pod drzwiami, nie udało się jej jednak zidentyfikować ze względu na zanieczyszczenie chemikaliami, które ulotniły się z płonącej wykładziny. Rebecca udowodniła obecność dodatków Shella na bokserkach i jednym trampku należącym do Micka, zaś legginsy, majtki i sandał stanowiące własność jego żony nosiły ślady dodatków używanych przez firmę Total. Te same dodatki znaleziono na ubraniach Paula Mosleya, oskarżonego o pomoc Philpottom w podłożeniu ognia.

Na początku procesu, który rozpoczął się w lutym 2013 roku, ławnicy dowiedzieli się, że pożar został wywołany przez Mosleya i Philpottów, którzy chcieli zrobić w ten sposób byłą kochankę Philpotta, Lisę Willis.

Mieszkała z nimi przez dziesięć lat, dzieląc dom z Mickiem, czwórką ich wspólnych dzieci, swoim dzieckiem z poprzedniego związku oraz dziećmi Mairead, niedawno jednak zabrała swoje potomstwo i wyprowadziła się do siostry. Tego dnia, gdy wybuchł pożar, Mick miał się stawić na przesłuchanie w sprawie przyznania praw do opieki nad dziećmi i miał nadzieję, że oskarżenie Lisy o próbę podpalenia pomoże mu w ich odzyskaniu. Wieczorem, położywszy dzieci do snu, Mick i Mairead postawili pod oknem ich sypialni drabinę.

Według planu po wzniesieniu ognia ojciec miał się szybko wspinać na górę i wszystkie je uratować, dzięki czemu zyskałby reputację bohatera.

Ogień jednak rozprzestrzenił się zbyt szybko i nie starczyło mu czasu, by przedostać się przez okno i ocalić umierające dzieci. Wszystkich troje oskarżonych uznano za winnych nieumyślnego spowodowania śmierci.

Sprawa Philpottów całymi tygodniami nie schodziła z nagłówków gazet; „Daily Mail” nazwał Micka „obrzydliwym produktem brytyjskiego systemu opieki społecznej”. Podczas gdy niektórzy zastanawiali się nad tym, czy dzieci Philpottów służyły im przede wszystkim do pobierania cotygodniowej zapomogi w wysokości trzynastu funtów na głowę, myśli Niamh Nic Daéid krążyły wokół zupełnie innego problemu: dlaczego dzieci nie obudziły się, gdy zadziałały czujniki dymu?



Wśród członków grupy dochodzeniowej zajmującej się tym pożarem znalazł się jeden z jej studentów. Oboje uznali, że jego praca magisterska powinna dotyczyć skuteczności czujników w budzeniu śpiących dzieci. Poprosili trzydziestu rodziców o budzenie swych pociech za pomocą czujników o najróżniejszych godzinach w nocy.

„W osiemdziesięciu procentach przypadków dzieci nie reagowały na czujniki, nawet jeśli umieszczono je bezpośrednio w ich sypialni”.

Czujniki generujące dźwięki o zmiennej częstotliwości, które w teorii miały pomagać w budzeniu najmłodszych obdarzonych mocnym snem, również były nieskuteczne. Okazało się, że najbardziej niezawodnym alarmem jest nagrany głos matki: „Gdy dzieci słyszą: »Wstawaj!«, reagują na znaną częstotliwość i tembr głosu”. Kolejne wyzwanie, przed jakim stoi grupa badawcza prowadzona przez Niamh, to kwestia umożliwienia producentom czujników praktycznego wykorzystania tej wiedzy.

Próba zdobycia praw do opieki nad dziećmi to raczej wyjątkowa motywacja w przypadku podpalień. O wiele częściej zdarza się, że za



takim działaniem stoi chęć zemsty, oszustwo ubezpieczeniowe albo próba zniszczenia dowodów wskazujących na włamanie lub morderstwo.

Ci, którzy myślą, że można spalić zwłoki (tak jak Jane Longhurst, opisana w dalszej części książki), rzadko odnoszą sukces. Każdy doświadczony specjalista potrafi odróżnić rany zadane przez ogień od tych wskazujących na inne przyczyny gwałtownej śmierci. Mięśnie kurczące się pod wpływem gorąca zmuszają ofiarę do przyjęcia klasycznej „bokserskiej” pozycji niezależnie od tego, czy żyła na początku pożaru, czy była już martwa. W wyniku parowania wody ciało traci sześćdziesiąt procent wagi. Rysy twarzy ulegają zniekształceniu, a niedoświadczony obserwator może pomylić popękaną od ognia skórę z ranami zadanymi przed śmiercią. Kości wystawione na działanie wysokich temperatur stają się kruche i bardzo często ulegają złamaniom w czasie transportu zwłok do kostnicy. Jednak nawet mocno zwęglone ofiary mają zazwyczaj zaskakująco dobrze zachowane wnętrzości.

Ciało poddane kremacji musi przebywać przez dwie godziny w temperaturze ośmiuset piętnastu stopni Celsjusza. Temperatura pożarów może sięgać nawet tysiąca stu stopni, płomień jednak rzadko pozostają tak gorące na tyle długo, by zniszczyć wszystkie ślady zbrodni.

Niektórzy ludzie tak mocno kochają ogień, że wywołują pożary bez żadnych szczególnych motywacji. To urodzeni piromani. Ich obsesja jest początkowo niewielka, narasta jednak z czasem i rzadko udaje się ją całkowicie przewyciężyć. Zwykle miewa podłoże seksualne i jest piekielnie uzależniająca.

Jeden z najbardziej wyjątkowych seryjnych podpalaczy rozpoczął swoją „karierę” w 1984 roku w Kalifornii, a zakończył ją dopiero siedem lat później, gdy wreszcie go aresztowano. Jak twierdzą agenci federalni, w tym czasie wywołał ponad dwa tysiące pożarów. W 2002 roku Joseph Wambaugh napisał o nim książkę *Fire Lover*, a telewizja HBO w tym samym roku nakręciła film *Punkt zapalny* poświęcony jego historii.

Opowieść ta zaczyna się w 1987 roku od pożaru w sklepie z tkaninami. Do walki z ogniem wezwano kapitana Marviną Caseya ze straży pożarnej w Bakersfield. Kiedy tylko dotarł na miejsce, usłyszał kolejne wezwanie, tym razem do pożaru w sklepie z materiałami dla plastyków. Drugi z pożarów udało się ugasić, nim płomień opanowały cały budynek, a Casey odkrył konstrukcję, która posłużyła do wywołania ognia. Składała

się z zapalonego papierosa położonego na trzech zapalniczkach i owiniętego kartką papieru. Całość związano gumką.

Podpalacz ułożył papierosa tak, by jego końcówka stykała się z główkami zapalek, co dawało mu jakieś piętnaście minut na ucieczkę, nim tytoń wypalił się do końca i wywołał pożar.

W ciągu kilku następnych godzin pojawiły się dwa kolejne zgłoszenia o pożarach, tym razem we Fresno, położonym o sto mil autostradą 99 od Bakersfield. Wyglądało to na nieco zbyt duży zbieg okoliczności; Casey zaczął podejrzewać, że w okolicy pojawił się seryjny podpalacz. Co ciekawe, w tym samym czasie we Fresno zakończyła się konferencja, na której spotkali się specjaliści zajmujący się sprawami podpażeń.

Po odesłaniu do analizy prowizorycznego zapalnika znalezione w sklepie w Bakersfield udało się pobrać z niego wyraźny odcisk palca serdecznego lewej ręki.

Casey sprawdził go w stanowych i ogólnokrajowych bazach danych, nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów.

Wtedy przyszło mu do głowy coś niewyobrażalnego. Czy to możliwe, że któryś z uczestników konferencji na temat podpażeń wywołał kilka pożarów tuż po jej zakończeniu? Gdy sprawdził dane, odkrył, że spośród dwustu czterdziestu dwóch ekspertów, którzy brali w niej udział, pięćdziesięciu pięciu wracało samotnie własnymi samochodami autostradą 99 na południe. Casey uznał, że przyda mu się pomoc FBI, dlatego też skontaktował się z agentem Chuckiem Galyanem z Fresno. „Na widok listy pięćdziesięciu pięciu szanowanych specjalistów do spraw podpażeń uznałem, że Marv Casey musiał gdzieś pobłądzić” – wspomina Galyan. Sprawa trafiła na półkę.

Dwa lata później, w 1989 roku, zorganizowano kolejną konferencję, tym razem w Pacific Grove, a po jej zakończeniu pojawiły się doniesienia o pożarach w okolicach autostrady 101 ciągnącej się wzdłuż wybrzeża od Los Angeles do San Francisco. Casey nie wierzył własnym oczom. Udało mu się ograniczyć listę podejrzanych do dziesięciu osób – tyłu było uczestników obu konferencji, którzy po ich zakończeniu wracali na południe. Tym razem poprosił Chucka Galyana o porównanie znalezione wcześniej odcisku palca z danymi z bazy zawierającej informacje o specjalistach od bezpieczeństwa publicznego.

Do zadania przydzielono doświadczonego eksperta, ale i on nie znalazł żadnych pasujących odcisków.

W okresie między październikiem 1990 roku a marcem roku następnego w okolicach Los Angeles zapłonęło kilka sklepów należących do dużych sieci handlowych, takich jak Thrifty Drug Stores czy Builders' Emporium. Glen Lucero z miejscowego oddziału straży pożarnej wspomina to tak: „Pożary wybuchały zwykle w godzinach pracy, co było dziwne, bo podpalacze zazwyczaj działają pod osłoną nocy. Najwyraźniej mieliśmy do czynienia z człowiekiem skłonny do brawury, przekonany, że nigdy go nie znajdziemy”.

Pożary osiągnęły apogeum pod koniec marca. Jednego dnia w ogniu stanęło aż pięć sklepów. W niewielkim sklepie z narzędziami pracownicy zdołali opanować ogień, nim dokonał większych zniszczeń.

Funkcjonariusze prowadzący dochodzenie odnaleźli tam taki sam prowizoryczny zapalnik, jaki cztery lata wcześniej trafił w ręce Caseya w Bakersfield. Później odkryto jeszcze sześć takich „urządzeń”; sprawca często chował je w poduszkach, co sprawiło, że media nazwały go „poduszkowym piromanem”.

Śledczy wiedzieli, że mają do czynienia z przebiegłym, doświadczonym i niezwykle niebezpiecznym człowiekiem. Widać było, że jest on doskonale zorientowany w tym, gdzie podłożyć ogień, by pożar błyskawicznie się rozprzestrzenił. Wszystkim pracownikom podpalonych placówek handlowych groziło to samo co ludziom, którzy stracili życie podczas pamiętnego pożaru, jaki wybuchł w 1984 roku w Ole's Home Center w południowej Pasadenie. Ogień pojawił się w magazynie pełnym poliuretanu i błyskawicznie rozpełtało się piekło – niebieskie płomienie z przeraźliwym sykiem strzeliły pod sufit. Kiedy temperatura osiągnęła pięćset stopni Celsjusza, doszło do eksplozji, która rozrzuciła spalone zwłoki po okolicy. Śmierć poniosły cztery osoby, w tym kobieta w średnim wieku i jej dwuletnia wnuczka.

W kwietniu 1991 roku powołano dwudziestoosobową grupę specjalną, która we współpracy z policjantami z całej Kalifornii miała dopaść „poduszkowego piromana”. Kiedy trzech funkcjonariusze odwiedzili Caseya, ten bezzwłocznie udostępnił im odcisk palca odnaleziony w 1987 roku w Bakersfield. Wiedzano, że odcisk ten był sprawdzany w różnych bazach, więc nikt nie wiązał z nim większych nadziei, uznano jednak, że w ciągu tych czterech lat sprawca podpaleń mógł popełnić jeszcze inne przestępstwa. I tak odcisk powędrował do Rona George'a z departamentu policji Los Angeles i został poddany kolejnej analizie.

W bazie danych departamentu znajdował się obszerny zbiór odcisków palców należących do przestępców, funkcjonariuszy policji i każdego, kto kiedykolwiek starał się o pracę w służbach porządkowych.

Tym razem specjaliści mieli powód do świętowania – okazało się, że odcisk należy do kapitana Johna Orra, eksperta do spraw podpaleń, od dwudziestu lat zatrudnianego przez straż pożarną w Glendale.

Początkowo śledczy nie potrafili uwierzyć, że to właśnie on, i kurczowo trzymali się wersji, że doszło do jakiejś pomyłki przy okazji sprawdzania odcisków.

Ale 17 kwietnia Ron George skontaktował się z przedstawicielami grupy specjalnej i przekazał jednemu z agentów: „To na pewno John Orr. Pewnie nieostrożnie obchodził się z dowodami”.

Odciski palców Orra trafiły do bazy danych w 1971 roku, kiedy starał się o pracę w policji w Los Angeles. Nie przyjęto go z powodu słabych referencji z poprzedniego miejsca pracy, gdzie uznano go za „przemądrzałego, nieodpowiedzialnego i niedojrzałego”.

Testy psychologiczne również potwierdziły brak kwalifikacji, więc z miejsca mu odmówiono. Mimo to udało mu się zrobić znaczącą karierę w straży pożarnej – osobiście nadzorował szkolenie tysiąca dwustu pracowników, prowadził wykłady i seminaria na temat podpaleń, opublikował wiele tekstów na łamach „American Fire Journal” (czasopisma poświęconego tematyce pożarniczej). Jednak w jaki sposób John Orr pozostawił odcisk palca na materiale dowodowym znalezionym na miejscu pożaru w Bakersfield, skoro jego baza w Glendale znajdowała się sto pięćdziesiąt kilometrów dalej?

Pozostała tylko jedna, nieprzyjemna hipoteza. Członkowie grupy specjalnej wzięli Orra pod obserwację i zaczęli wypytywać o niego kolegów z pracy. Jeden z nich twierdził, że od jakiegoś czasu miał pewne podejrzenia. Zaniepokoił go zdumiewający talent Orra do szybkiego pojawiania się na miejscu pożaru i jego umiejętność błyskawicznego odnajdywania pierwotnego źródła ognia. (Jak wiemy z wcześniejszej części tego rozdziału i wyjaśnień Niamh Nic Daéid, pogorzeliśko bada się metodycznie, by dotrzeć do miejsca, w którym wybuchł pożar). Jednak większość znajomych Orra wyrażała się o nim pochlebnie. Pewnie zdarzało mu się przechwalać swoimi osiągnięciami, ale był naprawdę doświadczonym specjalistą, jednym z nich.

Zbliżał się czas kolejnej konferencji, zorganizowanej tym razem w San Luis Obispo. Członkowie grupy specjalnej podejrzewali, że Orr będzie chciał skorzystać z okazji, i postanowili złapać go na gorącym uczynku. Agenci chodzili za nim krok w krok przez cały weekend, ale nic się nie wydarzyło. Tak jakby wyczuł, że jest śledzony.

W końcu zgubiła go próżność. Napisał powieść i posłał ją do wydawcy, załączając zdumiewający list:

Tekst mojej książki *Points of Origin* opiera się na autentycznych zdarzeniach, które miały miejsce w Kalifornii, gdzie od ośmiu lat grasuje seryjny podpalacz. Do dziś nie udało się go zidentyfikować i nie podejrzewam, by miało się to udać w najbliższej przyszłości. Podobnie jak w rzeczywistości, podpalacz z mojej powieści jest strażakiem.

Kiedy grupa dochodzeniowa zapoznała się z treścią manuskryptu, funkcjonariusze nie mogli uwierzyć w to, co czytają. Podpalenia opisane w książce zgadzały się w najdrobniejszych szczegółach (poza nazwiskami) ze sprawami, o które podejrzewano „poduszkowego piromana”. Główny bohater powieści to ekspert do spraw pożarów tropiący podpalacza Aarona. Natrafia na jego ślad podczas sprawdzania godzin pracy wszystkich strażaków i drogą dedukcji odkrywa, że tylko Aaron miał możliwość wywołania tych konkretnych pożarów.

Agenci stanęli na progu mieszkania Orra 4 grudnia 1991 roku. Pod wycieraczką w kabinie jego samochodu znaleziono notes z żółtymi kartkami w linie.

Odkryto również czarny worek, w którym przechowywał paczkę cameli bez filtra, dwa pudełka zapalek, kilka gumek i zapalniczkę.

Dzień po aresztowaniu Johna Orra jeden z członków grupy dochodzeniowej Mike Matassa skontaktował się z różnymi ludźmi, którzy w ciągu ostatniego roku pracowali z podpalaczem. Jeden z nich, Jim Allen, specjalista do spraw podpałek i bliski przyjaciel aresztowanego, wspomniał, że powinni się przyjrzeć pożarowi w Ole's Home Center w południowej Pasadenie, który wybuchł w październiku 1984 roku. „John miał na tym punkcie obsesję. Wściekał się, że uznano ten pożar za przypadkowy”. Zakończywszy rozmowę, Matassa coś sobie przypomniał. Podobnie jak jego koledzy, on również przeczytał kopię *Points of Origin* i zapamiętał scenę z rozdziału szóstego opisującą pożar w Cal's Hardware Store, który zabił pięć osób, w tym małego chłopca.

Kiedy uznano, że do tragedii doszło przypadkowo, rozgoryczony Aaron podpalił pobliski sklep z narzędziami, by udowodnić śledczym brak

kompetencji.

Zbieżność z autentycznymi wydarzeniami była przerażająca.

Sama książka to zbyt mało, by uzyskać wyrok skazujący. Jednak to właśnie ona, razem z pozostałymi dowodami – odciskiem palca i odczytami z urządzenia namierzającego, zainstalowanego potajemnie w samochodzie podejrzanego – doprowadziła do tego, że John Orr został oskarżony o dwadzieścia dziewięć podpaleń i zabicie czterech osób.

Skazano go na dożywotnie więzienie bez możliwości złagodzenia kary.

Nigdy nie przyznał się do zarzucanych mu czynów, ale opisany przez niego specjalista od pożarów wypowiada w książce znaczące słowa:

Seryjni podpalacze zaczynają od eksperymentów z ogniem w dzieciństwie i jeśli nie uda się tego powstrzymać na tym etapie, ciągną to później przez długie lata. Z wiekiem wszystko nabiera seksualnych podtekstów. Zbyt nieśmiali, by nawiązać kontakt z drugim człowiekiem, wybierają ogień na swojego przyjaciela, mentora, czasem kochanka. Tak naprawdę zawsze chodzi o seks.

### 3. Entomologia

*Augurowie tajemniczymi sposoby umieli  
Za pośrednictwem wron, kruków i kawek  
Odkryć przelewcę krwi<sup>4</sup>.*

William Shakespeare, Makbet, akt III, scena IV

Nasze pragnienie odkrycia przyczyn czyjejś śmierci nie jest niczym nowym. Już w 1247 roku chiński urzędnik Sung Ci opracował podręcznik medycyny sądowej zatytułowany *Naprawianie błędów*.

Możemy w nim odnaleźć pierwszą wzmiankę o wykorzystaniu badań entomologicznych w śledztwie oraz informację, że wiedza o owadach pomaga w rozwiązaniu zagadki zbrodni.

Ofiarę zamordowano na poboczu drogi. Przyjrząwszy się ranom na zwłokach, lekarz postanowił sprawdzić kilka ostrzy przez wbijanie ich w martwą krowę. Ustalił, że mężczyznę zabito sierpem. To jednak nie wystarczało, aby odkryć tożsamość sprawcy. Badacz zaczął się wówczas zastanawiać nad możliwymi motywami. Jako że zmarły zachował cały swój dobytek, można było wykluczyć napaść rabunkową. Z zeznań wdowy wynikało, że nie miał żadnych wrogów. Udało się jednak dowiedzieć, że niedawno ofiara miała problem ze spłaceniem długu wobec pewnego mężczyzny.

Kiedy lekarz, będący także urzędnikiem sądowym, przedstawił pożyczkodawcy zarzuty, ten wszystkiemu zaprzeczył. Nasz bohater był jednak równie nieustępliwy jak każdy serialowy detektyw. Poprosił wszystkich siedemdziesięciu mieszkańców wioski, by ustawili się w szeregu i położyli przed sobą swoje sierpy. Na ostrzach nie odnaleziono żadnych śladów. Jednak wystarczyła minuta, by na sierpnie należącym do pożyczkodawcy przysiadła pierwsza mucha zwabiona niewidocznymi drobinami krwi. Chwilę później dołączyły do niej następne. Gdy lekarz ponowił zarzuty, mężczyzna upadł na kolana, „uderzył czołem w ziemię” i do wszystkiego się przyznał. Próbował ukryć ślady swej zbrodni, ale nie przewidział, że zostanie wydany przez owadnich donosicieli, bzyjących cicho wśród traw.

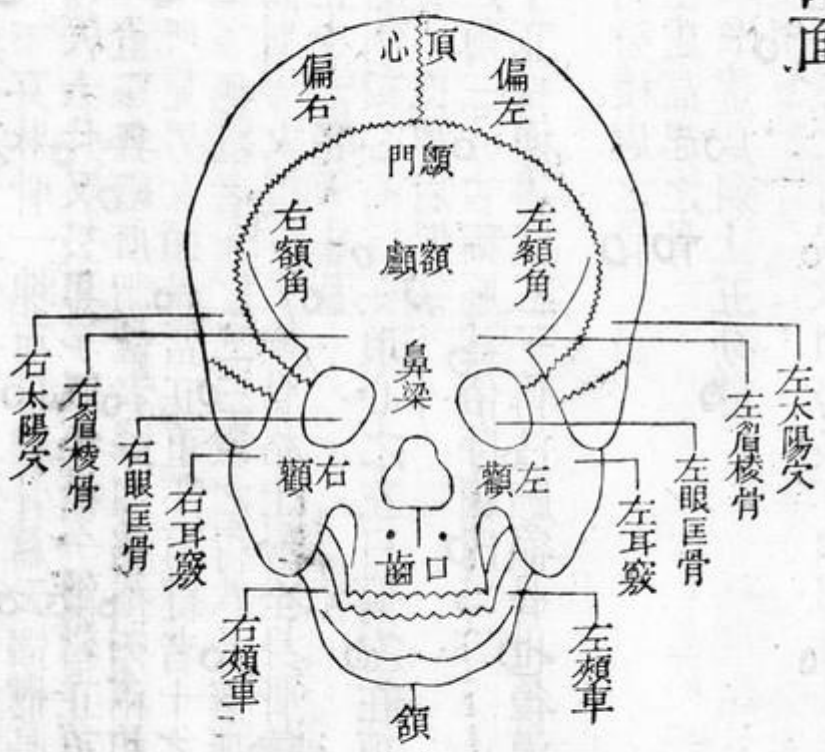
*Naprawianie błędów* to najstarszy zachowany do dzisiaj podręcznik medycyny sądowej na świecie, a jego uzupełniona i wielokrotnie przedrukowywana wersja służyła chińskim policjantom jeszcze w zeszłym stuleciu. Pierwsi portugalscy kupcy, którzy dotarli do ich kraju na początku szesnastego wieku, nie kryli zaskoczenia, że miejscowe sądy niechętnie wydają wyroki skazujące, jeśli wcześniej nie przeprowadzono skrupulatnego dochodzenia.

Współcześni entomologowie sądowi mają oczywiście znacznie szerszą wiedzę, ale nadal wykazują się taką samą drobiazgowością, jaka zaskoczyła portugalskich podróżników.



髑髏骨圖 仰面

檢骨篇云髑髏骨有他故處骨青骨折處滯瘀血蓋髑髏皮薄無肉稍磕即著骨便青須至骨損則瘀血凝滯方有血暈非比有肉之骨腠理多血一遇受傷血即凝滯傷輕則有青暈傷重則有紫黑暈也



頷之下為喉亦稱有氣食喉喉無骨氣喉俗名喉管每節形如戒指前後面係脆骨後面非皮非肉因死後不久即腐故不入骨圖數內

先冠錄羊義  
卷一  
髑髏骨圖  
五七

Strona z dziewiętnastowiecznego wydania *Naprawiania błędów*, chińskiego podręcznika medycyny sądowej.

Spisane w trzynastym wieku zasady autorstwa Sung Ci przez setki lat były wykorzystywane we wszystkich dochodzeniach na terenie wschodniej Azji



Z usług entomologów korzysta się najczęściej w celu ustalenia chwili śmierci. Dzięki tej kluczowej informacji można sprawdzić alibi podejrzanych i tym samym potwierdzić ich winę lub brak związku ze sprawą. Wszystkie osiągnięcia tej gałęzi kryminalistyki wynikają ze zrozumienia prostego i raczej nieprzyjemnego faktu – że zwłoki stanowią wyśmienity posiłek.

Gdy lekarze medycyny sądowej zabierają się do badania zwłok, próbują ustalić czas zgonu na podstawie stężenia pośmiertnego, zmian temperatury i objawów rozkładu. Mają na to od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin od śmierci ofiary – później te metody przestają być przydatne. Jeśli ciało odnaleziono po dłuższym czasie, na scenę wkraczają właśnie badania entomologiczne. Nie wszystkie insekty wybierają się na żer o tej samej porze, istnieje też możliwość precyzyjnego ustalenia, które z nich pojawiły się najwcześniej, a które dołączyły później. Uzbrojeni w tę wiedzę entomologowie potrafią ustalić przybliżony czas śmierci. Królestwo owadów pomaga ofierze w dostarczeniu dowodów przeciwko zabójcom.

Większość entomologów sądowych zaczyna swoją karierę od fascynacji owadami. Trzeba wielu lat pracy, by osiąść wiedzę i umiejętności potrzebne do przedstawienia sądowi niepodważalnych dowodów opartych na badaniach świata owadów. Jednak zadania stojące przed prawdziwie zaangażowanym badaczem są całkiem podobne do tych stawianych przed funkcjonariuszami policji – entomolodzy również drobiazgowo zbierają i katalogują wszystkie ślady pomagające w wytłumaczeniu owadzich zachowań i udowadniają swoje teorie na podstawie materiału dowodowego.

Kluczową rolę w rozwoju współczesnej entomologii sądowej odegrał Jean Pierre Megnin. W 1893 roku poszedł w ślady Sung Ci i również opublikował cieszący się niezwykłą popularnością podręcznik, zatytułowany *Les faune des cadavres* (Fauna zwłok). Opisał w nim setki insektów żerujących na ciałach zwierząt, a czerpał z doświadczenia zdobytego we francuskiej armii, gdzie pracował jako weterynarz.

Megnin potrafił z niespotykaną dokładnością przepowiedzieć, w jakim czasie dany gatunek zaczyna konsumować zwłoki (pisał o tym również w swojej wcześniejszej książce *Faune des Tombeaux* [Fauna grobów]).

Stworzył dziesiątki szkiców przedstawiających wiele gatunków: przede wszystkim roztoczy i much. Zobrazował na nich różne etapy rozwoju owadów: od larw po dorosłą postać, a potem udostępnił je szerokiemu gronu odbiorców.

Dokładność jego obserwacji i świadomość zmian zachodzących pod wpływem czasu stały się podstawą nowej dyscypliny wiedzy: entomologii sądowej. To dzięki drobiazgowości Megnina dowody uzyskane na podstawie badania związków owadów z ciałem zmarłego zyskały bezprecedensowy status w procesie ustalania przebiegu wydarzeń; samego badacza wzywano na świadka w dziewiętnastu sprawach na terenie całej Francji. Wciąż jednak uważano, że wiarygodność dowodów entomologicznych jest nikła i że ta gałąź kryminalistyki obarczona jest dużym ryzykiem popełnienia błędu.

Podstawowe problemy, z jakimi musieli się zmierzyć badacze, to liczba czynników, które trzeba brać pod uwagę – temperatura i pozycja ciała, typ gleby, klimat i roślinność – oraz brak odpowiednich narzędzi. Mimo to zainspirowani przez Megnina entomolodzy z Europy i Ameryki przez całe następne stulecie nie przestawali rozwijać wiedzy służącej coraz dokładniejszej identyfikacji owadów i zrozumieniu poszczególnych etapów ich rozwoju.

W 1986 roku powstała kolejna książka, *A Manual of Forensic Entomology* (Podręcznik entomologii sądowej) autorstwa Kena Smitha, pracownika Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, który zadedykował swoją pracę Megninowi. Było to dzieło przełomowe. Smith zgromadził w nim całą dostępną wiedzę na temat owadów żerujących na zwłokach, skupiając się zwłaszcza na muchach. Pokazał też, jak najlepiej wykorzystać te informacje do określenia czasu śmierci. Podręcznik miał zastosowanie praktyczne i przydawał się bezpośrednio na miejscu zdarzenia. Opisywał poszczególne fale insektów żerujące na zwłokach znajdujących się pod ziemią, na powierzchni lub w wodzie. Smith był doskonałym taksonomistą i autorem przewodników po gatunkach owadów, z których korzystamy po dziś dzień. Jeśli połączymy wiedzę zawartą w *A Manual of Forensic Entomology* z informacjami z przewodników, jesteśmy w stanie ustalić, gdzie muchy znalazły ciało, nawet jeśli zostało ono później przeniesione.

Następcą Kena Smitha w Muzeum Historii Naturalnej jest Martin Hall, postawny, energiczny mężczyzna wygłaszający dziesiątki ciekawych i entuzjastycznych komentarzy na temat powierzonych mu zbiorów.

Miłość, jaką darzy trzydzieści milionów owadów będących pod jego opieką, jest ewidentna i zaraźliwa.

Hall łączy pracę w muzeum z rolą eksperta entomologicznego w sprawach sądowych. Policja może do niego zadzwonić w każdej chwili z prośbą o pomoc na miejscu zbrodni. „Zbieranie owadów ze zwłok to niezbyt przyjemna fucha – wyjaśnia – ale to zdumiewające, jak szybko zwycięża profesjonalna ciekawość”.

Jego pasja narodziła się w dzieciństwie, które spędził na Zanzibarze. To właśnie wtedy odkrył, że czasem pod moskitierą wiszącą nad jego łóżkiem znajduje się więcej owadów niż na zewnątrz. Każdej nocy zasypiał wśród bzyczenia komarów i modliszek. Zdarzało się też, że pod siatkę zabłąkał się jakiś nietoperz.

Po zakończeniu studiów w Anglii powrócił do rodzinnej Afryki, gdzie przez siedem lat zajmował się badaniami nad muchą tse-tse.

Pewnego dnia natknął się na sawannie na ciało dorosłego słonia opanowane przez niezliczone larwy. Tydzień później ze zwłok pozostał jedynie gigantyczny szkielet, obrany z mięsa do kości. Po upływie kolejnych siedmiu dni nad szkieletem unosiły się chmury czarnych much. „Nie potrafiłem w to uwierzyć. Mimo że w okolicy kręciły się też inne ścierwojady, takie jak hieny i ptaki, to właśnie larwy pochłonęły największą część tej biomasy, od czterdziestu do pięćdziesięciu procent”.

Słoń przeistoczył się w miliony much, a światu przybył kolejny entomolog.

Dziś Martin potrafi zarazić swoją pasją każdego. Gdy odwiedziłam go w muzeum, poprowadził mnie po kamiennych schodach na szczyt gotyckiej wieży, skąd widać panoramę Londynu. Nie poszliśmy tam jednak po to, by podziwiać widoki – miałam się przyjrzeć niektórym eksperymentom prowadzonym przez Martina i jego zespół. W tym miejscu znajome przedmioty całkowicie zmieniały swoje przeznaczenie.



W walizkach przechowywano świńskie łby, by sprawdzić, jakie gatunki much zdołają złożyć w nich jaja po przecięnięciu się przez szczeliny w zamku błyskawicznym. Były tam klatki z gnijącymi prosiakami i plastikowe pudełka na żywność pełne zachowanych larw. Wszystko wyglądało dość obrzydliwie, więc gdy chwilę później Martin chciał mnie poczęstować kanapką, musiałam uprzejmie odmówić.

Niektóre z owadów znajdujących się w muzeum mają pewne znaczenie historyczne. Pokazując mi jeden z okazów, Hall ściszył głos do szeptu i oznajmił: „To wyjątkowe larwy. Pochodzą ze sprawy Bucka Ruxtona...”.

Jest to jedna z najbardziej znanych spraw w dziejach brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości. Miała olbrzymi wpływ na rozwój kilku dziedzin kryminalistyki, ale dla Martina Halla i innych entomologów najważniejsze jest to, że właśnie wtedy po raz pierwszy wykorzystano w Anglii badania nad owadami, by postawić człowieka przed sądem i wydać wyrok skazujący. Szczegóły tego fascynującego procesu przez całą jesień 1935 roku nie schodziły z pierwszych stron gazet.

Buck Ruxton był lekarzem o francusko-hinduskich korzeniach, który po studiach w Bombaju osiedlił się w północnej Anglii. Mieszkała z nim pewna Szkotka imieniem Isabella, znana wszystkim jako pani Ruxton, oraz trójka ich dzieci. Lekarz cieszył się dużym szacunkiem wśród uboższych pacjentów i był pierwszym ciemnoskórym medykiem praktykującym w Lancaster.

Jesienią pewnego chłodnego niedzielnego poranka na progu domu doktora pojawił się wątyły dziewięciolatek. Trzymająca go w objęciach matka wpatrywała się w lekarza błagalnym wzrokiem. „Przykro mi bardzo – odprawił ją Ruxton – ale nie mogę dziś przeprowadzić operacji.

Moja żona wyjechała do Szkocji, mam tylko jedną pokojówkę do pomocy. Właśnie zwijamy dywany, bo jutro przyjdą malarze. Proszę tylko spojrzeć, jakie mam brudne ręce”. Kiedy niedoszli pacjenci ruszyli w powrotną drogę, zawiedziona matka nie potrafiła zrozumieć, dlaczego lekarz pokazał jej zupełnie czyste dłonie.

Ruxtonowie zatrudniali dziewiętnastoletnią pokojówkę Mary Rogerson. Kilka dni po rozmowie na progu rodzice dziewczyny zgłosili jej zaginięcie. Policja odwiedziła lekarza, ten jednak się upierał, że Mary pojechała wraz z jego żoną do Blackpool, i dodał, że Isabella najprawdopodobniej ma tam kochanka. Faktycznie, panią Ruxton widziano po raz ostatni, gdy przed północą wyjeżdżała z Blackpool, po wieczorze spędzonym w towarzystwie przyjaciół. Jej rozrywkowe upodobania stanowiły powód ciągłych małżeńskich kłótni, lekarz bez ustanku zarzucał małżonce niewierność, a pokojówka była częstym świadkiem jego ataków zazdrości.

Podczas kolejnej wizyty funkcjonariuszy Ruxton zaczął twierdzić, że Isabella i Mary pojechały do Edynburga. Plotki wciąż jednak narastały.

Pomimo szacunku, jakim miejscowi darzyli doktora, ludzie opowiadali sobie, że małżonkowie ostatniego lata kłócili się prawie codziennie i że mogło to mieć jakiś związek ze zniknięciem Isabelli oraz służącej.

Dwudziestego dziewiątego września w pobliżu Moffat pewna kobieta idąca drogą z Carlisle do Edynburga zauważyła z mostu ludzką rękę zagrzebaną częściowo w piasku na brzegu strumienia. Policja wezwana na miejsce odkryła jeszcze trzydzieści fragmentów ludzkiego ciała owiniętych w zakrwawione gazety. Rozpoczęło się kilkudniowe przeszukiwanie terenu, które przyniosło kolejne makabryczne odkrycia.

Ostatecznie w okolicach strumienia znaleziono siedemdziesiąt różnych szczątków pochodzących z dwóch ciał. Ofiary zostały poćwiartowane, a fakt, że zrobiono to z wprawą, usuwając opuszki palców, które mogłyby umożliwić ich identyfikację, wskazywał, że zrobił to ktoś znający się na anatomii.

Na dotkniętych rozkładem szczątkach znaleziono kilka larw, które wysłano do przebadania na Uniwersytecie Edynburskim. Tamtejsi entomolodzy stwierdzili, że należą one do pewnego gatunku muchy plujki. Pozwoliło to na ustalenie, że zwłoki podrzucono dziesięć lub dwanaście dni wcześniej, i powiązanie tego makabrycznego odkrycia z zaginięciem Isabelli oraz Mary.

Nie tylko larwy wskazywały na winę Bucka Ruxtona. Anatomowie i lekarze medycyny sądowej z miejscowych uniwersytetów pieczołowicie zrekonstruowali ciała ofiar, a następnie nałożyli fotografię Isabelli na zdjęcia jednej z czaszek. Wszystko do siebie pasowało.



Fotografia Isabelli Ruxton, nałożona na obraz jej czaszki znalezionej w strumieniu, pomogła w skazaniu Bucka Ruxtona

Niektóre z odnalezionych fragmentów ciał owinięto w dodatek specjalny „Sunday Graphic”, dostępny 15 września tylko w okolicach Lancaster, a inne w ubranka należące do dzieci Ruxtonów.



Okazało się, że zbrodniarz nie był tak opanowany, jak mu się wydawało. Gdy wracał z nad strumienia w stronę Lancaster, potrącił rowerzystę. Mężczyzna zdążył zanotować numery rejestracyjne, które jak się okazało, należały do samochodu Bucka Ruxtona. Czas tego zdarzenia zgadzał się z datą widniejącą na gazecie, która posłużyła do owinięcia poćwiartowanych fragmentów, oraz z tym, czego dowiedziano się dzięki larwom.

Okoliczni mieszkańcy potwierdzili, że 19 września strumień wylał, co tłumaczyło, dlaczego niektóre poćwiartowane fragmenty, takie jak wspomniane ramię, znalazły się na brzegu. Była to ostatnia istotna informacja potrzebna do rozwiązania zagadki – to oznaczało, że morderca musiał się pozbyć zwłok już wcześniej.

Buck Ruxton trafił do aresztu. Uznano go za winnego morderstwa, a dziewięć miesięcy później zawisł na szubienicy w manchesterskim więzieniu Strangeways. Nigdy nie poznaliśmy wszystkich okoliczności tych morderstw, ale jeśli weźmiemy pod uwagę wnioski z badania zwłok, możemy przyjąć, że Ruxton najprawdopodobniej udusił żonę gołymi rękami. Aby zapewnić sobie milczenie pokojówki, lekarz poderznął jej gardło.

Dowody zdobyte dzięki badaniu owadów były tylko jednym z elementów układanki, która doprowadziła do skazania mordercy.

Jednak to właśnie sukces w sprawie Ruxtona spowodował wzrost zaufania społecznego wobec różnych dziedzin kryminalistyki, w tym również entomologii sądowej. Nawet gdyby sprawca działał ostrożniej i zapakował poćwiartowane zwłoki w plastikowe worki, zamiast owijać je gazetami, nawet gdyby nie potrącił rowerzysty, a strumień pozostał w swoim korycie, larwy nadal mogłyby doprowadzić do jego skazania.

Entomologia sądowa zaczęła przyciągać kolejne bystre umysły.

Martin Hall poświęcił większość życia muchom plujkom – rodzinie owadów, która zazwyczaj żeruje na zwłokach. Na całym świecie istnieje ponad tysiąc gatunków tych much, a jego zdaniem jest co najmniej kilka powodów, dla których plujki odgrywają tak wielką rolę w kryminalistyce. Dysponują perfekcyjnym węchem, potrafią wykryć woń krwi lub rozkładających się zwłok z odległości stu metrów i najczęściej jako pierwsze osiadają na zwłokach. Ponieważ mamy olbrzymią wiedzę na temat etapów ich rozwoju, jesteśmy w stanie uzyskać informacje na temat przybliżonego czasu śmierci ofiary.



A dzięki temu, że praktycznie każdy region w Anglii ma własne odmiany much, można ustalić miejsce, w którym doszło do zbrodni, nawet jeśli zwłoki zostały gdzieś przetransportowane.

W odróżnieniu od innych owadów posługujących się węchem tylko do pewnego stopnia i wykorzystujących zmysł wzroku do namierzenia pożywienia plujki polegają na swoim węchu do samego końca i lądują na źródle woni. To sprawia, że ukrycie przed nimi zwłok jest praktycznie niemożliwe. Nawet ciało pochowane pod podłogą zacznie się w końcu rozkładać, a zapach przenikający przez puste przestrzenie ściągnie owady, które będą próbowały przedostać się przez szpary i dotrzeć do pożywienia.

Nie da się tego uniknąć, nawet jeśli sprawca jest przekonany, że doskonale zabezpieczył ciało. Kilka lat temu amerykańscy policjanci z Indiany zajmujący się poszukiwaniem zaginionej osoby zwrócili uwagę na chmurę poirytowanych much unoszących się nad zamurowaną studnię. Okazało się, że morderca tam właśnie ukrył zwłoki zaginionego człowieka. Udało mu się zabezpieczyć studnię przed owadami, nie zdołał jednak powstrzymać wydobywającego się z niej odoru rozkładu, który przyciągnął owady dysponujące węchem wielokrotnie czulszym niż człowiek.

Tuż po objęciu przez Baracka Obamę funkcji prezydenta w 2009 roku udzielał on wywiadu telewizji CNBC. Nagle nad jego głową zaczęła krążyć mucha. Kiedy usiadła mu na grzbiecie lewej dłoni, prezydent błyskawicznie trzepnął ją drugą ręką. „Nieźle, co?” – tryumfował. „Dopadłem ją”. Cztery lata później kolejna mucha zaatakowała Obamę – tym razem wylądowała mu na czole. Zdjęcie zrobiło karierę w mediach. Na widok takich sytuacji Martin Hall zastanawia się odruchowo, co by było, gdyby prezydent nie potrafił odgonić owadów. „Muchy zaczęłyby kolonizować jego ciało. Gotowe do złożenia jaj samice zaczęłyby je składać w nosie, oczach, ustach i innych otworach”.

Wtedy zaczęłyby się owadzi bankiet. Jak w 1767 roku zauważył Karol Linneusz, ojciec współczesnej taksonomii: „Trzy muchy rozprawiają się z końskim truchłem równie szybko co lew”. Badacz doszedł do tego zaskakującego wniosku dzięki pionierskim pracom Francesca Rediego. Włoski uczone przeprowadził w 1668 roku serię eksperymentów potwierdzających, że larwy wykluwają się z jaj złożonych przez muchy. Nim to udowodnił, wierzono, że czerwie rodzą się w trupach samoistnie.

Zegar zaczyna tykać w chwili złożenia jaj. W środku brytyjskiego lata trzeba piętnastu dni, by z jaja plujki wykuła się i wyrosła kolejna dojrzała mucha. Po pierwszych dwudziestu czterech godzinach wylęgają się czerwie, które wczepiają się w gnijące ciało za pomocą dwóch haków przy otworze gębowym. Larwy mają organy oddechowe (przetchlinki) na drugim końcu swych ciał, dzięki czemu mogą jednocześnie jeść i oddychać. W ciągu kolejnych czterech dni czerw pożera wszystko, co napotka, i rośnie dziesięciokrotnie, by w końcu osiągnąć długość dwóch centymetrów.

Dojrzałe czerwie szukają sobie kryjówek z dala od padliny, najlepiej w jakimś ciemnym miejscu, gdzie nie grozi im atak ze strony ptaków czy zwierząt. Jeśli zwłoki, na których żerowały, znajdują się na otwartym terenie, larwy zakopują się w ziemi, mniej więcej na głębokość piętnastu centymetrów. W budynkach szukają kryjówek pod szafami lub między klepkami podłogi. W ciemnościach czerw przekształca się w poczwarkę, a zewnętrzna warstwa jego skóry twardnieje w pancerzyk.

Dziesięć dni później dorosła mucha przebija od środka okrywę i – jeśli ukrywała się pod ziemią – wydostaje się na powierzchnię. Jest to nie lada wyczyn – na głowie owada pojawia się pulsujący, wypełniony krwią worek, który działa jak taran do przepychania ziemi. Kiedy wreszcie mucha wydostaje się na powierzchnię, rozkłada skrzydła i natychmiast rusza na poszukiwanie partnera. Dwa dni później dorosła samica może złożyć jaja, czasem nawet na tej samej padlinie, z której się wylęgła, choć – jeśli wziąć pod uwagę, że czerwie potrafią pochłonąć sześćdziesiąt procent ludzkiego ciała w niecały tydzień – dla następnego pokolenia zostają jedynie resztki.



W lasach, sypialniach, zaułkach, na plażach i wszędzie tam, gdzie wzywa go policja, Martin Hall nasłuchuje dziwnej muzyki muszego roju.

Widzi i czuje rzeczy, których nie da się zapomnieć.

Zdarza się czasem, że ktoś wspomina o „słodkiej woni rozkładu”.

Faktycznie bywa ona słodka, ale przede wszystkim jest przytłaczająca.

Pracowałem przy takiej sprawie, w której miałem do czynienia z dwiema fazami rozkładu: górna połowa ciała ofiary zamieniła się w szkielet, zaś dolna, wciąż tkwiąca w śpiworze, była w fazie zaawansowanego rozkładu. Z początku woń nie była najgorsza, kiedy jednak odsunęliśmy materiał, zapach mógł zwalić z nóg. Żywiące się

padliną czerwie wytwarzają ogromne ilości amoniaku stanowiącego główny składnik tego przytłaczającego odoru.

Czasem śledczy zbierają owady ze zwłok i odsyłają do dalszej analizy. Hall woli osobiście odwiedzać miejsca zbrodni. W ten sposób zyskuje pewność, że wszystkie zebrane informacje i dowody będzie można wykorzystać w sądzie. Przeszukuje też miejsca, o których śledczy nie pomyśleli. Sprawdza zwłoki, rozglądając się za larwami, i grzebie w ziemi, wypatrując poczwarek. Zależy mu na odnalezieniu jak najstarszych okazów, po nich bowiem można ocenić, kiedy pierwsze muchy znalazły ciało, i ustalić, ile czasu upłynęło od śmierci. Wrzuca kilka czerwi do wrzącej wody, a później przechowuje je w etanolu, inne zaś trzyma żywe. Im cieplej, tym szybciej rozwijają się larwy, więc przez kolejne dziesięć dni Martin korzysta z termometru i rejestruje co godzinę dokładną temperaturę.

Dzięki danym ze stacji meteorologicznych w pobliżu miejsca zdarzenia może mniej więcej określić, w jakiej temperaturze dojrzewały larwy żerujące na zwłokach.

Po powrocie do laboratorium Martin dokonuje szczegółowej identyfikacji zachowanych czerwi. „Nawet blisko powiązane gatunki rozwijają się w różnym tempie, więc jeśli się pomyłę, policja dostanie nieprawdziwe informacje”. By potwierdzić identyfikację, Martin czeka na całkowite przepoczwarczenie larw. Bada również szczegóły anatomiczne czerwi przechowywanych w etanolu, by ocenić ich etap rozwoju.

Łączy obserwację z wykresami temperatur i tworzy szczegółowy grafik wydarzeń, sięgający dnia, w którym mucha złożyła jaja na zwłokach. Jest to kluczowa informacja i największy wkład entomologów w ułożenie kryminalistycznej układanki dowodów.

Jednak co się dzieje, jeśli ciało odkryto później niż po siedmiu dniach, czyli po okresie, w jakim larwa przekształca się w poczwarkę?

Czy entomologowie potrafią zajrzeć poza te granice czasowe? Wciąż rozwijający swoją dyscyplinę wiedzy naukowcy zaczynają stopniowo odkrywać zasady rządzące zegarem biologicznym muszej poczwarki.

Przekształcenie się w dorosłą muchę zajmuje poczwarcie dziesięć dni. To właśnie ta metamorfoza jest największą zagadką owadów i od wieków wzbudza zachwyt poetów oraz entomologów. Przez setki lat procesy zachodzące wewnątrz nieprzejrzystej okrywy pozostawały przed nami ukryte. Teraz to się zmienia – Martin i jego ludzie z Muzeum Historii

Naturalnej korzystają z promieni rentgenowskich i miniaturowych tomografów. Ustaliwszy tempo wzrostu wielu gatunków larw muchy plujki, badacz skupia się obecnie na dojrzewających poczwarkach. „Kiedy prześwietliłem pancerzyk po trzydziestu godzinach, w środku znajdowały się jedynie tkanki larwy.

Kolejne zdjęcie zrobiłem trzy godziny później, po powrocie z przerwy na kawę. Owad zdążył się w tym czasie przeobrazić. Zamiast niezróżnicowanej tkanki miałem przed sobą wyraźnie zarysowane głowę, tułów, odwłok, zaczątki kończyn oraz skrzydeł”.

Można by podejrzewać, że uzbrojeni w tak szczegółową wiedzę entomolodzy sądowi są bliscy osiągnięcia stuprocentowej dokładności.

To kusząca perspektywa, ale nie powinna zwodzić ani studentów tej dyscypliny naukowej, ani ławników decydujących o wyrokach.

W czołówce emitowanego w 1994 roku programu BBC *Mucha świadkiem* pokazywano animację z olbrzymią lupą, pochodzącą pewnie wprost z gabinetu Sherlocka Holmesa. Lupa unosiła się nad larwą trzymającą tabliczkę z napisem „Zamordowany o 3 nad ranem w piątek”.

Wygląda to efektownie, ale jest zupełnie nieprawdziwe. Na podstawie badania larw nie da się określić czasu śmierci.



Ustalenie momentu, w którym pierwsza mucha złożyła jaja na zwłokach, pozwala nam stwierdzić tylko tyle, że ofiara była wówczas martwa. Podczas ciepłych letnich miesięcy jesteśmy w stanie zawęzić ten czas do określonego dnia – powiedzmy piątku, a dzięki coraz większej dokładności badań możemy również podać porę – powiedzmy, popołudnie. Jednak wiara, że entomolog potrafi podać dokładną godzinę śmierci ofiary, jest równie naiwna, jak oczekiwanie od meteorologów, by ze stuprocentową dokładnością przepowiedzieli w listopadzie, że na święta spadnie śnieg.

Liczba czynników, jakie trzeba wziąć pod uwagę, wyklucza taką dokładność.

Jednym z takich czynników jest instynkt stadny. Larwy lubią posilać się grupowo, tworząc tak zwane rojowiska. Wydzielany przez nie alkaliczny osad przekształca tkankę w amoniakalną ciecz. Proces trawienia może rozgrzać zwłoki do pięćdziesięciu stopni Celsjusza, co oczywiście jak najbardziej larwom odpowiada, ponieważ wysoka temperatura przyspiesza ich rozwój. Niestety, komplikuje to pracę

entomologom, którzy próbują śledzić aktywność larw. Wzrost temperatury zachodzi w późniejszych stadiach rozwoju czerwi, więc im wcześniej badacze zbiorą okazy, tym mniej są one skażone wpływem rojowiska.

Jeśli nie uda się odnaleźć najstarszych larw, ponieważ zdążyły się już przepoczwaczyć i odlecieć, entomologowie mogą sięgnąć po dziewiętnastowieczne odkrycia Megnina, który opisywał kolejne fale owadów zasiedlających zwłoki. Kiedy ciało wysycha, zaczynają się nim interesować inne gatunki much: serowe, mięsne i trumienne. Gdy padlina robi się zbyt twarda dla haczyków przygębowych czerwi, do roboty zabierają się żuki wyposażone w gryzący aparat gębowy.

Pożerają zeschnięte mięso, skórę i ścięgna. We włosach legną się larwy ciem i roztocza, aż w końcu jedynym śladem po żywej niegdyś istocie pozostaje szkielet. Wszystkie te owady pojawiają się w określonym czasie, co pozwala ustalić, jak dawno zginęła ofiara.

W 1850 roku pewien tynkarz odkrył w Paryżu zmumifikowane zwłoki dziecka, ukryte za obmurowaniem kominka. Podejrzenia padły na młodą parę, która zajmowała mieszkanie, ale doktor Bergeret d'Arbois przebadał owady znalezione przy zwłokach i ustalił, że już w 1848 roku ciało zostało „wykorzystane” przez muchy mięsne (różniące się tym od innych gatunków, że w otwartych ranach lub rozkładającym się mięsie składają larwy, nie jaja), a rok później wyschnięte zwłoki opanowały roztocza. Ostatecznie winą obarczono poprzednich lokatorów, którzy następnie zostali skazani.

W niektórych przypadkach śledczy muszą zmierzyć się z innymi zagadkami niż ustalenie czasu śmierci. Ostatnio policjanci przeszukujący dom podejrzanego w Merseyside natknęli się na sporą ilość okryw pozostawionych przez poczwarki. Uznano, że muchy mógł przyciągnąć martwy gołąb, nie tłumaczyło to jednak ich ilości. Niestety, nie ma sposobu na ustalenie, kiedy dorosłe owady wydostały się z pancerzy.

Ktoś jednak wpadł na świetny pomysł, by poddać znalezione resztki poczwarek badaniom toksykologicznym. Analiza wykazała obecność heroiny. Nauka nie zna przypadków gołębi zażywających heroinę, więc przeprowadzono kolejne testy. Jak wyjaśnia Martin: „Czerwie żywią się papką DNA, a w ciałach mają kręgosłup, do którego przywierają czasem kawałki tkanki. Okrywa to wierzchnia warstwa ich skóry i bywa, że zachowują się na niej elementy ludzkiej tkanki”. Po przebadaniu

pancerzyków faktycznie odkryto ślady ludzkiego DNA pasujące do pewnego zaginionego narkomana. Między innymi dzięki tym dowodom właściciel domu został oskarżony o morderstwo i skazany na dożywocie.

Pozbył się wprawdzie ciała, ale nie był w stanie uciszyć owadów.

Zazwyczaj entomologia przydaje się wtedy, gdy kluczową rolę przed sądem zaczyna odgrywać dokładne określenie czasu śmierci ofiary. Pewnego dnia dziesięcioletnia Samantha spotkała w parku trzydziestoletniego mężczyznę. Zaprzyjaźnili się, poczęstował ją słodyczami. Po powrocie do domu dziewczynka opowiedziała o wszystkim swojej mamie. Ta nie wydawała się zbytnio zaniepokojona nową znajomością córki. Jakiś czas później Samantha znów spotkała trzydziestolatka, który tym razem zaprosił ją do siebie. Nie wydarzyło się nic strasznego. Spotykali się regularnie. Czasem chodzili na spacer, czasem oglądali telewizję, bywało, że w towarzystwie znajomych mężczyzny, także kobiet. W końcu Samantha zaprosiła go do swojego domu. Nie minęło wiele czasu, a jej przyjaciel zaczął umawiać się z jej matką. Po kilku tygodniach wspólnego mieszkania po raz pierwszy wykorzystał Samanthę seksualnie. W domu zapanowała atmosfera wzajemnych oskarżeń, a cała trójka toczyła ze sobą nieustające kłótnie.

Jakiś czas później dziewczynka zaginęła.

Policja przeprowadziła poszukiwania i odnalazła jej zwłoki pod stertą gruzu na terenie szpitala. Lewą stronę jej czaszki zmiażdżono tępym narzędziem. Na miejsce zbrodni wezwano znanego entomologa Zakarię Erzinçlioğlu. Podczas badania zwłok ekspert znalazł świeżo złożone jaja i małe larwy. Oznaczało to, że dziewczynka zmarła niedługo po ostatnim spotkaniu z mężczyzną. Oskarżony przed sądem nie przyznał się do winy. Załamał się dopiero w połowie procesu, gdy zaprezentowano dowody entomologiczne. Zabił Samanthę podczas kłótni, gdy zagroziła, że powie matce o tym, co jej robił.

W czasie swojej trzydziestoletniej kariery Erzinçlioğlu pomógł w rozwikłaniu dwustu spraw o zabójstwo i opisał dziesiątki innych, a jego pamiętniki *Maggots, Murder and Men* (Larwy, ludzie i zbrodnie) to coś więcej, niż sugeruje sam tytuł. Wspomina w nich między innymi o wyjątkowej sprawie z Finlandii. Pewien urzędnik odkrył rojowisko larw pod dywanem w swoim gabinecie. Wezwał sprzątaczkę, by zapytać, kiedy ostatni raz u niego sprzątała. Gdy odpowiedziała, że zeszłego wieczoru,

oskarżył ją o kłamstwo. Nie potrafił uwierzyć, że takie wielkie „robale” mogły wyroić się w ciągu jednej nocy. Natychmiast ją zwolnił.

To jednak nie koniec. Jako typowy biurokrata mężczyzna zebrał kilka czerwi i skorzystał z nadarzającej się okazji, by zaprezentować je profesorowi z Uniwersytetu Helsińskiego. Naukowiec ocenił, że są to larwy muchy plujki na etapie szukania schronienia. Najprawdopodobniej zjadły szczura w innej części budynku, a potem ruszyły na poszukiwanie kryjówki. I faktycznie mogło się to wszystko wydarzyć w ciągu jednej nocy. Przerażony urzędnik skontaktował się z byłą pracownicą i przyjął ją z powrotem.

Ostatecznie zawsze przecież chodzi o to, by nauka przysłużyła się sprawiedliwości. Abstrakcyjny świat laboratoriów musi się zmierzyć z przerażającą rzeczywistością miejsc zbrodni.



W środowisku akademickim człowiek się nie spotyka z takimi rzeczami – wyjaśnia Martin. Mam jednak ogromną satysfakcję, gdy moja wiedza na temat owadów w krótkim czasie przynosi zauważalne owoce. Wielu naukowców, nie tylko entomologów, pracuje całymi latami, nie widząc żadnych efektów, ja zaś najdalej po kilku miesiącach mam świadomość, że moje badania okazały się przydatne.

Hall wspomina również pewną sprawę z Yorkshire. Starszy mężczyzna sprzedał za bezcen swoją kolekcję antycznych mebli, gdy poznany przygodnie kupiec wmówił mu, że drewno toczą korniki. Aby to udowodnić, oszust pokazał mu larwy wijące się na podłodze.

Wzburzony przebiegiem transakcji sprzedawca przywołał swojego sąsiada, który również dostrzegł czerwie. Złapawszy kilka z nich do butelki, mężczyzna przekazał owady policji. Stamtąd trafiły one do Martina. Szybka identyfikacja wskazała, że są to larwy kosarza, pajęczaka żywiącego się korzeniami traw i zupełnie niezainteresowanego drewnem.

„Na szczęście złodzieja mebli udało się odnaleźć i wszystkie antyki wróciły do staruszka. Nawet twardy miejscowy policjant wyglądał na wzruszonego, gdy opowiadał o radości tego człowieka. A wszystko to dzięki wiedzy o owadach” – podsumowuje Martin. Wiedza może zaowocować szczęśliwym zakończeniem, ale dowody entomologiczne bywają także zwodnicze, zwłaszcza podczas zacieklej walki w sądzie.

Pierwszego lutego 2002 roku mieszkająca w San Diego Brenda van Dam zostawiła trójkę dzieci pod opieką męża i poszła do baru z dwiema

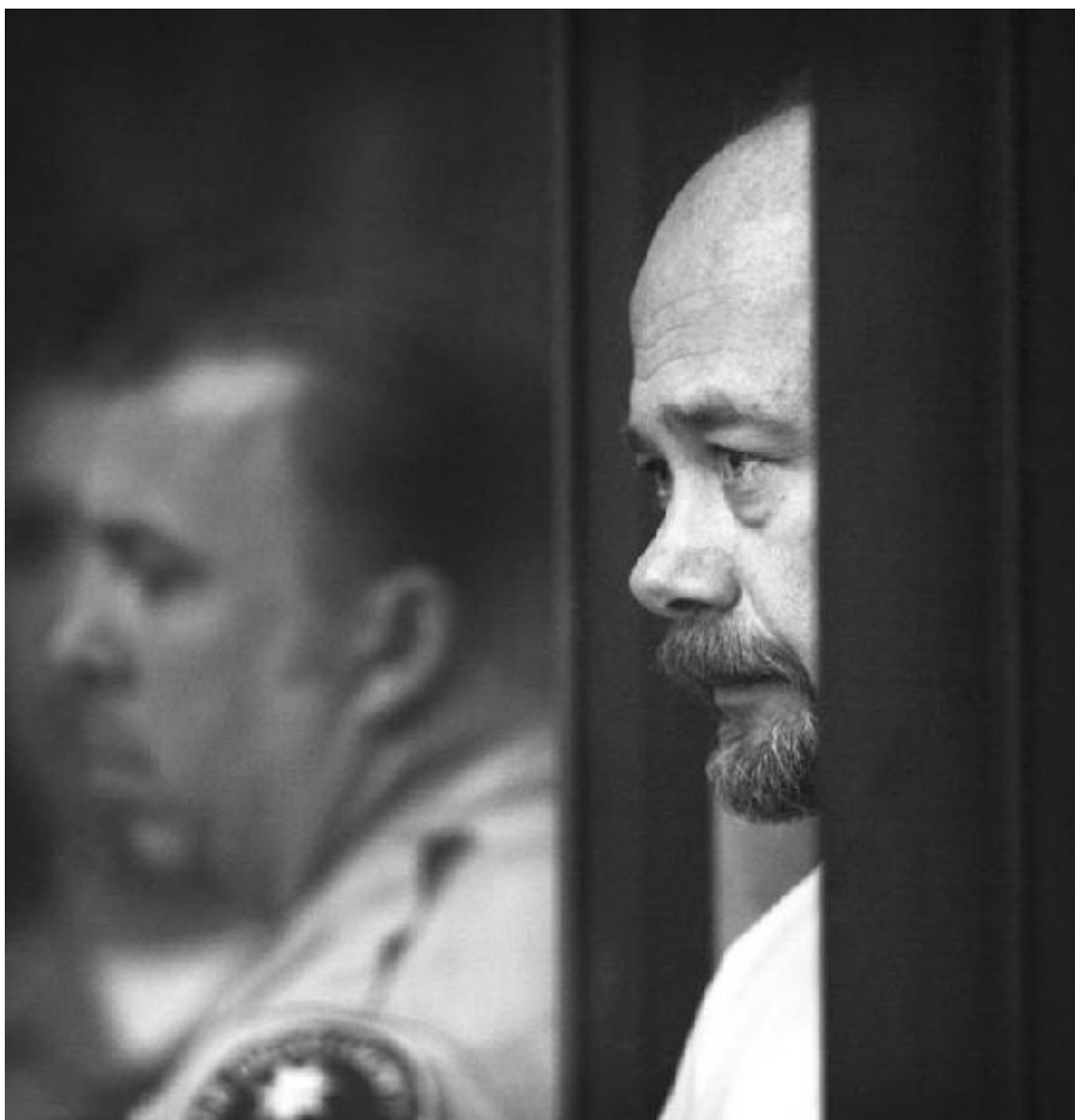
przyjaciółkami. Wróciła do domu o drugiej w nocy. Dopiero o siódmej rano zauważyła, że jej siedmioletniej córce Danielle nie ma w łóżeczku. Matkę ogarnęła panika – ostatni raz widziała ją poprzedniego wieczoru, gdy dziewczynka pisała coś w swoim pamiętniku, a jej ojciec i bracia grali w grę wideo.

Podczas przesłuchania sąsiadów policjanci odkryli, że mieszkający dwa domy dalej inżynier David Westerfield wyjechał na weekend swoim wozem kempingowym. Wszyscy pozostali mieszkańcy przebywali w swoich domach. Kilka dni wcześniej Danielle i jej matka zapukały do drzwi Westerfielda, by sprzedać mu ciasteczka. Czwartego lutego inżynier został objęty stałą obserwacją. Funkcjonariusze przeszukujący jego przyczepę odnaleźli dziecięcą pornografię, włosy Danielle, odciski palców i smugę krwi. Po zakrojonych na szeroką skalę poszukiwaniach 27 lutego znaleziono nagie ciało dziewczynki porzucone w krzakach przy drodze.

Pomarszczona skóra była prawie całkowicie zmumifikowana.

Dowody oparte na badaniach owadów odegrały kluczową rolę w tym procesie. Wezwano aż czterech ekspertów. Na zwłokach znaleziono niewiele larw. Entomolog wezwany przez obronę twierdził, że muchy musiały złożyć jaja w połowie lutego. Jako że w tym czasie Westerfield był już pod obserwacją, obrona utrzymywała, że nie mógł porzucić ciała przy drodze. Oskarżyciel zarzucił naukowcowi korzystanie z błędnych danych meteorologicznych. Zapytał nawet złośliwie, ile za to dostaje, sugerując, że entomolog został przekupiony, co wywołało taką burzę w sali, że musiano odroczyć rozprawę.





David Westerfield podczas przesłuchania w sądzie w San Diego, luty 2002.

Oskarżono go o zamordowanie siedmioletniej Danielle van Dam, mieszkającej po sąsiedzku. Nie przyznał się do winy

Specjaliści wezwani przez oskarżenie ustalili, że mucha musiała złożyć jaja pomiędzy 9 a 14 lutego, czyli nadal w czasie, gdy policja nie spuszczała Westerfielda z oczu. Ich zdaniem istniały jednak inne czynniki, które tłumaczyły późne pojawienie się nielicznych larw. Susza – największa od stulecia – pozbawiła zwłoki całej wilgoci, co sprawiło, że nie przyciągały tak wielu much. Być może wcześniej przykrywał je jakiś koc, porwany przez dzikie psy. Okoliczne mrówki mogły rozprawić się z jajami i pierwszymi larwami próbującymi opanować zwłoki.

Wszystkie te hipotezy zostały obalone przez entomologa obrony.

David Westerfield został oskarżony o porwanie i morderstwo.

Skazano go na karę śmierci. Na wykonanie wyroku w Kalifornii czeka się przeciętnie szesnaście lat. W 2013 roku Westerfield wniósł apelację, która wciąż czeka na rozpatrzenie przez Sąd Najwyższy.

Sprzeczne wnioski stawiane przez ekspertów w tej sprawie podważyły reputację entomologii sądowej. Nie ma żadnych dowodów na to, by któryś z nich został przekupiony. Okoliczności zdarzenia były niezwykle skomplikowane i towarzyszyło im wiele czynników: niewielka liczba larw, sprzeczne doniesienia na temat ekstremalnych warunków pogodowych, nieustające zainteresowanie ze strony mediów.

Tylko jeden specjalista miał okazję przebadać ciało na miejscu zdarzenia. Nauka zazwyczaj jest najskuteczniejsza, gdy opiera się na współpracy. Gdyby badacze nie działali pod presją i mogli porównać swoje notatki – jak to bywa w angielskim systemie sądowym – zapewne udałoby im się zawęzić szacunki.

Od czasów sprawy Bucka Ruxtona w 1935 roku wiara angielskiej opinii publicznej w skuteczność entomologii sądowej stopniowo rosła.

Dziś, w dużej mierze dzięki serialom takim jak *Kryminalne zagadki*, których główny bohater, Gil Grissom, często korzysta z badań nad owadami, by rozwiązać tajemnicę odcinka, popularność tej dziedziny kryminalistyki stała się olbrzymia. Prawdziwi entomologowie wciąż wymyślają zdumiewające zastosowania swej wiedzy, by dostarczyć potrzebne dowody. Ostatnio w Stanach Zjednoczonych udało się ustalić trasę podróży pewnego podejrzanego dzięki analizie owadów, które zginęły na przedniej szybie jego samochodu.

Takie przełomowe wydarzenia należą jednak do rzadkości.

Większość pracy entomologów sądowych opiera się na przyswajaniu olbrzymich ilości informacji i umiejętności rozróżniania okazów, które my uznalibyśmy za identyczne. Badacz owadów zainteresowany kryminalistyką wkracza na teren bardzo trudny emocjonalnie i intelektualnie. Korzysta z mikroskopu, by przekraczać granice swej wiedzy i odczytywać precyzyjne wskazówki zegara biologicznego rządzącego owadziim życiem. Wydobywanie informacji to zawsze skomplikowana sprawa, niezależnie od tego, do jakiego gatunku należą przepytывani świadkowie.

## 4. Medycyna sądowa

*Aby zaś na początek odjąć jej największą przewagę nad nami, obierzmy drogę zgoła przeciwną owej pospolitej; odejmijmy śmierci dziwność; obcuśmy z nią, przywyknijmy do niej; hodujmy ją w myśli jako nieustanną towarzyszkę, w każdej chwili przedstawiamy ją wyobraźni i pod wszelaką postacią*

Michel de Montaigne, *Próby*<sup>5</sup>

*Jak przypomina nam wielki poeta John Donne: „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością”<sup>6</sup>.*

Każda nagła śmierć, która ma z nami jakiś związek, nawet błaży, wywiera na nas ogromny wpływ, niezależnie od tego, czy zgadzamy się z moralnym wydźwiękiem powyższego cytatu. Tak właśnie było ze sprawą Rachel McLean, uczennicy tej samej niewielkiej żeńskiej uczelni w Oksfordzie, której sama jestem absolwentką. Nigdy nie poznałam tej dziewczyny, ale zawsze miałam poczucie, że coś nas łączy.

Dziewiętnastoletnia Rachel uczęszczała do St Hilda's College, gdy poznała swojego chłopaka Johna Tannera. John oświadczył się jej dziesięć miesięcy później, 13 kwietnia 1991 roku. Każda dziewczyna podzieliłaby się tą radosną wiadomością z bliskimi, jednak przez kilka kolejnych dni ani przyjaciele, ani znajomi z uczelni nie mieli żadnych informacji od Rachel. Nikt nie mógł uwierzyć, że zniknęła bez słowa – takie zachowanie po prostu do niej nie pasowało. Kiedy Tanner zadzwonił na stację, współlokatorka Rachel oznajmiła, że także od jakiegoś czasu jej nie widziała.

Po pięciu dniach zaniepokojone władze uczelni zgłosiły zaginięcie Rachel McLean. Według zeznań Tannera, który studiował w tym czasie na Uniwersytecie Nottingham, po raz ostatni widzieli się wieczorem 14 kwietnia, kiedy machała do niego na pożegnanie z oksfordzkiego peronu. Jakiś długowłosey chłopak, którego poznali w dworcowej restauracji, zaoferował wcześniej, że podrzuci ją do mieszkania na Argyle Street.

Tanner ściśle współpracował z policją, pomagał w poszukiwaniach i wziął udział w telewizyjnej rekonstrukcji wydarzeń. Próbował sobie

przypomnieć, z kim jeszcze mogła się spotkać jego narzeczona. Był pierwszym mordercą w dziejach, który zaryzykował udział w takim programie. Podczas poruszającej konferencji prasowej opowiadał, jak bardzo się kochali. Twierdził też, że zamierzali wziąć ślub.

Jednak policjanci ciągle podejrzewali, że Tanner coś przed nimi ukrywa, więc poproszono dziennikarzy o zadanie mu kilku kluczowych pytań – także o to, czy przyznaje się do zabicia Rachel. Uśmiezek na twarzy i kompletny brak emocji w trakcie odpowiedzi były dla policjantów wyraźnym sygnałem, że chłopak zaginionej wie o wiele więcej, niż jest skłonny wyjawić.

Przeszukano mieszkanie, które Rachel wynajmowała razem z przyjaciółmi. Wszystko wyglądało zwyczajnie, nie znaleziono niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Śledczy coraz rozpaczliwiej poszukiwali jakichkolwiek dowodów umożliwiających aresztowanie Tannera lub przynajmniej wywarcie na niego presji. Nurkowie spenetrowali dno miejscowej rzeki, a inni funkcjonariusze ruszyli na poszukiwania po okolicy.

Przede wszystkim dopytali w miejskim dziale planowania przestrzennego, czy domy przy Argyle Street mają piwnice. Okazało się, że nie, choć kilka budynków stało na wysokich podmurówkach, a pod ich podłogami znajdowała się wolna przestrzeń.

Uzbrojeni w nową wiedzę, 2 maja funkcjonariusze przeszukali dom Rachel raz jeszcze. Jej częściowo zmumifikowane ciało spoczywało pod schodami. Tanner zdołał precyzyjnie przecisnąć je przez dwudziestocentymetrową szparę w komórce pod schodami, a potem wepchnąć je pod podłogę.

Choć od momentu śmierci minęło osiemnaście dni, ciepłe, suche powietrze przenikające przez pustaki sprawiło, że rozkład następował w spowolnionym tempie.

Odnalezienie zwłok zakończyło pierwszy etap dochodzenia. Do pracy wkroczyli specjaliści medycyny sądowej, którzy mają ogromny wpływ na materiał dowodowy wykorzystywany przez oskarżenie.

W przypadku sprawy Rachel McLean zadanie to spadło na Iaina Westa, szefa działu medycyny sądowej w szpitalu Świętego Tomasza. W czasie autopsji udało mu się odkryć dwa siniaki na szyi ofiary. Zrobił im zdjęcia, sfotografował również niewielkie wybroczyny, które pojawiły się na twarzy i w oczach Rachel. Badanie organów wewnętrznych ujawniło uszkodzenie chrząstek krtani. Wszystkie oznaki wskazywały na śmierć

przez uduszenie. Ofierze brakowało również kępki włosów na głowie. West domniemywał, że straciła je, próbując się wyrwać z morderczego, duszącego uścisku.

Kiedy Iain West przedstawił Tannerowi materiał dowodowy, mężczyzna załamał się i przyznał do zabicia Rachel. Jak zeznawał w czasie procesu: „Rzuciłem się na nią w gniewie, zacisnąłem dłonie na jej gardle. Musiałem stracić panowanie nad sobą, bo niewiele pamiętam z tego, co się wydarzyło później”. Chłopak twierdził, że zamordował swoją narzeczoną, ponieważ przyznała się do niewierności, a później spędził całą noc przy zwłokach. Rankiem zaczął szukać jakiejś kryjówki, potem wcisnął ciało w szczelinę w komórcie pod schodami i wrócił pociągami do Nottingham. Skazano go na dożywocie. Został zwolniony w 2003 roku i powrócił do Nowej Zelandii, skąd pochodzi.

Praca specjalistów medycyny sądowej przypomina układankę.

Muszą opisać wszystkie nietypowe szczegóły odkryte w czasie badania zwłok, a później na podstawie tych odkryć zrekonstruować wydarzenia z przeszłości. Pragnienie poznania przyczyn śmierci bliskich osób towarzyszy nam od zarania dziejów. Samo słowo „autopsja” wywodzi się z klasycznej greki i oznacza „zobaczyć coś na własne oczy”. Sekcja zwłok to naukowa próba zaspokojenia tej ciekawości.

Pierwszą autopsję przeprowadzono w 44 roku przed naszą erą, a lekarz badający ciało Juliusza Cezara ustalił, że z dwudziestu trzech ran zadanych władcy śmiertelne było tylko jedno pchnięcie, kiedy sztylet wszedł w ciało pomiędzy pierwszym a drugim żebrzem. Kilka stuleci później grecki lekarz Galen opublikował niezwykle istotne wyniki badań z sekcji zwłok małą i świń. Ogłoszone przez niego robocze hipotezy na temat anatomii ludzkiego ciała obowiązywały aż do szesnastego wieku, kiedy to Andreas Vesalius przeprowadził pierwsze badania porównawcze zdrowych i chorych ciał ludzkich, kładąc podwaliny pod współczesną anatomopatologię.

Vesalius opublikował swoje dzieło *De Humani Corporis Fabrica* (Traktat o budowie ciała ludzkiego) w 1543 roku i zadedykował je Karolowi V, za którego rządów doszło do kolejnego przełomu w dziejach medycyny sądowej. Po raz pierwszy w historii Świętego Cesarstwa Rzymskiego wprowadzono zasady prawa karnego. Kodeks ustalał, jakie przestępstwa uznaje się za poważne, dopuszczał palenie na stosie za czary i dawał sądom prawo do prowadzenia dochodzeń oraz przesłuchań w przypadku

poważnych zbrodni. Zbiór praw, znany pod skrótową nazwą Carolina, miał kluczowe znaczenie dla medycyny sądowej, ponieważ w przypadku podejrzeń o zabójstwo nakładał na sędziów obowiązek zasięgnięcia opinii lekarza.

Kodeks upowszechnił się w większości krajów europejskich, a autorzy traktatów medycznych coraz chętniej dzielili się swoją wiedzą w sądach. Znalazł się wśród nich także francuski cyrulik Ambroise Paré, zwany czasem ojcem medycyny sądowej. Pisał on o wpływie gwałtownej śmierci na organy wewnętrzne i wyjaśniał, jak rozpoznać zgon będący skutkiem uderzenia pioruna, utonięcia, uduszenia, otrucia.

Wskazywał, jak wykryć dzieciobójstwo, naszkicował także różnice pomiędzy ranami zadanymi za życia ofiary a tymi, które zadano jej po śmierci.

Rozwój tej dyscypliny następował wraz z poszerzaniem się naszej wiedzy o anatomii człowieka. W dziewiętnastym wieku jednym z najpłodniejszych autorów zajmujących się medycyną sądową był Alfred Swaine Taylor, którego wysiłki doprowadziły do unowocześnienia tej dziedziny w Wielkiej Brytanii i na całym świecie.

Za życia doczekał się dziesięciu wydań swojej najważniejszej książki – *A Manual of Medical Jurisprudence* (Podręcznik prawoznawstwa medycznego) – opublikowanej po raz pierwszy w 1831 roku. Przed upływem połowy stulecia Taylor służył ekspercką wiedzą w ponad pięciuset sprawach. Demonstrował przy okazji, że także w tej dyscyplinie nauki badacze popełniają błędy.

W 1859 roku postawiono przed londyńskim sądem doktora Thomasa Smethursta oskarżonego o otrucie swej kochanki Isabelli Bankes. Wezwany na świadka Taylor zeznał, że we flakonie należącym do doktora odkryto ślady arszeniku, co potraktowano jako dowód potwierdzający jego winę. Dopiero później ustalono, że Taylor pomylił się w czasie badania i flakon najprawdopodobniej był czysty. Isabella Bankes chorowała od długiego czasu i mogła umrzeć z przyczyn naturalnych. Smethurst został oczyszczony z zarzutów, choć musiał odsiedzieć rok więzienia za bigamię. Zarówno pismo medyczne „Lancet”, jak i „Times” ostro skrytykowały metody Taylora oraz wyrok i ochrzciły medycynę sądową mianem „naukowego zezwierzęcenia”.

Sprawa Smethursta przez długie lata rzucała cień na rozwój tej dziedziny wiedzy.

Z uwagi na teatralny charakter brytyjskiego systemu sądowego medycyna sądowa musiała znaleźć obrońcę w kimś, kto odznaczał się charyzmą. Tym kimś okazał się Bernard Spilsbury, przystojny, przekonujący mówca, który zawsze występował w cylindrze, fraku i pumpach. Nie zapominał także o kwiatku w butonierce. Miał niezaprzeczalne umiejętności chirurgiczne i pracował z niezwykłą szybkością oraz precyzją. Potrafił również klarownie wyjaśnić znaczenie swoich odkryć, posługując się językiem zrozumiałym dla każdego.

Spilsbury cieszył się ogromną sympatią ławników i opinii publicznej. Gazety wciąż o nim pisały i traktowały go niczym opokę, o którą rozbijają się łgarstwa bezbożnych zbrodniarzy. W tekście opublikowanym na łamach „Lancetu” po jego śmierci w 1947 roku określono go „jedynym i niedościgłym ekspertem w sprawach medyczno-karnych”. Korona wzywała go w ponad dwustu procesach o morderstwo.



Doktor Hawley Crippen i jego kochanka Ethel Le Neve na ławie oskarżonych sądu Old Bailey.

Crippen został skazany na śmierć, Le Neve oczyszczono z zarzutów. Opinia publiczna usłyszała o nim po raz pierwszy w 1910 roku, kiedy został wezwany jako ekspert podczas sensacyjnego procesu doktora Hawleya Harveya Crippena. Oskarżony był homeopatą i farmaceutą mieszkającym w Camden Town wraz z żoną Corą, szansonistką występującą pod pseudonimem Belle Elmore. Ich małżeństwo przechodziło kryzys; znajomi Cory nagle przestali ją widywać. Crippen twierdził, że umarła, choć zdarzało mu się też wspominać, że pojechała do Ameryki. Coraz mocniej zaniepokojeni przyjaciele poinformowali w końcu policję, która zarządziła przeszukanie domu doktora. Niczego nie znaleziono, ale samo dochodzenie tak wystraszyło Crippena, że zbiegł wraz ze swoją nastoletnią kochanką Ethel Le Neve na pokład SS „Montrose” płynącego do Kanady. Dziewczyna najprawdopodobniej przebrała się za chłopaka i udawała jego syna.

Ucieczka lekarza sprowokowała policję do kolejnego przeszukania jego domu, ale i tym razem niczego nie udało się znaleźć. Dopiero za trzecim podejściem, gdy nękani podejrzeniami policjanci skuli kamienną podłogę w piwnicy, odkryto fragment ludzkiego tułowia owinięty w koszulę męskiej piżamy.

W tym samym czasie kapitan SS „Montrose” zwrócił uwagę na dwójkę dziwnych pasażerów i tuż przed wyjściem z zasięgu urządzeń telegraficznych przesłał brytyjskim władzom taką oto wiadomość: „Silne podejrzenia, że zarówno podejrzany o mord w domu Crippena, jak i jego współniczka ukrywają się wśród pasażerów pierwszej klasy. Brak wąsów, pojawiła się broda. Wspólniczka przebrana za chłopca, budowa i zachowanie zdradzają kobietę”.

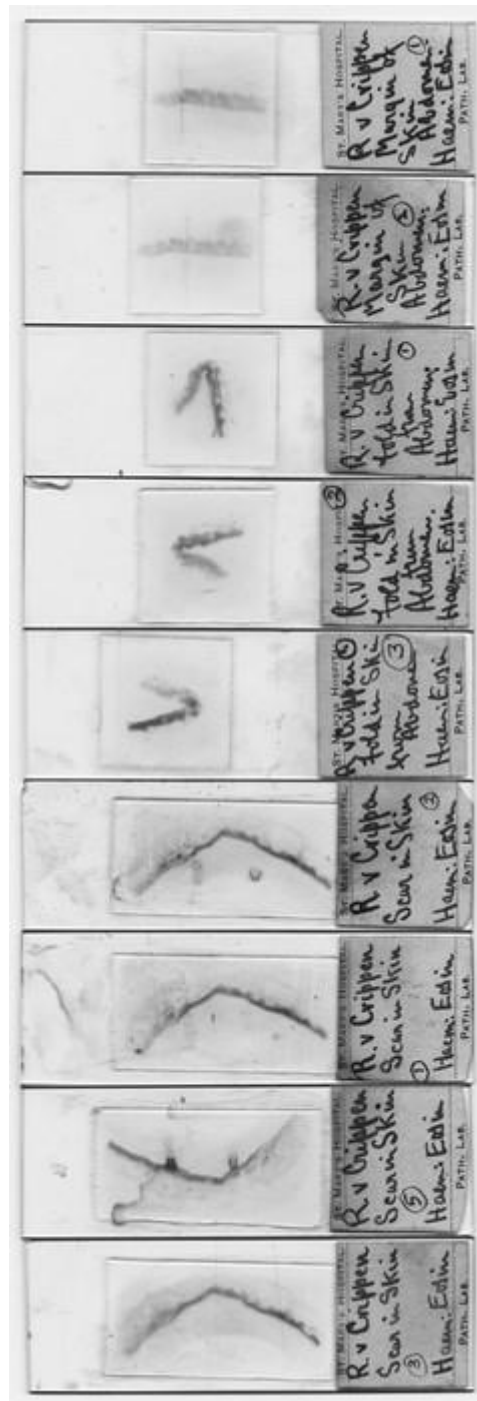
Scotland Yard natychmiast oddelegował inspektora Dewa, który wsiadł na pokład znacznie szybszej jednostki płynącej do Kanady i aresztował zbiegów, gdy tylko zawinęli do portu. Było to pierwsze zatrzymanie umożliwiające dzięki komunikacji bezprzewodowej.

Władze zwróciły się z prośbą o przebadanie znalezionych szczątków do głównego chirurga szpitala St Mary w Londynie, a on oddelegował do tego zadania młodego Spilsbury’ego. Przyjrząwszy się dokładnie dokumentacji medycznej Cory Crippen, młody lekarz zwrócił uwagę, że zaginiona przeszła operację wyrostka. Oględziny odnalezionych fragmentów nie pozwoliły na ustalenie płci ofiary, udało się jednak odkryć ślady toksycznych substancji, które mogły stanowić przyczynę śmierci.

*W czasie procesu Crippena Spilsbury zaprezentował przed sądem fragment skóry zachowany w formaldehydzie i naznaczony półkolistą blizną. Fragment*



*ten pochodził ze szczątków, które jak podejrzewano, pozostały po Corze Crippen. Pokazał wycinek ławnikom, którzy mogli mu się dokładnie przyjrzeć za pomocą mikroskopu stojącego w sąsiedniej sali, i wyjaśnił, jak powstały nacięcia tkanki. Choć biegli zatrudnieni przez obronę twierdzili, że nie może to być fragment tkanki bliznowatej, ponieważ widać na nim mieszki włosowe, sąd uwierzył Spilsbury'emu. Crippen został skazany za otrucie i zamordowanie swojej żony. Powieszono go w londyńskim więzieniu Pentonville. Poprosił, by pochowano go z fotografią Le Neve. Jego kochankę oskarżono o współudział, ale została całkowicie oczyszczona z zarzutów.*



Próbki pokazywane przez Spilsbury'ego, z blizną na korpuse znalezionym w piwnicy; jego zdaniem szczątki należały do Cory



Crippen, choć inni biegli nie zgadzali się z tą opinią

Fragmenty skóry wykorzystane jako materiał dowodowy w sprawie Crippena wciąż są przechowywane w londyńskim Szpitalu Królewskim, a w 2002 roku zostały ponownie przebadane przez profesora Bernarda Knighta. Potwierdził on przypuszczenia ekspertów obrony – stwierdził, że nie jest to tkanka bliznowata. Dzięki późniejszym badaniom DNA udało się odkryć brak zgodności próbki z materiałem pobranym do badań od potomstwa Cory Crippen. Ustalono również, że szczątki należały do mężczyzny. Trudno przegapić ironię wynikającą z faktu, że sprawa, która zapewniła Spilsbury'emu tak wielką popularność i zamieniła go w żywy symbol medycyny sądowej, była tą, w której lekarz najprawdopodobniej fundamentalnie się pomylił.

Pięć lat po wykonaniu wyroku na Crippenie Spilsbury został wezwany do kolejnej niezwyklej sprawy, w której nie pomogłyby mu nawet badania DNA czy najnowsze technologie współczesnej medycyny sądowej. W niedzielę 3 stycznia 1915 roku Charles Burnham, sadownik z Buckinghamshire, usiadł przy stole z kubkiem herbaty i zabrał się do lektury nowego wydania „News of the World”. Przeczytawszy nagłówek na trzeciej stronie, doznał prawdziwego wstrząsu. *Śmierć w kąpielu – tragiczny zgon panny młodej dzień po weselu*. Krótki tekst wyjaśniał okoliczności śmierci Margaret Lloyd znalezionej w londyńskim mieszkaniu. „Badania wskazują, że przyczyną zgonu mogło być omdlenie w gorącej kąpielu wywołane grypą”. Zmarła prawie równy rok temu córka Burnhama odeszła w podobnych okolicznościach, topiąc się w wannie tuż po swoim ślubie. Sadownik natychmiast skontaktował się z policją i odkrył, że mężem Margaret Lloyd był George Joseph Smith, ten sam człowiek, który wcześniej poślubił jego córkę Alice.

Władze wezwały Spilsbury'ego, by przeprowadził oględziny ekshumowanego ciała Margaret Lloyd. Później pojechał do Blackpool, by dokonać autopsji Alice Burnham. Dzięki dostarczonym przez niego informacjom policja wpadła na ślad trzeciej kobiety, Bessie Williams, pierwszej żony Smitha, która zmarła w podobnych okolicznościach 13 lipca 1912 roku w swoim domu w Kent.

Choć początkowo oba utonięcia uznano za przypadkowe, w czasie rozpoczętego na nowo dochodzenia udało się ustalić, że Smith czerpał zyski ze śmierci swoich żon: polisy ubezpieczeniowe Margaret i Alice przyniosły mu odpowiednio siedemset i pięćset sześć funtów, zaś fundusz powierniczy, który przejął po Bessie, opiewał na dwa i pół tysiąca funtów

(około stu dziewięćdziesięciu tysięcy funtów w przeliczeniu na współczesną walutę). Stanowiło to solidną podstawę do wydania nakazu aresztowania.



George Smith i Bessie Williams w dniu ślubu.

To ona będzie jego pierwszą ofiarą. Podczas badania zwłok obu ofiar Spilsbury nie natrafił na żadne ślady przemocy, otrucia czy ataku serca. W trakcie autopsji Bessie odkrył tak zwaną gęsią skórkę na udach, która bywa czasem oznaką śmierci przez utonięcie (choć zdarza się, że pojawia się później, w wyniku postępującego rozkładu). Z notatek lekarza badającego ciało tuż po utonięciu wynikało, że Bessie ścisnęła w rękę kostkę mydła.

Kolejnym ruchem Spilsbury'ego było sprowadzenie wszystkich trzech wanień na posterunek policji w Kentish Town. Ustawił je w rzędzie i poddał gruntownym oględzinom.

Największe jego zainteresowanie wzbudziła wanna, w której zmarła Bessie Williams. Tuż przed śmiercią Smith poszedł z żoną do lekarza, by porozmawiać o jej atakach padaczki. Ona twierdziła, że nie ma żadnych ataków i że w jej rodzinie nie było przypadków tej choroby, ale mąż upierał się, że Bessie cierpi na epilepsję. Spilsbury nie dowierzał jego opowieści. Zmarła miała metr siedemdziesiąt wzrostu i była otyła. Wanna w najdłuższym miejscu liczyła półtora metra i robiła się płytsza od strony głowy. Lekarz wiedział, że podczas pierwszej fazy ataku padaczkowego ciało chorego sztywnieje, więc z uwagi na rozmiary Bessie i kształt wanny jej głowa powinna znaleźć się wtedy nad wodą, a nie pod nią.

Skoro to nie padaczka zabiła Bessie, co było przyczyną jej śmierci?

W ciągu dalszych poszukiwań Spilsbury odkrył, że gwałtowne zapełnienie wodą nosa i gardła może prowadzić do uszkodzenia niezwykle istotnego nerwu błędnego, co skutkuje nagłą utratą przytomności i może prowadzić do utonięcia. Jednym z ubocznych skutków takiej nietypowej śmierci jest natychmiastowe stężenie pośmiertne, co jego zdaniem tłumaczyłoby kostkę mydła zaciśniętą w rękę Bessie.

W 1853 roku Alfred Swaine Taylor twierdził kategorycznie, że niemożliwe jest utopienie dorosłego człowieka bez pozostawienia śladów przemocy, każdy bowiem stara się walczyć o oddech; jego opinię wciąż traktowano jak dogmat. Podczas przygotowań do procesu inspektor Neil postanowił jednak przeprowadzić serię doświadczeń, które miały sprawdzić teorię Spilsbury'ego. Znalazł ochotniczki, które zgodziły się opierać próbom utopienia. Pierwsza z nich, ubrana w kostium kąpielowy, położyła się w wannie, a podczas ataku zdołała złapać się krawędzi i stawić opór napastnikowi. Kiedy jednak Neil złapał ją za kostki

i gwałtownie podniósł jej nogi do góry, kobieta momentalnie zanurzyła się pod wodę i straciła przytomność.



Miała szczęście, że przeżyła, ocknęła się dopiero po kilku minutach dzięki pomocy lekarza.

Spilsbury wiedział o tych eksperymentach i choć nie był ich autorem, wyniki doświadczeń znacząco wpłynęły na jego reputację.

George Smith został oskarżony o zamordowanie Bessie Williams.

Spilsbury przemawiał podczas procesu z wielką znajomością rzeczy, czym zdobył sobie serca ławników. Wydanie wyroku skazującego zajęło im dwadzieścia minut. Sprawca zawisł na szubienicy w więzieniu Maidstone.

George Smith był złotoustym oszustem, który w wieku dziewięciu lat dokonał swojej pierwszej kradzieży na londyńskim East Endzie.

Z wiekiem rozsmakował się w złotych pierścieniach i kolorowych muszkach, które pomagały mu w uwodzeniu kobiet. Początek pierwszej wojny światowej i masowe wyjazdy młodych Brytyjczyków do zamorskich kolonii sprawiły, że w 1915 roku liczba kobiet przewyższała liczbę mężczyzn o pół miliona, więc Smith nie miał problemu ze znalezieniem ofiar, które mógł później wykorzystać. Opinia publiczna momentalnie zainteresowała się sprawą ochrzczoną przez media „tajemnicą utopionych panien młodych”. Do drzwi Spilsbury’ego pukały tabuny dziennikarzy polujących na nagłówek o „naukowcu na tropach seryjnego zabójcy”. Jego gwiazda świeciła coraz jaśniejszym blaskiem.

W czasie swojej kariery Spilsbury zajmował się wieloma przypadkami żonobójstwa. Strach pomyśleć, ilu morderców umknęło sprawiedliwości, nim nauka dostarczyła narzędzia, które pozwoliły na odkrycie przyczyn śmierci ich żon. Z czasem prasa zaczęła przedstawiać Spilsbury’ego niczym niezłomnego bohatera, który poświęcił życie na odczytywanie nieuchwytnych poszlak pozostawionych na ciele bezbronnych ofiar, a także robił wszystko, by zabójca już nigdy nikogo nie skrzywdził i nie uniknął kary. W 1923 roku uhonorowano go tytułem szlacheckim, co tylko umocniło jego wizerunek, a rok później kolejna sprawa ostatecznie ugruntowała jego reputację.

Mieszkająca w północnym Londynie Elsie Cameron wybrała się 5 grudnia 1924 roku w odwiedziny do swojego narzeczonego Normana Thorne’a, hodowcy kur z Crowborough w hrabstwie Sussex.



Bernard Spilsbury, wybitny lekarz medycyny sądowej, którego zeznania doprowadziły do skazania wielu osób, choć część spraw została później ostro skrytykowana

Zaręczyli się dwa lata wcześniej, ale Norman zaczął się ostatnio widywać z inną dziewczyną.

Sześć tygodni później, 15 stycznia 1925 roku, policja odnalazła porąbane na kawałki ciało Elsie zakopane pod wybiegiem dla kur oraz jej głowę ukrytą w pojemniku po ciastkach. Thorne początkowo twierdził, że narzeczona nigdy nie dotarła do Crowborough, ale zmienił zeznania po odnalezieniu zwłok. Według nowej wersji Elsie przyjechała, żeby poinformować go, że jest w ciąży, i domagała się ślubu. Wybiegł z domu, a kiedy wrócił dwie godziny później, znalazł ją wiszącą pod sufitem. Przyjął, że popełniła samobójstwo, i zdecydował się ukryć ciało, więc pociął je na kawałki i zakopał.

Dwa dni później Spilsbury przeprowadził autopsję szczątków.

W raporcie stwierdził, że Elsie zginęła gwałtowną śmiercią, najprawdopodobniej w wyniku pobicia. Choć na ciele nie było widać

żadnych obrażeń, sekcja zwłok ujawniła osiem krwiaków, w tym jeden na skroni. Na szyi ofiary nie odnaleziono śladów sznura, nie pobierał więc z niej próbek. Zauważył dwa ślady na karku, ale uznał, że są nieistotne dla sprawy. Zapytany przez koronera, czy autopsja sześciotygodniowych zwłok jest w ogóle możliwa, zapewniał, że rozkład nie stanowi najmniejszego problemu. Norman Thorne wniósł sprzeciw wobec raportu. Argumentował, że ofiara nie nosiła żadnych zewnętrznych śladów pobicia, i przekonał sąd do przeprowadzenia kolejnej sekcji.

Ciało Elsie ekshumowano 24 lutego, a autopsję przeprowadzał Robert Bronte pod uważnym nadzorem Spilsbury'ego. Sekcje powinno się wykonywać w świetle dnia lub w jasno oświetlonej kostnicy. Zwłoki Elsie wydobyto o północy i pochowano ponownie o dziewiątej rano, a oględzinom w fatalnie oświetlonej cmentarnej kaplicy towarzyszył tłum gapiów i dziennikarzy. Trumnę wypełniała woda, a od czasu poprzedniej sekcji minął ponad miesiąc. Pomimo zaawansowanego rozkładu zwłok Bronte również dostrzegł ślady na karku i zabrał próbkę do analizy.

Proces Normana Thorne'a trwał pięć dni. Biegli wciąż spierali się o znaczenie śladów. Zapytany przez oskarżenie, czy udało mu się odnaleźć jakieś zewnętrzne oznaki pobicia na ciele ofiary, Spilsbury zeznał, że nie. J.D. Cassels, ekspert wezwany przez obronę, utrzymywał, że Elsie Cameron wciąż żyła, gdy Thorne odciął sznur, a krwiaki na ciele powstały w wyniku upadku na podłogę. Zmarła w wyniku szoku jakiś kwadrans później, co tłumaczyło brak odcisków sznura na szyi – zniknęły po przywróceniu krążenia krwi. Ekspert skrytykował też swojego rywala za zignorowanie śladów na karku.

Spilsbury zeznał, że dwa krwiaki na twarzy ofiary powstały jako ostatnie oraz że Elsie zginęła w wyniku pobicia krótką indyjską pałką znaną w pobliżu miejsca zbrodni. Ze zwyczajnym dla siebie nieugiętym uporem utrzymywał, że jego wnioski są niepodważalne, choć sam dwa lata wcześniej twierdził w jednym z wykładów, że to właśnie dzięki krytycznemu spojrzeniu na dowody medyczne prezentowane w sali sądowej „lekarz może uświadomić sobie własną omyłność”.

W trakcie procesu sędzia tytułował go „największym żyjącym specjalistą medycyny sądowej”, a zwracając się do ławników, przypominał, że „nie sposób znaleźć lepiej poinformowanego eksperta niż Spilsbury”. Wyrok ogłoszono niecałe pół godziny później. Thorne został uznany za winnego zarzucanych mu czynów. Niektórzy przyznawali, że



nie rozumieli medycznych zawłości tej sprawy, zwłaszcza tego, że na ciele ofiary nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na gwałtowną śmierć. Jednym z tych, którzy wyrażali wątpliwości w związku z tak pospiesznym przyjęciem przez ławę przysięgłych wniosków postawionych przez Spilsbury'ego, był bliski sąsiad Thorne'a sir Arthur Conan Doyle. Pisał on w „Law Journal”: „Papieska wręcz nieomylność, jaką ławnicy są skłonni przypisywać słowom sir Bernarda, musi być dlań czasem wielce kłopotliwa”.

Choć Norman Thorne do samego końca utrzymywał, że jest niewinny, powieszono go w więzieniu Wandsworth. W słynnym liście, napisanym do ojca dzień przed egzekucją, stwierdził: „Trudno, tato. Nie przejmuj się tym. Zostałem męczennikiem spilsburyzmu”.

Zdaniem historyków, Iana Burneya i Neila Pembertona, proces Thorne'a skupił się wokół dwóch różnych szkół medycyny sądowej.

Jedną z nich reprezentował Spilsbury, słynny ekspert i wspaniały mówca, który polegał na swoich umiejętnościach chirurgicznych oraz intuicji, drugą zaś Bronte, zwolennik skrupulatnych badań laboratoryjnych, wykorzystujący najnowsze zdobycze technologiczne.

Obaj autorzy twierdzą, że „wirtuozeria” Spilsbury'ego w sali sądowej i w kostnicy „zagroziła podstawom medycyny sądowej jako nowoczesnej i obiektywnej dziedziny naukowej”.

W książce *Lethal Witness* (Zabójczy świadek), opublikowanej w 2007 roku, Andrew Rose sugeruje, że Spilsbury co najmniej dwukrotnie przyczynił się do wydania niesprawiedliwych wyroków, a w kilku innych sprawach jego błędy miały wpływ na opinię ławy przysięgłych.



Wystarczyło, by sir Bernard uznał kogoś za winnego, żeby ławnicy wydali wyrok skazujący, nie bacząc na brak przekonujących dowodów.

W kilku przypadkach z ponad dwudziestu tysięcy przeprowadzonych przez niego sekcji zdarzyło mu się ukryć część ustaleń, ponieważ nie pasowały do jego hipotez.

W 1923 roku dzięki ekspertyzie Spilsbury'ego skazano młodego żołnierza Alberta Dearnleya oskarżonego o związanie i uduszenie swojego najlepszego przyjaciela. Na dwa dni przed wykonaniem wyroku śmierci do rąk naczelnika więzienia trafił list napisany przez skazańca do przyjaciółki. Jego zawartość okazała się na tyle niepokojąca, że naczelnik

zwrócił się z prośbą o odroczenie egzekucji do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Prawda wyszła na jaw w ostatniej chwili: ofiara zginęła w wyniku przypadkowego uduszenia podczas sadomasochistycznej homoseksualnej zabawy. Spilsbury, który nie ukrywał swojej homofobii, musiał podejrzewać prawdę, ale zatrzymał ją dla siebie, ponieważ chciał w ten sposób ukarać seksualnego dewianta.

Mimo to, kiedy w 1947 roku targnął się na swoje życie, popełniając po długich zmaganiach z fatalnym stanem zdrowia i depresją samobójstwo za pomocą zatrucia się gazem, nie tylko na łamach „Lancetu” nazywano go największym specjalistą medycyny sądowej swoich czasów. Krytyka została zagłuszona przez bezkrytyczny podziw.

Dopiero po jego śmierci zaczęto stopniowo analizować ten idealny wizerunek. W 1959 roku jego kolega po fachu Sydney Smith mógł wreszcie napisać: „Miejmy nadzieję, że już nigdy nie natkniemy się na kogoś takiego jak Bernard Spilsbury”.

Dziś czołowym brytyjskim ekspertem medycyny sądowej jest Dick Shepherd, który twierdzi, że nigdy nie interesowało go gwiazdorstwo w sali sądowej, choć lista spraw, w jakich uczestniczył, jest imponująca.

Od księżnej Diany i Jill Dando po ofiary zamachów z 11 września 2001 roku – Shepherd jest wzywany do najważniejszych przypadków z ostatnich lat. Każdy z nich jest dla niego równie istotny, ponieważ jego zdaniem sekcja zwłok powinna być obiektywna i opierać się na naukowych podstawach, niezależnie od tego, kim jest ofiara.

Najważniejsi są dla niego żywi, nie zmarli. To oni dają mu motywację, by zerwać się rano do pracy.

Jestem zafascynowany tym, jak się to wszystko przenika – współpracą z policją, sądami i innymi ludźmi. Rozwiązywaniem problemów, interpretowaniem wniosków i przekazywaniem tych informacji dalej. Muszę się odciąć od destrukcyjnego charakteru mojej pracy i pamiętać, że robię to dla rodzin ofiar. Zrozumienie prawdziwych przyczyn śmierci kogoś bliskiego nie pomaga im w pogodzeniu się z tym faktem, ale dzięki prawdzie mogą zaznać jakiegoś ukojenia. Kiedy eksperci kłamią, nawet jeśli robią to dlatego, by zaoszczędzić przykrości rodzinie, medycyna sądowa przestaje wypełniać swoje zadanie.

To od policji zależy, jak wiele na temat sprawy dowie się biegły, nim przeprowadzi pierwszą, kluczową sekcję zwłok. Zbyt duża wiedza może

wpłynąć na wyniki autopsji, zbyt mała niesie ze sobą ryzyko, że podczas badania umkną jakieś istotne ślady. Shepherd wyjaśnia to tak:

Jeśli korzystamy z przefiltrowanych informacji, możemy przegapić istotne szczegóły, co prowadzi później do momentów zaskoczenia w sali sądowej. Obrona przedstawia zupełnie nowe informacje, a potem pyta, czy gdybym posiadał tę wiedzę, sformułowałbym inne wnioski. Wtedy ja muszę przyznać, że tak. Rozradowani obrońcy wracają na miejsce, a prokurator się krzywi.

Jednym z powodów, dla których Spilsbury tak rzadko widywał radość na twarzach obrońców, było to, że zawsze gruntownie przygotowywał się do swoich wystąpień i wiedział wszystko o danej sprawie. Dziś Dick Shepherd rzadko bywa wzywany bezpośrednio na miejsce zbrodni i pracuje przede wszystkim w kostnicy. Na miejscu zbieraniem śladów zajmują się specjaliści od badania rozbryzgów krwi i pobierania próbek DNA oraz inni naukowcy gromadzący materiał dowodowy, który wcześniej znajdował się w gestii ekspertów medycyny sądowej. Młodszy technicy zajmują się ciałem i pakują je do worka, by zachować wszelkie ślady, od włosów i włókien po brud.

W tych rzadkich przypadkach, gdy Shepherd pracuje bezpośrednio na miejscu zdarzenia („Bywa to czasem bardzo przydatne, nie tyle pod kątem prowadzenia jakichś badań, ile dlatego, że pomaga w odtworzeniu scenariusza wydarzeń”), przygląda się ze szczególną uwagą ułożeniu ciała i jego odległości od innych elementów, takich jak narzędzie zbrodni, odciski palców czy wejścia i wyjścia z pomieszczenia. Musi bardzo uważać. Dotyka zwłok tylko wtedy, kiedy jest to naprawdę konieczne, i stara się zachować jak najwięcej nienaruszonych śladów.

W jednej z ostatnich prowadzonych przez niego spraw policja uznała, że ofiara zginęła w wyniku upadku ze schodów, u których podnóża ją znaleziono. Dick stawiał się na miejscu zdarzenia, aby zobaczyć, „gdzie leżała, jak leżała i czy ktoś jej nie ruszał. Po przeprowadzeniu sekcji znalazłem ślady potwierdzające tezę o upadku ze schodów. Dzięki wiedzy zdobytej na miejscu mogłem wyjaśnić, że otarcia na jej boku powstały, gdy ofiara przetoczyła się przez zakręt schodów”.

Śledczy zawsze chcą poznać przybliżony czas śmierci. Taka informacja może potwierdzić lub zetrzeć w proch alibi podejrzanego. Im więcej czasu upłynęło od śmierci ofiary, tym trudniej to dokładnie ustalić; najbardziej przydatne są jak najprecyzyjniejsze informacje.

Pierwszą rzeczą, jaką robi się podczas każdej sekcji, jeśli nie zachodzi podejrzenie, że na ofierze dokonano gwałtu, jest zbadanie temperatury odbytu. W przypadku ofiar gwałtu Shepherd musi wbić termometr w jamę brzuszną. Niegdyś obowiązywała teoria, że ciało stygnie w tempie jednego stopnia Celsjusza na godzinę, dopóki nie osiągnie temperatury otoczenia. W przypadku normalnego człowieka, który zginął, gdy temperatura otoczenia wynosiła dwadzieścia stopni Celsjusza, oznaczało to, że istnieje siedemnastogodzinne okienko pozwalające na ustalenie dokładnego czasu śmierci. Badania dowodzą jednak, że na te wyniki wpływa wiele różnych czynników: szczupłe ciało stygnie szybciej niż grube, im większa jest odsłonięta powierzchnia skóry, tym szybciej zwłoki się wychładzają. Ważna jest także pozycja, w jakiej leży ciało, a także to, czy jest rozciągnięte, czy skulone, czy spoczywa w zagłębieniu, czy w pobliżu rzeki. Ubrania również mają wpływ na temperaturę zwłok. Mimo to wczesne ustalenia, o ile przeprowadzono je prawidłowo, mogą stanowić doskonały punkt wyjścia do dalszych badań, a specjaliści potrafią przeanalizować wiele różnych czynników, takich jak temperatura otoczenia czy waga ciała, za pomocą wieloosiowych wykresów zwanych normogramami.

Kolejnym objawem znajdującym się w gestii zainteresowań Dicka jest stężenie pośmiertne – makabryczny fenomen stanowiący podstawę określenia „sztywniak”, jakim obdarzamy nieboszczyków. Symptomy stężenia trwają dwa dni i są doskonale opisane, co pomaga specjalistom w ustaleniu czasu śmierci. W chwili zgonu ciało jest całkowicie wiotkie, a po jakichś trzech–czterech godzinach zaczynają tężeć najdrobniejsze mięśnie powiek, twarzy i szyi. Proces posuwa się w dół od głowy do palców u stóp, aż ogarnia największe grupy mięśni. Po dwunastu godzinach zwłoki są zupełnie zeszywniałe i zostają w takiej pozycji przez kolejną dobę. Później mięśnie się rozluźniają i stężenie ustępuje w tej samej kolejności – od najmniejszych mięśni posuwa się stopniowo ku największym. Po upływie następnych dwunastu godzin ciało znów jest zupełnie wiotkie.

Jednak nawet tak doskonale opisany i przebadany proces jest zawodnym wskaźnikiem czasu śmierci. Im wyższa temperatura otoczenia, tym szybciej następują poszczególne etapy. Wiadomo również, że zmienianie pozycji ciała prowadzi do przerwania procesu tężenia mięśni –

z tej informacji zdarza się korzystać mordercom próbującym wyprowadzić policję w pole.

Kiedy stężenie ustąpi całkowicie, rozpoczyna się najmniej przyjemny etap pobytu naszych ciał na ziemi. Widok rozkładających się zwłok nie należy do najprzyjemniejszych, ale specjaliści muszą być z nim bardzo dokładnie zaznajomieni, jeśli zależy im na właściwym wykonaniu pracy. Skóra jamy brzusznej nabiera zielonkawego odcienia w wyniku wydostania się bakterii zamieszkujących jelito krótkie.

Opanowujące stopniowo całe ciało bakterie zamieniają białka w aminokwasy, wydzielając przy tym gazy, od których zwłoki zaczynają się wydymać – najpierw w okolicach twarzy, począwszy od oczu i języka. Później skóra pokrywa się gęstą siatką naczyń krwionośnych, widocznych dzięki rozpadowi czerwonych krwinek i uwolnieniu hemoglobiny. W jamie brzusznej wciąż gromadzą się gazy, które ostatecznie wydostają się na zewnątrz, czasem z wielkim hukiem; towarzyszy temu okropny zapach. Ciało nabiera zielono-czarnych odcieni, z nosa i ust wydobywa się wydzielina, a skóra odpada wielkimi płacami jak z „wielkiego gnijącego pomidora”.

W tym samym czasie organy wewnętrzne, trawione przez bakterie, stają się coraz bardziej płynne. Początkowo proces opanowuje układ trawienny, a potem ogarnia płuca i sięga do mózgu. Z muszych jaj złożonych w otworach takich jak oczy, usta czy otwarte rany wylęgają się larwy i zabierają się do pożerania ciała.

Naukowcy wciąż badają i starają się doprecyzować najróżniejsze metody pozwalające na ustalenie czasu śmierci. Zdaniem Sue Black, antropolożki sądowej, nie zawsze prowadzi to do uproszczenia sytuacji.

Im więcej wiemy, tym większą mamy świadomość, że ustalenie czasu zgonu jest niezwykle trudne. Każde ciało rozkłada się inaczej i w innym tempie. Można badać zwłoki znalezione w odległości dwóch metrów od siebie i odkryć, że znajdują się na zupełnie innych etapach rozkładu. Mogą za to odpowiadać narkotyki lub leki zażywane przez ofiarę albo ubranie, jakie miała na sobie w chwili śmierci. Wszystko ma znaczenie, nawet to, że któreś z ciał wydzielalo zapach atrakcyjniejszy dla much.

Nowe narzędzia pomagają opanować tę przyprawiającą o ból głowy liczbę czynników, które mają wpływ na określenie dokładnego czasu śmierci. Ich opracowaniem zajmuje się od lat laboratorium antropologiczne przy Uniwersytecie Stanowym Tennessee, znane lepiej

jako Trupia Farma. Uruchomiono je w 1981 roku w celu badania rozkładu ludzkich ciał, a na jego czele stanął William Bass. Była to pierwsza instytucja prowadząca systematyczne badania wpływu środowiska na proces gnicia zwłok. Co roku ponad stu dawców ofiarowuje pośmiertnie swoje szczątki, które rozkładają się pod ścisłą obserwacją w najróżniejszych warunkach. Badacze ustalili jedną ogólną prawidłowość: tydzień pobytu zwłok na świeżym powietrzu jest równy ośmiu tygodniom pod ziemią i dwóm tygodniom pod wodą.

Nad zupełnie nową metodą ustalania czasu śmierci pracuje zatrudniony przez Uniwersytet Stanowy Tennessee profesor antropologii kryminalnej Arpad Vass. Analiza woni rozkładu ludzkiego ciała ma umożliwić identyfikację około czterystu różnych charakterystycznych oparów wydzielanych przez zwłoki na różnych etapach gnicia.

Zrozumienie, kiedy się pojawiają i w jakich okolicznościach, a także co na nie wpływa, może pomóc w o wiele dokładniejszym określeniu czasu zgonu, niż jest to obecnie możliwe.

Odkrycia laboratoryjne, takie jak te pochodzące z Trupiej Farmy, przenikają do świata medycyny sądowej dzięki publikacjom w prasie branżowej i monografiom. Są one niezwykle przydatne w zdobywaniu coraz lepszego materiału dowodowego potrzebnego w śledztwie.

Najczęściej korzysta się z nich w kostnicach i szpitalach, podczas sekcji zwłok. W jaki sposób i dlaczego zginęła ofiara? Czy powodem było morderstwo, samobójstwo, wypadek, wiek, czy też nie da się ustalić jednoznacznych przyczyn? Odpowiedzi rzadko bywają jasne na pierwszy rzut oka. Kula w głowie ofiary może oznaczać samobójstwo, morderstwo lub wypadek. Specjalista medycyny sądowej wchodzący do kostnicy musi być otwarty na każdą możliwość. Stopniowo zawęża pole swoich zainteresowań, skupiając się na coraz drobniejszych szczegółach, by na koniec dopasować je do ogólnej tezy. Od początku ubiegłego stulecia wszystkie sekcje zwłok podlegają mniej więcej tym samym regułom.

Po dostarczeniu ciała do kostnicy Shepherd zaczyna robić zdjęcia.

Jeden z jego asystentów wypakowuje ciało z worka i sprawdza je w poszukiwaniu śladów w rodzaju włókien czy włosów. Następnie Dick usuwa ubranie ofiary i fotografuje każdy element garderoby, która po dokładnym opisaniu trafia do osobnych worków. Nadchodzi czas na zebranie próbek biologicznych: włosów, materii spod paznokci, wydzielin. Dopiero teraz można pobrać odciski palców: wcześniejsze

próby mogłyby naruszyć ślady znajdujące się w zaciśniętej dłoni dotkniętej stężeniem pośmiertnym.

W następnej kolejności Shepherd myje zwłoki i opisuje każdą bliznę, znamię, tatuaż czy znak szczególny.

Każdy z nas ma swoje metody – wyjaśnia. Ja zaczynam od głowy i lewej strony ciała. Sprawdzam czaszkę, tors, brzuch, plecy, lewą rękę, lewą nogę, później prawą. Przygotowuję zdjęcia i dokumentację wszystkich znalezisk. Muszę przyznać, że czasem robi mi się słabo, gdy natrafiam na ofiary barowych bójek pokryte dziewięćset siedemdziesięcioma dwucentymetrowymi skaleczeniami. Czy mogę w takiej sytuacji ograniczyć się do stwierdzenia, że ofiara odniosła „bardzo wiele obrażeń”? Nie.

Takie rygorystyczne podejście przynosi nieocenione korzyści w zagmatwanych dochodzeniach, co udowadnia nam między innymi sprawa kolejnej utopionej brytyjskiej żony.

Trzeciego maja 1957 roku Kenneth Barlow, pielęgniarz z Bradford, zadzwonił godzinę przed północą na numer alarmowy, by poinformować, że znalazł swoją żonę nieprzytomną w wannie. Udało mu się ją wyciągnąć i przez dłuższą chwilę próbował ją reanimować.

Wspomniawszy też, że wieczorem żonę nękały mdłości i gorączka.

Podejrzenia śledczych wzbudziły dwie zużyte strzykawki znalezione w kuchni. Kenneth tłumaczył, że wykorzystał je, by podać sobie penicylinę pomagającą w leczeniu ropnia.

Badania potwierdziły obecność penicyliny w jego organizmie.

Oddelegowany do tej sprawy specjalista od medycyny sądowej David Price nie potrafił pozbyć się podejrzeń. Podczas sekcji zwłok obejrzał uważnie każdy skrawek skóry pani Barlow, posługując się w tym celu szkłem powiększającym. Udało mu się odkryć dwie mikroskopijne dziurki na jej pośladkach. Wyglądały na otwory powstałe podczas nakłuwania igłą. Ponieważ symptomy opisane przez Kennetha przypominały objawy hipoglikemii (niedocukrzenia), Price zaczął się domyślać, że Barlow podał żonie śmiertelną dawkę insuliny. W tamtych czasach nie dysponowano jeszcze testami pozwalającymi sprawdzić obecność insuliny w organizmie, więc lekarz pobrał próbki tkanki z pośladków ofiary i zaaplikował je laboratoryjnym myszom. Zwierzęta padły błyskawicznie w wyniku hipoglikemii. Barlowa skazano na dożywotnie więzienie.

Po gruntownym sprawdzeniu powierzchni ciała rozpoczyna się badanie organów wewnętrznych.

Lekarze szukają obrażeń niewidocznych od zewnątrz oraz śladów chorób, które mogły doprowadzić do śmierci z przyczyn naturalnych. Zaczynając od ramion, Shepherd nacina ciało na kształt litery Y sięgającej do podbrzusza, przepiłowuje żebra i obojczyki, a potem usuwa mostek, aby odsłonić serce oraz płuca. Podczas badania szyi ofiary zwraca uwagę na uszkodzenia chrząstki, które mogą wskazywać na uduszenie. Kolejnym etapem jest wyciągnięcie poszczególnych organów, pojedynczo (wątroba) lub w grupach (serce i płuca).



Shepherd bada je zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz – i zachowuje próbki. „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych domaga się, byśmy poddawali badaniu mikroskopowemu wszystkie najważniejsze organy, nawet jeśli jest to sekcja zwłok osiemnastolatka, który zginął od uderzenia kijem baseballowym w głowę”. Cóż, lepiej dmuchać na zimne i wszyscy powinniśmy być wdzięczni za te wytyczne. Pobrane przez Dicka próbki trafiają do laboratorium. Później lekarz nacina skórę głowy i ściąga ofierze skalp. Po przepiłowaniu czaszki wyjmuje mózg i poddaje go uważnym badaniom.

Na koniec Shepherd zaszywa wszystkie nacięcia na narządach wewnętrznych, wkłada je z powrotem na właściwe miejsca i zaszywa tors ofiary. Po wszystkim informuje śledczych oraz pozostałych specjalistów zaangażowanych w dochodzenie o swoich odkryciach, wyjaśnia wszelkie podejrzane ślady i podsuwa pomysły co do dalszego kierunku śledztwa. Policja zwykle zasięga opinii jeszcze jednego lekarza, który przeprowadza drugą sekcję. Po zebraniu informacji od pozostałych ekspertów – radiologa, neuropatologa i specjalisty od zwyrodnień układu kostnego – Shepherd pisze raport podsumowujący wyniki sekcji zwłok.

W skrajnych przypadkach potrzeba więcej niż dwóch sekcji.

Dwudziestego trzeciego sierpnia 2010 roku londyńska policja odkryła w łazience pewnego mieszkania czerwoną torbę podróżną należącą do Garetha Williamsa. Pochodzący z Walii trzydziestoletni geniusz matematyczny pracował dla brytyjskiego wywiadu wojskowego i zajmował się analizą oprogramowania. Po zerwaniu kłódki zabezpieczającej od zewnątrz zamki torby policja odkryła, że w środku znajduje się nagie ciało Garetha dotknięte objawami rozkładu.



Uznano to za zgon w podejrzanych okolicznościach. Rodzina ofiary była przekonana, że śmierć Williamsa ma związek z jego pracą dla wywiadu lub innych służb, zdarzało mu się bowiem pomagać także FBI – był członkiem grupy odpowiedzialnej za penetrację środowiska hakerów.

Dick Shepherd był jednym z trzech lekarzy przeprowadzających sekcję zwłok i podobnie jak jego dwaj koledzy zgadzał się, że Williams zginął na tydzień przed odnalezieniem zwłok. Nie udało się odnaleźć żadnych śladów przemocy, a ustalenie przyczyny śmierci okazało się niezwykle trudne z powodu zaawansowanego rozkładu: pogoda wciąż była letnia, zaś wszystkie kaloryfery w mieszkaniu były ustawione na najwyższą temperaturę grzania. Badania toksykologiczne również niczego nie wykazały, ale ze względu na stan zwłok nie dało się całkowicie wykluczyć próby otrucia. Uznano, że najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci Walijczyka było uduszenie.

Podczas sekcji lekarze odkryli niewielkie otarcia na łokciach Williamsa wskazujące na to, że próbował wydostać się z zamknięcia. Jak opisuje to Shepherd: „Po zatrzaśnięciu kłódki wyjście z torby stało się niemożliwe. Musieliśmy odpowiedzieć na pytanie, czy zamknął się w niej sam, czy też ktoś mu w tym pomógł”.

Podczas przesłuchania przeprowadzonego w maju 2001 roku Peter Faulding, były wojskowy specjalizujący się w ratowaniu ludzi z niewielkich, ciasnych przestrzeni, zeznał, że przeprowadził trzysta prób zamknięcia się w torbie o rozmiarach osiemdziesiąt jeden na czterdzieści osiem centymetrów, dokładnie takiej, w jakiej znaleziono Williamsa, i nie udało mu się to ani razu. Jak sam stwierdził, „nawet Houdini miałyby z tym problem”. Jego opinię potwierdził kolejny ekspert, który przeprowadził dodatkową setkę nieudanych prób.

Shepherd wciąż jednak podejrzewał, że genialny matematyk zmarł w wyniku uduszenia i „najprawdopodobniej” żył jeszcze, gdy wpakowano go do torby. Jego zdaniem wskazywała na to ciasno skulona pozycja zwłok. Twierdził również, że przed pojawieniem się objawów stężenia pośmiertnego ciało jest zbyt bezwładne, by dało się je wpakować do torby. Tym razem żaden specjalista nie zaoferował badań potwierdzających tę teorię. Udało się również ustalić, że próbka DNA znaleziona na palcu Williamsa podczas pierwszej sekcji nie miała żadnego związku z tajemniczą parą znad Morza Śródziemnego, której policjanci szukali bezskutecznie przez cały rok. Jeden z pracowników LGC, firmy zajmującej się analizą próbek na potrzeby medycyny sądowej, pomylił się przy wpisywaniu szczegółów do bazy danych.

Okazało się, że próbka DNA odkryta na zwłokach Williamsa należała do jednego z techników kryminalistycznych obecnych na miejscu zbrodni.

LGC wystosowało oficjalne przeprosiny, wyrażając „głębką skruchę” w związku ze swoją pomyłką.

W mieszkaniu Williamsa odkryto wartą prawie dwadzieścia tysięcy funtów kolekcję kobiecych ubrań, butów i peruk. Śledczy znaleźli również fotografie przedstawiające transwestytów oraz ślady wskazujące na to, że tuż przed śmiercią ofiara przeglądała strony internetowe poświęcone sztuce wiązania własnego ciała oraz klaustrofili – miłości do niewielkich, zamkniętych przestrzeni.

Fiona Wilcox zajmująca się tą sprawą z ramienia biura koronera uznała, że choć nie ma dowodów wskazujących na morderstwo, nie da się w tym przypadku wykluczyć udziału osób trzecich, które pomogły wciąż żywemu Williamsowi wejść do torby umieszczonej później w wannie. Dodała również, że nie odnaleziono żadnych śladów potwierdzających, iż Williams był transwestytą lub „interesował się takimi sprawami”.

Kilka dni po ogłoszeniu wyników sekcji próbę zmieszczenia się w podobnej torbie przeprowadził pewien dwudziestotrzyletni dziennikarz. Na ten sam pomysł wpadła również szesnastoletnia dziewczyna. Oboje weszli do środka, podciągnęli nogi pod brodę, zaciągnęli zamki prawie do końca, wystawili palce przez szczelinę i zatrzasnęli kłódki. Wystarczyło napiąć mięśnie, by zamek zasunął się do samego końca. Dziennikarz, zbudowany podobnie jak Williams, powtarzał tę sztuczkę wielokrotnie i potrafił zapakować się do torby w ciągu trzech minut.

Peter Faulding zbywa te eksperymenty machnięciem dłoni:

Moje wnioski są prawidłowe. To, że młoda dziewczyna zamknęła się w torbie, w niczym nie podważa wyników dochodzenia.

Wiedzieliśmy, że istnieją różne metody umożliwiające zamknięcie się w torbie, nie da się tego jednak zrobić bez pozostawienia śladów na zewnątrz, a to miało dla nas kluczowe znaczenie.

Shepherd zupełnie się z nim nie zgadza:

Nigdy nie uda mi się przekonać przedstawicielki biura koronera.



Wściekła się, gdy usłyszała moją hipotezę, można nawet stwierdzić, że zapłonęła gniewem. Moim zdaniem nikt mu nie pomógł – Williams

mieszkał sam, przebierał się w kobiece ciuchy, był pracoholikiem i matematycznym geniuszem, a psychika ofiary ma w tej sprawie większe znaczenie niż wyniki sekcji.

W 2013 roku londyńska policja przeprowadziła wewnętrzne śledztwo na prośbę koronera, który uznał, że w śmierć Williamsa mogły być zamieszane służby wywiadowcze. W listopadzie Scotland Yard wydał oświadczenie, według którego Gareth Williams zmarł w wyniku przypadkowego zamknięcia się w torbie. Hipoteza Shepherd'a została podtrzymana.

Do rozwiązania najbardziej skomplikowanych spraw potrzeba ludzi z wyobraźnią: lekarza medycyny sądowej, który zaaplikuje myszom tkankę z pośladków ofiary; dziennikarza, który zamknie się w torbie, choć nie udało się to wojskowemu specjalście. Tacy ludzie przywracają autopsji jej pierwotne znaczenie – starają się zobaczyć wszystko na własne oczy. Nasza ciekawość zwiększa się wraz z rozwojem nowych technologii. Dziś możemy zajrzeć w głąb ludzkiego ciała o wiele dokładniej, niż było to kiedyś możliwe, na dodatek nie brudząc sobie przy tym rąk. Stół do wirtualnej sekcji zwłok to nowy szwajcarski wynalazek: łączy rezonans magnetyczny z tomografem i przekształca obraz zwłok w trójwymiarowy model komputerowy.

Korzystając z tego urządzenia, niemieccy lekarze odnajdują uszkodzenia i wewnętrzne krwawienia niemożliwe do zlokalizowania podczas sekcji prowadzonej tradycyjnymi metodami. Jednym z elementów stołu jest skaner oferujący zdjęcia w bardzo wysokiej rozdzielczości, które po powiększeniu pozwalają odkryć nawet najmniejsze skaleczenia i ślady po igłach. Sekcja prowadzona za pomocą wirtualnego stołu pozwala również zaoszczędzić przykrości rodzinom ofiar, które nie życzą sobie, by bezczeszczono ciała ich bliskich.

Niektórzy konserwatywni specjaliści medycyny sądowej twierdzą, że stół to tylko zabawka o niewielkiej przydatności, ale młodszy pracownicy laboratoriów kryminalistycznych, zorientowani w nowych technologiach, korzystają z niego coraz częściej. W styczniu 2013 roku podobne urządzenia znajdowały się w trzech z trzydziestu pięciu instytutów medycyny sądowej przy niemieckich uniwersytetach.

Wykorzystuje się je głównie w celu uzupełnienia danych pozyskanych dzięki tradycyjnym sekcjom, mamy jednak coraz więcej dowodów na ich skuteczność. Tak było w przypadku pewnego alpinisty, który zginął

w szwajcarskich Alpach. Wszystkie obrażenia, jakich doznał – uszkodzenie mózgowiczaszki, pogruchotany odcinek lędźwiowy i złamana noga – zostały wykryte bez użycia skalpela.

Kolejną zaletą wirtualnej autopsji jest możliwość udostępnienia trójwymiarowego modelu zwłok kilku specjalistom, którzy prowadzą sekcje niezależnie od siebie, by dostarczyć dowody prezentowane później przed sądem. Spilsbury nie byłby tym zachwycony, ale ofiary jego metod – zapewne tak.

## 5. Toksykologia

*W mdłym kwiatku, w ziółku jednym i tym samym  
Ma nieraz miejsce jad wespół z balsamem*<sup>7</sup>.

William Shakespeare, *Romeo i Julia*, akt II, scena III

Toksyny bywają zabójczo zwodnicze. Odrobina digitoksyny uzyskiwanej z naporstnicy może uspokoić pracę serca. Wystarczy jednak tylko trochę zwiększyć dawkę, by wywołać mdłości i wymioty oraz doprowadzić do zawału serca. Jak zgrabnie ujął to w 1538 roku Paracelsus, ojciec nowoczesnej toksykologii: „Dawka czyni truciznę”.

Trucizna to jedna z najstarszych broni używanych przez ludzkość przeciwko sobie. Wraz z rozwojem nauki toksykolodzy zdobyli narzędzia do identyfikowania zabójczych substancji, ciągle też szukają różnych antidotów. Usystematyzowanie tych zagadnień to w dużej mierze dzieło jednego człowieka. U progu dziewiętnastego wieku Mathieu Orfila pobierał nauki w Walencji i Barcelonie, a później przeniósł się do Paryża, by studiować medycynę. Aby opisać efekty działania najróżniejszych trucizn, przez trzy lata eksperymentował na tysiącach psów, skazując je na okrutne cierpienia. (Środki znieczulające pojawiły się dopiero w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku, nie mógłby zresztą z nich korzystać, bo wpłynęłyby na wyniki eksperymentu). W wieku dwudziestu sześciu lat, około 1813 roku, Orfila opublikował swoje fundamentalne dzieło *Traité des poisons tirés des règnes minéral, végétal et animal, ou toxicologie générale* (Ogólna systematyka substancji toksycznych albo traktat o truciznach), w którym opisał wszystkie znane trucizny mineralne, roślinne i zwierzęce. Liczące tysiąc trzysta stron tomiszcze przez czterdzieści lat pozostawało głównym źródłem wiedzy toksykologicznej.

W najważniejszej części swego traktatu Orfila opisał, jak ulepszyć testy służące wykrywaniu substancji, która na zawsze skojarzyła się z dziewiętnastowiecznymi trucicielami – arseniku. Udało mu się odkryć, że gwałtowne wymioty mogą doprowadzić do usunięcia wszelkich śladów

trucizny z żołądka ofiary. Z badań wnętrzości psów dowiedział się, że to krew transportuje arszenik po całym organizmie.

Udowodnił również, że zwłoki absorbują arszenik zawarty w ziemi i trudno odróżnić te ślady od śladów pozostałych po podaniu arszeniku za życia. Od momentu publikacji traktatu toksykologodzy zaczęli badać ziemię wokół ekshumowanych grobów, by sprawdzić obecność trucizny.

W 1818 roku Orfila napisał *Secours à donner aux personnes empoisonnées ou asphyxiées, suivis des moyens propres à reconnaître les poisons et les vins frelatés et à distinguer la mort réelle de la mort apparente* (Wskazówki dla osób, które zażyły truciznę, z wyszczególnieniem sposobów wykrywania trucizn i zafałszowań w winie, a także metodami odróżniania śmierci prawdziwej od pozorowanej). Księga ta miała „upowszechnić najistotniejsze informacje z mojego *Traité des poisons*”. Ludzie z wolna zaczęli sobie uświadamiać, że zastosowanie właściwego antidotum może zniwelować część skutków przypadkowego zatrucia. Orfila naprawdę martwił się powszechną niewiedzą; był także świadom, że nowa dziedzina może przynieść spore zyski finansowe. Jak pisał we wstępie do swojej książki: „Jest wielce istotne, by osoby duchowne, urzędnicy, dyrektorowie większych przedsiębiorstw oraz ojcowie rodzin” zaznajomili się z wiedzą z zakresu toksykologii. Liczne tłumaczenia, między innymi na niemiecki, hiszpański, włoski, duński, portugalski i angielski, ugruntowały jego reputację. Jeśli podczas procesu sądowego potrzebny był toksykolog, prawnicy wzywali samego Orfilę, który w tym czasie został nadwornym lekarzem Ludwika XVIII.

W 1840 roku naukowiec zeznawał we wzbudzającej olbrzymie zainteresowanie sprawie delikatnej i wysublimowanej dziedziczki sporego majątku Marie-Fortunée Lafarge. Na proces zjechali się ludzie z całej Europy, ciekawi ostatecznego wyroku.

Pochodząca z arystokratycznej rodziny Marie dorastała w Paryżu i przyglądała się, jak jej szkolne przyjaciółki znajdują sobie bogatych mężów. Zdecydowana jak najszybciej pójść w ich ślady, przed ukończeniem dwudziestego trzeciego roku życia poprosiła swego wuja, by skorzystał dla niej z usług profesjonalnego swata. Ten nie miał zbyt trudnego zadania. Marie była młoda, piękna, a jej posag wynosił sto tysięcy franków. Swat wybrał dla niej Charles'a Lafarge'a, właściciela trzynastowiecznego klasztoru w regionie Limousin, położonym w środkowej Francji.

Posiadłość Lafarge'ów obracała się powoli w ruinę, Charles był jednak zdeterminowany, by przywrócić jej dawną świetność.

Wybudował kuźnię, w której opracował nowe technologie wytopu metali. Zainwestował w nią wszystkie pieniądze, interes jednak kulał

i ostatecznie trzeba było zgasić ogień w piecach. W 1839 roku młody Lafarge znalazł się na skraju bankructwa. Wyglądało na to, że ma tylko jedno wyjście – znaleźć bogatą żonę. Skontaktował się ze swatem w odległym Paryżu i nie informując go o swoich problemach finansowych, skupił się na wspaniałych referencjach, jakie wystawił mu miejscowy ksiądz, oraz zaletach posiadłości, której wartość szacowano na dwieście tysięcy franków.

Marie z miejsca zapalała do niego niechęcią. Uznała go za nudziarza, a w swoim pamiętniku zanotowała, iż „oblicze jego i figura zdradzały przemysłowca”. Podobał jej się za to pomysł zamieszkania w rozległej posiadłości, wylegiwania się na miękkich otomanach i spacerów po wonnych ogrodach. Poza tym człowiek mieszkający w średniowiecznym klasztorze musi być w skrytości ducha choć trochę poetą, prawda?

Wzięli ślub cztery dni po pierwszym spotkaniu i wsiedli do powozu, by ruszyć w drogę do Limousin. Kiedy Charles zabrał się do jedzenia pieczonego kurczaka, nie kłopotząc się przy tym używaniem sztucców, a następnie zapił posiłek butelką bordeaux, Marie przesiadła się na miejsce obok woźnicy. Jeszcze większego szoku doznała po dotarciu na miejsce. Jej teściowie ubierali się „w najgorszym wiejskim guście”, wyposażenie domu było „absurdalnie staroświeckie i rozklekotane” i wszędzie roiło się od szczurów. Pierwszej nocy w nowym domu, 13 września 1839 roku, Marie zamknęła się w swoim pokoju i napisała do męża emocjonalny list, w którym błagała go o zwolnienie jej z tego małżeństwa. „W przeciwnym wypadku zażyję arszenik, który z sobą przywiozłam (...). Gotowam oddać życie, by nigdy nie znaleźć się w twych objęciach”.

Kiedy się trochę uspokoiła, zgodziła się zostać z Charles'em pod jednym warunkiem – ich małżeństwo pozostanie nieskonsumowane, dopóki mąż nie zdobędzie pieniędzy wystarczających na renowację posiadłości. Zdaniem reszty mieszkańców między młodą parą zapanowało względne porozumienie. Marie lubiła spacerować w okolicach ruin gotyckiego kościoła i zabudowań klasztornych. Pisała do swoich przyjaciółek, wychwalając rozkosze domowego życia. Nie wspomniała jednak, że musiała kupić arszenik, by trzymać w ryzach miejscową populację szczurów.

Zasugerowała mężowi, że spisze testament, w którym zostawi mu cały posiadany majątek, oczywiście pod warunkiem że Charles zrobi to samo –

było to normalne zachowanie młodych par w tamtych czasach.

Lafarge wyraził zgodę, ale potajemnie przygotował drugi testament, w którym zapisał wszystko matce.

Cztery miesiące po ślubie, tuż przed Bożym Narodzeniem, Charles wybrał się do Paryża, aby zdobyć fundusze na renowację. Marie pisała do niego czułe listy, zwierzała się ze swojej tęsknoty i posłała mu świąteczne ciasto. Zwymiotował prawie natychmiast po skosztowaniu pierwszego kawałka. Udało mu się zdobyć trochę pieniędzy, ale w czasie powrotu do Limousin wciąż czuł się chory. Marie powitała go z wielką troską i nakazała, by położył się do łóżka. Poleciała karmić go truflami i dziczyzną, ale stan jego zdrowia wciąż się pogarszał, wezwano więc lekarza. Kiedy doktor ogłosił, że Charles mógł się zarazić cholera, w domu zapanowała panika.

Następnego dnia Charles miał silne skurcze w nogach i gwałtowną biegunkę. Pił olbrzymie ilości wody, ale to w niczym nie pomagało.

Sprowadzono kolejnego lekarza, który potwierdził, że są to objawy cholery, i nakazał podać choremu ajerkoniak, by wzmocnić jego siły.

Jedna z kobiet zatrudnionych przez rodzinę do opieki nad Charles'em, Anna, zauważyła, że Marie dosypuje do alkoholu jakiś biały proszek.

Kiedy zapytała, co to takiego, żona Lafarge'a wyjaśniła, że to tylko „cukier pomarańczowy”. Opiekunka jednak nie dała wiary jej słowom i ukryła ajerkoniak w szafce.

Charles zmarł po południu 13 stycznia 1840 roku. Anna podzieliła się swoimi obawami z jego rodziną. Spokojna reakcja Marie na śmierć męża, uznana z początku za oznakę godności, nagle zdała się podejrzana.

Następnego dnia wdowa spotkała się ze swoim notariuszem w sprawie ostatniej woli Charles'a.

W tym czasie brat jej męża poszedł na policję. Dwa dni później w posiadłości pojawił się sędzia pokoju, który aresztował Marie i rozpoczął dochodzenie. Miejscowi lekarze przebadali ajerkoniak, a także zawartość żołądka Charlesa i próbki wymiocin. Zarówno w alkoholu, jak i w żołądku odkryto ślady arszeniku, za to wymiociny okazały się czyste.

Przyszłość Marie nie rysowała się zbyt różowo, ale jej prawnik wpadł na pewien pomysł. „Wiedząc, iż w takich kwestiach pan Orfila jest najwyższym autorytetem”, napisał do niego list. Toksykolog wyjaśnił, że lekarze skorzystali z siedemnastowiecznych metod wykrywania arszeniku, ale istnieją nowocześniejsze testy, opracowane cztery lata wcześniej przez



angielskiego chemika Jamesa Marsha. Gdy Marsh po raz pierwszy opublikował szczegóły badań nad niezwykle skuteczną metodą wykrywania arszeniku, na łamach „Pharmacological Journal” pisano z nieskrywanym entuzjazmem: „To swoich ofiar muszą się teraz obawiać truciele, one będą przeciwko nim świadczyć”. Orfila dopracował metodę Marsha, która początkowo sprawiała nieco problemów. Wraz z kolejnym testem, opracowanym dwa lata później przez Hugona Reinscha, metoda Marsha stanowiła podstawowy sposób wykrywania arszeniku aż do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy zaczęto korzystać z chromatografii gazowej i spektroskopii.

Prawnik Marie uzbrojony w odpowiedź Orfila zakwestionował wyniki badań, sędzia zaś nakazał lekarzom, by raz jeszcze przeprowadzili testy, korzystając z nowocześniejszych metod.

Ponownie przebadano wymiociny, zawartość żołądka Charles’a i ajerkoniak. Niczego nie znaleziono.

Oskarżyciel zaopatrzył się w egzemplarz *Traité des poisons* i zabrał się do uważnej lektury. Dowiedział się, że gwałtowne wymioty mogą oczyścić organizm ze śladów arszeniku. Co więcej, krew docierająca do żołądka transportuje arszenik do innych organów.

Zwrócił się do sędziego z prośbą o ekshumację i przebadanie zwłok Charles’a. Sąd wyraził zgodę, a miejscowi medycy znów sięgnęli po metodę Marsha i przeprowadzili badanie w otoczeniu tłumu gapiów.

Widzowie mdleli od „smrodliwych wyziewów”. Ponownie nie odkryto żadnych śladów arszeniku. Na wieść o tym pani Lafarge podczas rozprawy rozpłakała się z radości.

W ostatnim akcie desperacji oskarżyciel zaczął wypytywać lekarzy, ile razy wcześniej mieli do czynienia z metodą Marsha.

Przyznali, że zetknęli się z nią po raz pierwszy. Prokurator uznał, że sprawa jest zbyt ważna, by o jej wyniku miała zadecydować opinia kilku prowincjonalnych medyków. Argumentował, że jedyną osobą, która może pomóc w rozwikłaniu tej sprawy, jest sam doktor Mathieu Orfila, światowej sławy toksykolog. Lekarz zabrał się do pracy natychmiast po przybyciu i poddał maceracji to, co pozostało z „wątroby, części serca, jelit i mózgu”. Tym razem metoda Marsha dała wynik pozytywny. Aby rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości, Orfila udowodnił również, że arszenik nie pochodził z ziemi, którą zasypano trumnę Charles’a.

Pani Lafarge została skazana na dożywotnie ciężkie roboty.

W 1841 roku, podczas pobytu w więzieniu opublikowała pamiętniki, w których upierała się przy swojej niewinności; nie przyznała się do winy aż do śmierci na gruźlicę w wieku trzydziestu sześciu lat.

To właśnie badania przeprowadzone przez Orfilę za pomocą testu Marsha stanowiły punkt zwrotny w walce z trucicielstwem i potwierdzały skuteczność toksykologii sądowej. Jednak tuż po zakończeniu procesu opinia publiczna nie potrafiła zdecydować, czy to, co przedstawiono jej w sali rozpraw, było nauką, sztuką, czy sztuczką.

Jak podsumowała jedna z gazet: „W ciągu dwóch dni nauka oczyściła oskarżoną z zarzutów, a teraz ta sama nauka wydała na nią wyrok”.

Wyglądało na to, że sprowadzenie toksykologa do pomocy w sprawie o zabójstwo było tylko połową sukcesu. Liczyło się również, czy był to właściwy toksykolog.

Marie Lafarge była jedną z bardzo wielu dziewiętnastowiecznych morderczyń posługujących się arszenikiem. Trucicieli motywowały pieniądze, zemsta, zdarzali się też tacy, którzy działali w samoobronie lub z sadystycznych pobudek. Francuzi dość jasno określili najczęstsze zastosowanie arszeniku, nazywając go *poudre de succession* – proszkiem dziedziczenia. Na drugim brzegu kanału La Manche, w Anglii i Walii, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia odnotowano dziewięćdziesiąt osiem spraw o otrucie.



Marie Lafarge, skazana za otrucie swojego męża ajerkoniakiem  
zaprawionym arsenikiem

Może wydawać się dziwne, że ludzie tak często sięgali po trucizny już po wynalezieniu testu przez Marsha, ale najprawdopodobniej wynikało to z faktu, że przed opracowaniem przez niego nowej metody większość

przypadków zatrucia arsenikiem uznawano za śmierć z przyczyn naturalnych.

Jedną z największych trudności stanowiło ustalenie, że ta właśnie trucizna posłużyła za narzędzie zbrodni. Arsenik jest praktycznie pozbawiony smaku, choć niektórzy twierdzą, że bywa słodkawy, nie ma żadnego zapachu i można go było kupić w wielu miejscach. Organizm nie potrafi się go szybko pozbyć, więc dochodzi do kumulacji ciężkich metalicznych pierwiastków, a objawy przypominają rozwój ciężkiej choroby i mogą się różnić stopniem nasilenia. Ślinotok, ból brzucha, wymioty, biegunka, odwodnienie lub żółtaczka – każdy z tych symptomów może świadczyć o zatruciu arsenikiem. Ponieważ nie wzbudzają one podejrzeń, morderca może atakować wielokrotnie, a lekarze kwalifikować kolejne przypadki jako zgon z powodu cholery, czerwonki lub tyfusu. Sprytni truciciele wiedzieli, że gwałtowna śmierć może wzbudzić zaniepokojenie, i preferowali długotrwałe podawanie małych dawek.

W 1851 roku parlament brytyjski wydał ustawę o arseniku utrudniającą kupienie trucizny. Sprzedawcy musieli się rejestrować, a każdy kupujący wyjaśniał na piśmie, do czego jest mu potrzebna ta substancja. Nakazano również barwienie wszystkich rodzajów arseniku poza tymi stosowanymi w medycynie i rolnictwie, tak by trudniej było go pomylić z mąką lub solą.

Ani ustawa, ani skuteczność testu Marsha nie powstrzymały kolejnych morderców. Mary Ann Cotton (z domu Robinson) urodziła się w 1832 roku w niewielkiej wiosce niedaleko Durham, w północno-wschodniej Anglii. Gdy miała dziewięć lat, jej ojciec zginął w wyniku wypadku – wpadł do kopalnianego szybu – a dla rodziny nastąpiły ciężkie czasy. Mary Ann okazała się bystrą dziewczyną i w wieku kilkunastu lat zaczęła prowadzić lekcje w miejscowej szkółce niedzielnej.

Gdy miała dziewiętnaście lat, zaszła w ciążę z górnikiem Williamem Mowbrayem i razem wyruszyli w świat, by rozejrzeć się za pracą. W czasie ich wspólnej tułaczki po kraju Mary Ann powiła pięcioro dzieci, ale czworo z nich zmarło, prawdopodobnie z przyczyn naturalnych.

W 1856 roku para powróciła na północ, a Mary Ann urodziła Mowbrayowi jeszcze trójkę dzieci, które zmarły z powodu biegunki.

Żałoba nie przeszkodziła jej w realizacji wypłat z polis ubezpieczeniowych, które założyła dla całej trójki. Pewnego dnia

Mowbray zranił się w stopę podczas pracy w kopalni i musiał dochodzić do zdrowia w domu. Wkrótce jednak poważnie zachorował, zdiagnozowano u niego „tyfus”. Zmarł w styczniu 1865 roku. Mary Ann pojawiła się w biurze firmy ubezpieczeniowej Prudential i zainkasowała trzydzieści funtów odszkodowania z polisy założonej całkiem niedawno przez Mowbraya, który uległ jej namowom.

W ciągu następnych kilkunastu lat Mary Ann stała się jedną z najsukuteczniejszych seryjnych morderczyń w historii Wielkiej Brytanii.

Nigdy nie będziemy całkowicie pewni liczby jej ofiar, ale najprawdopodobniej otruła matkę, trzech mężów (ocalał tylko ten, który odmówił założenia polisy na życie), kochanka, ośmioro z tuzina własnych dzieci i siedmioro dzieci swoich mężów – co najmniej dwadzieścia osób.

W 1872 roku trucicielka zasadziła się na Richarda Quick-Manna, pracownika Urzędu Celno-Podatkowego, zdecydowanie majątniejszego niż jej poprzedni mężowie, którzy wywodzili się z klasy robotniczej. Na przeszkodzie stał tylko siedmioletni przybrany syn Charles Cotton.

Próbowała oddać chłopca na wychowanie jednemu z jego wujów, ale plan się nie powiódł. Później chciała go wysłać na przyuczenie do miejscowego warsztatu. Kiedy kierownik zaczął nalegać, by Mary Ann została razem z chłopcem, powiedziała mu, że Charles jest schorowany i jeśli kierownik szybko nie zmieni zdania, jej przybrany syn „umrze, jak wszystkie inne dzieci Cottonów”.

Wyczerpawszy wszystkie możliwości, Mary Ann podała chłopcu truciznę. Na wieść o jego nagłej śmierci kierownik warsztatu zgłosił się na policję. Sekcję przeprowadził lekarz, który zajmował się Charles'em przed śmiercią. Nie znalazł śladów otrucia. Stwierdzono śmierć z przyczyn naturalnych. Doktor zachował jednak żołądek i jelita chłopca, a kiedy poddał je badaniom za pomocą testu Reinscha, odkrył ślady śmiertelnej trucizny.



Ekshumacja ostatnich ofiar Mary Ann potwierdziła wysokie stężenie arsenu w ich ciałach. obrońca upierał się, że Charles wdychał truciznę zawartą w zielonej farbie, którą pomalowano jego pokój. Ciężar dowodów i zeznania świadków były jednak tak przytłaczające, że Mary Ann skazano na karę śmierci. Wydaje się wręcz niewiarygodne, że nikt wcześniej niczego się nie domyślił, ale przed śmiercią Charles'a jego zabójczyni zawsze działała z niezwykłą ostrożnością i sprytem,

wykorzystywała swój urok osobisty i przeprowadzała się zbyt często, zmieniając przy tym nazwiska, by ktokolwiek mógł wpaść na jej trop. Na dodatek żyła w świecie, w którym śmiertelność niemowląt wśród klasy robotniczej sięgała nawet pięćdziesięciu procent.

Kiedy wreszcie zawisła, jej sława osiągnęła apogeum. Po ulicach krążył wiersz rozpoczynający się od wersu „Mary Ann Cotton – nie żyje i gnije”, a temat nie schodził z pierwszych stron gazet przez wiele miesięcy. Czy robiła to tylko dla pieniędzy? A może działały tu jakieś mroczne siły? Czy coś takiego może się powtórzyć? Dlaczego tak długo była na wolności? Jak wielu podobnych trucicieli może umknąć sprawiedliwości?

Opinia publiczna epoki wiktoriańskiej była zafascynowana postacią żony trucicielki, która pod pozorem miłości i czułości dosypuje mężowi do herbaty kolejną łyżeczkę cukru, tym razem zabójczą.

Czytelnicy z mieszaniną ciekawości, strachu i podniecenia chłonęli wiadomości o prawdziwych następczyniach Lukrecji Borgii.

W rzeczywistości w dziewiętnastowiecznej Wielkiej Brytanii w dziewięćdziesięciu procentach spraw o zabójstwo współmałżonka, które zakończyły się wyrokami skazującymi, oskarżonymi byli mężowie.

Kobiety ginęły najczęściej w wyniku uduszenia bądź ran zadanych nożem, ale liczba trucielek postawionych przed sądem dwukrotnie przewyższała liczbę mężczyzn uciekających się do tej metody zabójstwa.

Nie zawsze łatwo było udowodnić otrucie. Arsenik występował na każdym kroku. Zawierała go farba, którą malowano zabawki i lakierowano okładki książeczek dla dzieci, malowano nią też ściany i barwiono zasłony na zielono. Wykorzystywano go do produkcji kosmetyków, pigułek na potencję, kremów na pryszczki i taniego piwa.

W związku z tym toksykologzy badający przypadki nagłej śmierci musieli zwracać szczególną uwagę na stężenie arsenu w organizmie, aby uniknąć fałszywych oskarżeń o morderstwo.

W przeszłości wielu producentów używało toksycznych substancji; czasem nie mieli pojęcia o skutkach ubocznych, czasem zaś mieli nadzieję, że nie dowie się o nich opinia publiczna. U progu dwudziestego wieku dwaj nowojorscy lekarze wywarli olbrzymi wpływ na ograniczenie zaniedbań korporacji i działalność przyszłych trucicieli.

W 1918 roku Charles Norris został głównym nowojorskim lekarzem sądowym odpowiedzialnym za sekcje zwłok ludzi, którzy zmarli w podejrzanych okolicznościach. Norris stworzył podwaliny pierwszego

na świecie systemu badań medycyny sądowej. Wcześniej sekcjami zwłok na potrzeby medycyny sądowej zajmowali się „wybieralni koronerzy”, zazwyczaj niezbyt dobrze wykształceni cyrulicy lub grabarze, jeśli nie gorzej. Jak podsumowuje historyk kryminalistyki Jürgen Thorwald, w latach 1898–1915 funkcję koronerów pełniło w Nowym Jorku „ośmiu grabarzy, siedmiu zawodowych polityków, sześciu handlarzy nieruchomościami, dwóch fryzjerów, dwóch blacharzy, jeden rzeźnik, jeden mleczarz, dwóch właścicieli barów”<sup>8</sup>.

System był skorumpowany i niewydolny. I nagle pojawił się główny lekarz sądowy, który miał zatrudniać wykształconych medyków, „utalentowanych patologów oraz ludzi obeznanych z obsługą mikroskopu”.

Jedną z pierwszych osób zatrudnionych przez Norrisa był Alexander Gettler, którego główny lekarz sądowy ogłosił szefem swojego laboratorium chemicznego. Poprosił go również o stworzenie pierwszego w Stanach Zjednoczonych laboratorium toksykologicznego.

Gettler zabrał się do opracowywania metod pozwalających na wykrywanie różnych toksyn. W epoce, w której zatrucia wywołane sfałszowanym alkoholem osiągnęły rozmiar prawdziwej epidemii, badacz skupił się na sposobach pozwalających na wykrywanie aktywnych składników używanych do jego produkcji. Natknąwszy się na nieznaną trującą substancję, przynosił od pobliskiego rzeźnika kawałek wątroby, wstrzykiwał weń truciznę i eksperymentował tak długo, aż udało mu się określić, z czym ma do czynienia.



Aby stworzyć pierwszą „naukową skalę zatruc”, musiał przebadać ponad sześć tysięcy mózgow. To właśnie dzięki jego badaniom specjaliści medycyny sądowej zaczęli w przypadkach gwałtownych i niewyjaśnionych śmierci testować fragmenty tkanki mózgowej w poszukiwaniu śladów pozostawionych przez alkohol. Gettler opracował również metody wykrywania chloroformu, czadu, cyjanku, krwi i nasienia. Kiedy więc sama nauka trafiła przed oblicze sprawiedliwości, to właśnie Norris i Gettler jako czołowi eksperci zostali poddani skrupulatnym przesłuchaniom.

Opowieść tę trzeba rozpocząć w 1898 roku w Paryżu. Tam właśnie Maria Curie-Skłodowska badała właściwości trzech odkrytych przez siebie

pierwiastków radioaktywnych: toru, radu i polonu. Już w 1904 roku pierwsi lekarze zaczęli stosować „terapię radową” – używali soli radu do zmniejszania guzów nowotworowych. Świat oszalał na punkcie nowej cudownej substancji; pojawiła się woda radowa, napoje z radem, kremy do twarzy, pudry i mydła, a przydrożne billboardy zachwalały świecący pierwiastek, który ożywia ciało i duszę.

Dobroczynne działanie promieni radu zdawało się nie mieć żadnych granic. Firma US Radium Corporation wypuściła zegarki, których tarcze, pokryte warstwą farby z radioaktywnym pierwiastkiem, świeciły w ciemnościach delikatnym zielonkawym blaskiem. Przed zakończeniem pierwszej wojny światowej radowe zegarki zdobiły nadgarstki wielu amerykańskich modnisiów, a firma zbiła na nich majątek.

Pracownice zatrudnione do malowania tarcz w fabryce w Orange w New Jersey malowały około dwustu pięćdziesięciu egzemplarzy dziennie. Dziewczyny oblizywały końcówki pędzli, by nadać im spiczasty kształt, ponieważ kierownictwo nalegało na jak najoszczędniejsze używanie drogiej farby. W czasie przerw malowały sobie nią paznokcie i farbowały kosmyki włosów; jedna nawet sprawiła sobie „ośniewający” uśmiech, czyli nałożyła farbę na zęby.

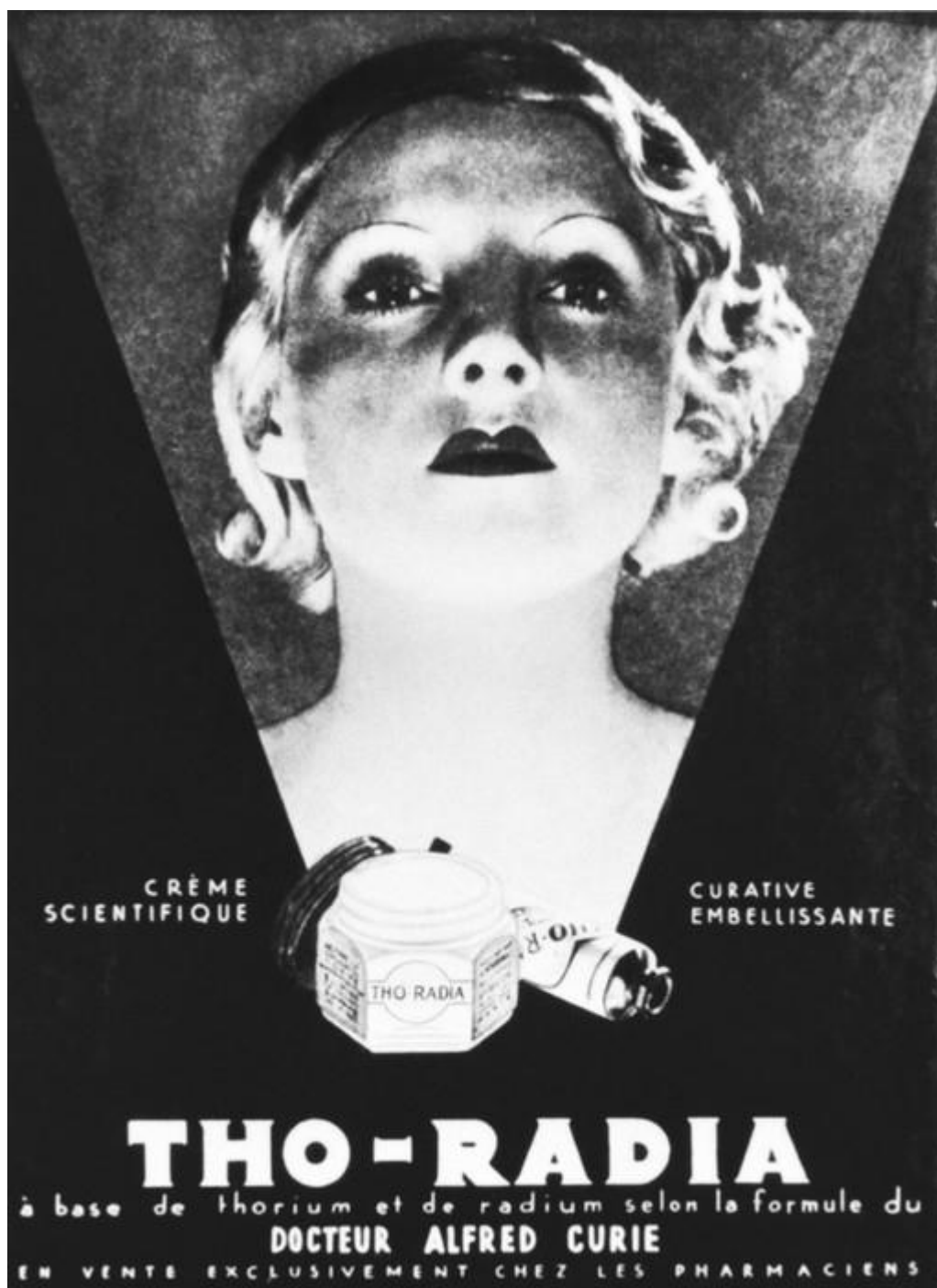
W 1924 roku robotnice zaczęły chorować. Gniły im szczęki, miały trudności z chodzeniem z powodu przemieszczenia kości w biodrach i łamliwych kostek. Niski poziom czerwonych krwinek sprawiał, że były ciągle zmęczone. Dziesięć dziewczyn zmarło. Kierownictwo US Radium, w obawie o przyszłość swoich interesów, zatrudniło grupę naukowców z Harvardu w celu zbadania tej sprawy. Badacze doszli do wniosku, że śmierć pracownic „miała związek” z ich pracą.

Spanikowany zarząd firmy zabronił publikacji raportu. Jednak sprawą śmierci robotnic zajęli się też inni naukowcy.

Raport trafił do rąk Harrisona Martlanda, specjalisty od medycyny sądowej, który uznał, że konieczne jest dalsze dochodzenie. Martland już wcześniej angażował się w walkę o poprawę bezpieczeństwa w miejscu pracy. Publikował wyniki badań, które udowodniały, że robotnicy fabryk zbrojeniowych cierpią w wyniku zatrucia nitrogliceryną oraz że beryl, wykorzystywany w raczkującym przemyśle elektronicznym, może wywoływać zabójcze choroby płuc. Jego prace doprowadziły do wprowadzenia nowych regulacji.



W 1925 roku, przebadawszy pracownice fabryki w Orange i przeprowadziwszy sekcje zwłok ich koleżanek, Martland udostępnił wyniki swojego dochodzenia. Wyjaśniał, że rad jest strukturalnie powiązany z wapniem – organizm traktuje go tak samo. W przypadku zażycia radu część pierwiastka jest metabolizowana, część przenika do nerwów i mięśni, większość natomiast trafia do kości. Tyle że w odróżnieniu od wapnia, który je wzmacnia, rad bombarduje kości radioaktywnym promieniowaniem niszczącym szpik i tworzącym niewielkie dziurki, które z czasem zaczynają się powiększać.



Reklama zachwalająca radowy krem do twarzy „według formuły doktora Alfreda Curie”

Tego samego roku niewielka grupa byłych pracowników zebrała się na odwagę i pozwała US Radium. „Radowe dziewczyny”, jak nazwała je prasa, walczyły przez trzy lata o wyznaczenie daty pierwszego procesu.

W tym czasie Martland poprosił Charlesa Norrisa, głównego lekarza sądowego w Nowym Jorku, o zgromadzenie niezbędnego materiału dowodowego.

Razem zaplanowali ekshumację dwudziestopięcioletniej Amelii Maggii. W ostatnim roku pracy dziewczyna bardzo schudła i cierpiała na przewlekłe bóle stawów.

Później trzeba było jej usunąć kości szczęki. Zmarła we wrześniu 1923 roku w wyniku „zapalenia jamy ustnej”, jak opisał to lekarz.

Norris poprosił Gettlera o przebadanie jej kości, w tym czaszki, stopy i prawej piszczeli. Naukowiec przez trzy godziny gotował je w roztworze sody oczyszczonej.

Następnie większe kości przepołowiono. Gettler szczelnie je zawinał i przeniósł do ciemni, w której wisiały błony fotograficzne przeznaczone do zdjęć rentgenowskich. Zostawił tam również kontrolną próbkę kości pobranych z innego ciała. Kiedy zajrzał do ciemni po dziesięciu dniach, błony wiszące wokół szczątków Amelii Maggii pokryte były dziesiątkami jasnych punktów, podczas gdy te, które wisiały w pobliżu próbki kontrolnej, okazały się zupełnie czyste. Natychmiast opublikował wyniki swoich badań.

Proces przeciągał się w nieskończoność, a „radowe dziewczyny” coraz bardziej podupadały na zdrowiu. Były wśród nich dwie siostry Amelii – Quinta i Albina Maggia. Quinta cierpiała z powodu uszkodzenia bioder, a Albina nie ruszała się z łóżka i miała jedną nogę krótszą o dziesięć centymetrów od drugiej. Kolejna z dziewczyn, Katherine Schaub, liczyła już tylko na to, że za pieniądze z odszkodowania kupi sobie róże na pogrzeb.

Obrońcy zatrudnieni przez US Radium wciąż starali się opóźnić proces. Twierdzili między innymi, że pracownice nie mogą pozwać firmy, ponieważ nie są już zatrudnione w fabryce. Oskarżenie, posiłkując się pracami Martlanda i Gettlera, argumentowało natomiast, że rad, w odróżnieniu od innych toksyn – takich jak arszenik i rtęć, których organizm po jakimś czasie się pozbywał – pozostawał w człowieku na zawsze. Ślady tego pierwiastka znajdowano w oddechach wszystkich „radowych dziewczyn”.



Dziewięć z „radowych dziewczyn” zatrudnionych przy malowaniu zegarków toksyczną farbą, cierpiących wskutek choroby popromiennej

Sąd oddalił sprzeciw firmy i nakazał kontynuowanie procesu.

Doprowadziło to do błyskawicznego podpisania ugody, dzięki której każda z kobiet dostała dziesięć tysięcy dolarów w gotówce, rentę i darmową opiekę medyczną. Firma wybroniła się tanim kosztem: co najmniej dwie z byłych pracownic zmarły przed upływem roku.

Smutną historię „radowych dziewczyn” można znaleźć w książce Deborah Blum *The Poisoner's Handbook* (Poradnik truciciela) opublikowanej w 2010 roku. Długi czas oczekiwania na ukaranie pracodawców i oddanie choć częściowej sprawiedliwości ofiarom ich zaniedbań to problem większości spraw związanych z zatruciami pracowników przemysłu. Jak pisał James C. Whorton w swojej książce z 2010 roku, *The Arsenic Century* (Stulecie arszeniku): „Świece z arszenikiem, papier, tkaniny trafiły do sprzedaży, zanim dowiedziano się o niebezpiecznych cechach tej substancji, co oznaczało, że każda próba ich wycofania z rynku napotykała opór ze strony producentów (...)

oraz była zwalczana lub ignorowana przez polityków sprzeciwiających się ingerencji rządów w interesy”.



Stworzone przez Gettlera laboratorium toksykologiczne stało się wzorcem dla innych badaczy. Połączone wysiłki wielu naukowców pozwoliły ograniczyć listę niewykrywalnych trucizn praktycznie do zera.

Chociaż liczba morderstw z ich użyciem zdecydowanie spadła, a warunki pracy robotników w krajach rozwiniętych uległy znacznej poprawie, liczba ofiar toksycznych substancji pozostaje wysoka, przede wszystkim ze względu na narkotyki – heroinę, kokainę i metamfetaminę.

To najczęściej z ofiarami takich zatruć mają do czynienia współcześni toksykolodzy sądowi.

Robert Forrest jest profesorem chemii sądowej Uniwersytetu Sheffield oraz jednym z czołowych brytyjskich toksykologów sądowych.

Jego przygoda z kryminalistyką rozpoczęła się od założenia kliniki toksykologicznej w Sheffield i wyposażenia jej w najnowsze technologie badawcze. Pracownicy kliniki zajmowali się między innymi badaniem próbek pobranych z ciał ofiar nagłej fali zgonów wśród użytkowników metadonu stosowanego w leczeniu uzależnienia od heroiny.

Jakiś czas po otwarciu kliniki skontaktował się z nim miejscowy koroner, by zapytać, czy nie zechciałby pomóc w sprawach kryminalnych. „Miało mi to przynieść pewne zyski finansowe, więc zabrałem się do pracy – i tak to się zaczęło” – wyjaśnia Forrest. Choć było to dla niego nowe i trudne zajęcie, z czasem jego doświadczenie rosło. Jako że większość toksycznych substancji nie pozostawia widocznych śladów na tkankach i nie da się ich wykryć nawet za pomocą mikroskopu, Robert musiał poddawać analizie chemicznej próbki krwi, moczu, organów wewnętrznych, włosów i coraz częściej paznokci pobranych w czasie sekcji zwłok.

Czasem zatrucie metadonem następuje stopniowo, co można odkryć po przebadaniu włosów ofiary. Ponieważ rosną one średnio centymetr na miesiąc, Forrest dzieli włos na odcinki tej właśnie długości i poddaje je badaniom, dzięki którym może stworzyć oś czasową opisującą częstotliwość zażywania narkotyków. Metoda ta przydaje się w sprawach powiązanych z przestępstwami narkotykowymi.

Weźmy na przykład taką sprawę, w której prostytutka nie może poradzić sobie ze swoim płaczącym dzieckiem, więc usypia je odrobiną

metadonu. Pewnego dnia podaje go za dużo. Broni się i twierdzi, że ktoś inny musiał dziecku zaaplikować narkotyk. Jednak kiedy badamy włosy ofiary, odkrywamy, że zażywała metadon całymi miesiącami, więc ta obrona okazuje się niezbyt przemyślana.

Nie jest to jednak metoda stuprocentowo odporna na pomyłki.

W jaśniejszych włosach osadza się mniejsza ilość narkotyków niż w ciemniejszych; ma to związek z niższą zawartością melaniny. Zabiegi fryzjerskie takie jak prostowanie lub farbowanie usuwają ślady toksycznych substancji. Analiza włosów wciąż jednak bywa przydatna w badaniach na obecność narkotyków, i to nie tylko dlatego, że po śmierci ofiary pozostają one w takim samym stanie jak za jej życia.

Z czasem stało się jasne, że po śmierci gwałtownie zmienia się poziom toksyn w innych częściach organizmu. „Interpretacja wyników nie zawsze bywa prosta” – przyznaje Forrest. Kiedyś twierdzono, że krew pobrana za życia musi dawać takie same wyniki toksykologiczne jak próbka pobrana pośmiertnie. „Dziś już wiemy, że to nieprawda.

Trzeba badać wszystko bardzo uważnie. To wyjątkowo trudne zajęcie”.

To, gdzie i jakie stężenie toksyn odkrywamy, zależy w dużej mierze od sposobu przyjęcia danej substancji. Jeśli była wdychana, najwięcej znajdziemy w płucach. Jeśli wstrzyknięto ją domięśniowo, większość zgromadzi się w mięśniach otaczających miejsce iniekcji. Przy wstrzykiwaniu dożylnym nie znajdziemy praktycznie żadnych śladów w żołądku i wątrobie, bo wszystko będzie we krwi. Substancja połknięta osadzi się przede wszystkim w żołądku, jelitach i wątrobie. Jak wyjaśnia Robert: „Standardowo dostajemy próbki pobrane pośmiertnie. Często niestety zdarza się, że brytyjscy lekarze zapominają podczas sekcji o sprawdzeniu treści żołądka, a to niezwykle użyteczna informacja”.



Wygląda na to, że linia podziału między północą a południem, tak ważna dla wielu aspektów angielskiego życia, obowiązuje również w toksykologii.

Toksykologia to nie tylko nauka rozpoznawania obcych substancji wykrytych w organizmie. Czasem pomaga ona również w odtworzeniu okoliczności czyjejś śmierci. Niekiedy gra toczy się o najwyższą stawkę, zwłaszcza gdy oskarżonym jest pracownik instytucji publicznej, którego obowiązkiem była opieka nad chorymi i znieдоłężniałymi.

Trzydziestotrzyletnia Jessie McTavish pracowała jako pielęgniarka na oddziale geriatrycznym w szpitalu Ruchill w Glasgow. Dwunastego maja 1972 roku natknęła się w telewizji na odcinek amerykańskiego serialu *Ironside*, w którym krewni pacjentów płacili pielęgniarce za uśmiercanie leciwych podopiecznych za pomocą zastrzyku. Następnego dnia rozmawiała na ten temat z koleżankami w pracy, a jedna z nich wspomniała, że zatrucie insuliną nie pozostawia żadnych śladów. Trzy tygodnie później na oddziale Jessie nagle zaczęli umierać pacjenci; w czerwcu zmarło ich pięcioro.

Lipiec rozpoczął się od śmierci szóstej ofiary, osiemdziesięcioletniej Elizabeth Lyon. Lekarz wystawiający akt zgonu nabrał pewnych podejrzeń, zaczął więc rozmawiać z pacjentami. Jedna z kobiet wyraźnie obawiała się pielęgniarki. McTavish zrobiła jej zastrzyk, po którym pacjentka „poczuła się okropnie”, a kiedy zapytała, co to za lekarstwo, siostra wyjaśniła, że to placebo, oczyszczona woda.

Inne pielęgniarki przyznały, że Jessie robi pacjentom zastrzyki, a później nie odnotowuje tego w dokumentacji. Mówiła też jednemu z gości odwiedzających szpital, że z powodu dużej liczby zgonów na jej oddziale w kostnicy mówią o niej „siostra Burke’a i Hare’a”<sup>9</sup>.

McTavish została zawieszona w obowiązkach i oskarżona o podanie nieprzepisowych leków trójce kolejnych pacjentów, z których jeden zmarł. W tym czasie nie dysponowano jeszcze metodami pozwalającymi na dokładne zmierzenie poziomu insuliny w organizmie, niemniej toksykolodzy badający próbki tkanek z ciała Elizabeth Lyon odkryli wysokie stężenie insuliny w obu ramionach ofiary. Zauważono także ślady po igle.

W czerwcu 1974 roku pielęgniarka stanęła przed sądem, który skazał ją za zabójstwo Elizabeth Lyon i podanie nieprzepisowych zastrzyków trójce innych pacjentów. Jedna z pracujących z nią pielęgniarek odnotowała odkrycie na oddziale trzech opróżnionych fiolek po insulinie, choć żaden z pacjentów jej nie potrzebował. Kolejna zeznała, że słyszała Jessie mówiącą: „Mogą sobie wykopać te ciała, na pewno nie znajdą żadnych śladów insuliny”. Ostatecznie McTavish skazano na dożywocie.

Pięć miesięcy później pielęgniarka wniosła apelację. Jej prawnik twierdził, że sędzia, lord Robinson, podczas pierwszego procesu wprowadził w błąd ławników, ponieważ przeinaczył słowa oskarżonej wypowiedziane do inspektora policji, który postawił jej zarzuty.

Rozmowa nie była nagrywana, zaś policjant zeznał, że Jessie powiedziała: „Podałam pani Lyon pół centymetra roztworu insuliny, ponieważ chciała zakończyć swoje cierpienia i miała problem z jelitami”. McTavish zaprzeczyła jego zeznaniu i powiedziała, że wspominała jedynie o podawaniu oczyszczonej wody. To inspektor miał ją nakłonić, by przyznała się do podania insuliny, ponieważ groziła za to tylko „kara grzywny w wysokości pięciu funtów”. Sąd apelacyjny potwierdził niedopatrzanie sędziego pierwszej instancji i unieważnił wyrok.

Nazwisko McTavish zostało wykreślone ze szkockiego rejestru pielęgniarek. Szybko wyszła za mąż i pod nowym nazwiskiem w 1984 roku zapisała się w brytyjskim rejestrze pielęgniarek, położnych i opiekunek medycznych.

Wyrok w tej sprawie został anulowany. Zupełnie innego finału doczekała się za to sprawa kolejnego seryjnego zabójcy, lekarza, który wykorzystywał swoją pozycję do podawania pacjentom zastrzyków z morfiną, później zaś sam wypisywał ich akty zgonu.

Harold Frederick Shipman (znany wszystkim jako Fred) urodził się w 1946 roku na osiedlu komunalnym w Nottingham. Był rozgarniętym chłopcem, a na egzaminach gimnazjalnych poszło mu tak dobrze, że otrzymał stypendium najlepszej okolicznej szkoły – High Pavement.

Matka zawsze wierzyła, że jej syn jest ulepiony z lepszej gliny niż sąsiedzi, co sprawiło, że Fred spoglądał na wszystkich z poczuciem wyższości i czuł się odizolowany od swoich rówieśników. Powolne i pełne bólu umieranie matki cierpiącej na raka płuc było dla niego tragedią. Siedział przy niej zazwyczaj, gdy lekarze popołudniami podawali jej morfinę, aby ulżyć w cierpieniu. Zmarła w 1963 roku, gdy Fred miał siedemnaście lat.

Dwa lata później, podczas pierwszego roku na studiach medycznych w Leeds, poznał szesnastoletnią dekoratorkę wystaw Primrose Oxtoby, którą poślubił na trzy miesiące przed narodzinami ich córki. Świeżo upieczony małżonek i ojciec, a także student, Shipman uzależnił się od syntetycznego opioidu, petydyny, środka przeciwbólowego podawanego głównie kobietom w położu. Zaczęło się to prawdopodobnie w czasie nauki, gdy zachęcano studentów, by testowali na sobie różne środki. Grupy kontrolne liczyły zwykle po cztery osoby, para uczniów znajdowała się pod wpływem testowanej substancji, druga para monitorowała jej działanie.



Shipman przez wiele lat fałszował recepty na petydynę, aż w końcu zniszczył sobie żyły ciągłym podawaniem zastrzyków. Poddał się leczeniu psychiatrycznemu i w 1975 roku wyszedł z nałogu. Z zewnątrz sprawiał wrażenie zwykłego przedstawiciela klasy średniej, ojca czwórki dzieci, wiernego oddanej żonie. Jego pacjenci widzieli w nim dobrego lekarza i choć kilku kolegów po fachu twierdziło, że Fred jest arogancki i wyniosły, cieszył się sporą sympatią w miejscach, w których przyszło mu prowadzić praktykę – od 1974 roku leczył w Todmorden w Yorkshire, a trzy lata później przeniósł się do Hyde w Lancashire.

Prawda wyglądała jednak zupełnie inaczej: trudno byłoby znaleźć gorszego lekarza niż Shipman. Przez dwadzieścia pięć lat pracy mordował swoich pacjentów z częstotliwością jednej osoby na miesiąc.

Zazwyczaj były to starsze kobiety, które odwiedzał w ich własnych domach, podawał im śmiertelną dawkę morfiny, a potem sadzał na krześle lub kanapie i podkreślał ogrzewanie do maksimum. Wracał dzień później, stwierdzał zgon i określał godzinę śmierci późniejszą niż czas jego poprzedniej wizyty. Udawało mu się to, ponieważ wysoka temperatura w pomieszczeniu spowalniała wychładzanie zwłok i pomagała mu w zatarciu śladów. Jako przyczynę zapisywał atak serca lub podeszły wiek. Stwierdzał też, że sekcja nie jest konieczna, ponieważ pacjent znajdował się pod jego opieką.

W 1998 roku wśród mieszkańców Hyde zaczęły narastać podejrzenia. Miejscowy taksówkarz, który często podwoził starsze panie do gabinetu Shipmana, zauważył, że część z nich umiera tuż po pierwszej wizycie. Lekarka Linda Reynolds zaobserwowała, że pacjenci konkurenta umierają trzy razy częściej niż jej podopieczni. Shipman wyczuł, że jest pod obserwacją. Postarał się, by kilka kolejnych ofiar było zagorzałymi katoliczkami, co gwarantowało, że zostaną pochowane w grobach, a nie skremowane. Przed kremacją każde ciało było badane przez dwóch lekarzy, którzy sprawdzali, czy nie zachodzi potrzeba przeprowadzenia sekcji zwłok.

Jego ostatnią ofiarą okazała się osiemdziesięcioletnia Kathleen Grundy, pełniąca niegdyś funkcję burmistrza Hyde. Kiedy odwiedził ją 24 czerwca, stwierdził podczas pobierania krwi, że ma końskie zdrowie. Następnego dnia, gdy zabrakło jej na obiedzie w miejscowym klubie seniora, dwie przyjaciółki odwiedziły ją w domu.

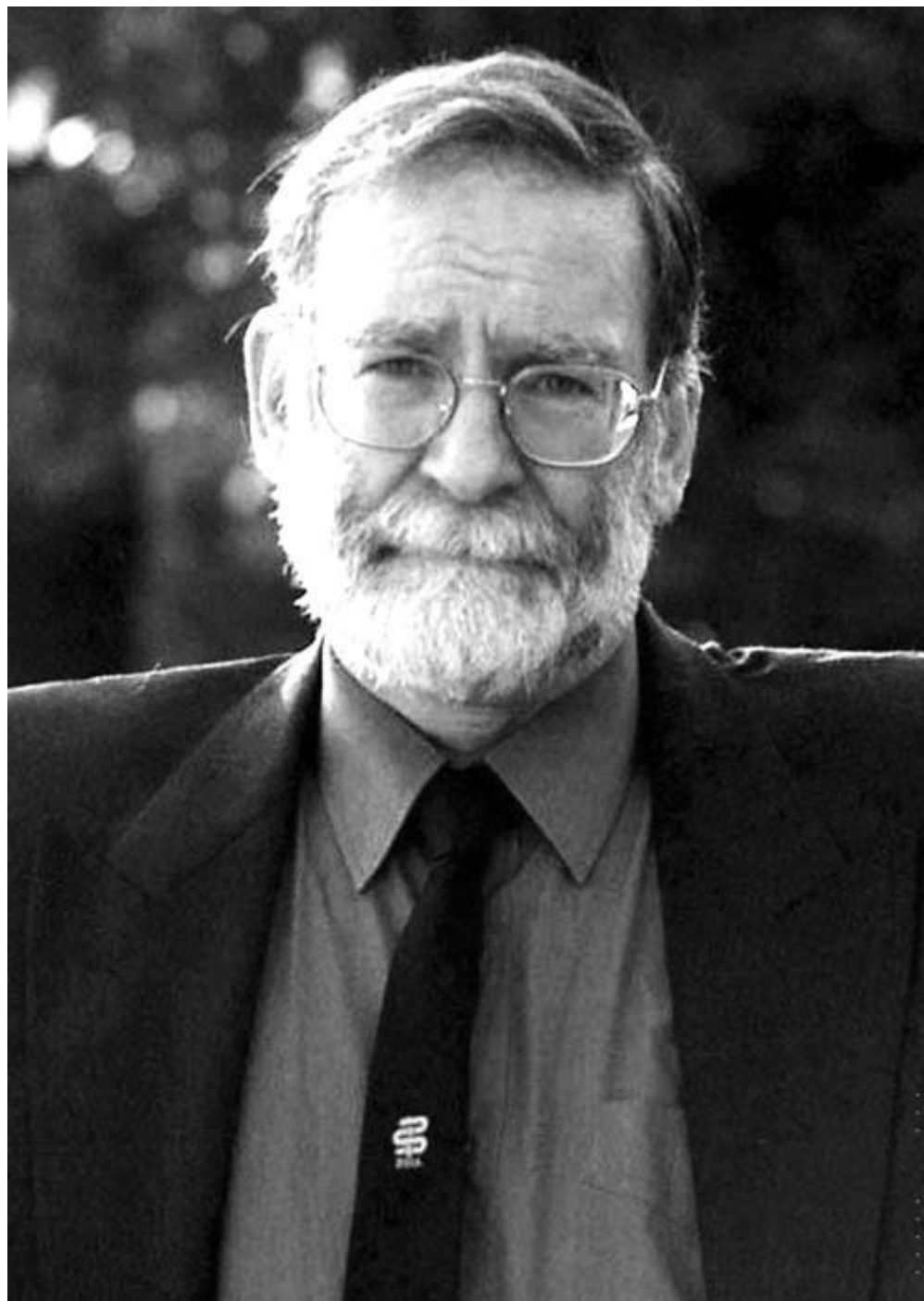
Znalazły martwą Kathleen siedzącą na sofie. Zadzwończyły na policję, a funkcjonariusze poinformowali Shipmana. Po przybyciu na miejsce lekarz szybko przebadał ciało i wystawił akt zgonu. Jako przyczynę śmierci wpisał „podeszły wiek”. Świadom tego, że badania toksykologiczne wykryją truciznę w organizmie pacjentki, sfałszował jej dokumentację medyczną. Dodał notatki sugerujące, że Kathleen nadużywała kodeiny w lekarstwie na kaszel. Kodeina po śmierci przekształca się w organizmie w morfinę.

Zgodnie z wolą pani Grundy pochowano ją na miejscowym cmentarzu. Później odczytano testament, w którym zapisywała swój cały – wart trzysta osiemdziesiąt tysięcy funtów – majątek doktorowi Haroldowi Frederickowi Shipmanowi. „Przekazuję wszystkie należące do mnie dobra, pieniądze oraz dom mojemu lekarzowi” – pisała. „Moja rodzina jest zabezpieczona finansowo, a ja chcę go wynagrodzić za opiekę, jaką mnie otoczył, oraz pomoc mieszkańcom Hyde”. Córka Kathleen nie potrafiła się z tym pogodzić. Twierdziła, że to „niewyobrażalne”, by matka napisała ten testament. Poinformowała policję, zarządzono ekshumację zwłok i przeprowadzenie sekcji. W tym samym czasie śledczy odkryli odcisk palca Shipmana na testamencie oraz powiązali dokument z jego starą maszyną do pisania stojącą w sali zabiegowej.

Ciało Kathleen ekshumowano 1 sierpnia, sześć tygodni po pogrzebie. Sekcję przeprowadził doktor John Rutheford z wydziału medycyny sądowej, ale nie udało mu się znaleźć żadnych określonych przyczyn śmierci. Pobrał próbki tkanek z lewego uda oraz wątroby, a następnie posłał je do analizy toksykologicznej. Mięśnie uda to jedna z najtrwalszych tkanek ludzkiego ciała i często udaje się odnaleźć w nich ślady toksyn. Kierująca badaniem Julie Evans przetestowała próbki za pomocą spektrometru i stworzyła wykres opisujący różne chemikalia zawarte w organizmie pani Grundy. Drugiego września toksykolożka ogłosiła, że przyczyną śmierci Kathleen była śmiertelna dawka morfiny.

Morfina to medyczna odmiana heroiny, mocnego, silnie uzależniającego środka przeciwbólowego, przepisywanego zazwyczaj pacjentom znajdującym się w stanie terminalnym. Shipman uzupełniał zapasy, wystawiając podrobione recepty i podbierając leki pacjentom zmarłym na raka. Narkotyk działa na główny układ nerwowy, w odpowiednich dawkach uśmierza ból i sprowadza ukojenie. Po wstrzyknięciu w żyłę zabójczej dawki oddech ofiary momentalnie

zwalnia, następuje utrata świadomości i śmierć. Jest to szybkie i bezbolesne, wciąż jednak pozostaje brutalnym pozbawieniem życia.



KATHLEEN GRUNDY  
LOUGH-ING CONTACT  
79 JOEL LANE  
HYDE

CH SHIRE  
SKI4 5JZ

RECEIVED 24 JUN 1998

22.6.98

Dear Sir,

I enclose a copy of my will. I think it is clear in intent. I wish Dr. shipman to benefit by having my estate but if he dies or cannot accept it, then the estate goes to my daughter.

I would like you to be the executor of the will, I intend to make an appointment to discuss this and my will in the near future.

Yours sincerely

*K. Grundy*

Seryjny zabójca Harold Shipman i list towarzyszący sfałszowanemu przez niego testamentowi Kathleen Grundy, jego ostatniej ofiary.

Później udało się powiązać ten list z maszyną do pisania należącą do Shipmana Koroner, który wiedział, że morfina długi czas pozostaje w organizmie, zarządził ekshumację kolejnych jedenastu zmarłych pacjentów Shipmana. W każdym z ciał odkryto zabójcze stężenie narkotyku. Lekarz został aresztowany i 4 października 1999 roku stanął przed sądem oskarżony o piętnaście morderstw i sfałszowanie testamentu Kathleen Grundy. Skazano go na dożywotnie więzienie, ale pięć lat później powiesił się na prześcieradle w swojej celi.

Specjalna komisja dochodzeniowa, powołana przez sędzinę Janet Smith, przebadła wszystkie zgony pacjentów Shipmana – w sumie osiemset osiemdziesiąt siedem w ciągu całej kariery. Według końcowego raportu ogłoszonego w 2005 roku lekarz zamordował dwieście dziesięć osób. Podejrzewano go też o udział w kolejnych czterdziestu pięciu zgonach, co czyniło z Shipmana najskuteczniejszego seryjnego mordercę, jakiego kiedykolwiek udało się złapać. Choć większość jego ofiar stanowiły osoby w podeszłym wieku, istniały „poważne podejrzenia”, że zamordował przynajmniej jednego czterolatka.



Fakt, że przez tak długi czas udawało mu się unikać sprawiedliwości, wzburzył opinię publiczną i wywołał falę pytań wśród lekarzy i specjalistów medycyny sądowej.

Jak doszło do tego, że Fred Shipman stał się tak wyrachowanym potworem? Dlaczego? Nie licząc Kathleen Grundy, niczego nie zyskiwał na śmierci swoich ofiar. Nigdy zapewne nie poznamy odpowiedzi, swoje motywacje zabrał do grobu i do samego końca kłamał na temat własnych poczynań.

Być może inspirował się dokonaniem doktora Johna Bodkina Adamsa, którego oskarżono w 1957 roku o zamordowanie za pomocą morfiny stu sześćdziesięciu majątnych pacjentów z Eastbourne w hrabstwie Sussex. (Choć Adams został oczyszczony z zarzutów, w ostatnich latach przeważa opinia, że najprawdopodobniej popełnił zbrodnię, o które go oskarżono). Psychologowie twierdzą, że motywacji Shipmana należy szukać wśród tych chwil, gdy przyglądał się działaniu morfiny na jego matkę. Robert Forrest, autor kilku publikacji na temat zabójców pracujących w służbie zdrowia, podkreśla w nich wielokrotnie, że lekarze wywodzą się z różnych środowisk i nie wyróżniają się żadnymi „specjalnymi cnotami lub charyzmą”. Ich najczęstsze motywacje to intelektualna ciekawość, altruizm, potrzeba prestiżu i stabilności finansowej. Według ustaleń Forresta jeden kandydat na milion „ma zaburzoną psychikę, szuka nowych podniet i wykazuje objawy psychotyczne”. Dla kogoś takiego jak Shipman „możliwość manipulowania pacjentami i kontrolowania ich do tego stopnia, by mieć władzę nad ich życiem, może być interesująca”. Jeśli weźmiemy pod uwagę jego arogancję podczas przesłuchania tuż po aresztowaniu i wiarę w to, że miał prawo zabijać, kogo chciał, możemy założyć, że Shipman czerpał przyjemność z posiadania władzy nad życiem i śmiercią. Myślał, że będzie mógł bawić się w Boga tak długo, jak tego zapragnie.

Na szczęście większość morderców nie ma dostępu do tyłu medykamentów co lekarze. Rzadko sięgają również po metaliczne trucizny w rodzaju arszeniku, ponieważ łatwo je wykryć. Dużo większą popularnością cieszą się trucizny roślinne, aplikowane czasem w zupełnie niewiarygodny sposób. Mnie jako pisarkę zainspirował pobyt w Trującym Ogrodzie na zamku Alnwick – pozwolił mi stworzyć postać seryjnego mordercy, którego fascynacja toksycznymi właściwościami roślin doprowadziła do kilku zgonów.

Jednak dużo dziwniejsza od wszystkiego, co mogłabym wymyślić, jest sprawa Gieorgija Markowa, bułgarskiego dysydenta, który w 1969 roku zbiegł na Zachód. Gdy 7 września 1978 roku Markow czekał na autobus na londyńskim moście Waterloo, poczuł nagłe bolesne ukłucie w prawe udo. Autobus miał go zawieźć do pracy w rozgłośni radia BBC, gdzie ten utalentowany dziennikarz prowadził audycję krytykującą komunistyczny reżim w jego ojczyźnie. Markow rozejrzał się wokół i dostrzegł mężczyznę z parasolem, który przywołał taksówkę i zniknął.

Ukłucie przypominało ukąszenie osy albo pszczoły. Po dotarciu do pracy Markow dostrzegł na udzie niewielki pryszcz. Wieczorem pojawiły się zapalenie i gorączka. Następnego ranka karetka odwiozła Gieorgija do szpitala. Lekarze prześwietlili mu nogę, ale niczego nie znaleźli. Mimo podania dużej dawki antybiotyków Markow zmarł cztery dni później.

Ponieważ koroner podejrzewał otrucie, nakazał przeprowadzenie sekcji zwłok. Lekarz prowadzący autopsję, Rufus Crompton, odkrył, że wszystkie organy wewnętrzne zmarłego są uszkodzone, i potwierdził zatrucie krwi. Pod skórą na nodze Markowa znalazł niewielką kuleczkę z dwoma otworami. Przesłał ją wraz z próbką tkanki do analizy, ale toksykolog doktor David Gall nie potrafił zidentyfikować trucizny.

Dopiero po analizie kolejności pojawienia się symptomów zasugerował, że kapsułka mogła zawierać rycynę uzyskiwaną z nasion rącznika – truciznę pięćset razy silniejszą od cyjanku. Zainspirowany metodami Orfili i jego eksperymentami na psach, Crompton postanowił wstrzyknąć rycynę świni. „Symptomy były dokładnie takie same. Umarła w podobny sposób, próbki krwi wykazywały to samo zagęszczenie białych ciałek wywoływane przez truciznę”.

Rycyna podana doustnie wywołuje paskudne objawy, ale nie jest zabójcza. Wystarczy ją jednak wstrzyknąć lub wdychać albo przyjąć przez śluzówkę, by dawka wielkości kilku ziaren soli zabiła dorosłego mężczyznę.



Substancja ta zatrzymuje proces syntezy białek w komórkach, co prowadzi do ich obumierania i uszkodzenia najważniejszych organów. Mija kilka godzin, nim pojawią się pierwsze symptomy, w tym gorączka, ataki padaczki, gwałtowna biegunka, kłucie w piersiach, trudności z oddychaniem i obrzęki. Śmierć następuje w czasie od trzech do pięciu dni – nie ma żadnego antidotum. Truciciele często korzystają z rycyny,

ponieważ objawy zatrucia, podobnie jak w przypadku arszeniku, przypominają śmierć z przyczyn naturalnych.

W sprawie Markowa Crompton podejrzewał, że ktoś umieścił w kuleczce odrobinę rycyny i pokrył ją woskową osłonką roztopiającą się w temperaturze ludzkiego ciała. Aby wystrzelić kapsułkę, zabójca musiał się posłużyć czymś w rodzaju wiatrówki umieszczonej w przerobionym parasolu. Dziesięć dni przed atakiem na Markowa w podobny sposób próbowano zamordować w Paryżu innego bułgarskiego dysydenta, ale ofiara przeżyła, ponieważ osłona kapsułki rozpuściła się tylko częściowo.

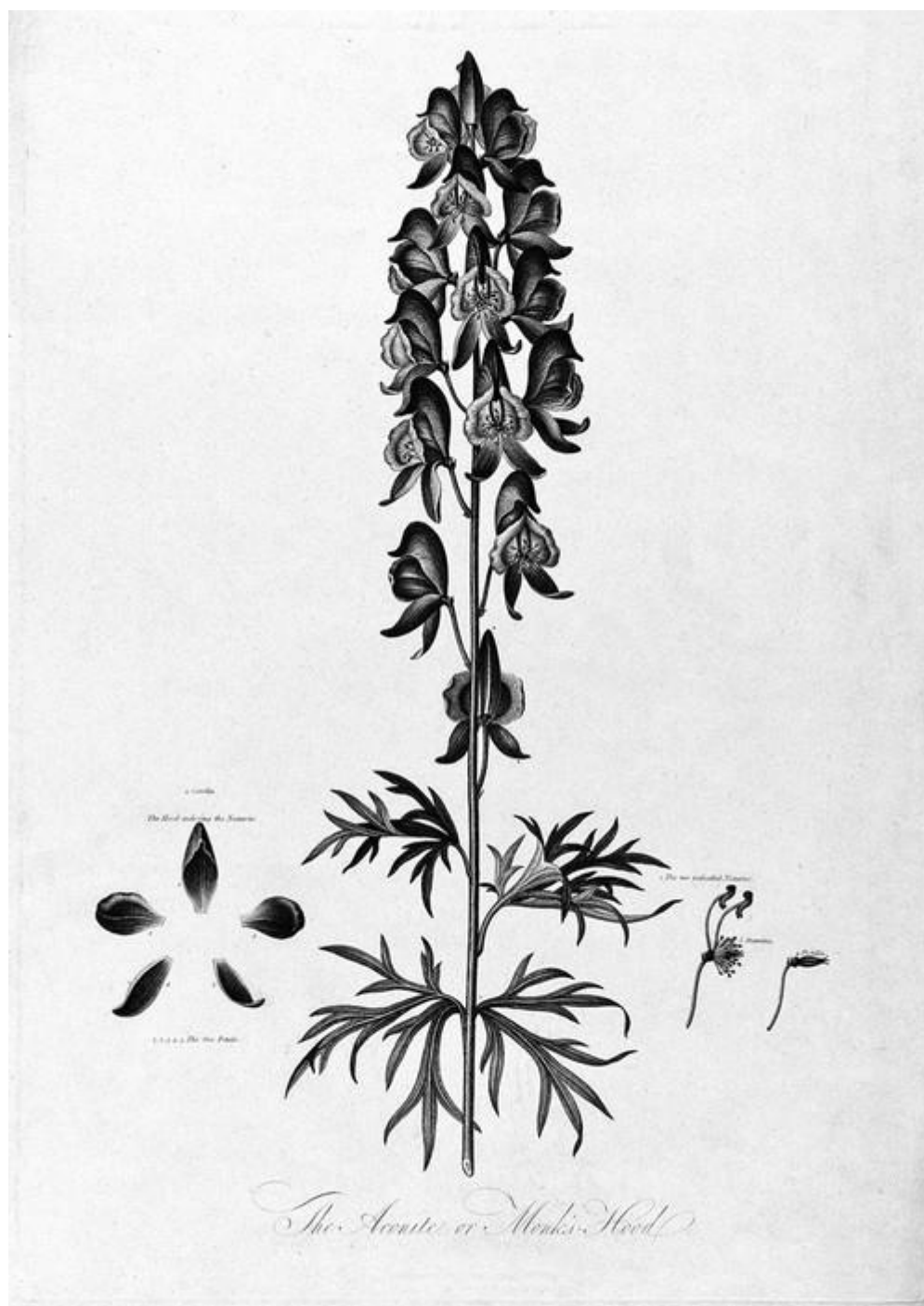
Ze względu na dwie wcześniejsze próby zabicia Markowa policja podejrzewała, że za zbrodnię odpowiadają bułgarskie służby specjalne, wspomagane przez KGB. W 1990 roku podwójny agent rosyjskich służb wywiadowczych Oleg Gordijewski potwierdził, że to jego mocodawcy dostarczyli truciznę wystrzeloną za pomocą przerobionego parasola.

Związek Radziecki rozpadł się rok później, a w 1992 roku były szef bułgarskiego wywiadu zniszczył dziesięć tomów akt opisujących zabójstwa na zlecenie władzy. Z tego powodu nigdy zapewne nie poznamy dokładnych okoliczności śmierci Markowa.

Zwykli truciciele podają swoim ofiarom toksyny w zdecydowanie mniej wyszukany sposób. W 2008 roku w dzielnicy Feltham, położonej w zachodnim Londynie, czterdziestopięcioletnia Lakhvir Singh, matka trojga dzieci, została porzucona przez swojego kochanka Lakhvindra Cheemę, z którym żyła od szesnastu lat. Cheema, znany wśród przyjaciół jako Lucky, zaczął się spotykać z kobietą o połowę młodszą od swojej poprzedniej partnerki. Lakhvir była zrozpaczona, a jej były partner oznajmił, że zamierza w walentynki wziąć ślub ze swoją nową wybranką. Zdradzona kobieta zdecydowała, że prędzej się go pozbędzie, niż pozwoli na to, by żył z inną. Wyjechała na miesiąc do Bengaluru, skąd powróciła z trucizną wyekstrahowaną z kwiatów tojadu, uznawanego za najbardziej zabójczą roślinę na świecie (zupełnie przypadkiem w *Harrym Potterze i Księciu Półkrwi* J.K. Rowling profesor Snape korzysta z brytyjskiej odmiany tej rośliny, by zatrzymać proces przemiany Remusa Lupina w wilkołaka).

Dwa tygodnie przed planowanym ślubem, 26 stycznia 2009 roku, Lakhvir Singh zakradła się do mieszkania swojego byłego kochanka i doprawiła trucizną resztkę curry, które znalazła w lodówce. Lucky i jego nowa narzeczona zjedli je następnego dnia na kolację. Mężczyźni

smakowało tak bardzo, że wziął sobie dokładkę. Oboje tuż po posiłku zaczęli wymiotować. Oto jak wspomina te chwile jego narzeczona: „Lucky powiedział mi, że nie jest z nim zbyt dobrze. Niczego nie czuł, gdy próbował dotykać swojej twarzy”. Chwilę później stracił władzę w rękach i nogach, ale udało mu się jeszcze zadzwonić pod numer alarmowy i poinformować operatora, że podejrzewa swoją byłą kochankę o zatrucie jedzenia. Obie ofiary trafiły do szpitala. Lucky zmarł następnego dnia.





Tojad. Syndromy zatrucia tą rośliną to mdłości, wymioty, swędzenie i pieczenie kończyn, trudności z oddychaniem. Bez antidotum zabija w ciągu dwóch–sześciu godzin od podania ofierze



Tojad zatrzymuje pracę serca i innych istotnych organów.

Dotknięte gwałtownymi wymiotami ofiary początkowo mają wrażenie, jakby całe ich ciało zostało opanowane przez mrówki, później stopniowo tracą czucie w kończynach, ich oddech spowalnia i pojawiają się zaburzenia rytmu serca. Mózg przez cały czas pozostaje sprawny.

Narieczona Lucky’ego spędziła dwa dni w śpiączce farmakologicznej, w tym czasie toksykolożka sądowa Denise Stanworth próbowała wykryć ślady trucizny. Jak wyjaśnia Robert Forrest: „Na szczęście Denise dysponowała próbkami pobranymi w czasie sekcji pierwszej ofiary.

Wykryła tojad dopiero wtedy, gdy zaczęła się rozglądać za egzotycznymi truciznami roślinnymi”. Pacjentce podano digitoksynę, która normalizuje zaburzony rytm serca, i ostatecznie udało się ją uratować.

Podczas przeszukania mieszkania Lakhvir Singh policja odkryła dwie torebki z brązowym proszkiem wytwarzanym z tojadu, ukryte w kieszeni jej płaszcza oraz w torebce. Mimo że oskarżona twierdziła, że to lekarstwo na wysypkę, skazano ją na dwadzieścia trzy lata więzienia za morderstwo.

Czasem toksykolodzy badają trucizny, zanim zostaną one wprowadzone do czyjegoś organizmu. Niamh Nic Daéid, specjalistka do spraw pożarów, którą spotkaliśmy w rozdziale drugim, jest także chemiczką pracującą przy analizie narkotyków. Jeśli chce stwierdzić obecność kokainy w dowolnym przedmiocie, zaczyna od przeprowadzenia prostego testu kolorystycznego. „Wkładamy przedmiot do małej fiolki i dodajemy odczynniki. Jeśli pojawi się niebieski kolor, oznacza to, że znaleźliśmy kokainę”. Później Niamh sięga po bardziej wyrafinowane metody, takie jak chromatografia gazowa, by ustalić dokładne stężenie narkotyku.

W rozmowie ze specjalistką z Tajlandii Niamh dowiedziała się, że w biedniejszych krajach rezygnuje się z drugiego etapu badań ze względu na koszty. Oznaczało to, że ludzie trafiają do aresztu jedynie na

podstawie testu kolorystycznego – niezależnie od tego, jakie było stężenie narkotyku. Irlandzka ekspertka i jej zespół postanowili więc opracować tańszą metodę.

Polega ona na zrobieniu zdjęcia próbki za pomocą telefonu i określeniu na podstawie barwy przybliżonego stężenia danego narkotyku w próbce. Zdjęcie można przesłać do dalszej analizy wraz z koordynatami pobranymi dzięki urządzeniom geolokalizacyjnym instalowanym w telefonach. Współpracujemy z Organizacją Narodów Zjednoczonych przy tworzeniu aktywnej globalnej mapy pobranych próbek. Praca specjalistów medycyny kryminalnej na pierwszej linii frontu nie zawsze wymaga sięgania po skomplikowane metody.

Rozwiązania niektórych problemów okazują się bardzo proste.

Być może dwa wieki temu Mathieu Orfila byłby zaskoczony testem kolorystycznym, ale mam przeczucie, że doceniłby jego elegancję.

## 6. Odciski palców (daktyloskopia)

*Gdy skończył rozmawiać z Mojżeszem na górze Synaj, dał mu  
dwie tablice Świadcstwa, tablice kamienne, napisane palcem Bożym<sup>10</sup>.*

Księga Wyjścia, 31:18

Naczelna zasada kryminalistyki, sformułowana u progu poprzedniego stulecia przez Edmonda Locarda, głosi, że „każdy kontakt pozostawia ślady”. Musimy jednak wiedzieć, jak badać, kategoryzować i rozumieć te ślady, bo tylko wtedy przydają się one w łapaniu przestępców. Dzięki odkryciom naukowców sztuka wykrywania zbrodniarzy osiągnęła wyższe poziomy. Identyfikacja kryminalistów na podstawie odcisków palców była jedną z pionierskich technik, które przykuły uwagę opinii publicznej.

Kryminalistyka pojawiła się wcześniej niż sztuka rozpoznawania odcisków palców, ale to właśnie ta metoda identyfikacji pobudziła masową wyobraźnię. Łatwo było zrozumieć rządzącą nią zasadę, więc sądy bardzo chętnie z niej korzystały. Praworządni obywatele na początku dwudziestego stulecia zakochali się w pomysłach, że potajemny włamywacz, dotykający cudzych rzeczy, może zostać równie potajemnie zidentyfikowany; że zabójca, który pozbawił kogoś życia tęym narzędziem, może zawisnąć na szubienicy dzięki śladowi pozostawionemu przez opuszkę jego małego palca; że unikatowe pętle i zakrętasy oraz moment nieuwagi muszą doprowadzić do nieuniknionego skazania przestępcy.

Jednym z pierwszych Europejczyków, którzy zrozumieli ideę unikatowości odcisków palców, był pewien młodzieniec, William Herschel. W 1853 roku opuścił on Wielką Brytanię i popłynął w poszukiwaniu pracy do Indii, kontrolowanych w tym czasie w dużej mierze przez Kompanię Wschodnioindyjską. Cztery lata później spór o tłuszcz zwierzęcy, którym nasycano papierowe rożki z prochem do karabinów, doprowadził do buntu hinduskich żołnierzy przeciwko brytyjskim dowódcom. Rebelia, znana pod nazwą powstanie sipajów, szybko ogarnęła cały kraj, a akty przemocy były ostro tłumione przez brytyjskie wojska.

Kiedy ucichł bitewny zgiełk, Kompania Wschodnioindyjska została zmuszona do zwrócenia swoich terytoriów angielskiej Koronie, a wielu jej pracowników wcielono w szeregi indyjskich służb publicznych. Sam Herschel został zarządcą wiejskiej prowincji w Bengalu.

Wielu mieszkańców Indii wciąż było wzburzonych niedawnym powstaniem. Robili wszystko, by utrudnić życie swoim brytyjskim nadzorcom. Przestali pracować, płacić podatki, zajmować się polami swoich panów.

Dwudziestopięcioletni Herschel uparł się, że społeczne niepokoje nie przeszkodzą mu w zrobieniu kariery. Jedną z jego pierwszych decyzji na nowym stanowisku była budowa drogi. Podpisał umowę z miejscowym rzemieślnikiem, który miał dostarczyć narzędzia do budowy. Przy okazji zrobił coś dziwnego.

„Pomalowałem dłoń i palce Konaia oleistym atramentem domowej roboty, którego używałem do mojej urzędowej pieczęci, a potem odcisnąłem je na tylnej karcie umowy. Studiowaliśmy odcisk długą chwilę, rozmawiając o chiromancji i porównując jego dłoń z moją, odwzorowaną na innej karcie”. Herschel nie myślał wówczas o identyfikowaniu kogokolwiek na podstawie odcisku. Traktował go jako swego rodzaju ubezpieczenie: „Chciałem wzbudzić w nim lęk na myśl o sprzeniewierzeniu się tej sygnaturze”.

Być może zainspirowała go do tego hinduistyczna ceremonia sati (choć odbywały się one rzadko, a całkowicie zakazano ich w 1861 roku), podczas której wdowa ginęła na stosie całopalnym wraz ze zmarłym mężem. Skazana na pewną śmierć, po drodze przechodziła przez Bramę Sati, gdzie pozostawiała odcisk dłoni umoczonej w czerwonym barwniku. Ten fragment kamienia później wycinano i tworzono z niego wolno stojący relief.

Dwadzieścia lat później Herschel otrzymał posadę sędziego pokoju w Hooghly, niedaleko Kalkuty. Odpowiadał tam za sądy, więzienie i wypłatę emerytur. Wydaje nam się, że oszustwa emerytalne to wynalazek współczesnych czasów, ale Herschel obawiał się ich już sto czterdzieści lat temu.



Aby im przeciwdziałać, stworzył system pobierania odcisków palców – w ten sposób po śmierci beneficjenta nikt nie mógł odbierać należnych

mu świadczeń. Zbierał również odciski od skazańców, by powstrzymać przestępców przed wynajmowaniem ludzi do odsiedzenia wyroku.

Pomysł, aby znaleźć jakieś oficjalne i ostateczne metody identyfikowania przestępców, cieszył się coraz większą popularnością wśród pracowników różnych szczebli wymiaru sprawiedliwości. Mniej więcej w tym czasie, gdy Herschel rozwijał swój system identyfikacji odcisków, paryski urzędnik policyjny Alphonse Bertillon nie radził sobie z ogromnym napływem nowych więźniów. Postanowił jakoś ich opisać, korzystając ze zdobyczy antropometrii, nauki o wymiarach ludzkiego ciała. Wybrał jedenaście różnych miar, w tym obwód czaszki i długość przedramienia od łokcia po koniuszek środkowego palca. Obliczył, że prawdopodobieństwo istnienia dwóch takich samych kompletów wymiarów wynosi jeden do dwustu osiemdziesięciu sześciu milionów.

Do każdej karty z wyliczeniami dołączał dwa zdjęcia – z profilu i en face – i tak narodził się zwyczaj fotografowania przestępców.

Tymczasem pewien szkocki lekarz i misjonarz rozpoczął eksperymenty z badaniem odcisków palców w okolicach Tokio. Uwagę Henry'ego Fauldsa zwróciły starożytne wazy, na których garncarze pozostawiali odciski kciuków. Odkrył również, że ślady stają się widoczne, gdy posypie się je białym proszkiem. Skorzystał z tej metody, by oczyścić pewnego człowieka z podejrzenia o kradzież. Pokazał prawdziwemu sprawcy podobieństwa pomiędzy jego odciskiem palca a tym pozostawionym na szybie okna w okradzionym domu i zmusił go, by przyznał się do winy. W wyniku swoich obserwacji Faulds opracował system identyfikacji oparty na odciskach wszystkich dziesięciu palców.

Zwrócił się do Scotland Yardu z propozycją wykorzystania tego systemu w pracy policyjnej, ale spotkał się z odmową.

Niezrażony niepowodzeniami napisał do Charlesa Darwina, prezentując szczegółowe objaśnienie swojej metody. Ojciec teorii ewolucji zainteresował się jego pomysłem, czuł jednak, że powinien się tym zająć ktoś młodszy, więc przekazał list swojemu kuzynowi Francisowi Galtonowi. To właśnie on po dziesięciu latach badań napisał *Finger Prints* (Odciski palców), pierwszą książkę na ten temat, opublikowaną w 1892 roku. Opisał w niej osiem podstawowych wzorców linii łukowych, pętlicowych i wirowych. Udowodnił również, że wzór każdego palca pasuje do jednej z tych kategorii.

Pod wpływem lektury jednego z artykułów Galtona Ivan Vučetić, argentyński policjant chorwackiego pochodzenia, zaczął pobierać odciski

palców od wszystkich aresztowanych w Buenos Aires.

Opracował własny system identyfikacji linii papilarnych dziesięciu palców, który nazwał daktyloskopią – nazwy tej używa się po dziś dzień w wielu krajach. Władze argentyńskie zaczęły z niego korzystać nie tylko w sprawach kryminalnych, lecz także do weryfikacji danych uprawniających do przekraczania granic.

System Vučeticia szybko poddano weryfikacji, a jego twórca stanął przed trudnym i przerażającym wyzwaniem. Dwudziestego dziewiątego czerwca 1892 roku w wiosce niedaleko Buenos Aires znaleziono dwójkę martwych dzieci – czteroletnią Teresę Rojas i jej sześcioletniego braciszka Ponciano. Oboje brutalnie zamordowano w ich własnym domu. Ich matka, Francisca, przeżyła, choć podejrzięto jej gardło.

Według jej zeznań do domu wdarł się sąsiad Pedro Velázquez, który zamordował dzieci i próbował ją zabić. Policja torturowała Velázqueza przez tydzień, ale on upierał się przy swoim alibi: w czasie morderstwa przebywał z grupą znajomych.



Karta antropometryczna założona dwudziestojednoletniemu George'owi Girolamiemu, aresztowanemu za oszustwo

Rozczarowany brakiem przyznania się do winy komisarz Alvarez raz jeszcze wybrał się na miejsce zbrodni. Tym razem dostrzegł brązową plamę na framudze i uznał, że może to być odcisk palca.

Wyciął zakrwawiony kawałek drewna i zabrał wraz z odciskiem linii papilarnych Velázquezę do nowo otwartego biura daktyloskopijnego, uruchomionego przez Vučetića w stolicy Argentyny.

Po przebadaniu odcisków Vučetić oznajmił, że nie są one zgodne.

Później sprawdził linie papilarne Franciski Rojas. Pasowały idealnie.

Postawiona w obliczu takich dowodów matka przyznała się do zamordowania dzieci, poderżnięcia sobie gardła i oskarżenia niewinnego człowieka. Chciała w ten sposób poprawić swoje szanse na małżeństwo z narzeczoną, który nie przepadał za dziećmi. Zamiast tego została pierwszą osobą, którą skazano na podstawie odcisków palców. Resztę życia spędziła w więzieniu.

Po zamknięciu sprawy Rojasów w Argentynie całkowicie zrezygnowano z systemu antropometrycznego Bertillona i zaczęto tworzyć zbiory danych przestępców na podstawie odcisków linii papilarnych. Inne kraje szybko podchwyciły ten pomysł. W kolejnym roku szef policji w Bengalu, Edward Henry, zarządził, by wszystkie dane antropometryczne uzupełniono o wzory linii papilarnych. Choć system wprowadzony przez Herschla miał wtedy już czterdzieści lat, policja nigdy wcześniej się nim nie interesowała. Dzięki współpracy z hinduskim oficerem Azizulem Haquem Henry usprawnił system Galtona, a wszystkim charakterystycznym cechom linii papilarnych nadano unikatowe numery ułatwiające ich odszukanie. Odciski trafiały później do jednej z 1024 szuflad w policyjnej kwaterze; po pobraniu nowych śladów opisywano je kolejnymi numerami i sprawdzano w odpowiedniej szufladzie, czy taki odcisk nie pojawił się wcześniej.

W 1897 roku system klasyfikacyjny Henry'ego został przyjęty w całych brytyjskich Indiach.

Samemu Henry'ego cztery lata później wezwano do Londynu i postawiono na czele wydziału kryminalnego Scotland Yardu.

Natychmiast zorganizował dział daktyloskopijny. Miał nadzieję, że próby identyfikowania przestępców odstraszą najzgorzalszych recydywistów. Przed stworzeniem wiarygodnego systemu identyfikacji często zdarzało się, że kryminaliści przybierali fałszywe nazwiska i unikali cięższych wyroków dzięki przekonywaniu sądów, że to ich pierwsze przestępstwo, a nie recydywa. W pierwszym roku działalności departament zidentyfikował sześćset trzydzieści dwa pseudonimy należące do wielokrotnych przestępców.



Jak zwykle bywa w przypadku nowych odkryć, trzeba było naprawdę sensacyjnego procesu, by wzbudzić zainteresowanie opinii publicznej nową dziedziną kryminalistyki. Cztery lata później, w 1905 roku, daktyloskopia znalazła się w świetle reflektorów. W pewien poniedziałek



pod koniec marca szesnastoletni William Jones przyszedł do pracy w sklepie Chapman's Oil and Colour, mieszczącym się przy Deptford High Street w Londynie. Zdziwił się, kiedy zobaczył zamknięte drzwi i opuszczone rolety, dochodziło już bowiem wpół do dziewiątej.

Właściciel razem z żoną mieszkał nad sklepem i zwykle otwierał o wpół do ósmej, by obsłużyć najwcześniejszych klientów. William martwił się ich zdrowiem: szef miał siedemdziesiąt jeden lat, a jego żona sześćdziesiąt pięć. Kiedy nikt nie odpowiedział na jego pukanie, chłopak spróbował wyważyć drzwi, jednak trzymały się mocno. Stał na palcach i zajrzał przez szparę w roletach. Zobaczył, że przy kominku na tyłach sklepu leży przewrócony fotel.

Coraz mocniej zaniepokojony William pobiegł po pomoc. Wrócił z przyjacielem, który pomógł mu dostać się do środka. Wewnątrz odkryli, że pracodawca Williama, Thomas Farrow, leży z rozstraskaną czaszką pod przewróconym fotelem, a krew z jego głowy wsiąka w popioły przy kominku. Lekarz przeprowadzający późniejszą sekcję stwierdził, że Thomas otrzymał sześć uderzeń w głowę i twarz, najprawdopodobniej łomem.

Jako pierwszy na miejscu zdarzenia pojawił się sierżant Albert Atkinson i to on znalazł Ann Farrow, która nadal leżała w łóżku, ciężko pobita i nieprzytomna. Tliły się w niej jeszcze resztki życia. Sierżant zauważył również otwartą kasetkę na pieniądze leżącą na podłodze.

Według Williama pan Farrow co poniedziałek zabierał kasetkę do banku, by wpłacić tygodniowy utarg wynoszący około dziesięciu funtów.

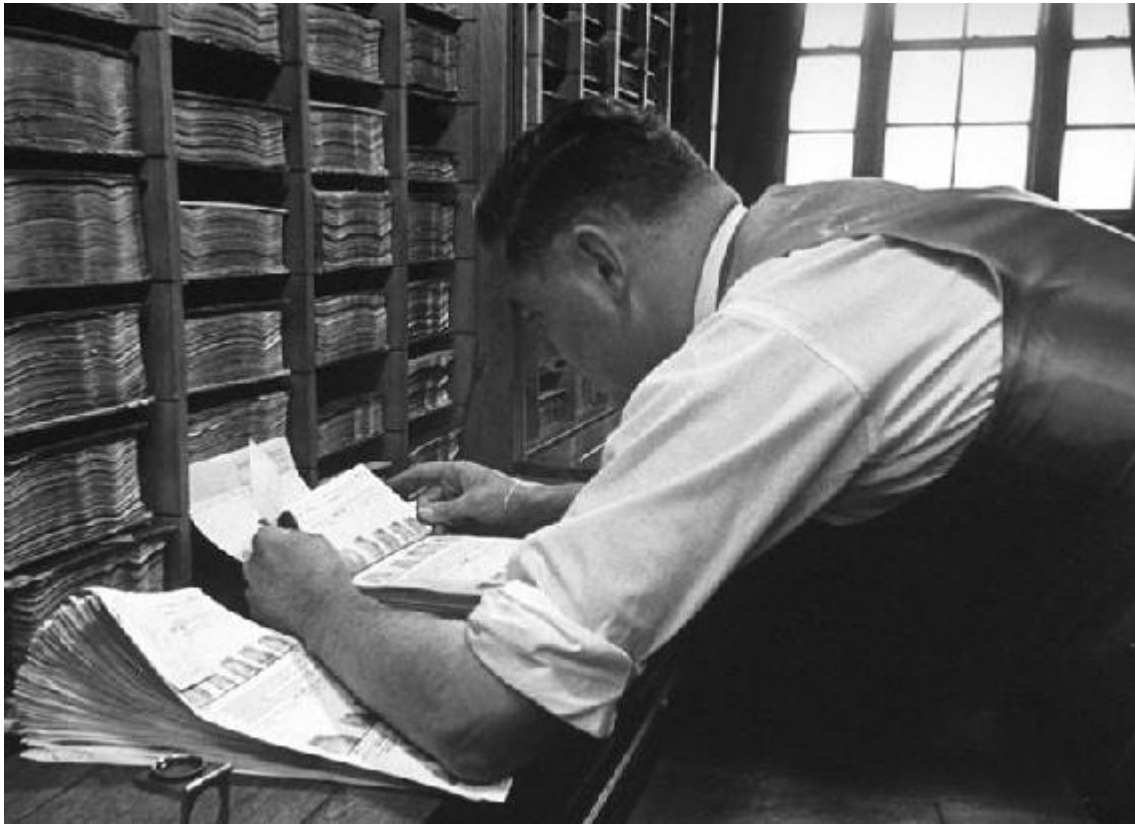
Śledztwo prowadził Melville Macnaghten, następca Edwarda Henry'ego na stanowisku szefa wydziału kryminalnego. Gdy w 1899 roku Macnaghten rozpoczął pracę, nowy szef zaznajomił go ze szczegółami wciąż nierozwiązanych morderstw, do których doszło rok wcześniej i które przypisywano Kubie Rozpruwaczowi. Od tej pory śledczy wciąż trzymał na biurku fotografie zmasakrowanych ofiar Rozpruwacza, by przypominały mu, że powinien bardziej się starać.

Jednak podobnie jak każdy detektyw, miał na swoim koncie kilka nierozwiązanych spraw. Na przykład tę, do której oddelegowano go tuż po przyjęciu do pracy. Wysłano go wówczas nad rzekę, by zebrał pokawałkowane ciało kobiety. Nigdy nie znaleziono sprawcy tej zbrodni, opisywanej w prasie jako „tajemnica znad Tamizy”.

Macnaghtenowi niezmiernie zależało na rozwiązaniu tajemnicy makabrycznego zabójstwa Thomasa Farrowa. Mieszkańcy brudnej i zatłoczonej dzielnicy Deptford byli wstrząśnięci tą zbrodnią. Choroby i przestępstwa stanowiły tu normę, ale rzadko dopuszczano się mordu z zimną krwią.

Jako że obie ofiary miały na sobie nocne koszule, a lekarz, który badał ciało Thomasa, ustalił, że mężczyzna musiał zginąć chwilę przed pojawieniem się Williama, policja podejrzewała, że ktoś przekonał Farrowa do wcześniejszego otwarcia sklepu. Spekulowano, że napastnik wdarł się do środka, zaatakował właściciela i natychmiast pomknął na piętro, by opróżnić kasetkę. Plama krwi na szczycie schodów świadczyła o tym, że Farrow zdołał jakoś dotrzeć za zabójcą na górę, gdzie leżała jego zupełnie bezbronna żona. Zabójca pobił go bez skrupułów, uciszył jego i panią Farrow, nie okazując im żadnej litości, a potem zabrał pieniądze i uciekł.

Macnaghten uważnie obejrzał kasetkę i zauważył świeży odcisk palca na metalowej tacce kryjącej się w jej wnętrzu. Opakował kasetkę w papier, używając chusteczki, by nie pozostawić swoich śladów, i zabrał ją do wydziału daktyloskopii. Wiedział, że może się to skończyć publicznym upokorzeniem, ponieważ badanie linii papilarnych wciąż traktowano jako coś podobnego do wróżenia z ręki, choć w 1902 roku dzięki odciskom palców skazano już pewnego włamywacza, Harry'ego Jacksona. Podczas jego procesu nie wszyscy wierzyli w skuteczność tej metody identyfikacji. Po ogłoszeniu wyroku pewien człowiek podpisujący się jako „zdegustowany urzędnik” pisał w liście do „Timesa”: „Jeśli Scotland Yard wciąż będzie się upierać przy tropieniu zbrodniarzy za pomocą przypadkowych zakrętasów na ich skórze, najświetniejsza niegdyś policja na świecie stanie się pośmiewiskiem całej Europy”.



Technik kryminalistyczny sprawdzający zestawy odcisków palców,  
Scotland Yard, 1946

Szef działu daktyloskopii Charles Collins przyjrzał się odciskowi znalezionemu na tacce przez lupę i na podstawie rozmiaru oraz nachylenia linii ustalił, że jest to odcisk kciuka prawej dłoni. Stwierdził też, że śladu nie pozostawili ani Atkins, ani żadne z Farrowów. Dzięki temu można go było wykorzystać do identyfikacji podejrzanego.

Choć dział daktyloskopii istniał dopiero od czterech lat, w jego zbiorach znajdowało się już dziewięćdziesiąt tysięcy odcisków palców, przechowywanych w gigantycznych regałach wyposażonych w szuflady.

Collins zajrzał do szuflady zawierającej odciski pasujące do wzoru, ale nie odnalazł żadnych powiązań.

Pięć dni później śledztwo zostało jeszcze bardziej utrudnione – Ann Farrow zmarła w wyniku obrażeń. Macnaghten miał wcześniej nadzieję, że kobieta odzyska przytomność i opíše sprawcę.

Wtedy jednak, jak to się czasem zdarza, dzięki mediom doszło do przełomu. Dowiedziawszy się o sprawie z gazet, miejscowy mleczarz poinformował policję, że w dniu zabójstwa widział dwóch mężczyzn wychodzących ze sklepu o 7.15. Wołał nawet za nimi, że zostawili

niedomknięte drzwi. Jeden z nich odpowiedział, że nie ma się czym przejmować, i obaj odeszli. Mleczarz zapamiętał ciemne wąsy, melonik i niebieski garnitur. Drugi mężczyzna miał na sobie brązowe ubranie oraz kaszkiet.

Później pojawił się kolejny świadek, malarz, który wyjaśnił, dlaczego William Jones musiał się zmagać z zatrzaśniętymi drzwiami.

Mężczyzna twierdził, że około 7.30 widział człowieka z zakrwawioną twarzą, który zamykał sklep. Macnaghten doszedł do wniosku, że Thomas Farrow musiał jakoś przeżyć drugie pobicie na schodach, a potem, nie wiedząc, co czyni, dotarł na dół, zamknął sklep i wydał ostatnie tchnienie na zapleczu.

Trzecim świadkiem okazała się kobieta, która zauważyła dwóch mężczyzn pasujących do opisu podanego przez mleczarza. O 7.20 biegli Deptford High Street. Co ważniejsze, rozpoznała jednego z nich – jej zdaniem mężczyzną w brązowym garniturze był dwudziestodwuletni Alfred Stratton. Opis drugiego człowieka pasował do jego brata, dwudziestoletniego Alberta. Kiedy policja przesłuchała narzeczoną Alfreda, dziewczyna przyznała, że dzień przed napaścią na sklep jej chłopaka nie było stać na jedzenie, a później pojawił się w domu z chlebem, bekonem, drewnem i węglem na opał. To ostatecznie przekonało Macnaghtena. Tydzień po zabójstwie Thomasa Farrowa Strattonowie zostali aresztowani.

Niestety, śledczych nie przestawał prześladować pech. Ani mleczarz, ani jego pomocnik nie rozpoznali braci podczas okazania podejrzanych. Strattonowie byli w doskonałych humorach, żartowali przy pobieraniu odcisków palców, że Collins ich łaskocze.

Jednak to on śmiał się ostatni. Po przebadaniu linii papilarnych okazało się, że odcisk pozostawiony na tacy należy do Alfreda Strattona.

Mimo sukcesu oskarżenie wciąż miało twarde orzechy do zgryzienia. Czy tak niewielki ślad może przekonać ławników?

A przecież wiele zależało od tej sprawy: skazanie obu przestępców mogło poprawić reputację Scotland Yardu, nadszarpniętą przez Kubę Rozpruwacza, a odciski linii papilarnych stałyby się kluczowym materiałem dowodowym. Zarówno Macnaghten, jak i szef londyńskiej policji Edward Henry doskonale wiedzieli, o jak wysoką stawkę toczy się ta gra.

Jak na ironię, Henry Faulds, który powrócił z Japonii, był gotów zeznawać na korzyść obrony. Oczywiście miał swoje własne motywacje.

Przede wszystkim Scotland Yard odrzucił jego propozycję stworzenia działu daktyloskopijnego, później zaś brytyjska policja skorzystała z systemu Henry'ego i nie przyjmowała do wiadomości wkładu Fauldsa w rozwój wiedzy daktyloskopijnej. Miał więc zamiar ogłosić, że nie ma badań potwierdzających stuprocentową wiarygodność identyfikacji na podstawie odcisku tylko jednego palca.

Charles Collins zajął jedno z miejsc przeznaczonych dla świadków.

Trzymał w rękach kilka powiększonych fotografii. Zaprezentował ławie przysięgłych rozmazany odcisk pobrany z kasetki i idealnie odwzorowane linie papilarne sierżanta Atkinsona oraz Farrowów. Nie musiał długo wyjaśniać, na czym polegają różnice. Później pokazał odcisk kciuka Alfreda Strattona. Podobieństwo było nadzwyczaj wyraźne. Collins wskazał jedenaście podobnych elementów. Sędziowie słuchali go jak zahipnotyzowani.

Wypytywany przez obronę, wyjaśnił przekonująco, że dwa odciski tego samego palca nigdy nie wyglądają dokładnie tak samo, ponieważ powstają pod różnym naciskiem i kątem. Przydało się to, gdy wezwany przez obronę ekspert daktyloskopijny John Garson zaczął dyskredytować jedenaście punktów wspólnych wskazanych przez Collinsa. Twierdził, że między niektórymi z nich zachodzą różnice odległości, pokazywał również drobne odchylenia krzywizn przecinających wskazane punkty.

Wybitny oskarżyciel Richard Muir rozpoczął przesłuchanie Garsona od położenia przed nim dwóch listów napisanych przez niego samego. Pierwszy z nich skierowany był do prawników Strattonów, którym Garson oferował swoje usługi.



Drugi, zawierający taką samą ofertę, wysłano do prokuratury. Muir zasugerował, że specjalista był gotów zeznawać na korzyść tego, kto mu więcej zapłaci. Ekspert bronił się, mówiąc, że jest „świadkiem niezależnym”, na co sędzia prowadzący dodał, że „również zupełnie niewiarygodnym”. Reputacja Garsona została mocno nadszarpnięta.

Następnym ekspertem obrony miał być Henry Faulds. Po przebadaniu tysięcy linii papilarnych był gotów wygłosić druzgocącą przemowę, w której udowadniał, że nie ma sposobu, by zidentyfikować osobę na podstawie odcisku tylko jednego palca. Ostatecznie jednak z obawy przed

dociekliwymi pytaniami Muira obrona zdecydowała się nie wzywać Fauldsa przed oblicze sądu.

Po dwugodzinnej naradzie ława przysięgłych wydała wyrok skazujący. Proces trwał dziewiętnaście dni, a 23 maja 1905 roku bracia Stratton zawiśli na szubienicy. Brytyjski wymiar sprawiedliwości wkroczył na zupełnie nową drogę, opartą na dowodach naukowych.

W 1905 roku wydziały daktyloskopijne działały w Anglii, na Węgrzech, w Austrii, Niemczech, Szwajcarii, Danii, Hiszpanii, Argentynie, Stanach Zjednoczonych oraz w Kanadzie, ale odciski palców jako dowód winy wykorzystywano tylko w Buenos Aires i Londynie. Sprawa Strattonów udowodniła, jak potężne jest to narzędzie. Rok po tym kluczowym procesie czterech kolejnych Brytyjczyków trafiło za kraty dzięki badaniu linii papilarnych znalezionych na miejscu zbrodni. W tym samym czasie policjanci z Nowego Jorku zaczęli jeździć po całych Stanach i uczyć swoich kolegów po fachu, jak pobierać odciski.

System klasyfikacji i porównań opracowany przez Henry'ego działał praktycznie w niezmienionej formie aż do nadejścia ery komputerów i automatyzacji w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Podobnie niezmienna pozostała praca eksperta daktyloskopijnego.

C-4  
 5  
 NAME **MALE**  
 C.R.O. No. \_\_\_\_\_  
 Name Buck Ruxton Classification No. \_\_\_\_\_  
 Aliases \_\_\_\_\_  
 Prison LIVERPOOL This space is reserved for use of the Finger Print Bureau.  
 Prison Reg. No. 13003 **RIGHT HAND.**

1.—Right Thumb.	2.—R. Fore Finger.	3.—R. Middle Finger.	4.—R. Ring Finger.	5.—R. Little Finger.
(Fold.)				(Fold.)

Impressions to be so taken that the flexure of the last joint shall be immediately above the line marked (Fold). If the impression of any digit be defective a second print may be taken in the vacant space above it.  
 When a finger is missing or so injured that the impression cannot be obtained, or is deformed and yields a bad print, the fact should be noted under Remarks.  
 The "rolled" and "plain" impressions are to be obtained first, then prisoner should sign his name, and lastly an imprint of the right forefinger is to be impressed on the back of the form.

**LEFT HAND.**

6.—L. Thumb.	7.—L. Fore Finger.	8.—L. Middle Finger.	9.—L. Ring Finger.	10.—L. Little Finger.
(Fold.)				(Fold.)

**LEFT HAND.** Plain impressions of the four fingers taken simultaneously.  
**RIGHT HAND.** Plain impressions of the four fingers taken simultaneously.

LEFT.	RIGHT.

Impressions taken by \_\_\_\_\_ Rank \_\_\_\_\_ Date taken 7 X 35 Prison LIVERPOOL  
 Governor's Signature \_\_\_\_\_ Date \_\_\_\_\_  
 Checked at Finger Print Bureau by \_\_\_\_\_ Date \_\_\_\_\_  
 Tested at Finger Print Bureau by \_\_\_\_\_ Date \_\_\_\_\_

Odciski palców Bucka Ruxtona, pobrane w liverpoolskim więzieniu w 1936 roku Musi on po pierwsze zrozumieć, na co patrzy. Opuszki naszych palców pokryte są zawiłym wzorem bruzd i grzbietów.



Jeśli pozostawimy taki odcisk na kartce, uzyskamy znany wszystkim ślad pozostawiony przez te właśnie wybrzuszenia. Linie papilarne

pojawiają się jeszcze przed narodzeniem: pierwsze tworzą się w dziesiątym tygodniu ciąży, gdy zarodek mierzy około ośmiu centymetrów. Jedną z trzech warstw skóry, którą jest pokryty – naskórek – zaczyna rosnać szybciej niż pozostałe i tworzy bruzdy poprzez napinanie i kurczenie się skóry, która zachowuje się jak „płyty tektoniczne pod dużym ciśnieniem”. Gdybyśmy mieli zupełnie płaskie palce, opuszki byłyby pokryte liniami równoległymi. Ponieważ jednak koniuszki naszych palców są zaokrąglone, bruzdy tworzą się wzdłuż linii nacisku i zazwyczaj przyjmują postać nachodzących na siebie okręgów. Linie papilarne występują również we wnętrzach naszych dłoni oraz na stopach. Mają je wszystkie naczelnice, a biologowie ewolucyjni twierdzą, że istnieje ku temu ważny powód. Bruzdy i grzbiety pomagają skórze się rozciągać i chronią ją przed uszkodzeniami; ułatwiają odprowadzanie potu, a tym samym trzymanie różnych przedmiotów w wilgotnej dłoni; pozwalają lepiej poczuć (oraz chwycić) szorstkie powierzchnie, takie jak kora drzewa.

Gdy dotykamy jakiejś powierzchni, pozostawiamy na niej unikatowy ślad linii papilarnych. Nawet bliźnięta mają inne wzory odcisków palców. Przez całe lata rozwoju tego systemu identyfikacji nie udało się natrafić na dwie osoby, które miałyby dokładnie takie same linie papilarne choćby na jednym palcu.

W domu łatwo sprawdzić, kto pozostawił po sobie ślady.

Niewielkie plamy błota na podłodze to sprawa dziecka, które zapomniało zdjąć buty; jeszcze mniejsze odciski łapek pochodzą zapewne od psa. Dedukcja jest prosta z dwóch powodów: odcisk widać gołym okiem, a podejrzanych nie ma wielu. Znacznie więcej problemów sprawiają niewidoczne odciski. Błoto, krew i pot pozostawiają oba rodzaje odcisków – widoczne i niewidoczne. Im bardziej chłonna lub nieregularna powierzchnia, tym mniejsza szansa na pobranie czytelnego wzoru linii papilarnych, choć technologia rozwinęła się już na tyle, że możemy pobierać odciski z plastikowych torebek i ludzkiej skóry, co wcześniej było uznawane za niemożliwe.

Brytyjscy eksperci korzystają z wielu metod pobierania odcisków z różnych powierzchni. Zaczynają oczywiście od tych, które nie grożą zniszczeniem śladu. Kolejność zadań określa opublikowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podręcznik daktyloskopijny.



Najpierw technicy sprawdzają powierzchnie w celu odnalezienia odcisków widocznych gołym okiem, takich jak krwawy ślad na framudze drzwi w domu Rojasów, a potem robią im zdjęcia.

W następnej kolejności sięgają po lasery i latarkę świecącą w ultrafiolecie, by odnaleźć ślady ukryte. One również zostają sfotografowane. Jeśli specjalne oświetlenie nie przynosi upragnionych efektów, posypują ślad czarnym proszkiem, wykonują zdjęcie, po czym używają taśmy samoprzylepnej, by przenieść ślad z powierzchni na czystą kartkę papieru. Metoda ta jest w użyciu od czasów Henry'ego Fauldsa i stosuje się ją powszechnie po dziś dzień. Jeśli odcisk uporczywie nie chce się ujawnić, ponieważ pozostawiono go na przykład na jakiejś bardzo porowatej powierzchni, technicy mogą skorzystać z licznych środków chemicznych wchodzących w reakcję z solami i aminokwasami obecnymi w ludzkim pocie i w ten sposób „wywołać” odcisk.

Zdjęcia i odciski przeniesione na papier trafiają do funkcjonariusza specjalizującego się w daktyloskopii, który musi zdecydować, czy wzory są na tyle wyraźne, by umożliwić identyfikację. Jeśli uzna, że tak, porównuje się je z odciskami wszystkich osób, które mogły przebywać na miejscu zdarzenia – w tym także z liniami papilarnymi ofiar i policjantów – a dopiero później rozpoczyna się poszukiwanie potencjalnych podejrzanych. Wiele zależy od subiektywnej decyzji funkcjonariusza. Po sprawdzeniu wszystkich neutralnych odcisków niezidentyfikowane ślady linii papilarnych są skanowane i przerabiane na wzór geometryczny, który sprawdza się w państwowej bazie danych, takiej jak brytyjska baza IDENT1. Zawiera ona odciski palców około ośmiu milionów osób.

IDENT1 to współczesny odpowiednik szufladek Edwarda Henry'ego. Zarówno w tej bazie, jak i w bazie linii papilarnych FBI korzysta się z nieco zmodernizowanej wersji jego systemu klasyfikacji i identyfikacji. Oprogramowanie sprawdza każdy odcisk, między innymi pod kątem tego, ile wirów zawiera wzór. Każda odpowiedź ma wartość punktową: „dwa wiry” to dwa punkty. Wszystkie wartości są ze sobą łączone i tworzą unikatowy kod. Następnie system porównuje go z ośmioma milionami odcisków znajdującymi się w bazie i prezentuje około dziesięciu najbardziej podobnych wzorów.

Teraz ekspert musi ocenić, czy któryś z nich pasuje do odcisku znalezionego na miejscu zdarzenia. Tu znów mamy do czynienia z subiektywnym wrażeniem. Kiedy uda mu się odkryć podobieństwa

w ogólnym wzorze, skupia się na punktach charakterystycznych, tak zwanych minucjach – miejscach, w których linie się zaczynają, rozdzielają bądź łączą, czasem za pomocą krótkich przejść.

W 1901 roku, niedługo po uruchomieniu wydziału daktyloskopijnego, funkcjonariusze Scotland Yardu, tacy jak na przykład Charles Collins, musieli znaleźć co najmniej dwanaście pasujących do siebie minucji, nim mogli stanąć przed sądem i zeznawać. W 1924 roku liczbę punktów wspólnych zwiększono do szesnastu; w żadnym innym kraju nie domagano się ich tak wielu.

W tym czasie większość ekspertów twierdziła, że wystarczy osiem minucji, by potwierdzić podobieństwo. Wszystkie ślady, w których udało się zidentyfikować od ośmiu do piętnastu punktów wspólnych, uznawano za wartościowe i poddawano dalszej analizie. Jednak do 1953 roku system szesnastopunktowy upowszechnił się w całej Wielkiej Brytanii.

Od czasu sprawy Strattonów wiara opinii publicznej, przedstawicieli prawa oraz policjantów w skuteczność identyfikacji na podstawie odcisków palców systematycznie rosła. Metoda ta wydaje się wielu ludziom, w tym również ekspertom, stuprocentowo niezawodna.

Jak zauważa Jim Fraser w publikacji z 2010 roku zatytułowanej *Forensic Science* (Kryminalistyka), „zdaniem wielu uznanych specjalistów odcisk pojedynczego palca pozwala na nieomyślne zidentyfikowanie jego właściciela”.

Funkcjonariusz mający do czynienia z wyraźnym odciskiem linii papilarnych właściwie nie jest w stanie się pomylić. Inaczej wygląda to w przypadku krwawych, rozmazanych odcisków pokrytych innymi śladami – wtedy różni eksperci dostrzegają inne punkty zbieżne.

Pewna sprawa z 1997 roku okazała się prawdziwym testem subiektywnej natury badań daktyloskopijnych. Ciało Marion Ross znaleziono 6 stycznia w jej własnym domu w Kilmarnock w Szkocji.

Kobieta padła ofiarą niezwykle brutalnego ataku: prócz licznych ran kłutych miała także zmiażdżone żebra i nożyczki wbite prosto w gardło.

Technicy odkryli w jej mieszkaniu ponad dwieście niewidocznych odcisków palców, które zostały odesłane do analizy, by wykluczyć te należące do ratowników medycznych, lekarzy i policjantów.

Śladem, który miał wywołać największą burzę, okazał się odcisk lewego kciuka pozostawiony na framudze drzwi prowadzących do łazienki. Mimo że odcisk był mocno rozmazany, oficer daktyloskopijny

uznał, że należy on do trzydziestopięcioletniej detektyw Shirley McKie, która powinna była stać na zewnątrz i ochraniać miejsce zdarzenia w czasie zbierania śladów przez innych funkcjonariuszy. Aby pozostawić ten ślad, musiała zejść z posterunku, co było poważnym złamaniem zasad.

Wszyscy funkcjonariusze przechodzą szkolenia dotyczące postępowania na miejscu zbrodni. Technicy zawsze noszą ochronne rękawiczki, by nie uszkodzić delikatnych śladów pozostawionych przez sprawców. Ze względu na wagę sprawy odcisk przeanalizowało jeszcze trzech ekspertów, którzy potwierdzili, że należy on do McKie.

Wyglądało na to, że pani detektyw faktycznie opuściła przydzielony jej posterunek.

W tym samym czasie zidentyfikowano głównego podejrzanego, którym okazał się dwudziestoletni rzemieślnik David Asbury. Śledczy znaleźli jego odciski w domu Marion, a jej linie papilarne odkryto na metalowej puszcze w jego domu. Podejrzany wyjaśniał, że ślady na miejscu zbrodni powstały, gdy Marion zatrudniła go przy remoncie.

Detektywi uznali jednak, że jest to wystarczająca przesłanka do aresztowania go.

W czasie procesu Asbury'ego McKie zeznała, że nigdy nie wchodziła do domu Marion, i upierała się, że to nie jest odcisk jej palca.

Jej słowa potwierdzili wszyscy pozostali funkcjonariusze obecni na miejscu zdarzenia. Mimo to zawieszono ją w obowiązkach, a później została zwolniona.

Koszmar Shirley McKie wciąż trwał. W 1998 roku została aresztowana. O świcie musiała pośpiesznie ubierać się pod okiem czujnej funkcjonariuszki. Odwieziono ją na posterunek, którego szefem był jej własny ojciec, Iain McKie. Poddano ją gruntownemu przeszukaniu i zamknięto w celi. Dowiedziała się, że postawiono jej zarzut krzywoprzysięstwa, za które grozi do ośmiu lat więzienia. Jej ojciec, policjant o pięknej karcie długoletniej służby, uznał, że dowód w postaci odcisku palca jest niepodważalny. Łatwiej mu było uwierzyć w kłamstwo własnej córki, niż zanegować opinię specjalistów. Ciągle jej przypominał, że ludzie z powodu jednego odcisku trafiali na stryczek.

W maju 1999 roku Shirley McKie stanęła przed sądem.

Sprowadzono dwóch amerykańskich ekspertów, którzy utrzymywali, że odcisk znaleziony na miejscu zdarzenia nie jest odciskiem jej palca.

Jeden z nich twierdził, że różnice są „oczywiste” i widoczne „na pierwszy rzut oka”. Ich zeznania doprowadziły do oczyszczenia McKie z zarzutów. W sierpniu 2002 roku sąd apelacyjny w Edynburgu uchylił także wyrok w sprawie Asbury’ego – z powodu uchybień w procedurze identyfikacji linii papilarnych. Nim do tego doszło, Asbury spędził trzy i pół roku w więzieniu.

Kiedy potwierdzono niewinność Shirley McKie, na ławie oskarżonych znaleźli się funkcjonariusze szkockiego Wydziału Rejestracji Danych Kryminalnych oraz czterej policjanci ze Strathclyde, których oskarżono o zaniedbania. Sama Shirley pozwała swoich byłych pracodawców i w 2006 roku otrzymała siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów odszkodowania.

Nie zmienia to jednak faktu, że musiała się pożegnać z pracą, którą naprawdę kochała, i przez kolejne lata stała za ladą w sklepie z pamiątkami, cierpiąc na ciężką depresję. Jej ojciec podróżuje teraz po całym świecie, prowadząc kampanię na rzecz zwiększenia skuteczności ekspertyz prezentowanych przed sądem, i ostrzega ludzi przed nadmiernym zaufaniem w stosunku do specjalistów od daktyloskopii.

Częściowo właśnie z powodu tych dwóch powiązanych ze sobą spraw – Asbury’ego i McKie – w 2001 roku Anglicy i Walijczycy wycofali się z systemu opartego na szesnastu podobnych minucjach, który zresztą nigdy nie działał tak, jak planowano. Po odnalezieniu czternastu punktów wspólnych funkcjonariusze skupiali się na szukaniu dwóch pozostałych. Wypatrywali podobieństw zamiast różnic, co groziło naciąganiem faktów. Od czasu rezygnacji z szesnastopunktowego systemu nie korzysta się z żadnych standardów numerycznych. Mimo to rzadko się zdarza, by inni eksperci kwestionowali opinię specjalistów od daktyloskopii.

Catherine Tweedy jest jedną z nielicznych osób, których praca polega na podważaniu opinii specjalistów zajmujących się liniami papilarnymi. Na pierwszy rzut oka przypomina nauczycielkę, kochaną przez dzieci za to, że wydobywa z nich to, co najlepsze – ciekawość, odwagę i pragnienie wiedzy. Wystarczy jednak pięć minut w jej towarzystwie, by odkryć, że ma wybitny intelekt, skupiony na logicznej argumentacji, i wielkie zamiłowanie do układania wszystkiego we właściwym porządku. Odbyła wiele szkoleń dotyczących pobierania odcisków palców. Uczyła się zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i pod okiem policjantów z Miami na Florydzie, gdzie ukończyła zaawansowany kurs wykrywania

niewidocznych odcisków linii papilarnych. Obecnie pracuje jako specjalistka od daktyloskopii w Durham i najczęściej bywa zatrudniana przez obrońców do weryfikacji już zidentyfikowanych odcisków – choć nie dzieje się to tak często, jak by sobie życzyła.

„Zajmuję się tą pracą od połowy lat dziewięćdziesiątych” – wyjaśnia. „Podeszłam do niej jak naukowiec. Przeraza mnie to, że ludzie traktują daktyloskopię niczym w pełni wiarygodną naukę. To wcale nie jest nauka, to tylko porównywanie”. Argumenty przemawiające za skutecznością daktyloskopii zawsze były utrzymane w naukowym tonie.

Catherine Tweedy spędziła ostatnie dwie dekady na przypominaniu ludziom, że dopiero zbliżamy się do osiągnięcia stuprocentowej skuteczności i pomyłki nadal są możliwe.

W 2006 roku Szkocja poszła w ślady Anglii i Walii. Zrezygnowała z szesnastopunktowego systemu identyfikacji odcisków palców. W tym samym roku McKie otrzymała zadośćuczynienie. Pięć lat później opublikowano wyniki oficjalnego dochodzenia w sprawie procesu McKie – Asbury. Raport stwierdzał, że pomyłka była wynikiem „błędu czynnika ludzkiego”, a nie zaniedbaniem ze strony wydziału policji w Strathclyde. Zalecano także, by od tej pory uznawać odciski palców za dowody z opinii, a nie za dowód rzeczowy; tak też powinny być traktowane przez sądy.

Catherine Tweedy twierdzi, że część specjalistów daktyloskopijnych nie przyjmuje tego do wiadomości.

Nie rozumieją, że odcisk palca może być dowodem z opinii. Jeśli kogoś całe życie ćwiczono w tym, by widział w liniach papilarnych dowody rzeczowe, niezwykle ciężko będzie mu zrozumieć, że jest tu miejsce na różne interpretacje. W wielu sprawach nigdy nie będziemy mieli stuprocentowej pewności, ponieważ dysponujemy jedynie fragmentem odcisku.

Pomyłki zdarzają się nawet wtedy, gdy uda się dopasować odcisk palca do osoby, a śledczy próbują odkryć, jakie to ma znaczenie dla sprawy. Jedną z pierwszych spraw Catherine dotyczyła czternastolatka imieniem Jamie, pochodzącego z Irlandii Północnej. Oskarżono go o włamanie. Na parapecie okna łazienki obrabowanego domu znaleziono odcisk jego dłoni. Chłopiec twierdził, że nigdy tam nie był. Catherine zbadała miejsce zdarzenia i stwierdziła, że oskarżony mógł mieć rację.

W budynku panował tak olbrzymi bałagan, że trudno było przeprowadzić dokładne poszukiwania. Odcisk dłoni wyraźnie pasował do Jamiego, gdyby jednak ktoś przecisnął się przez okno łazienki, pozostawiłby także ślady butów na wannie lub umywalce i podeptał śmieci leżące na podłodze. Żadne dowody na to nie wskazywały.

Technicy kryminalistyczni nie sprawdzali sąsiednich pomieszczeń ani drzwi wyjściowych. Catherine przeprowadziła własne dochodzenie i nie znalazła żadnych śladów, które wskazywałyby na obecność chłopca wewnątrz domu.

Obrońcy Jamiego, zdopingowani wynikami jej pracy, odkryli, że właściciele okradzonego domu wyrzucili z niego własną córkę – pozbyli się jej bezdusznie w dniu szesnastych urodzin dziewczyny. Przez kilka tygodni korzystała ona z gościny przyjaciół. Później, gdy jej rodzice wybrali się na zakupy, wróciła do domu, otworzyła drzwi własnym kluczem i zabrała kilka swoich rzeczy, w tym magnetofon, kasetkę z pieniędzmi, ubrania i parę kaset wideo.



Wróciwszy ze sklepu, rodzice zorientowali się, że zniknęło kilka przedmiotów, i natychmiast zgłosili włamanie. Dochodzenie zakończyło się w momencie odnalezienia odcisku w łazience. Nie było dalszych pytań. Catherine przepytowała kolegów Jamiego, którzy wyjaśnili, że bawili się w piratów na tyłach tego domu. Zabawa polegała na tym, że każdy, kto chciał uniknąć wyeliminowania, musiał utrzymywać obie stopy nad ziemią. Jamie, jak się okazało, był bardzo zwinnym wspinaczem, a do jego ulubionych sztuczek w trakcie zabawy należało wdrapywanie się po rynnie i zwisanie z parapetu łazienkowego okna, którego trzymał się jedną ręką. Gdyby nie Catherine, zdolności akrobatyczne zaprowadziłyby go za kraty.

Czasem pobieraniu odcisków palców towarzyszą o wiele bardziej makabryczne okoliczności. Dziesięć bomb, które eksplodowały w godzinach szczytu 11 marca 2004 roku w czterech składach madryckiego metra, zabiło stu dziewięćdziesięciu jeden ludzi i raniło kolejnych tysiąc osiemset ofiar. FBI uznało, że za zamachem stoi Al-Kaida.

Hiszpańska policja odnalazła porzucony plastikowy worek z detonatorem; na torebce pozostał niekompletny odcisk palca. Po

przepuszczeniu go przez bazy danych FBI uzyskano dwadzieścia podobnych wzorów.

Jeden z nich należał do Brandona Mayfielda, amerykańskiego prawnika mieszkającego w Oregonie. Jego odcisk trafił do bazy danych FBI, gdy Mayfield służył w amerykańskiej armii. Z punktu widzenia antyterrorystów ważniejsze było jednak to, że ożenił się z Egipcjanką i przeszedł na islam. Bronił także członka Portlandzkiej Siódemki, grupy mężczyzn, którzy chcieli wyruszyć do Afganistanu, by pomagać talibom, choć prowadzona przez niego sprawa dotyczyła akurat praw do opieki nad dzieckiem. No ale modlił się w tym samym meczecie co oskarżony i jego towarzysze.

Mimo że odcisk pasował jedynie częściowo, a paszport Mayfielda stracił ważność dwa lata wcześniej i brakowało jakichkolwiek dowodów wskazujących na to, że podróżował za granicę, FBI uznało, że adwokat jest zamieszany w madryckie zamachy.



Cała jego rodzina znalazła się pod obserwacją.

Choć hiszpańscy policjanci nalegali, by zignorować ten trop, agenci FBI założyli podsłuch w telefonie Mayfielda, włamali się do jego domu i biura, przeszukali komputery i sprawdzili konto bankowe. Nie przestawali go też śledzić. Kiedy w końcu się zorientował, ogarnęła go panika, więc został zatrzymany przez FBI z obawy, że spróbuje zbiec z kraju. Dopiero po dwóch długich tygodniach hiszpańska policja dopasowała odcisk do prawdziwego sprawcy, Algierczyka Ouhane'a Daouda.

Mayfield pozwał amerykańskie władze za bezprawne zatrzymanie i w 2006 roku otrzymał oficjalne przeprosiny oraz odszkodowanie w wysokości dwóch milionów dolarów.

Później FBI przyznało, że jedną z przyczyn takiego obrotu sprawy Mayfielda był błąd specjalistów od daktyloskopii, którzy zapomnieli, że fazy analizy śladu i porównywania muszą być od siebie oddzielone.

Najpierw należy szczegółowo zbadać odcisk i opisać jak najwięcej minucji. Dopiero później szuka się odpowiadających im wzorów i dokonuje identyfikacji. Jeśli obie fazy są prowadzone jednocześnie, istnieje ryzyko, że specjaliści będą wyszukiwać jedynie pasujące minucje. Zdaniem Itiela Drora, psychologa kognitywistycznego z londyńskiego University College, „nie jest to częsty problem, ale nawet jeśli dotyczy

tylko jednego procenta przypadków, daje nam rocznie tysiące błędnych identyfikacji”.



Hiszpańscy technicy kryminalistyczni szukający śladów w zniszczonym wagoniku metra po zamachu na stacji Atocha. Atak terrorystyczny z 2004 roku należał do najtragiczniejszych w całej historii Hiszpanii



Jak dowodzi amerykański eksperyment z 2006 roku, nawet doświadczeni specjaliści daktyloskopijni mogą się pomylić, zwiedzeni kontekstem sprawy. Sześciu ekspertów dostało do przebadania ślady, nad którymi pracowali już wcześniej. Tym razem jednak podano im pewne szczegóły. Dowiedzieli się na przykład, że w czasie zdarzenia podejrzany przebywał w areszcie albo że przyznał się do winy.

W siedemnastu procentach przypadków pod wpływem wskazówek podsuniętych przez policję specjaliści zmienili swoją pierwotną opinię.

Innymi słowy, nie potrafili odciąć się od kontekstu i ocenić śladu obiektywnie.

Na szczęście w Wielkiej Brytanii w większości przypadków dział kryminalistyki jest niezależny od innych działów policji, więc szansa popełnienia takich błędów jest nieco mniejsza.

Mimo wszystkich pytań stawianych przez ludzi pokroju Catherine Tweedy sądy na całym świecie wciąż uznają odciski palców za niepodważalne dowody, a pojedynczy ślad może posłać człowieka do więzienia. Jak możemy wyczytać w cieszącej się sporą popularnością książce *Forensic Casebook* (Przypadki sądowe), opublikowanej w 2004 roku przez Ngaire Genge: „Specjaliści zawsze muszą mieć sto lub zero procent pewności”. Z drugiej strony szwajcarski ekspert identyfikacji kryminalistycznej Christophe Champod nawołuje, by traktować odciski palców w kategoriach prawdopodobieństwa i podobnie jak w przypadku innych dziedzin kryminalistyki mówić o prawdopodobnych lub hipotetycznych śladach. Twierdzi również, że ich znaczenie powinno zostać poważnie ograniczone: „Dowody z odcisków palców powinny być uznawane jedynie za dowody potwierdzające”.

Jeśli potraktować całą kryminalistykę jak wielką rodzinę, daktyloskopia odgrywa w niej rolę sędziwego chciwego nestora, który nie chce nikomu ustąpić miejsca w najwygodniejszym fotelu i twierdzi, że tylko on ma prawo do wydawania ocen, choć czasy mocno się zmieniły. Dopiero gdy reszta rodziny zrozumie, że zdarza mu się czasem pomylić fakty, miejsca i ludzi, można potraktować jego opowieści z odpowiednią dozą rozwagi i sprowadzić jego wpływ na innych do zdrowego, rozsądnego poziomu.

## 7. Rozbryzgi krwi i badanie dna

*Móglżeby cały ocean  
Te krwawe ślady spłukać z mojej ręki?  
Nie, nigdy! raczej by ta moja ręka  
Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić  
I ich zieloność w purpurę zamienić<sup>11</sup>.*

William Shakespeare, Makbet, akt II, scena II

Krew. Esencja życia. Bez niej umieramy. Płynie przez naszą historię, przenosząc bogactwa i władzę z pokolenia na pokolenie. Od najdawniejszych czasów ludzie rozumieli, że krew łączy nas zarówno z plemieniem, jak i z naszym rodem. W niektórych kulturach prawo dziedziczenia nie przechodziło z ojca na syna, tylko z ojca na siostrzeńca, bo syn siostry na pewno miał tę samą krew. Wiedziałeś, że jego babka była twoją matką, a tego, czy twój syn ma choć kroplę twojej krwi, nigdy nie mogłeś być stuprocentowo pewny.

Krew napędza także literaturę kryminalną, właściwie od samego początku jej istnienia. Kiedy doktor Watson po raz pierwszy spotyka Sherlocka Holmesa, detektyw pochyla się nad stołem. Właśnie ulepszył odczynniki do badania hemoglobiny. Widząc, że Watson nie rozumie genialności tych odkryć, detektyw unosi się gniewem: „Człowieku! Toż to największy od lat wynalazek w medycynie sądowej. Czy pan nie rozumie, że daje on nam nieomylną próbę krwawych plam? Niech pan tu przejdzie”<sup>12</sup>. Następnie Holmes kłuje się igłą w palec i poddaje badaniom kroplę własnej krwi. A potem wygłasza krótką przemowę:

W kryminalistyce stale mamy do czynienia z tym zagadnieniem.

Podejrzewamy kogoś o zabójstwo w kilka miesięcy po wykryciu zbrodni. Badamy bieliznę i ubranie podejrzanego i znajdujemy brązowe plamy. Czy są to ślady błota, rdzy, a może plamy po owocach albo jakies inne? Niejeden ekspert głowił się nad tym, a dlaczego? Bo nie mieliśmy pewnego sprawdzianu. Teraz mamy sprawdzian Sherlocka Holmesa i zapomnimy o tych trudnościach<sup>13</sup>.

Sam tytuł pierwszej powieści Arthura Conana Doyle'a – *Studium w szkarłacie* – pochodzi z przemowy Holmesa, w której poucza on Watsona, na czym polega rola detektywa. „W bezbarwnym kłębku życia przewija się szkarłatna nić morderstwa. Do nas należy wysupłać ją, oddzielić cal po calu”<sup>14</sup>. Wkrótce potem obaj bohaterowie natrafiają na początek „szkarłatnej nici” w opuszczonym domu przy Brixton Road.

Watson z trudem znosi makabryczny widok, co jest dość nieprawdopodobnym zachowaniem, jeśli wziąć pod uwagę, że był lekarzem wojskowym w czasie wojny w Afganistanie. Z drugiej strony sama piszę książki zalane posoką i pełne okropnych scen, a panikuję na widok kropli krwi.

Wróćmy do Conana Doyle'a. Pewien mężczyzna umarł w wyniku pchnięcia nożem. Leży w łóżku z przebitym sercem. „Spod drzwi, wijąc się, wypływała wąska, czerwona, krwawa struga i u przeciwległej listwy zbierała się w małą kałużę”<sup>15</sup>. Tym razem nie ma potrzeby używać nowo opracowanego testu; zamiast tego Holmes uważnie przygląda się wszystkim śladom i słucha opinii policjanta na temat anonimowego zabójcy. „Po morderstwie musiał czas jakiś zabawić w pokoju, bo w miednicy została woda zaróżowiona od krwi po myciu rąk i plamy na prześcieradle, o które z całym spokojem otarł nóż”<sup>16</sup>.

Odtwarzanie przebiegu zajścia na podstawie śladów krwi pozostawionych na miejscu zdarzenia znane jest pod nazwą analizy plam krwawych. Conan Doyle przeczuwał zaledwie, co można by wyczytać z plamy krwi, jeśli dysponowałoby się dokładniejszymi metodami. Dwa lata przed publikacją *Studium w szkarłacie*, w 1895 roku, Edward Piotrowski, jeden z asystentów w polskiej Katedrze Medycyny Sądowej przy Uniwersytecie Jagiellońskim, opublikował w Wiedniu artykuł *Über Entstehung, Form und Ausbreitung von Blutspuren nach Hiebunden des Kopfes* (O pochodzeniu, kształtach, kierunkach i rozpryskach krwi w wyniku uderzeń w głowę). Był to pierwszy tekst próbujący opisać przebieg wydarzeń na podstawie plam krwi.

Eksperymenty Piotrowskiego polegały na tym, że ustawiwszy przed papierowym parawanem żywego królika, uderzał go kilka razy młotkiem w głowę, a potem prosił malarza o odwzorowanie krwawych rezultatów badań. Barwne ilustracje, opublikowane wraz z artykułem, są równie dokładne co odpychające. Naukowiec atakował króliki za pomocą kamieni i siekiery, zmieniając pozycję i kąt uderzenia, by sprawdzić, jak

wpłyne to na kierunek krwawych rozbryzgów. Nie wiemy, jak się czuł podczas prowadzenia takich badań, ale w artykule podkreśla szlachetność swoich dążeń: „Jest niezwykle ważne, by kryminalistyka zajęła się z jak największą uwagą krwawymi śladami znalezionymi na miejscu zbrodni, mogą one bowiem wiele powiedzieć zarówno o samym morderstwie, jak i o kluczowych momentach aktu zabójstwa”.

Niestety, aż do połowy lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku jego pionierskie badania cieszyły się nikłym zainteresowaniem.

Kluczowa okazała się sprawa z 1955 roku, kiedy to Samuel Sheppard, przystojny lekarz, został skazany za zabicie tępym narzędziem swojej ciężarnej żony w ich domu nad brzegiem jeziora Erie w Ohio. Doktor utrzymywał, że sprawcą ataku był jakiś „rozczochrany napastnik”, który rzucił się na jego żonę (i zranił go w kark w takim miejscu, w którym trudno cokolwiek zrobić sobie samodzielnie).

Zarówno w czasie pierwszego, jak i ponownego procesu Shepparda, który odbył się w 1966 roku, obrona powołała na stanowisko biegłego Paula Kirka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

„Uderzenie bronią w zakrwawioną głowę wywołuje rozbryzgi krwi, które rozchodzą się jak szprychy koła na wszystkie strony” – wyjaśniał Kirk, pokazując przed sądem fotografie ściany przy łóżku, na którym leżała pobita pani Sheppard. „Jest całkowicie pewne – dodał – że morderca poplamiał się krwią, która musiała zachlapać każdą odsłoniętą część jego ubrania”. Kiedy policja dotarła na miejsce zdarzenia, Sheppard był w stanie szoku i nie miał na sobie koszuli. Jedyną plamę krwi znaleziono na kolanie jego spodni. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy pozbył się koszuli. „Może ten człowiek mi ją zabrał? Nie wiem”.

Później nieopodal ich domu znaleziono zupełnie czystą, ale podartą koszulę pasującą rozmiarem na Shepparda. Przekonujące zeznanie Kirka podczas powtórnego procesu pomogło w uchyleniu wyroku. Sheppard został zwolniony po jedenastu latach odsiadki.



Pięć lat później, w 1971 roku, amerykańskie władze opublikowały pierwszy nowoczesny podręcznik badania krwawych śladów – *Flight Characteristics and Stain Patterns of Human Blood* (Trajektoria i kształt plam ludzkiej krwi). Opracowanie zawierało sześćdziesiąt kolorowych zdjęć, z których technicy kryminalistyczni dowiadywali się, jak rozpoznać, czym i z której strony zadano śmiertelny cios, czy morderca

się popłamił, czy on również krwawił, czy ofiara była ruszana po śmierci lub ruszała się sama, nim umarła.

Policjanci korzystają z analizy śladów krwawych każdego dnia; do dziś udało się dzięki niej rozwiązać tysiące spraw. Jednak prawdziwy przełom nastąpił dopiero w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, wraz z narodzinami technologii umożliwiającymi identyfikację genetyczną. Do listy pytań „co, gdzie i jak?” można było dołączyć kolejne – „kto?”. Od początku dwudziestego wieku naukowcy byli w stanie zidentyfikować grupę krwi na podstawie jej próbki lub nasienia.

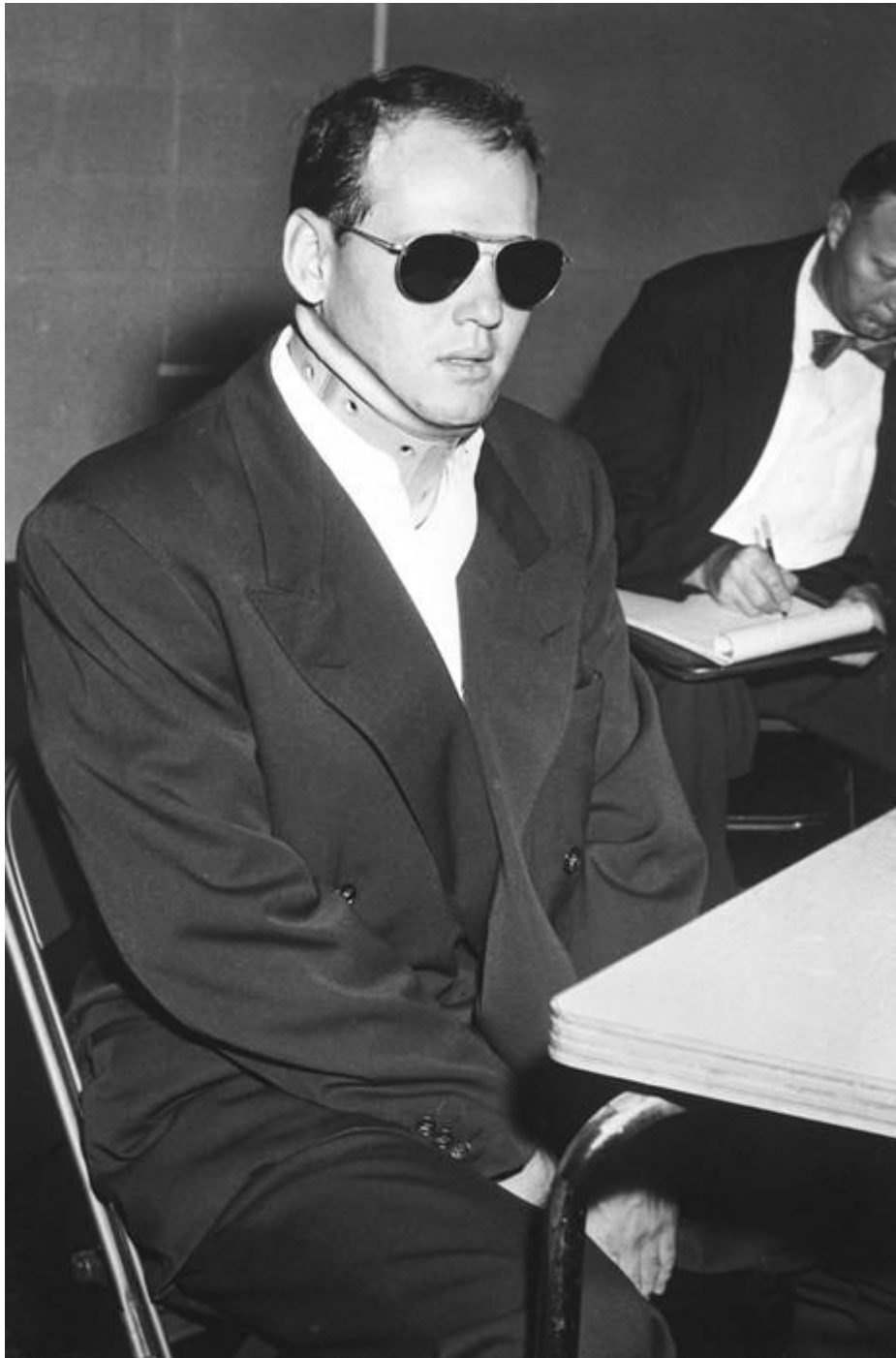
Pomagało to zawęzić grupę podejrzanych, ale częstotliwość występowania niektórych grup krwi sprawiała, że zazwyczaj był to jedynie dowód poszlakowy. Analiza grup krwi nie dawała nawet w przybliżeniu takich możliwości, jakie zyskaliśmy dzięki badaniom DNA.

Val Tomlinson zajmuje się analizą krwawych śladów od trzydziestu dwóch lat, jest również specjalistką od laboratoryjnego badania śladów genetycznych. W latach 1982–2011 pracowała dla Państwowych Służb Kryminalistycznych (Forensic Science Service, FSS), a kiedy zostały zlikwidowane, przeniósła się do firmy LGC Forensics. To łagodna, genialna kobieta, w najwyższym stopniu zafascynowana krwią – tym, jak porusza się ona w naszym ciele, jej chemiczną strukturą i informacjami, jakie przenosi. Równie mocno interesuje ją kod genetyczny leżący u podstaw każdego ludzkiego życia.

„DNA ma swoją logikę. Ale co dziwne, praca na miejscu zbrodni bardziej kojarzy się ze sztuką niż z nauką”.



Samuel Sheppard tuż po rzekomym ataku na żonę (po lewej); Marilyn Reese Sheppard (po prawej).



Sheppard zeznawał przed sądem w kołnierzu ortopedycznym.

Odsiedział dziesięć lat za zabójstwo, lecz w 1966 roku podczas kolejnego procesu oczyszczono go z zarzutów

Zanim Val dotrze na miejsce zdarzenia, niosąc pod pachą czyste kartki papieru, technicy kończą fotografować i filmować każdy milimetr interesujących ich przestrzeni. „Wielokrotnie musiałam słuchać pytań, po

co ja to wszystko rysuję, przecież nie ma takiej potrzeby”. Podobnie jak malarzowi pejzażyście, zależy jej na jak najpełniejszym „zanurzeniu się” w miejsce zdarzenia.

Podczas wakacji mogę zrobić dwieście zdjęć, a po powrocie do domu wszystkie one zamienią się w obojętne widoczki. Jednak gdy stoję i rysuję, zawsze skupiam się na jakimś szczególnym aspekcie, na czymś, co samo mnie przyciąga. Powoli tworzę sobie obraz, z którego eliminuję nieistotne szczegóły. Może się okazać, że ważna jest tylko jedna rzecz, a rysunek pomaga mi ją zaakcentować. Zdjęcie pokazuje wszystko, bez wyjątku. Nie skupia się, powiedzmy, na tym, że jakiś przedmiot jest odwrócony, zaplamiony krwią, nie podkreśla istotnego znaczenia kubka.

Po „pięciu, sześciu godzinach” pracy Val ma już wszystko logicznie poukładane. Sam akt rysowania jest ważniejszy od końcowego rysunku. „Nawet jeśli nie mam gotowych odpowiedzi, to na podstawie tego, co zobaczyłam, mogę zasugerować hipotetyczną kolejność wydarzeń i poddać ją pod dyskusję”. Informuje o swoich teoriach oficera prowadzącego, a później ławników, którym pokazuje swoje rysunki w czasie procesu. „Wykorzystuję je równie często jak fotografie, ponieważ pomagają wyeliminować wszystko, co zbędne, i skupić uwagę ławy przysięgłych na istotnych szczegółach”.

Najważniejsze na miejscu zdarzenia są dla niej plamy krwi. Krew podlega tym samym prawom fizyki co wszystkie ciecze. Gdy spada na podłogę pod kątem prostym, tworzy owalne plamy, zwykle dlatego, że skapuje powoli z osoby lub obiektu. Gdy tryska pod dużym kątem, zwykle po uderzeniu, tworzy eliptyczny zaciek. Im dłuższy i cieńszy łuk, tym ostrzejszy kąt, z jakiego padł cios. Jeśli plamy krwi na podłodze rozchodzą się na wszystkie strony „jak szprychy”, najprawdopodobniej pochodzą z pojedynczego uderzenia lub uderzeń zadanych w to samo miejsce. Specjaliści tacy jak Val potrafią obliczyć kąt rozbryzgu, później zaś przymocowują do każdej z plam nitki i prowadzą je pod odpowiednim kątem. Powinny się przeciąć dokładnie w miejscu, w którym zadano cios. Jeżeli nici zbiegają się na przykład blisko podłogi, możemy założyć, że ofiara na pewno nie stała w momencie uderzenia. Zdjęcia takiego modelu mogą być wykorzystane w sądzie.





Doktor Paul Kirk badający rozbryzgi krwi znalezione na poduszce Marilyn Sheppard

Coraz częściej stosuje się też programy komputerowe, takie jak **No More Strings** (Koniec z Niciami), modelujące trójwymiarowy obraz rozbryzgów krwi znalezionych na miejscu zbrodni.

Przyczyna śmierci nie zawsze jest zagadką: w przypadku pobicia lub ataku nożem widać ją zazwyczaj wyraźnie i właśnie wtedy wykresy przygotowane przez Val mogą okazać się bardziej przydatne niż wyniki sekcji zwłok. Czy wszystkie ślady krwawe znajdują się w jednym miejscu, co wskazywałoby, że ofiara natychmiast upadła na podłogę?

Czy próbowała walczyć, trzymając się na nogach i brudząc krwią ubranie? Czy zabójca starał się z jakiegoś powodu przeciągnąć ciało, na

co wskazywałyby zmierzwione włosy, podwinięte ubranie i być może ślad krwi ciągnący się po podłodze? Czy ciało ma skrzyżowane kostki u nóg – sygnał, że ktoś mógł obrócić zwłoki? Odpowiedzi mogą okazać się istotne dla oficera prowadzącego śledztwo i pozwalają poznać zachowanie podejrzanego oraz wydarzenia towarzyszące śmierci ofiary.

Val musi jak najszybciej odkryć, czy sprawca mógł się poplamić krwią.

Ostatnie miejsce zbrodni, jakie odwiedzałam, było starym wiktoriańskim domostwem, pełnym pokoi mocno zachlapanych krwią.

Poznaliśmy drogę ucieczki sprawcy, ponieważ jego zakrwawione ubrania pozostawiały ślady na drzwiach, przez które przechodził.

Okazało się ostatecznie, że sprawcy próbowali spalić odzież, ale udało się ją odzyskać i wciąż była zakrwawiona.

Policja zawsze musi ścigać się z czasem i próbować złapać podejrzanego, zanim ten pozbędzie się kluczowych dowodów. Na szczęście plamy krwi okazują się niezwykle trudne do usunięcia. Val oprócz miejsca zbrodni odwiedza także czasem mieszkania podejrzanych, by sprawdzić drzwi i ubrania. „Zwykle zdążą je już wyprać, więc sprawdzamy też wewnątrz pralki”. John Gardiner, który w 2004 roku próbował zatrzeć ślady w sprawie zniknięcia swojej żony (s. 241), przekonał się, że specjaliści kryminalistyczni nie dają się łatwo zniechęcić i do skutku szukają użytecznych śladów.

Praca ekspertów badających ślady krwi, zwłaszcza tych, którzy nie mają pięciu lub sześciu godzin na nawiązanie „artystycznego” kontaktu z miejscem zbrodni, nie zawsze bywa użyteczna. „Słyszałam przerażające historie o ekspertach, którym pozwalano na miejscu zdarzenia zajmować się jedynie plamami krwi” – skarży się Val. „To przecież proszenie się o katastrofę. Musimy mieć ogład całości”.

Zdarzało się również, że przed sądem zeznawali biegli, którzy nie widzieli miejsca zdarzenia na własne oczy, jak choćby w tragicznej i skomplikowanej sprawie, która rozpoczęła się 15 lutego 1997 roku w nadmorskim miasteczku Hastings w East Sussex.

Późnym popołudniem trzynastoletnia Billie-Jo malowała drzwi prowadzące na werandę w domu swoich przybranych rodziców. Jej ojciec Siôn Jenkins, zastępca dyrektora pobliskiej szkoły, razem z dwiema pozostałymi córkami wrócił właśnie z miejscowego sklepu z narzędziami. Jedna z dziewczynek poszła na werandę porozmawiać z siostrą i natychmiast zaczęła krzyczeć. Billie-Jo leżała na brzuchu, miała

roztrzaskaną głowę. Siôn obrócił ją na bok, by lepiej się przyjrzeć, i zobaczył bańki krwi wydostające się z jej nosa. Zadzwoił pod numer alarmowy, a ratownicy po przybyciu na miejsce stwierdzili śmierć dziewczynki.

Niedaleko werandy technicy odkryli zakrwawiony metalowy kołek namiotowy o wymiarach czterdzieści sześć na półtora centymetra.

Sekcja wykazała, że zabójca zadał Billie-Jo co najmniej dziesięć brutalnych ciosów w głowę. Następnego dnia na miejscu zdarzenia pojawił się ekspert badający ślady krwi, który sprawdził rozchodzący się na wszystkie strony krwawy ślad na ścianie obok werandy, drzwi prowadzące do środka i podłogę w jadalni.

W przypadku nagłej śmierci dziecka policja zwraca szczególną uwagę na najbliższe mu osoby. Razem z kołkiem do analizy trafiły również ubrania Siõna Jenkinsa. Dwudziestego drugiego lutego naukowcy wykryli na jego spodniach, kurtce i butach sto pięćdziesiąt osiem drobnych plamek krwi, niemożliwych do zauważenia gołym okiem. Czy powstały one wtedy, gdy zabijał swoją córkę? Czy też Billie-Jo ochlapała go krwią, gdy wydawała ostatnie tchnienie?

Po trwających kilka dni badaniach ekspert uznał, że plamy na odzieży Jenkinsa wskazują na jego udział w zabójstwie, ale może też istnieć jakieś inne wyjaśnienie – nie był w stanie stwierdzić tego z całkowitą pewnością.

Policja aresztowała przybranego ojca dziewczynki dwa dni później, a jego proces rozpoczął się 3 czerwca. Na prośbę oskarżenia biegły użył wypełnionej krwią pipety i wyprodukował za jej pomocą pękające bańki, które pozostawiały ślad na białej powierzchni. Jedna taka bańka powodowała spory rozbryzg, strugi krwi tryskały w dół i na boki na odległość pięćdziesięciu centymetrów – ale żadna z nich nie poleciała ku górze. Później ekspert zaprezentował efekty uderzania metalowym kołkiem w świńską głowę – krwawe plamy pokryły cały jego kombinezon.

Obrona również powołała biegłego, który zaprezentował własne eksperymenty. Krew, którą wydmuchał z nosa, stworzyła ślad równy długości ludzkiego ramienia.

Oskarżenie utrzymywało, że dziewczynka nie żyła już, gdy Jenkins odwrócił ją na bok, w związku z czym nie mogła wydać gwałtownego tchnienia. Zgodnie z zeznaniami pediatry Davida Southalla: „Każdy, kto natknie się na ranne dziecko, które walczy o ostatni oddech, zorientuje

się, że ofiara wciąż żyje, i na pewno o tym poinformuje, ponieważ uzna to za oczywiste”. Neurolodzy wciąż jednak spierają się o to, kiedy mózg jest zbyt uszkodzony, by stracić kontrolę nad układem oddechowym.

Lekarz medycyny sądowej powołany na świadka przez obronę twierdził, że Billie-Jo mogła żyć do momentu, gdy znalazł się przy niej ojciec.

W trakcie przesłuchania obaj eksperci obrony zajmujący się analizą śladów krwawych przyznali jednak, że plamy na ubraniu Jenkinsa mogły powstać w czasie ataku na córkę.

Siôn Jenkins wciąż utrzymywał, że jest niewinny, jednak 2 lipca 1998 roku skazano go za morderstwo i wysłano na resztę życia za kraty.

Niektórzy ucieszyli się z tego wyroku, pozostali byli przerażeni brakiem innych dowodów i sugerowali, że policja zbyt mocno przywiązała się do hipotezy, iż sprawcą musi być ktoś z rodziny. W ciągu dwóch lat poprzedzających atak w okolicy domu Jenkinsów w Hastings zgłoszono osiemdziesiąt dwa przypadki podejrzanych ludzi i zachowań. Wyrok skrytykowano na łamach „New Statesmana”. Dziennikarze pisali:

Policja miała najbardziej prawdopodobnego sprawcę w swoich rękach: kogoś z historią przemocy wobec nieletnich, nękanego chorobami psychicznymi, kogoś widzianego przez wielu świadków, gdy kręcił się w pobliżu miejsca zdarzenia. W czasie przesłuchania przyznał na dodatek, że pozbył się większości ubrań. Kimkolwiek jest prawdziwy morderca, dzięki kaprysom brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości będzie miał okazję znów zaatakować czyjąś córkę.



Gdy Siôn Jenkins odwołał się w 2004 roku od wyroku sędziego, lekarz powołany przez obronę zaprezentował nowy materiał dowodowy dotyczący stanu płuc Billie-Jo. W czasie sekcji zwłok odkryto, że są pełne powietrza, co oznaczało, że coś – prawdopodobnie krew – blokowało jego ujście. Jeśli blokada nastąpiła w górnej partii dróg oddechowych i została nagle usunięta, nagle uwolnione powietrze mogło poplamieć ubranie Jenkinsa krwią, niezależnie od tego, czy dziewczynka wciąż żyła, czy nie. Odbyły się jeszcze dwa procesy, w czasie których ławnicy nie potrafili podjąć jednomyślnej decyzji, aż w końcu w 2006 roku Jenkins został uniewinniony. Pięć lat później ukończył studia doktoranckie na Wydziale Medycyny Sądowej Uniwersytetu Portsmouth. Obecnie współpracuje z grupami lobbystów próbującymi wywierać nacisk na specjalistów od

kryminalistyki, by ci stawali przed sądem dobrze przygotowani i całkowicie obiektywni. Prawdziwego zabójcy Billie-Jo nigdy nie odnaleziono.

W 1984 roku Alec Jeffreys przeżył prawdziwy moment olśnienia w swoim laboratorium na Uniwersytecie Leicester. Prowadził właśnie eksperyment, w którym prześwietlał promieniami rentgenowskimi próbki DNA pobrane od członków rodziny jednego z laboratoryjnych techników, kiedy nagle zrozumiał, że udało mu się odkryć metodę pozwalającą na przypisanie unikatowych właściwości kodu genetycznego do danej osoby. W ten sposób, dzięki przypadkowemu odkryciu, zrodziło się profilowanie genetyczne, które szybko stało się obowiązującym standardem w kryminalistyce. Gdy Sherlock Holmes opracował swoje odczynniki do badania hemoglobiny, mógł ogłosić z dumą: „Moja (...) metoda jest skuteczna zarówno przy starych, jak i przy nowych plamach. Gdyby znano ją już przedtem, setki ludzi, bezkarnie teraz spacerujących po świecie, zapłaciłoby od dawna za swe zbrodnie”<sup>17</sup>. Sto lat później prawdziwi detektywi mogą się dowiedzieć, kto zostawił krwawą plamę na miejscu zbrodni. Wiedza ta może poświadczyć czyjaś winę lub – co równie ważne – posłużyć do udowodnienia niewinności. Gdy na miejscu gwałtu odkrywamy krew nienależącą ani do ofiary, ani do podejrzanego, możemy zakładać, że w tych wydarzeniach brała udział jeszcze jedna osoba – istotny świadek lub faktyczny sprawca. W Stanach Zjednoczonych dzięki badaniom DNA uwolniono trzysta czternaście skazanych osób, w tym takie, które trafiły do celi śmierci.

Profilowanie genetyczne wywiera na współczesnych równie olbrzymie wrażenie, co badania daktyloskopijne w dziewiętnastym wieku. W oczach opinii publicznej to właśnie dowody uzyskane dzięki tej metodzie zyskały olbrzymią przewagę nad innym materiałem dowodowym. Jak wspomina ekspert kryminalistyczny Angus Marshall:

Była taka sprawa, legendarna w całych Stanach Zjednoczonych, podczas której ławnicy powiedzieli sędziemu, że nie przyjmą dowodów na podstawie analizy plam krwi, interesują ich jedynie dowody genetyczne. Sprawca praktycznie przyznał się do winy, ale oni wciąż nie wierzyli. To przecież absurd.

Jak widać, profilowanie genetyczne ma również negatywne skutki.

Jednak Alec Jeffreys, pytany w dwudziestą piątą rocznicę swojego odkrycia, czy wciąż jest dumny z tego, jak wykorzystuje się jego metodę,

wyjaśnia to tak: „Złapano wielu przestępców, oczyszczono z zarzutów niewinne osoby, również takie, które odsiedziały ponad trzydzieści lat za kratami, połączyliśmy rodziny. (...) Upierałbym się, że pozytywwy nadal mocno przeważają”.

Aby zrozumieć wszystkie argumenty za profilowaniem genetycznym i przeciw niemu, musimy wrócić do pierwszej zbrodni, którą rozwikłano za pomocą tej metody. Dwudziestego drugiego listopada 1983 roku w spokojnej, istniejącej od wieków mieścinie Narborough w Leicestershire znaleziono zgwałconą i uduszoną piętnastolatkę, Lyndę Mann. Miała zakrwawioną twarz, zdarto z niej dolną część ubrania. Biolodzy ustalili, że nasienie pobrane z ciała ofiary należało do kogoś z grupą krwi A i nietypową kombinacją enzymów pojawiającą się zaledwie u dziesięciu procent mężczyzn. To jednak nie wystarczyło do schwytania zabójcy i sprawa powędrowała do archiwum.

Trzy lata później, 31 lipca 1986 roku, zaginęła kolejna piętnastolatka, Dawn Ashworth. Jej ciało znaleziono w pobliżu miejsca, w którym zginęła Lynda, niedaleko Ten Pound Lane. Ofiara również została uduszona, zgwałcona i rozebrana od pasa w dół.

Głównym podejrzanym stał się Richard Buckland, siedemnastoletni upośledzony umysłowo recepcjonista, zatrudniony w szpitalu. Miewał już w przeszłości kłopoty z prawem i widziano go w pobliżu miejsca zbrodni. W czasie przesłuchania wyjawiał kilka szczegółów na temat morderstwa Dawn i ułożenia jej ciała, których nie podano wcześniej do publicznej wiadomości. Nie minęło wiele czasu, a przyznał się do tego zabójstwa. Jednak z całą mocą zaprzeczył, by miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Lyndy przed trzema laty.

Policjanci, przekonani, że za obiema sprawami stoi jedna osoba, skontaktowali się z Alekiem Jeffreysem z położonego zaledwie pięć mil dalej Uniwersytetu Leicester. Dowiedzieli się o nim z miejscowej gazety, której naukowiec nieco wcześniej udzielił wywiadu na temat swojej metody profilowania genetycznego. Jeffreys przeprowadził badania próbek nasienia i potwierdził przypuszczenia funkcjonariuszy: należały one do tego samego sprawcy i nie był nim Richard Buckland.

Chłopca zwolniono, mimo że przyznał się do zbrodni; został pierwszym człowiekiem, którego uniewinniono na podstawie badań DNA.

Policja straciła jedyne podejrzanego, wciąż jednak dysponowała materiałem genetycznym sprawcy. Funkcjonariusze zwrócili się z prośbą

do wszystkich pięciu tysięcy dorosłych mężczyzn z okolic Narborough, by dostarczyli próbkę krwi bądź śliny. Dziesięć procent próbek miało taką samą grupę krwi jak sprawca obu zbrodni, a Jeffreys opracował dla nich całościowe profile genetyczne. Było to bezprecedensowe i ogromnie wyczerpujące zajęcie. Po sześciu miesiącach pracy, pomimo ogromnych wydatków, nadal nie udało się odnaleźć pasującego profilu i sprawa ponownie powędrowała na półkę.

Rok później pewna kobieta podsłuchiwała w miejscowym barze niejakiego Iana Kelly'ego, który opowiadał swojemu kumplowi, jak zarobił dwieście funtów za oddanie próbki krwi do badania w zamian za swojego znajomego Colina Pitchforka, cichego, choć skłonnego do gwałtownych wybuchów ciastkarza, który pracował z nim w piekarni.

Pitchfork twierdził, że miał w przeszłości kłopoty z prawem w związku z obnażaniem się w miejscu publicznym, więc wolał uniknąć udziału w badaniach. Nie chciał być nękanym przez policję. Wyjaśnienie nie należało do najbardziej przekonujących, ale dwieście funtów powstrzymało Kelly'ego przed zadawaniem dalszych pytań. Kobieta poinformowała o tym policję, a Pitchfork trafił do aresztu. Tam pobrano od niego próbkę materiału genetycznego. Pasowała idealnie do śladów znalezionych na miejscu zbrodni. Po wielu latach detektywi znaleźli wreszcie odpowiedź.

W 1988 roku Pitchfork został skazany za oba zabójstwa na dożywotnie więzienie.

Procesowi przyglądali się uważnie funkcjonariusze policji i naukowcy z całego świata. Gill Tully, która studiowała w tym czasie biologię na Uniwersytecie Cardiff, była pod olbrzymim wrażeniem, że tak brutalna i – zdawać by się mogło – niemożliwa do wyjaśnienia zbrodnia została rozwikłana dzięki zaawansowanej nowoczesnej nauce.

Po ukończeniu studiów magisterskich Gill rozpoczęła doktorat na Wydziale Medycyny Sądowej, a później znalazła pracę w Państwowych Służbach Kryminalistycznych (Forensic Science Service), organizacji niezależnej od policji. Miała swój udział w części nadzwyczajnych odkryć dokonanych w tym czasie przez brytyjskich genetyków, którym nie mógł wtedy dorównać nikt inny na świecie. Kiedy Gill rozpoczynała swoją pracę, Val od sześciu lat współpracowała z FSS i doskonale pamięta atmosferę z czasów poprzedzających profilowanie genetyczne:

Wszystko było bardzo proste. Właściwie nie używaliśmy żadnych ubrań ochronnych. Rzadko korzystaliśmy z rękawiczek. Badaliśmy nasienie, wtykając w nie palec, żeby sprawdzić, czy już zaschło. Nie mieliśmy własnych biur, więc raporty pisaliśmy przy tym samym stole, na którym ktoś wcześniej badał zabrudzone majtki albo zakrwawione przedmioty.

To całkiem zabawne przypomnieć sobie, jak to wyglądało na początku. Mieliśmy dosłownie całe wiadra chemikaliów, roztworów soli, a poza tym różne radioaktywne substancje i potrzebowaliśmy plamy krwi wielkości co najmniej sporej monety, żeby zdobyć próbkę genetyczną.

Kiedy zaczynałam pracę, nie istniały żadne programy szkoleniowe, poza tymi najbardziej podstawowymi. Kierowano nas po prostu do pracy u boku doświadczonych naukowców, którzy zapoznawali nas ze wszystkimi typami badań – od analizy obecności alkoholu we krwi do badania nasienia, włókien czy włosów. Badałam w tej pracy bażancie pióra, ikrę łososia i liście pora.





Colin Pitchfork, pierwszy mieszkaniec Wielkiej Brytanii skazany na podstawie śladów DNA



Podczas roku spędzonego na stażu w Państwowych Służbach Kryminalistycznych Gill, wciąż jeszcze studentka uczelni w Cardiff, zauważyła, że większość genetyków podchodzi do swojej pracy

z olbrzymim entuzjazmem, choć wcale nie czuje się częścią jakiejś rewolucji. „Podczas przerw rozmawiali głównie o tym, czy został jeszcze jakiś pączek” – wspomina dziś ze śmiechem. Choć sprawa Colina Pitchforka udowodniła światu skuteczność profilowania genetycznego, specjalistka przyznaje: „W tamtych czasach myśleliśmy, że będą korzystać z tej metody tylko w ważnych, nagłośnionych procesach”.

Wiele wynalazków, jakie pojawiły się w kolejnych latach, sprawiło, że profilowanie genetyczne znajdowało coraz szersze zastosowanie.

Zawsze miałam wrażenie, że to trochę zbyt droga metoda, by korzystać z niej w rutynowych sprawach, ale jeśli wydarzy się coś poważnego, warto po nią sięgnąć, bo może zmienić wynik procesu.

Z czasem jednak technologie stały się tak tanie i powszechne, że dziś korzystamy z nich nawet przy włamaniach.

Człowiekiem odpowiedzialnym za największy przełom w badaniach genetycznych i zakończenie etapu „wiader chemikaliów”

był kalifornijski surfer i wielbiciel LSD Kary Mullis, który kilka lat później otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii. Doznał olśnienia w 1983 roku, gdy pędził autostradą. Przyszło mu wówczas do głowy, że po dodaniu do fragmentu DNA enzymu zwanego polimerazą kod genetyczny „zacznie się w cholerę reprodukować” – że zacytuję jego własne słowa. Dzięki wykorzystaniu reakcji łańcuchowej polimerazy Mullis mógł wydłużyć każdy kawałek kodu genetycznego do rozmiarów umożliwiających interpretację danych. Nie minęło wiele czasu, a naukowcy zaczęli korzystać z tej metody, aby przebadac sprawy kryminalne od siedmiu dekad tkwiące w archiwum albo sprawdzić pochodzenie skamieniałych szczątków dinozaurów i pochowanych władców. Dzięki niej zaczęto również diagnozować choroby dziedziczne.

Gdy Gill rozpoczynała pracę w FSS, była jedną z dwóch osób zajmujących się ulepszaniem i wykorzystywaniem reakcji łańcuchowej polimerazy (drugą był jej bezpośredni przełożony). Sama twierdzi, że „to olbrzymi przywilej, że mogłam być przy tym od samego początku”.

Najpierw profilowanie genetyczne opierało się na próbkach płynów, wydzielin i włosów, ale w 1999 roku zespół, do którego należała Gill, opracował nową, o wiele skuteczniejszą metodę, znaną jako profilowanie z niewielkiej ilości materiału genetycznego (LCN). Aby uzyskać taki profil, trzeba mieć jedynie kilka komórek z ciała sprawcy. Może to być strzępek naskórka, pot pozostawiony wraz z odciskiem palca, ślina

zaschnięta na odwrocie znaczka. W ciągu paru lat rozmiar próbki, na podstawie której można stworzyć profil podejrzanego, znacznie się zmniejszył. Dziś nie potrzeba plamy krwi wielkości monety, wystarczy ślad rozmiaru ziarenka soli.

Nowa technologia miała ogromny wpływ na metody prowadzenia śledztwa w Wielkiej Brytanii. Trzeba było jednak czasu, by ją zaakceptowano. Kontrowersyjne wyroki w procesach, podczas których korzystano z profilowania na podstawie niewielkiej ilości materiału genetycznego, sprowokowały gwałtowne reakcje sędziów i komentatorów, co zmusiło genetyków sądowych do obrony i dopracowania metod.

Jeden z najbardziej kontrowersyjnych procesów, które doprowadziły do opracowania zasad stosowanych dziś przy wykorzystywaniu profilowania genetycznego LCN przed sądem, dotyczył wybuchu potężnej bomby w niewielkim północnoirlandzkim miasteczku.

W 1998 roku zawarto tak zwane porozumienie wielkopiątkowe, które teoretycznie kończyło okres walk między bojówkami unionistów i protestantów. Jednak 15 sierpnia tego samego roku przedstawiciele Autentycznej Irlandzkiej Armii Republikańskiej (RIRA) zdetonowali bombę na ruchliwej ulicy w Omagh, w okręgu Tyrone. W odpowiedzi na telefoniczne ostrzeżenie przed materiałami wybuchowymi, umieszczonymi ponoć w budynku sądu, policjanci ewakuowali ludzi prosto w strefę wybuchu prawdziwej bomby. Zginęło dwadzieścia dziewięć osób, w tym kilkoro dzieci i kobieta w zaawansowanej ciąży. Dwustu ludzi odniosło obrażenia. Mo Mowlam, pani minister brytyjskiego rządu do spraw Irlandii Północnej, nazwała ten zamach ludobójstwem.

Trzy lata później o podłożenie bomby oskarżono Colma Murphy'ego, budowlańca. Skazano go na czternaście lat więzienia. Był to początek długotrwałego i wciąż nierozstrzygniętego procesu. W 2005 roku uchylono mu wyrok, ponieważ pojawiła się informacja, że policjanci sfałszowali notatki z przesłuchań. Rok później do aresztu trafił jego siostrzeniec Sean Hoey. Podczas jego procesu oskarżenie opierało się na profilowaniu genetycznym mikroskopijnej próbki znalezionej na zapalniku bomby. Zdaniem ekspertów prawdopodobieństwo tego, że próbka należy do kogoś innego niż Sean, wynosiło jeden do miliarda.

Oskarżenie przegrało jednak sprawę z braku świadków, przyznania się do winy i innych przekonujących dowodów.

Kiedy 20 grudnia 2007 roku sędzia Weir ogłosił swój wyrok, nie omieszkał skrytykować sposobu, w jaki oskarżenie próbowało wykorzystać kluczone w tej sprawie profilowanie LCN, zamiast użyć go w celu odnalezienia dalszych konkretnych dowodów. Funkcjonariuszom i niektórym biegłym oberwało się za „niedbalstwo”. Sędzia posunął się nawet do oskarżenia policjantów o „podrasowanie dowodów” i „celowe, wyrachowane oszustwo” mające zapewnić wyrok skazujący. Wskazał też, że jedyne badania potwierdzające skuteczność profilowania genetycznego na podstawie niewielkiej ilości materiałów zostały opracowane przez twórców tej metody. Jemu samemu wydawała się ona zbyt nowa i niesprawdzona, domagał się więc natychmiastowego skontrolowania jej faktycznej przydatności. Zakończył w ten sposób proces, który kosztował brytyjskich podatników szesnaście milionów funtów.

Dzień po ogłoszeniu wyroku Koronna Służba Prokuratorska (Crown Prosecution Service) zaleciła rezygnację z dalszego stosowania tej metody w celu zdobycia materiału dowodowego do czasu ukończenia badań nad jej efektywnością. Od momentu jej wynalezienia w 1999 roku skorzystano z niej w ponad dwudziestu tysiącach spraw w Wielkiej Brytanii i za granicą, głównie w celu rewizji zamkniętych dochodzeń.



Zarządzono, by wszystkie otwarte sprawy, w których użyto profilowania LCN, zostały powtórnie przebadane. Jedną z nich dotyczyła braci Davida i Terry’ego Reedów z Teesside, w północno-wschodniej Anglii.

Dwunastego października 2006 roku przyjaciel byłego boksera i znanego twardziela Petera Hoego odsłuchał czterominutowe nagranie na automatycznej sekretarce swojego telefonu. Nie usłyszał nic poza kojącą muzyką Mike’a Oldfielda. Kiedy jednak odtworzył nagranie ponownie i wsłuchał się uważnie, dobiegły go stłumione jęki Hoego, który konał od pięciu ran kłutych zadanych mu w jego własnym domu w Eston, niedaleko Middlesbrough. Policja aresztowała głównych podejrzanych, braci Reed. Starszy z nich, David, był zazdrosny o reputację Hoego, a brat ofiary zeznał, że atak miał być aktem zemsty za bójkę w pubie, do której doszło kilka dni przed zabójstwem. „Przyszli do mojego brata i go zabili, bo David nie mógł się już dłużej ukrywać”.

Podczas przeszukiwania salonu w mieszkaniu Hoego Val nie trafiła na żadne ślady wskazujące na to, że napastnicy się poranili i zaczęli

krwawić, znalazła za to dwa odłamki plastiku. „Ciągle to widzimy w przypadku ataków nożem. Siła uderzenia wprawia ostrze w mocne wibracje, które docierają do rękojeści, a ta zaczyna pękać”. Dokładnie przyjrzała się obu fragmentom w laboratorium i na podstawie swojego doświadczenia uznała, że plastik pochodzi z tanich noży. Udało się na nim odkryć mikroskopijne próbki materiału genetycznego. Wyniki profilowania metodą LCN wskazywały, że ślady należą do braci Reed.

W czasie procesu obrona powołała na świadka znanego profesora, specjalistę od materiałów plastikowych, „uroczego dżentelmena z Uniwersytetu Newcastle”, który stawiał się przed sądem z nożem kupionym w supermarkecie. Umieścił ostrze w imadle i wyginał tak długo, aż plastikowa rękojeść zaczęła pękać. Wyjaśnił ławie przysięgłych, że jest całkowicie pewien, iż nie da się tego osiągnąć za pomocą siły ludzkiej ręki. Oznajmił też, że plastik znaleziony na miejscu przestępstwa nie może pochodzić z narzędzi zbrodni.

„Siedziałam i słuchałam jego słów, wiedząc, że całkowicie się myli” – wyjaśnia Val. „W tym samym czasie zajmowaliśmy się w laboratorium czterema nożami pochodzącymi z innego zabójstwa. Trzy z nich miały dokładnie tak samo popękane rękojeści”.

Specjalista od materiałów plastikowych przeprowadzał eksperymenty nad życiem i śmiercią, zetknięciem metalu z kością, plastiku z ciałem w kontrolowanych, ale zupełnie nierealistycznych warunkach swojego laboratorium. Val twierdzi, że wiąże się z tym wiele problemów: „Morderstwa nie da się odtworzyć. Każde jest wyjątkowe”.

Bracia Reed do końca upierali się przy swojej niewinności, ale skazano ich na minimum osiemnastoletni pobyt w więzieniu.

Wychodząc z sądu, z uśmiechami na twarzach dziękowali sędziemu, a w tym czasie matka Hoego, Maureen, zalewała się łzami na widowni.

Jakiś czas później sędzia Weir uchylił wyrok w sprawie Seana Hoeya, a profilowanie na podstawie mikroskopijnych próbek znalazło się pod prawdziwym ostrzałem. Choć Koronna Służba Prokuratorska ponownie dopuściła wykorzystywanie tej metody w styczniu 2008 roku, wątpliwości co do jej zastosowania były na tyle duże, że 20 października 2009 roku bracia Reed stanęli przed sądem apelacyjnym. Ich prawnik argumentował, że Val Tomlinson przekroczyła swoje kompetencje, spekulując podczas pierwszego procesu na temat tego, jak materiał

genetyczny obu braci znalazł się na plastikowych fragmentach znalezionych na miejscu zbrodni.

Na prośbę Reedów przed sądem stanął Bruce Budowle, były specjalista kryminalistyczny pracujący na rzecz FBI. Argumentował on, że profilowanie LCN jest metodą obarczoną wadami u samych podstaw i że nie zawsze udaje się odtworzyć wyniki, które dzięki niemu uzyskano. „Nie możemy pokładać zaufania w tej metodzie” – podsumował. Nie zaprzeczał, że plastikowe fragmenty pochodziły z narzędzi zbrodni, zasugerował jednak, iż materiał genetyczny braci mógł się na nich znaleźć w sposób zupełnie przypadkowy – być może dotknęli kogoś, kto później dotykał noży.

Poza znajomością najnowszych teorii badawczych specjaliści pokroju Val Tomlinson muszą czerpać ze swoich własnych zawodowych doświadczeń, aby zrozumieć, co zaszło na miejscu wydarzenia. Jak opowiada Gill Tully:



W ostatnich latach sąd apelacyjny wydał kilka interesujących wyroków, które sugerują, że eksperci kryminalistyczni powinni zeznawać, kierując się raczej swoim doświadczeniem niż danymi statystycznymi, co może się wydawać dość dziwne, skoro mamy do czynienia z nauką, chociaż rozumiem, skąd bierze się ta ostrożność sędziów.

Jednak już Sherlock Holmes wiedział, że „wszystkie przestępstwa mają jakieś »rodzinne« podobieństwo i gdy się zna jak własne pięć palców szczegóły tysiąca zbrodni, dziwnym by było nie rozwikłać tysięcy pierwszej”<sup>18</sup>. Zeznania Val na temat pękniętych rękojęści i odkrytych na nich śladów genetycznych opierały się na jej wieloletnim doświadczeniu w pracy z materiałem dowodowym. Można to traktować jednocześnie jako opinię i twarde dane, sztukę i naukę. Sąd ostatecznie dał wiarę jej słowom: w podsumowaniu zalecano dodatkową kontrolę, samą metodę uznano jednak za solidną i wiarygodną. Troje sędziów stwierdziło, że dowody poszlakowe są na tyle mocne, że nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do winy Reedów, i wyrok został podtrzymany. Ich zdaniem teoria Val na temat tego, jak próbki DNA mogły znaleźć się na plastikowych odłamkach, „była nie tylko prawdopodobna, lecz wręcz kluczowa”.

Sprawa braci Reed opierała się na solidnym materiale poszlakowym – wiadano, że Peter Hoe uraził dumę Davida Reeda, zwalając go lekkim ciosem na podłogę podczas bójk w barze – czym różniła się od sprawy Seana Hoeya, opartej praktycznie w całości na dowodach uzyskanych dzięki profilowaniu mikroskopijnych próbek genetycznych. Nauczyliśmy się dzięki temu, że DNA należy traktować jako jeden z kluczowych dowodów, a nie przypisywać mu roli jedyne go dowodu. Jednak tę lekcję trzeba było jeszcze wielokrotnie powtórzyć.

W 2011 roku w manchesterskim parku Plant Hill brutalnie zgwałcono pewną kobietę. Próbka DNA pobrana z ciała ofiary doprowadziła policję do Adama Scotta, dziewiętnastolatka z Plymouth, który trafił do aresztu. Osadzono go w osobnym skrzydle dla gwałcicieli i pedofilów, gdzie musiał wysłuchiwać grózb ze strony współwięźniów.

Wciąż jednak trwał przy swoich zeznaniach, że nigdy w życiu nie był w Manchesterze, a w czasie zdarzenia przebywał setki mil stamtąd, w Plymouth.

Półtora miesiąca później okazało się, że Adam Scott padł ofiarą niefortunnej pomyłki. Kilka miesięcy przed zabójstwem policja pobrała próbkę jego śliny w Exeter, gdzie był zamieszany „w opluwanie”.

Badacze odłożyli wacik z próbką na tackę w laboratorium LGC Forensics. Tacki później użyto raz jeszcze, w trakcie badania ofiary gwałtu w Manchesterze. Analiza telefonu Scotta potwierdziła, że w czasie tych wydarzeń znajdował się w Plymouth.

Andrew Rennison, rządowy kontroler do spraw medycyny sądowej, stwierdził: „Pomyłka wynikała z błędu technika, który zapomniał o podstawowych procedurach dotyczących pozbywania się plastikowych tacek wykorzystywanych podczas badania próbek”.

Sprawa Scotta przypomina na swój sposób dziwaczny przypadek Ducha z Heilbronn, obdarzonego najwyraźniej nadludzkimi zdolnościami seryjnego mordercy kobiet, którego DNA znajdowano na miejscach włamań i zabójstw w Austrii, Francji i Niemczech przez całe lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku i dwutysięczne. Kiedy odkryto je ponownie w 2009 roku, podczas badania spalonych zwłok mieszkańca niemieckiego przytułku, władze zrozumiały, że rzekomy „duch” to wynik laboratoryjnego zanieczyszczenia: waciki używane do pobierania próbek nie miały odpowiednich atestów. Udało się ustalić, że wszystkie pochodziły z tej samej fabryki zatrudniającej kilka emigrantek z Europy

Wschodniej. Badania kodów genetycznych potwierdziły, że to one były „duchem”.

Podobnie jak w przypadku odcisków palców, nie powinno się nikogo skazywać jedynie na podstawie dowodów wynikających z profilowania genetycznego. Jak mówi Gill, „DNA nie kłamie. To naprawdę przydatny ślad i potężny materiał dowodowy, ale to ludzie profilują próbki. W związku z tym zawsze będzie jakiś margines błędu.

DNA nie powinno prowadzić do zaniechania innych aspektów śledztwa”.



W niektórych przypadkach DNA stało się dla policjantów użyteczną protezą, na której można oprzeć całą sprawę, ale w znacznie większej liczbie spraw dane zdobyte dzięki profilowaniu genetycznemu pobudziły ich do dalszych działań i umożliwiły zakończenie wielu śledztw, zarówno aktualnych, jak i tych odłożonych na półkę. Nawet jeśli próbka znaleziona na miejscu zdarzenia nie pasuje idealnie do żadnych danych w państwowych bazach, nie oznacza to jeszcze końca poszukiwań. Krew opowiada przecież historię większej grupy osób.

Badanie więzi rodzinnych na podstawie próbek DNA zostało opracowane na potrzeby Państwowych Służb Kryminalistycznych przez Jonathana Whitakera pracującego w tym czasie nad pewną ponurą archiwalną sprawą. W 1973 roku w lasach niedaleko Port Talbot w południowej Walii zgwałcono i zamordowano trzy szesnastolatki.

Dwadzieścia siedem lat później, w 2000 roku, Whitaker wykorzystał próbki pochodzące z tej sprawy do stworzenia profilu genetycznego przestępcy. Przepuścił następnie wyniki przez państwową bazę danych, ale niestety nie przyniosło to żadnego efektu. Rok później przyszedł mu do głowy interesujący pomysł – być może w bazie danych przestępców krył się jakiś członek rodziny poszukiwanego, ktoś o podobnym kodzie genetycznym. Uzyskał pozwolenie na prowadzenie poszukiwań w rozszerzonym zakresie i znalazł profil pasujący w pięćdziesięciu procentach. Należał on do przestępcy skazanego za kradzież samochodu, ale Whitaker był przekonany, że w rodzinie tego człowieka kryje się o wiele gorszy zbrodniarz. Jego głównym podejrzanym został Joseph Kappen, ojciec złodzieja samochodów, zmarły przed dziesięcioma laty na raka płuc. Pozwolono mu na ekshumację zwłok. Po pobraniu próbek DNA



z zębów i kości udowej Kappena naukowiec ustalił, że są stuprocentowo zgodne z profilem genetycznym poszukiwanego sprawcy.

Nie można go było ukarać, ale przynajmniej udało się zamknąć archiwalną sprawę potrójnego morderstwa.

Pierwsza aktualna sprawa rozwiązana dzięki badaniu genetycznych powiązań między członkami rodziny rozpoczęła się w 2004 roku.



Michael Little jechał swoją ciężarówką pod estakadą na autostradzie, gdy nagle ktoś zrzucił cegłę na jego samochód. Wpadła przez szybę i trafiła Michaela w pierś. Udało mu się skierować pojazd na pobocze, a chwilę później doznał śmiertelnego ataku serca. Kiedy naukowcy wprowadzili do bazy danych profil genetyczny wykonany za pomocą profilowania mikroskopijnych próbek znalezionych na cegle, nie udało się znaleźć żadnego stuprocentowego odpowiednika, ale poszukiwania więzi rodzinnych doprowadziły ich do Craiga Harmana, który przyznał się do czynu i otrzymał wyrok sześciu lat więzienia za nieumyślne zabójstwo. Zdaniem komisarza Grahama Hilla z policji w Surrey tylko jeden dowód umożliwił skazanie winnego: „Wierzę, że bez tej przełomowej technologii badawczej nigdy nie rozwiązalibyśmy naszej zagadki”.

W odpowiedzi na wyrok w sprawie Harmana Alec Jeffreys oznajmił, że poszukiwania podejrzanych na podstawie więzi genetycznych mogą wywołać wiele kontrowersji związanych z podstawowymi prawami człowieka. Reakcja powinna być uzależniona od skali przestępstwa, trzeba też dbać o równowagę pomiędzy prawem każdego człowieka do prywatności a potrzebą odszukania przestępcy.

W większości krajów nie zezwala się na przeszukiwanie baz danych pod kątem więzi genetycznych. W Stanach Zjednoczonych dopuszcza się takie działania jedynie w Kalifornii i Kolorado, choć to właśnie dzięki tej metodzie udało się rozwikłać zagadkę Ponurego Śpiocha, seryjnego mordercy i gwałciciela terroryzującego Los Angeles od lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku aż po lata dwutysięczne.

W Wielkiej Brytanii sięga się po profilowanie rodzinne jedynie w przypadkach dochodzeń w sprawie zabójstw i gwałtów. Od czasu procesu Harmana policja skorzystała z tej metody w czterdziestu pięciu sprawach i uzyskała trzydzieści osiem wyroków skazujących.

Nadal musimy mierzyć się z wątpliwościami natury etycznej. Troy Duster, socjolog z Uniwersytetu Nowojorskiego, wskazuje, że w Stanach

Zjednoczonych wsadza się do więzień ośmiokrotnie więcej Afroamerykanów niż białych (z różnych przyczyn społeczno-politycznych, w tym również ze względu na rzekomy rasizm przedstawicieli władzy). Sprawia to, że profilowanie rodzinne przydaje się przede wszystkim do zamykania jeszcze większej liczby czarnoskórych przestępców. W brytyjskich bazach danych znajdują się profile dwóch na pięciu czarnych mężczyzn mieszkających na terenie kraju i jednego na dziesięciu białych. W USA czterdzieści procent profili przestępców w państwowej bazie danych należy do Afroamerykanów, co daje około dwunastu procent całej populacji. Przewiduje się, że w niedługim czasie dorówna im liczba profili Latynosów stanowiących obecnie około trzynastu procent populacji. Ta część społeczeństwa jest rejestrowana przede wszystkim z powodu przestępstw imigracyjnych.

Jednym ze sposobów na przywrócenie równowagi może okazać się pomysł sprofilowania każdego mieszkańca Ziemi. Już dziś w brytyjskiej bazie danych znajduje się sześć milionów profili, dziesięć procent wszystkich obywateli, najwięcej na świecie. Próbkę pobierane od każdego aresztowanego (niezależnie od tego, czy słusznie, czy nie) mogły być przetrzymywane w nieskończoność, dopóki w 2008 roku Europejski Trybunał Praw Człowieka nie wymusił na władzach odpowiednich regulacji. W latach 2012–2013 wykasowano z baz danych profile miliona siedmiuset tysięcy niewinnych osób. Alec Jeffreys odniósł się do tej sprawy trzy lata wcześniej: „Moim zdaniem bazy nie powinny zawierać danych zwyczajnych ludzi. Traktowanie ich jako potencjalnych kryminalistów nie pomaga w walce z przestępczością”.

Jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele przestępstw popełniają recydywiści, bazy danych wciąż pozostają niezwykle użytecznym policyjnym narzędziem. W 2013 roku sześćdziesiąt jeden procent próbek DNA pobranych na miejscach zbrodni doprowadziło funkcjonariuszy do już zarejestrowanych profili. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie ujawnia, jaki procent tych spraw zakończył się wyrokiem skazującym, ale widać wyraźnie, jak bardzo korzysta na tym policja, nawołująca czasem do wprowadzenia obowiązkowych profilowań. Są jednak i tacy, którzy wierzą, że prowadziłyby to do coraz liczniejszych fałszywych oskarżeń. Naukowcy potrzebują o wiele mniejszych ilości materiału genetycznego, by stworzyć profil, a przecież na miejscu zdarzenia mogą znajdować się mikroskopijne ślady pozostawione przez różne, w większości zupełnie niewinne osoby.



Jest to koszmarny scenariusz, który w połączeniu z kwestiami prywatności i olbrzymim kosztem związanym z profilowaniem sześćdziesięciu milionów ludzi sprawił, że pomysł obowiązkowego profilowania trafił do archiwum. Istnieje również obawa, że obowiązkowe profilowanie ułatwiłoby przestępcom wrabianie niewinnych osób. Val zetknęła się z tym pomysłem w sądzie, gdy obrońca zasugerował, że próbka genetyczna jego klienta, sprofilowana za pomocą metody LCN, mogła zostać przez kogoś podłożona. Aby to udowodnić, poprosił, by zastanowiła się nad hipotetyczną sytuacją.

– Jak pani zabrałaby się do czegoś takiego?

– Wydaje mi się, że nie mogłabym – odpowiedziała Val.

Z jej doświadczenia wynika, że większość prób podkładania dowodów można łatwo wykryć z powodu podstawowych błędów.

„Przestępcy są jak dzieci, które próbują zatuszować swoje wpadki i zwykle przy tym przesadzają. Rozlewają zbyt wiele krwi lub robią to pod niewłaściwym kątem. Albo posypują ubranie wrabianej ofiary całymi garściami szkła, choć po tygodniu od popełnienia zbrodni spodziewamy się znaleźć może dwa kawałki”. Podobnie jak wszystkie potężne technologie, badanie DNA może prowadzić do nadużyć. Jednak – tak jak w przypadku innych metod – należy pamiętać, że analiza materiału dowodowego nie polega jedynie na zbieraniu danych i ustalaniu, do kogo należy lub nie należy dana próbka genetyczna. Taka analiza opiera się również na umiejętnościach interpretacyjnych naukowca prowadzącego badanie. To one powinny chronić niewinnych – i zazwyczaj tak to właśnie działa.

Oczywiście nie wszyscy przestępcy próbują ukryć swoją tożsamość: zbrodniarze polityczni i terroryści chcą, aby świat dowiedział się, kto stoi za ich czynami. W przypadku zamachów w madryckim metrze (s. 189) badania DNA i polityka od samego początku odgrywały najważniejszą rolę. Istotny był czas ataku – na trzy dni przed wyborami do parlamentu. Natychmiast po zamachu władze oznajmiły, że istnieją dowody pozwalające przypisać atak ETA, baskijskiej organizacji separatystycznej; chciano w ten sposób wyciszyć spekulacje, że eksplozje były wynikiem hiszpańskiego zaangażowania w wojnę w Iraku. Jednak trzy dni później samozwańczy „rzecznik wojskowy Al-Kaidy w Europie”, Abu Dujana al-Afghan, ogłosił, że to jego organizacja odpowiada za zamachy. „To

odpowiedź na wasze zbrodnie na całym świecie, zwłaszcza w Iraku i Afganistanie. (...) Wy kochacie życie, my kochamy śmierć”.

Miesiąc później siedmiu podejrzanych, którzy w każdej chwili spodziewali się policyjnej interwencji, zdetonowało bomby w swoich mieszkaniach i poniosło śmierć na miejscu. Zginął wówczas także jeden funkcjonariusz. Naukowcy nie potrafili dopasować próbek DNA znalezionych na miejscach zdarzeń i pobranych między innymi ze szczoteczki do zębów do profili znajdujących się w państwowej bazie danych. Sędzia zadecydował, że próbki należy wykorzystać do ustalenia, czy zbiegli terroryści pochodzili z Afryki Północnej, czy z Europy.

Pomogłoby to odpowiedzieć na pytanie, czy sprawcami zamachów byli bojownicy ETA, czy Al-Kaidy.

Niestety, małżeństwa pomiędzy mieszkańcami południowej Europy i północnej Afryki, rozdzielonymi Morzem Śródziemnym, doprowadziły do tego, że ówczesna technologia nie mogła pomóc w określeniu znaczących różnic pomiędzy tymi grupami. Trzeba było opracować nową metodę, a odpowiedzialny za nią genetyk sądowy Christopher Phillips ustalił, że jeden z profili genetycznych uzyskanych dzięki próbkom znalezionym na miejscu zamachu nie należy do żadnego z zabitych bądź aresztowanych sprawców i wyraźnie wskazuje na północnoafrykańskie pochodzenie poszukiwanego. Dzięki profilowaniu więzi genetycznych policjanci dotarli do Ouhane'a Daouda, Algierczyka, którego odciski palców odnaleziono także na niewykorzystanym detonatorze porzuconym w samochodzie w pobliżu miejsca zamachów.

Na podstawie badań Phillips był również w stanie ustalić, że próbka DNA pobrana z chusty znalezionej w jednej z furgonetek zamachowców z „dziewięćdziesięcioprocentową pewnością” należała do kogoś o niebieskich oczach. Naukowcy potrafią uzyskać coraz więcej danych z próbek genetycznych, a ślady znalezione na miejscu zbrodni mogą być równie przekonujące, jak naoczni świadkowie.



Wszystko zaczęło się od rudego włosa. Na początku lat dwutysięcznych naukowcy z Państwowych Służb Kryminalistycznych odkryli, że w przypadku występowania pewnego genu u obojga rodziców (receptora melanokortyny 4) ich dziecko będzie miało rude włosy. Gill Tully z dużą ostrożnością podchodzi do etycznych implikacji profilowania, ale jak

sama twierdzi, ostatecznie chodzi o to, żeby „używać wszystkiego zgodnie z przeznaczeniem”.

Kiedy pracowaliśmy nad testem do badania rudych włosów – opowiada Gill – dzwoniли do nas szkoccy detektywi i mówili: „Dzięki badaniom balistycznym na miejscu strzelaniny wiemy, z którego okna strzelano. Znaleźliśmy w pobliżu niedopałek papierosa i pobraliśmy z niego próbkę DNA, na podstawie której stworzyliśmy profil. Mamy też świadka, który twierdzi, że widział jakiegoś rudego człowieka, który uciekał z budynku. Zanim zaczniemy masowe profilowanie genetyczne, żeby znaleźć człowieka, który pozostawił niedopałek, chcielibyśmy sprawdzić, czy faktycznie był rudy. Czy możecie to dla nas zrobić?”.

Na tym etapie nie mogliśmy jeszcze spełnić ich prośby, ale to dobry przykład tego, jak wykorzystać takie badania w etyczny i prawidłowy sposób, żeby bezpośrednio pomóc w śledztwie i zaoszczędzić pieniądze przeznaczone na badanie niedopałka, który (jak się ostatecznie okazało) nie miał żadnego związku ze sprawą.

Badania genetyczne mogą definitywnie potwierdzić czyjaś winę lub niewinność; jest to największe odkrycie w kryminalistyce od czasów wynalezienia metod identyfikacji na podstawie odcisków palców opracowanych przez Herschla i Faulda ponad sto lat temu. Większość hipotez stawianych przez ekspertów kryminalistycznych opiera się na subiektywnych interpretacjach. Jak pokazałam w rozdziale poświęconym daktyloskopii, naukowcy są tacy sami jak inni ludzie i czasem znajdują wzorce tam, gdzie bardzo chcą je znaleźć. Bywa to użyteczne, dopóki pamiętamy o intuicyjnej naturze ich teorii i nie zatajamy jej przed sądem.

Choć nie jest to metoda w stu procentach odporna na zwykłe ludzkie błędy, DNA wyzwala nas z pułapki subiektywności dzięki trzydziestoletnim próbom opracowania jak najlepszych sposobów interpretowania empirycznych danych za pomocą obiektywnego rachunku prawdopodobieństwa. Jeśli Gill ma dostęp do nieskażonej próbki materiału genetycznego pobranego na miejscu zdarzenia, pasującej do podejrzanego, może spokojnie oświadczyć przed sądem: „Prawdopodobieństwo tego, że profil genetyczny należy do innej osoby, wynosi jeden do miliarda. To są ostrożne szacunki, proporcje zrozumiałe dla przeciętnego ławnika. Gdybym zaczęła im opowiadać o bilionach i trylionach, nie miałyby to dla nich znaczenia”. Jednak życie rzadko bywa proste, zwłaszcza na miejscu zbrodni, gdzie jak zauważa Gill, „mam

zazwyczaj do czynienia z przemieszanym materiałem genetycznym co najmniej dwóch osób. Należy wtedy jak najdokładniej przebadać dowody i sprawdzić, jak te ślady pasują do hipotez stawianych przez oskarżenie i obronę”.

Specjaliści kryminalistyczni wciąż muszą się wiele nauczyć na temat DNA. Dziś Val i Gill potrzebują mniej niż jednego procenta kodu genetycznego danej osoby, by odnaleźć pasujący do niej profil w bazie danych. Im metoda staje się szybsza i tańsza, „tym bardziej rośnie, przynajmniej teoretycznie, szansa na odtworzenie całego genomu”.

Możliwości są nieskończone, wciąż jednak „musimy rozstrzygnąć wiele etycznych i praktycznych kwestii, nim się do tego zabierzemy. Na pewno nie chcemy używać próbek po to, by oceniać czyjeś predyspozycje do popełnienia zbrodni”.

Jest to niezwykle niepokojący pomysł. Wiemy już przecież o istnieniu „genu wojownika”, występującego głównie u mężczyzn i odpowiedzialnego za gwałtowne brutalne zachowania pod wpływem stresu. Nie chcemy jednak powrócić w dwudziestym pierwszym wieku do czasów Cesare’a Lombrosa, dziewiętnastowiecznych teorii na temat *uomo delinquente* (urodzonego przestępcy) albo wiktoriańskiej frenologii, która diagnozowała skłonności przestępcze na podstawie wybrzuszeń czaszki. Były to prawdziwy koszmar, z którejkolwiek strony na to spojrzeć.

Jeśli jednak będziemy używać profilowania genetycznego z rozwagą, jego przyszłość stanie się o wiele bardziej interesująca niż przerażająca. Mamy narzędzia, które pozwalają na przeanalizowanie próbki DNA w mniej niż półtorej godziny. Dzięki temu możemy sprawdzić profil podejrzanego przed zwolnieniem go z aresztu. Jeśli poszukiwania doprowadzą do profili powiązanych z miejscami nierozwiązanych zbrodni, policja wie, że ma do czynienia z recydywistą.

Jak wyjaśnia Gill: Niektórzy nałogowi włamywacze mają świadomość, że mogą wpaść dzięki DNA, więc kiedy wyjdą za kaucję, popełniają jeszcze więcej przestępstw, by zabezpieczyć swoje rodziny. Potem proszą, żeby doliczono im je do odsiadywanego wyroku. Było kilka takich istotnych spraw, w których mogliśmy zapobiec przestępstwom popełnionym wtedy, gdy podejrzanym wyszedł za kaucję. Gdybyśmy mogli błyskawicznie przebadать próbki DNA, nigdy nie wyznaczono by kaucji.

Dziś badanie mikroskopijnych śladów genetycznych znalezionych na miejscu zbrodni zajmuje dużo więcej niż półtorej godziny, ale „nadejdą

wkrótce takie czasy, że będziemy w stanie zidentyfikować sprawcę i dotrzeć pod jego adres, zanim zdąży się pozbyć dopiero co skradzionych przedmiotów. Zwrócimy je stęsknionym właścicielom. To już niedługo. Ten czas jest bliski”. Drzyjcie, włamywacze.

## 8. Antropologia

*Widziałem mnóstwo dziwnych rzeczy, czyż jednak można jakąś porównać z tą? Dwóch krzepkich tragarzy postawiło przy miejscu dla świadka wielkie skrzynie zawierające szczątki doczesne kobiety. Umieszczono je w słojach, pudełkach po cygarach, kartonowych pudłach, metalowych wiadrach.*

*Były tam kawałki kości, włókna moczące w makabrycznych roztworach, nietypowe granulki, strzępy materiałów. (...) Siedzący na ławie dla świadków profesorowie od zwłok wyjaśniali, co właściwie widzimy, aż wreszcie kości i prochy zaczęły przybierać ludzką postać, a strzępy materiałów przemieniły się w części garderoby, które pasowały do konkretnej postaci.*

Julian Hawthorne o sprawie Leutgerta w 1857 roku

Wszystkich nas fascynuje medycyna sądowa. Dzieje się tak za sprawą powieści kryminalnych i seriali telewizyjnych. Czasami jednak tak bardzo dajemy się ponieść wciągającej narracji, że nie dostrzegamy potworności zbrodni, z którymi mają do czynienia śledczy. Żadna grupa naukowców nie staje twarzą w twarz z nieubłaganą rzeczywistością częściej niż antropolodzy sądowi. Ich linią frontu są krwawe wojny i klęski żywiołowe; ich powołaniem – codzienne obcowanie ze śmiercią.

Kosowo, rok 1997. Pod koniec dwudziestego wieku na Bałkanach rozgorzał jeden z najbardziej brutalnych konfliktów o podłożu etnicznym i religijnym w dziejach świata. Każda ze stron demonizowała drugą, nie postrzegając wrogów jako ludzi, lecz bardziej jako robactwo, z którego należy oczyścić ziemię. Takie nastawienie nieuchronnie wiedzie do bestialstwa – także w tym miejscu i czasie go nie brakowało.

Rozmawiałam z kilkoma śledczymi, którzy przebywali w Kosowie po zakończeniu wojny. W ich oczach widziałam cienie przeszłych spraw, o których wciąż nie byli w stanie mówić.

Wyobraźcie sobie choćby taką scenkę. Z kosowskich wzgórz zjeżdża ciągnik z przyczepą. Prowadzi go rolnik, który uznał, że walki toczą się zbyt blisko jego domu i trzeba uciekać. W przyczepie siedzi cała jego jedenastoosobowa rodzina. Ośmioro dzieci w wieku od roku do czternastu lat, ściśniętych między matką, babką i ciotką. Jest pogodnie



i bezchmurnie. Mimo strachu, który zdążył do tego czasu stać się nieodłączną częścią ich życia, wszyscy rozmawiają ze sobą po cichu.

A jednak próba zapewnienia sobie bezpieczeństwa tylko im szkodzi. Niedaleko czyha na nich wróg z jedną z najbardziej śmiercionośnych broni, z jakimi mają do czynienia ludzie na polu bitwy – raketowym granatnikiem przeciwpancernym. Jego obsługa jest tak prosta, że dziecko nauczy się jej w jedno popołudnie – na YouTube można znaleźć filmiki instruktażowe. Ta przenośna broń jest tania, skuteczna i zabójcza. To symbol konfliktu asymetrycznego, podstawa walki partyzanckiej od czasów wojny w Wietnamie. Często prowadzi do całkowitego zniszczenia celu.

Nagle granatnik strzela w stronę rodziny i pocisk wybucha, niszcząc ciągnik i zabijając wszystkich pasażerów przyczepy. Przeżywa jedynie rolnik, chociaż zostaje poważnie ranny w nogę. W szoku wyczołguje się poza linię ognia. Później, pod osłoną nocy, wraca na miejsce eksplozji i zbiera tak wiele zakrwawionych części ciał, ile tylko udaje mu się znaleźć. Jako pobożny muzułmanin musi jak najszybciej pogrzebać swoją rodzinę. Mimo rozpaczki kopie płytki grób i grzebie szczątki swoich bliskich.

Półtora roku później do Kosowa przyjechała Sue Black, antropolożka sądowa wchodząca w skład grupy brytyjskich ekspertów, którzy pracowali dla Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii, pierwszego międzynarodowego trybunału sądzącego zbrodnie wojenne od czasów Norymbergi i Tokio (1945–1948). Jak dotąd w stan oskarżenia postawiono sto sześćdziesiąt jeden osób.

Siedemdziesiąt cztery skazano, wciąż trwają procesy dwudziestu czterech. Były prezydent Jugosławii Slobodan Milošević zmarł w 2006 roku, zanim skazano go za zbrodnie przeciw ludzkości. Zadanie brytyjskich ekspertów w Kosowie polegało na ekshumacji masowych grobów i udowodnieniu, że doszło do ludobójstwa.

Kiedy Sue poznała rolnika, wydał się jej „najcichszym i najpoważniejszym człowiekiem, jakiego widziała”. Sue z kolegami szukali dowodu, że atak na ciągnik nie został sprowokowany w żaden sposób. Jednak sądy w odległej Holandii niewiele znaczyły dla osamotnionego mężczyzny. Pragnął tylko jednego: pochować swoich bliskich tak, jak należy. Podziękował ekipie za przybycie. Wyjaśnił, że jego cierpienie wiąże się z tym, że Allah nie może odnaleźć

poszczególnych członków jego rodziny, dopóki leżą we wspólnym grobie. Poprosił Sue, by wykopała ich szczątki i przyniosła mu jedenaście worków ze zwłokami. Każdego ze swoich bliskich pragnął pochować oddzielnie.

Nie wiedział, że ma przed sobą jednego z czołowych światowych ekspertów od dziecięcych kości. Sue odesłała wszystkich z wyjątkiem technika radiologa i fotografa, po czym rozłożyła dwanaście płacht, które miały odgrywać rolę prowizorycznych grobów.

Potrzebowaliśmy dwunastu, ponieważ wiedzieliśmy, że niektórych szczątków nie będziemy mogli zidentyfikować ze stuprocentową pewnością. Zdawałam sobie też sprawę, jak kuszące może być włożenie czegoś do każdego worka, byle tylko uczynić zadość prośbie tego ojca.

Oczywiście byłoby to moralnie złe, ale niedopuszczalne również pod innymi względami. Przyjechaliśmy tu w celach naukowych, nie po to, by nieść ulgę w cierpieniu. Nasza praca polega na gromadzeniu dowodów, które będziemy mogli przedstawić w sądzie.

Wyobrażała sobie, jak powołany przez obronę biegły otwiera jeden z worków i znajduje w nim materiały, które nie są tym, czym powinny być. To byłaby całkowita kompromitacja aktu oskarżenia.



Antropolodzy sądowi przeszukujący zbiorowy grób w Kosowie

Sue wzięła się do pracy. Po półtora roku ciała były już rozłożone i miała do czynienia głównie z kośćmi. Dorosłych wyodrębniła bez większych trudności, ponieważ byli więksi i mniej liczni. O wiele gorzej szło jej z ośmiorgiem dzieci, jednak skrupulatnie oddzielała ocalałe fragmenty. Po kilku godzinach zdołała zidentyfikować sześcioro najmłodszych. Gdy oddzieliła ich kości, zostały jej tylko dwie pary górnych kończyn należących do czternastoletnich bliźniaków.

Poza tym nic z nich nie zostało. Tylko kości ramienne i obojczyki.

Przy jednej parze znalazłam jednak kawałki podkoszulka z Myszka Miki. Powiedziałam policjantowi: „Zapytaj ojca, które z jego dzieci lubiło Myszka Miki. Nie pytaj, który z bliźniaków, ani nie naprowadzaj go na odpowiedź w jakikolwiek inny sposób. Jeśli poda nam imię, będziemy mogli ich rozdzielić.

Policjant wrócił z odpowiedzią. Podał imię jednego z bliźniaków.

„Uwielbiał Myszka Miki. To jego koszulka”.



Godzinę później Sue zawiozła rolnikowi jedenaście worków.

„Tego właśnie pragnął bardziej niż czegokolwiek innego. Jeśli wziąć pod uwagę, przez co przeszedł, to, że oddaliśmy mu szczątki rodziny, to i tak mało”.

Sue kieruje Centrum Anatomii i Identyfikacji Osób (Centre for Anatomy and Human Identification, CAHID) Uniwersytetu Dundee.

Podstawą jej pracy w terenie pozostają składanie i identyfikacja pozostałości szkieletowych. Czy należały do człowieka? Jakiej był płci, w jakim wieku, jakiego wzrostu i pochodzenia etnicznego? Kiedy nastąpił zgon? Dlaczego? Jeśli zwłoki są nienaruszone i nie do końca rozłożone, na wszystkie te pytania może odpowiedzieć lekarz sądowy.

W innym wypadku potrzeba antropologa, który podda analizie nie tylko kości, lecz także inne pozostałości po człowieku: włosy, ubranie, biżuterię, wszystko, co nosimy ze sobą na co dzień. Jak się przekonamy, sprawdza się nawet zdjęcia pozostawione w aparacie fotograficznym lub kamerze, bo mogą zawierać tropy, które dostrzeże jedynie doświadczone oko. W ciągu swojej wieloletniej kariery Sue odnajdowała sekretne wzory ludzkiego ciała, była pionierką wyjątkowych technik pozwalających ustalać tożsamość i uczyła wielu anatomów, antropologów i lekarzy, jak zbudowane jest ludzkie ciało.

To, co przekazywała swoim studentom, zajęcia w terenie, jakie z nimi przeprowadzała, i swoje własne badania w znacznym stopniu zawdzięcza czteroletniemu pobytowi w powojennym Kosowie. Opisuje to miejsce jako punkt zwrotny swojej kariery, ponieważ mogła się tam wymieniać wiedzą i doświadczeniami z wieloma zespołami badawczymi z całego świata, w tym ze słynnym Argentyńskim Zespołem Antropologii Sądowej (Equipo Argentino de Antropología Forense), który badał drastyczne przypadki łamania praw człowieka już w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

W latach 1976–1983 w Argentynie rządziła junta, która prowadziła brutalne represje przeciwko siłom lewicowym i „wywrotowcom”.

Działaniom tym nadano nazwę *guerra sucia*, czyli brudna wojna.

W Buenos Aires i innych miastach porywano cywilów, zarówno z miejsc publicznych, jak i z domów. Umieszczano ich w którymś z trzystu tajnych więzień rozsianych po całym kraju. Wielu było bestialsko torturowanych – mężczyźni, kobiety i dzieci, bez różnicy. Ci, którzy zdołali przeżyć, opisywali podłączanie do specjalnych urządzeń elektrycznych rażących prądem. Cięża nie powstrzymywała porywaczy.

Innych faszerowano środkami odurzającymi, zawiązywano im oczy i zrzucano z samolotów nad rzeką La Plata, na granicy Argentyny i Urugwaju. Ich ciała rzeka wyrzucała zarówno na jeden, jak i na drugi brzeg. Ciała, które nie znalazły się w nieoznaczonych grobach lub w wodzie, wysyłano do kostnic jako „bezimienne”. Jeden z pracowników wspominał „nieposortowane zwłoki leżące na stercie przez ponad miesiąc w upale, (...) chmary much i podłogę pokrytą dziesięciocentymetrową warstwą robaków i larw”. Brudna wojna pochłonęła około trzydziestu tysięcy ofiar spośród ludności cywilnej.

Mniej więcej dziesięć tysięcy osób uznano za zaginione.

W 1984 roku, po upadku junty, przedstawiciele argentyńskiego wymiaru sprawiedliwości zaczęli domagać się ekshumacji i identyfikacji zwłok leżących w nieoznaczonych grobach, by rodziny ofiar mogły ustalić, co stało się z ich bliskimi, a mordercy zostali postawieni przed sądem. Miejscowi lekarze mieli niewielkie doświadczenie w badaniu kości i rozpaczliwie potrzebowali pomocy. W 1986 roku ze Stanów Zjednoczonych przyleciał Clyde Snow, doświadczony antropolog sądowy, który pracował nad sprawą zamachu na prezydenta Kennedy’ego i badał

ofiary seryjnego mordercy Johna Wayne'a Gacy'ego. Miał szkolić przyszłych członków Argentyńskiego Zespołu Antropologii Sądowej.

Po raz pierwszy w historii dochodzeń dotyczących przypadków łamania praw człowieka – wyjaśnia Snow – zaczęliśmy stosować naukowe metody badań. Zaczynaliśmy na małą skalę, ale nasze działania doprowadziły do rewolucji. Pomysł stosowania w tego rodzaju śledztwach zdobyczy nauki narodził się tutaj, w Argentynie, i stąd rozprzestrzenił się na cały świat.

Snow zgromadził wokół siebie niewielki, lecz oddany zespół młodych Argentyńczyków, często szkolących się dopiero podczas pracy.

Opisuje, jak w pierwszych miesiącach jego uczniowie wybuchali płaczem w miejscach ekshumacji. W końcu wbił im do głów, że jeśli już muszą płakać, mają to robić w nocy. Gdy antropolodzy odkopali i opisali zwłoki, śledczy próbowali dopasować je do dokumentacji medycznej i dentystycznej zaginionych osób. Obecnie antropolodzy mogą pobierać DNA z kości osób niezidentyfikowanych i zestawiać je z DNA ich żyjących krewnych. Do 2000 roku zidentyfikowano sześćdziesiąt szkieletów, a dalsze trzysta wciąż jeszcze badano. Była to niewielka część całości, ale zawsze jakiś początek. Jedną ze zidentyfikowanych osób była Liliana Pereyra, która została uprowadzona w drodze z pracy do domu 5 października 1977 roku. Torturowano ją, zgwałcono, a w końcu zamordowano. W dniu porwania była w piątym miesiącu ciąży. Podczas procesu dziewięciu dowódców wojskowych w 1985 roku Clyde Snow poświadczył tożsamość Liliany, zeznając, że „pod wieloma względami szkielet jest najlepszym świadkiem”. Dowody uzyskane z kości Liliany Pereyry, a także kilku innych, pomogły w skazaniu sześciu oskarżonych.



Clyde Snow zeznający w 1986 roku na procesie dziewięciu byłych dowódców argentyńskiej junty, oskarżonych o morderstwa dokonane podczas brudnej wojny. Zeznania Snowa pomogły skazać sześciu z nich

Ekipa argentyńskich naukowców pracowała w ponad trzydziestu krajach na całym świecie, zajmując się ekshumacjami masowych grobów i uczeniem innych prowadzenia dochodzeń. Wyszkolili członków Gwatemalskiej Fundacji Antropologii Sądowej (Fundación de Antropología Forense de Guatemala), założonej do badania spraw związanych z łamaniem praw człowieka podczas trzydziestoletniej wojny domowej. Współpracowali również w RPA z Komisją Prawdy i Pojednania (Truth and Reconciliation Commission), która zajmowała się ofiarami apartheidu. A także z kubańskimi geologami, którzy w 1997 roku zidentyfikowali w Boliwii szczątki Che Guevary. Było wiadomo, że Che w 1967 roku został postrzelony w nogi, ręce i klatkę piersiową, a jego dłonie odcięli boliwijscy żołnierze, by potwierdzić jego tożsamość.



Antropolodzy szukający jego szczątków znaleźli siedem ciał w dwóch grobach. Jedno z nich miało na sobie niebieską kurtkę, w której kieszeni ekipa znalazła woreczek tytoniu do fajki. Pilot boliwijskiego helikoptera wręczył go Guevarze tuż przed jego śmiercią. Tożsamość potwierdziła analiza karty dentystycznej. Trzydzieści lat po egzekucji Che Guevara wrócił na Kubę, witany jak bohater.

Wspólne ekspertyzy w Kosowie pomogły innym ekspertom, takim jak Sue Black, rozwinąć wiedzę i techniki, które miały uformować podstawy rozwoju tej dziedziny nauki na całym świecie. Sue pracowała w różnych warunkach i sytuacjach, w takich krajach jak Sierra Leone, Irak i Tajlandia po tsunami w 2004 roku, a oprócz tego prowadziła szkolenia w Wielkiej Brytanii.

Wciąż jednak dochodzi do zbrodni, które wymagają ekspertyz.

W styczniu 2014 roku uchodźca z Syrii o pseudonimie Cezar, były fotograf wojskowy, przemycił pięćdziesiąt pięć tysięcy zdjęć ukazujących ciała jedenastu tysięcy ofiar, które rzekomo zostały zatrzymane podczas walk z reżimem Asada. Syryjskie władze zakwestionowały ich autentyczność i oskarżyły opozycję o ich sfabrykowanie. Sue została poproszona o zbadanie tych fotografii.

Opisała je jako „najgorszy przykład zbrodni wojennych, z jakimi zdarzyło mi się zetknąć przez trzydzieści lat pracy naukowej”. Podczas gdy w Kosowie ludzie ginęli głównie od wystrzałów, a tsunami było dziełem natury, fotografie z Syrii dowodziły stosowania ciągłych tortur.

Ofiary umierały z głodu, w wyniku uduszenia lub rażenia prądem. Bito je, podpalano i wydłubywano im oczy. Gdy zapytano Sue, czy dowody stosowania tortur są wiarygodne i czy dają podstawy do prowadzenia dalszego śledztwa, odpowiedź na oba pytania brzmiała: „Zdecydowanie tak”.

Na szczęście następstwa tortur i ludobójstw to tylko niewielki wycinek pracy antropologów sądowych. Stosunkowo rzadko wzywa się ich na miejsca katastrof, takich jak kataklizmy, wypadki pociągów czy zamachy bombowe w Londynie z 2005 roku. Większość prowadzonych przez nich badań dotyczy spraw o dużo mniejszej skali, choć bardzo ważnych dla tych, którzy zostali przez nie dotknięci.

John i Margaret Gardiner mieszkali w Helensburghu, na zachodnim wybrzeżu Szkocji, godzinę drogi od Glasgow. John był eksmarynarzem floty handlowej, którego marzycielstwu dorównywała jedynie zdolność

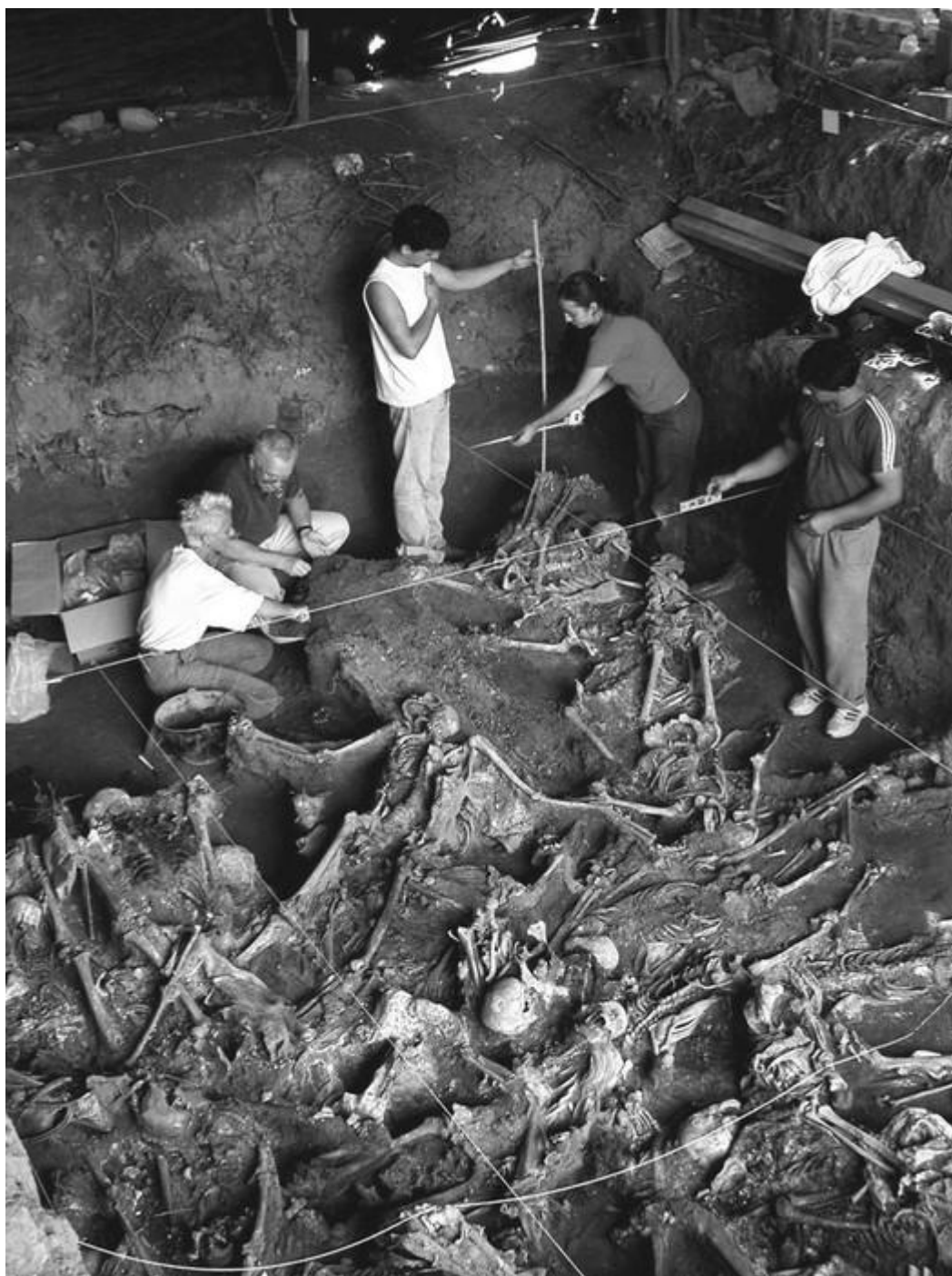
do popadania w długi. W październiku 2004 roku John wyjawiał swój ostatni plan na szybkie wzbogacenie się: będzie budował luksusowe kuchnie. Na Margaret te plany nie zrobiły wrażenia i powiedziała mu to bez ogródek.

Kilka dni później zadzwonił do niej do pracy pracownik banku z informacją, że jest pewien problem z jej umową kredytową na pięćdziesiąt tysięcy funtów. Ta wiadomość ją zaskoczyła, bo nie starała się o żaden kredyt. Z tego co wiedziała, w całym swoim życiu ani razu nie starała się o kredyt. W trakcie rozmowy stało się jasne, że John musiał nakłonić jakąś kobietę do odegrania roli Margaret i podpisania za nią umowy kredytowej. „Tego już za wiele” – pomyślała Margaret, po czym powiedziała koleżankom, że jedzie rozmówić się z mężem i zamierza wyrzucić go z domu. Wtedy po raz ostatni widziano ją żywą.

Kiedy ludzie pytali Johna, gdzie podziewa się jego żona, przedstawiał im jakąś mętną historyjkę. Jednego nie umiał wytłumaczyć – jak to się stało, że nagle przestała dzwonić do swoich starych rodziców, co zwykła robić każdego wieczoru. Kiedy zniknięcie Margaret zgłoszono na policję, ta potraktowała sprawę poważnie i wysłała do domu Johna ekspertów kryminalistyki. W łazience, u podstawy baterii wannowej znaleźli oni ślady krwi. Była to krew Margaret. Wpuścili endoskop do rury odpływowej i natrafili na odprysk szkliska jej zęba.

Sprawdzili pralkę stojącą w kuchni i przy drzwiczkach natknęli się na kolejne ślady krwi.





Pracownicy Argentyńskiego Zespołu Antropologii Sądowej badający zbiorowy grób w argentyńskiej prowincji Córdoba. Odkryli tam około stu ciał ofiar brudnej wojny

Jednak żaden z powyższych śladów nie stanowił dowodu śmierci Margaret.



Równie dobrze mogła się poślizgnąć i upaść w łazience, ukruszyć przy tym ząb i się skaleczyć, a potem włożyć zakrwawione ubrania do pralki. Eksperci jednak okazali się nadzwyczaj drobiazgowi.

Wyjęli z pralki filtr i znaleźli w nim kremową bryłkę, długą na jakiś centymetr i szeroką na cztery milimetry. Nie mieli stuprocentowej pewności, ale wydawało się im, że to może być kawałek kości. Mogli zbadać jego DNA. Na szczęście jednak wpadli na pomysł, żeby przed testem, który bezpowrotnie zniszczy dowód, sięgnąć po zdobycze techniki, które pozwolą go zachować.

Zawieźli znalezioną bryłkę do Centrum Anatomii i Identyfikacji Osób, gdzie Sue Black zidentyfikowała ją nie tylko jako fragment kości, lecz także jako fragment skrzydła większego kości klinowej. Ta część kości umiejscowiona jest w skroni. Zaraz pod nią biegnie tętnica. Bez tego kawałka kości Margaret Gardiner musiała się wykrwawić na śmierć.

Nie było możliwości, żeby przeżyła.

To niewielkie znalezisko pozbawiło sensu konfabulacje Johna Gardinera. W obliczu tak niepodważalnego dowodu szybko przedstawił policji nową wersję zdarzeń. Według niego wściekła Margaret wpadła do domu. Kłótnia szybko przerodziła się w bijatykę. Margaret wyrwała się z uścisku męża. On rzucił się za nią. Wybiegła z domu. Potknęła się na górnym schodku i uderzyła głową o podłogę tarasu. Zaczęła strasznie krwawić. John zaniósł żonę do łazienki, co tłumaczyło krew, którą tam znaleziono. Potem zauważył krew na swoim swetrze, więc wepchnął go do pralki. Uprał go w programie prania na zimno z niebiologicznym detergentem – to dlatego na fragmencie kości, która musiała zaplątać się we włókna swetra, ocalało DNA Margaret. Ta historia pasowała do dowodów. Później zawiązał ciało w prześcieradło i wrzucił je do rzeki.

I chociaż ciała jego żony nigdy nie odnaleziono, John został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci na podstawie malutkiego kawałka kości z DNA Margaret.

Na długo przed tym, zanim oficjalnie zaczęto używać antropologii do wyjaśniania takich spraw jak zaginięcie Margaret Gardiner, analiza kości odgrywała pewną rolę w orzeczeniach sądowych. Ta kwestia interesowała na przykład trzynastowiecznego urzędnika, którego historię można znaleźć w podręczniku dla chińskich koronerów zatytułowanym *Naprawianie błędów* (1247). Mężczyzna zabił chłopca i przejął jego majątek. Po długim czasie odkryto zbrodnię. Przestępca przyznał się do

winy – twierdził, że pobił chłopca i wrzucił go do jeziora. Zwłoki chłopca odnaleziono, lecz pozostały z niego tylko kości. Wysoko postawiony urzędnik uznał, że kości należą do kogoś innego. Nikt nie ośmielił się kwestionować jego opinii i dochodzenie nie zostało wszczęte. Jednak jakiś czas później inny urzędnik przeglądający akta sprawy przeczytał zeznania jednego z krewnych chłopca. Ten człowiek zeznał, że chłopiec miał kurzą klatkę piersiową. Urzędnik poszedł obejrzeć szkielet. Okazało się, że żebra ofiary biegną pod dziwnym kątem. Zarządzono nowe dochodzenie. Zeznania mordercy zostały potwierdzone i ostatecznie ukarano go za tę zbrodnię.

Mimo początkowych sukcesów nauka o kościach dopiero wiele wieków później oficjalnie trafiła do sali sądowej. Pierwszy potwierdzony przypadek uczestnictwa antropologa w procesie sądowym pochodzi z 1897 roku i miał miejsce w Ameryce Północnej. George Dorsey był etnografem specjalizującym się w badaniach nad Indianami. W 1894 roku jako pierwszy w historii obronił doktorat z antropologii na Uniwersytecie Harvarda. Był uczniem Thomasa Dwighta, zwanego ojcem antropologii, który położył podwaliny pod tę dziedzinę nauki i potrafił analizować ludzkie szkielety z bezprecedensową dokładnością.

Zamiłowanie Dorseya do kolekcjonowania artefaktów, zwłaszcza szkieletów, sprawiło, że wziął udział w ekspedycjach badawczych w obu Amerykach i przywiózł z Peru wiele mumii Inków.

W 1897 roku Dorseya przyciągnęła sprawa, która od tygodni nie schodziła z czołówek gazet. Dwudziestojednoletni Adolph Leutgert przyплыł do Ameryki z Niemiec bez grosza przy duszy i osiadł w Chicago. Podobnie jak John Gardiner, był człowiekiem o wielkich ambicjach. W odróżnieniu od niego umiał obchodzić się z pieniędzmi.

Przez piętnaście lat pracował dorywczo w garbarniach i firmach przeprowadzkowych, aż wreszcie zaoszczędził cztery tysiące dolarów – sumę wystarczającą do zbudowania masarni i rozpoczęcia działalności firmy A.L. Leutgert Sausage & Packing Company. Swoje kiełbasy sprzedawał w całym mieście i poza nim; wkrótce zyskał przydomek Kiełbasianego Króla Chicago.

Tuż przed otwarciem interesu krzepki przedsiębiorca ożenił się z drobną, atrakcyjną kobietą o imieniu Louisa. Małżeństwu jednak daleko było do amerykańskiego snu. Adolph zaczął sypiać z innymi kobietami. Krążyły również plotki, że bije żonę.

Pierwszego maja 1897 roku para wyszła na spacer, z którego wrócił tylko Adolph. Nieprzekonana wyjaśnieniami przedsiębiorcy, że żona uciekła z innym, rodzina Louisy powiadomiła policję, która rozpoczęła intensywne poszukiwania i ostatecznie trafiła do masarni Leutgerta. Naoczny świadek zeznał, że widział Adolpha z żoną znikających w budynku o godzinie 22.30 w dniu zaginięcia kobiety.

Potwierdził to nocny stróż. Co więcej, okazało się, że Leutgert na resztę nocy dał mu wolne.

W budynku masarni policjanci poczuli dziwny zapach dobiegający z dużej kadzi służącej do parzenia kiełbas. Zajrzawszy do środka, funkcjonariusze zauważyli na dnie osad i poczuli, jak to ujął jeden z nich, „obrzydliwy smród (...) jakby truchła”. Postanowili baczniej się temu przyjrzeć.

Szpunt był wyciągnięty z kadzi, a na podłodze pod otworem leżały jutowe worki. Osiadły na nich oślizgły osad i małe kawałki kości. Wtedy przyjrzelśmy się dokładniej wnętrzu kadzi i oprócz innych kawałków kości znaleźliśmy na jej dnie również dwa złote pierścionki, zlepione razem i pokryte czerwono-szarą mazią. Większy z nich okazał się obrączką ślubną, wewnątrz miał wygrawerowane litery L.L.

Później potwierdzono, że była to obrączka Louisy Leutgert, prezent od męża. Z kolei w piecu policjanci odkryli małe kawałki kości i pozostałości spalonego gorsetu. Znaleziony materiał dowodowy wystarczył do aresztowania Leutgerta.

Latem tego roku przed sądem hrabstwa Cook odbył się proces Kiełbasianego Króla Chicago, wzbudzający duże zainteresowanie opinii publicznej. George Dorsey i kilku jego kolegów z Muzeum Fielda w Chicago byli świadkami oskarżenia. Dorsey stwierdził, że kości znalezione w piecu to kości człowieka. Są to między innymi fragmenty stopy, klatki piersiowej, palca u nogi i czaszki kobiety.



Następny świadek zeznał, że w osadzie znalezionym w kadzi znajdowała się hematyna, związek chemiczny powstający z hemoglobiny znajdującej się w ludzkiej krwi.

Kolejny świadek wskazał, że przed zniknięciem żony Adolph kupił kilka kilogramów ługu, żrącego roztworu o wielu zastosowaniach, począwszy od obróbki mięsa, poprzez czyszczenie piekarników, a skończywszy na wytwarzaniu metamfetaminy. Leutgert dodawał go potem stopniowo do

kadzi. Adolph zeznał, że ług miał być wykorzystywany przy sprzątaniu budynku. Prokurator skontrolował, że ług jest silnie zasadowy i nadaje się do rozpuszczania dużych przedmiotów.

Pierwszy proces nie przyniósł rozstrzygnięcia, ponieważ ławnicy nie potrafili podjąć decyzji. Tak bardzo się ze sobą nie zgadzali, że w sali obrad o mało nie doszło do bójki. Ale to jeszcze nie koniec.

W następnym roku zarządzono ponowny proces. Znow przesłuchano George'a Dorseya. I tym razem Leutgerta uznano za winnego zamordowania żony.

Dorsey zrobił dobre wrażenie jako świadek. Jak zanotował reporter sądowy „Chicago Tribune”: „Aż nadto widoczne było to, że zależy mu jedynie na wyświetleniu prawdy, jego zeznania pozbawione były przesady i złośliwości, (...) jego wiedza sprawiała wrażenie (...) usystematyzowanej, dogłębnej i rozległej, a wywody były logiczne i precyzyjne”. Z kolei biegły powołany przez obronę, William H.

Allport, ośmieszył się, gdy zidentyfikował kość psa jako kość małpy.

Mętnie tłumaczył, że chodziło mu o pinczera małego, czym wywołał tylko stłumiony śmiech ławników. Poza salą sądową Dorsey spotkał się jednak z tak surową krytyką innych anatomów (w tym złośliwego Allporta, który wyśmiał to, że „zidentyfikował kobietę na podstawie czterech kawałków kości wielkości ziarenek grochu”), że całkowicie porzucił medycynę sądową. Mimo to relacje prasowe po raz pierwszy uświadomiły wówczas opinii publicznej istnienie czegoś takiego jak antropologia sądowa.

Antropologia sądowa w jej obecnej formie jest stosunkowo nową dziedziną nauki. Na początku dwudziestego wieku analiza pozostałości szkieletowych posuwała się do przodu bardzo powoli, ale jednak się posuwała.

Aleš Hrdlička urodził się w Czechach. W 1881 roku, w wieku trzynastu lat, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie obsesyjnie zaczął interesować się ludzką anatomią. Podobnie jak przedtem George Dorsey, badał rdzennych mieszkańców Ameryki. W wieku trzydziestu lat rozpoczął pięcioletnią wyprawę przez kontynent – w jej trakcie badał szkielety. Doprowadziło go to do sformułowania oryginalnej teorii na temat tego, że mieszkańcy Azji Wschodniej przeszli Cieśninę Beringa i skolonizowali Amerykę około dwunastu tysięcy lat temu. Ta koncepcja stała się potem powszechnym poglądem – po części dzięki profilowaniu

DNA. Jednak oprócz pochodzenia człowieka badaczka interesowało również pochodzenie ludzkiego zła. Porównywał cechy antropologiczne przestępców i „normalnych” Amerykanów, aby się przekonać, czy przestępcy wyróżniają się pod względem fizycznym. W 1939 roku mógł ogłosić: „Zbrodnia to nie kwestia wyglądu fizycznego, tylko psychiki”.

Kompetencje Hrdlički zostały docenione. W latach trzydziestych FBI zastanawiało się, czy ta raczkująca dziedzina nauki może okazać się pomocna w dochodzeniach. Hrdlička uczestniczył jako konsultant w ponad trzydziestu pięciu śledztwach, podczas których ustalał na podstawie szkieletów tożsamość ofiar, ich wiek oraz to, czy zginęły w wyniku przestępstwa.

Naukowiec położył wielkie zasługi w budowaniu podstaw antropologii sądowej. Po jego śmierci J. Edgar Hoover, dyrektor FBI, podkreślił jego „wybitny wkład w dziedzinę wykrywania przestępstw”. Oprócz uczestniczenia w śledztwach Hrdlička przygotowywał również do pracy kolejne pokolenia antropologów sądowych jako wykładowca w Instytucie Smithsona.

To nie przypadek, że punktem zwrotnym kariery Sue Black okazała się praca nad ludobójstwem na Bałkanach. To właśnie tragiczne wydarzenia często leżą u podstaw największych przełomów w antropologii sądowej w dwudziestym wieku. T.D. Stewart, jeden z najzdolniejszych uczniów Hrdlički, pracował w magazynie w japońskim mieście Kokura przy identyfikacji ofiar wojny koreańskiej.



Zadanie było wyjątkowo trudne z powodu destrukcyjnego działania nowoczesnej broni. Kości przyjechały w ogromnych skrzyniach, praca była uciążliwa i wyczerpująca psychicznie. Stewart wykorzystał jednak ten nieograniczony dostęp do ogromnej liczby ludzkich kości. Zaczął drobiazgowo je katalogować, stopniowo tworząc bazę danych, która pozwalała określić dokładnie wzrost i wagę, a w przybliżeniu również wiek ofiary.

Innym antropologiem wyróżniającym się na tym polu była Mildred Trotter, która w 1947 roku rozpoczęła pracę w Służbie Rejestracji Grobów (The Graves Registration Service) na Hawajach.

Zniecierpliwiona tym, że musi określać wzrost i wiek ofiar na podstawie przestarzałych danych (miały pięćdziesiąt lat i pochodziły

z Francji), zaczęła sama dokonywać pomiarów. Wykorzystała przy tym kości żołnierzy zabitych podczas drugiej wojny światowej. Obecnie Centralne Laboratorium Identyfikacji Armii Amerykańskiej (US Army Central Identification Laboratory) jest największym laboratorium na świecie zajmującym się identyfikacją osób, a z pomiarów Stewarta i Trotter korzysta się powszechnie.

Przypadek Hawajów odbił się szerokim echem i stanowił cenną lekcję dla innych antropologów sądowych zajmujących się identyfikacją zmarłych. Edukacja leży u podstaw tego, co Sue Black zapoczątkowała w swoim laboratorium (CAHID) w Dundee. W 2008 roku w ośrodku wprowadzono dwudziestoczterogodzinną pomoc e-mailową dla policji.

Jej celem jest udzielanie odpowiedzi na kluczowe pytanie: „Czy jest to kość człowieka, czy zwierzęcia?” w ciągu dziesięciu minut. Telefon najczęściej dzwoni latem, kiedy ludzie kopią w ogródkach lub wyjeżdżają na wieś.

Udzielenie odpowiedzi na to ważne pytanie może być bardzo trudne. Pod wpływem zmiennych warunków atmosferycznych i działalności zwierząt szkielety ulegają zniszczeniu lub przemieszczeniu; czasami zostają tylko pojedyncze kości. Żebra owcy i jelenia są bardzo podobne do ludzkich i łatwo je z nimi pomylić. Małe kości i zęby dzieci również przypominają kości i zęby zwierząt.

A ponieważ jest ich dużo (dzieci mają około ośmiuset kości, które łączą się podczas dorastania, by utworzyć dwieście dziewięć kości dorosłego człowieka), łatwo je rozrzucić na wielkim obszarze. (Clyde Snow twierdzi, że w przypadku szkieletu dziecka da się znaleźć jedynie czterdzieści sześć kości).

W 2012 roku CAHID udzieliło satysfakcjonujących odpowiedzi w trzystu sześćdziesięciu pięciu sprawach. Daje to jedną sprawę dziennie. Jak dużo z tych kości okazało się kośćmi ludzkimi?

„Dziewięćdziesiąt osiem procent nimi nie jest” – odpowiada Sue Black.

Jednak nawet negatywne odpowiedzi dowodzą przydatności tego serwisu. „Dzięki temu policja nie musi wszczynać śledztwa w sprawie zwykłej krowy”.

A poza tym zawsze pozostaje dwa procent kości, które kiedyś były kośćmi żywych ludzi. I właśnie w tym momencie na pierwszy plan wysuwają się anatomowie lub antropolodzy sądowi.

Żeby zidentyfikować ludzką kość, najpierw muszą zmierzyć jej rozmiar i grubość, a potem przyrzeć się małym wypustkom, rowkom i wgłębieniom, które wskazują na funkcje każdej z nich. Czasami określa się też płeć danej osoby – mężczyźni zwykle mają większe i mocniejsze kości niż kobiety. Mają również w miednicy otwór w kształcie serca, podczas gdy u kobiet jest on okrągły, bo przez niego rodzą się dzieci.

Czaszki mężczyzn są większe, a ponadto mają oni bardziej kwadratowe szczęki niż kobiety.

Kilka lat temu byłam w gabinecie Sue Black, kiedy wszedł do niego policjant w mundurze. Przyniósł papierową torbę z kością, którą znalazł na plaży nieopodal Kirkcaldy, gdzie dorastałam. Sue włożyła rękawiczki i teatralnym gestem wyjęła kość. Była to kość szczękowa z kilkoma zębami wciąż tkwiącymi na miejscu. „Ludzka” – zawyrokowała Sue. Byłam przekonana, że ta scenka została zaaranżowana specjalnie dla mnie, w końcu tę kość znaleziono akurat na plaży, na której bawiłam się w dzieciństwie. Sue jednak obstawała przy tym, że jest inaczej. W końcu zlitowała się nade mną i wyjaśniła: „To nie jest sprawa dla policji. To strasznie stara kość. Ten człowiek umarł bardzo dawno temu. Tak dawno temu, że nie ma to znaczenia prawnego.

Ciągle przynoszą nam takie rzeczy”.

Zetknięcie się z kością szczękową nieznanego człowieka większość z nas uznałaby zapewne za dość makabryczne. W zawodowym słowniku Sue Black nie ma tego słowa. Podobnie jak „obrzydliwe”, „odrażające” czy „odpychające”. Ludzkie ciało w całej swojej chwale i niesławie to jej stanowisko pracy. Podchodzi do niego z profesjonalizmem, w którym nie ma miejsca na przesadną delikatność. Utrzymuje, że skutecznie uodporniła się na wszelki dyskomfort związany z krwią, ciałami i kośćmi w swojej pierwszej pracy – w wieku dwunastu lat zaczęła dorabiać w sklepie mięsny. Wspomina, że było tam tak zimno, że „kiedy z rzeźni przyjeżdżała ciężarówka z ciepłymi jeszcze wątróbkami, bieglśmy do niej na wyścigi, żeby ogrzać przynajmniej ręce”.

To, co zwykle odrzucało innych od anatomii, na niej w ogóle nie robiło wrażenia. Co jednak ją do niej przyciągnęło?

Nie było to wcale pragnienie wymierzania sprawiedliwości przestępcom. Przede wszystkim Sue jest naukowcem owładniętym obsesją zrozumienia zagadek ludzkiego ciała. Dopiero później uświadomiła sobie, że przy okazji może rozwiązywać zagadki kryminalne. Po zrobieniu licencjatu z anatomii jako pierwszy członek swojej rodziny poszła na uniwersytet. Przeprowadzane tam sekcje uznała za „strasznie



upokarzające doświadczenie”. Ludzie, którzy zapisali swoje ciała nauce, zmieniali się tam w coś w rodzaju cielesnego podręcznika, nad którym ślęczeli naukowcy, by móc potem dokonywać przełomów, które służyły innym. Sue wybrała identyfikację kości jako swój pierwszy projekt badawczy i niedługo później zrozumiała, że bez trudu może wykorzystać go w praktyce.

Jej pierwszą sprawą była identyfikacja pilota motolotni, który rozbił się na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Sue bała się, jak zareaguje na widok zmiażdżonego ciała, ale w zetknięciu z rzeczywistością zadziałał niezbędny chłodny profesjonalizm. Rozwiązała tę sprawę i postanowiła, że właśnie z tą dziedziną zwiąże swoją zawodową przyszłość.

Praca Sue stawia ją przed pytaniami, z którymi większość z nas ma do czynienia jedynie w czasie wolnym, gdy oddajemy się rozrywce.

Wszyscy uwielbiamy dobre kryminały – twierdzi Sue. Czytamy książki i oglądamy filmy kryminalne, bo ciekawia nas ludzkie ciało i anatomia.



Możemy wykorzystać tę wrodzoną ciekawość do rozwiązywania zagadek, a podstawowa zagadka brzmi: „kto to lub co to?”. Jestem w tej cudownej sytuacji, że zajmuję się swoją ulubioną anatomią, wykorzystując wiedzę do rozwiązywania problemów, które naprawdę trzeba rozwiązać, i do tego równocześnie zaspokajam zwykłą ludzką ciekawość.

Początkowo Sue Black zajmowała się głównie identyfikacją ofiar.

Udana identyfikacja często pomaga ustalić, czy w ogóle doszło do popełnienia przestępstwa, i umożliwia wszczęcie dochodzenia. Jednak takie śledztwo to coś więcej niż tylko ustalenie, kto padł ofiarą przestępstwa. Przede wszystkim chodzi o to, kto je popełnił. Na tym skupiali się autorzy kryminałów od samego zarania tego gatunku w dziewiętnastym wieku. Dobrzy naukowcy, podobnie jak dobrzy detektywi, doskonałą umiejętnością, by uporać się z problemami. Jeśli im się uda, otrzymują inne, podobne sprawy. Dla Sue Black siłą napędową zawsze było przecieranie szlaków. Gdziekolwiek się znalazła, starała się rozszerzyć zakres i możliwości antropologii sądowej. W ostatnich latach więcej czasu poświęcała namierzaniu sprawców niż identyfikacji ofiar.

Nick Marsh, szef fotografów londyńskiej policji, pracował z Sue w Kosowie. Zaprzyjaźnili się tam i nabrali do siebie zaufania w kwestiach zawodowych. Po powrocie do Wielkiej Brytanii Marsh spotkał się z pozornie beznadziejną sprawą. Na policję zgłosiła się czternastolatka,

która twierdziła, że w nocy została wykorzystana seksualnie przez ojca. Opowiedziała o tym matce, ta jednak jej nie uwierzyła. Dziewczynka zrozumiała, że potrzebuje dowodu. Ponieważ interesowała się techniką, wiedziała, że kamera internetowa w ciemności może nagrywać w podczerwieni. Włączyła kamerę, skierowała ją w kierunku łóżka i wcisnęła „record”.

Przyniosła materiał wideo na policję. Problem, przed którym stanął Nick Marsh, polegał na tym, że choć było widać sam akt, kamera ustawiona była pod takim kątem, że twarz sprawcy pozostała niewidoczna. Bez twarzy albo znaków szczególnych ten materiał mógł nie wystarczyć do skazania ojca dziewczynki.

W tej sytuacji Nick zwrócił się do jedynej osoby, która jego zdaniem mogła pomóc. Po obejrzeniu materiału Sue stwierdziła:

To jedna z najstraszniejszych rzeczy, jakie widziałam w życiu.

Czułam, jak włosy stają mi dęba na głowie. Około 4.15 rano w obiektywie kamery pojawiają się czyjeś nogi. Widać również dziewczynę leżącą na łóżku. Ma na sobie piżamę. Mężczyzna staje przy łóżku (wiem, że to mężczyzna, bo ma bardzo, ale to bardzo owłosione nogi) i bardzo powoli wyciąga rękę, by włożyć dłoń pod kołdrę.

Podobnie jak Nick, Sue początkowo myślała, że zidentyfikowanie sprawcy jest niemożliwe. Potem jednak przyjrzała się baczniej nagraniu i zauważyła, że w podczerwieni widać żyły na przedramieniu sprawcy.

Wiedziała, że żyły bardzo się od siebie różnią. Im dalej od serca, tym bardziej, dlatego żyły na rękach i przedramionach są najbardziej indywidualne. Żeby jednak zidentyfikować kogoś na podstawie układu żył, trzeba być ekspertem sądowym. Na prośbę Sue sfotografowano prawą rękę ojca dziewczyny. Żyły idealnie pasowały do żył mężczyzny na nagraniu wideo.

Kiedy sprawa trafiła przed sąd, obrona zakwestionowała dopuszczalność dowodu Sue. Sędzia przyznał, że dopuszczenie jako dowodu analizy układu żył byłoby precedensem. Ławnicy opuścili salę rozpraw i zarówno obronę, jak i oskarżenie poproszono o przedstawienie argumentów za dopuszczeniem dowodu i przeciwko temu. Sędzia zapytał Sue, co ma do powiedzenia. Zdała sobie sprawę, że powinna mieć fotografie obydwu rąk ojca dziewczyny, żeby udowodnić, że nawet jeden człowiek ma różne układy żył na obu rękach. Próbując wybrnąć z sytuacji, poprosiła sędziego, by przyjrzał się żyłom na swoich rękach.

Z pewnością dostrzeże, że się od siebie różnią. Sędzia zapytał, czy jej dowód ponad wszelką wątpliwość wskazuje, że sprawcą jest ojciec.

„Nie” – przyznała szczerze Sue. „Nie przeprowadziłam badań, które całkowicie wykluczyłyby, że gdzieś na świecie żyje osoba, która ma taki sam układ żył”.

Sędzia zdawał sobie sprawę z tego, że obrona rozpaczliwie pragnie odrzucić dowód. Ostatecznie dopuścił go, ufając doświadczeniu Sue w kwestii zróżnicowania anatomicznego ludzi. Z pewnością pomogło też to, że ekspert powołany przez obronę był specjalistą od analizy obrazów, a nie anatomem, i zdenerwował sędziego, ponieważ nie wyłączył komórki.

Sue złożyła zeznania. Obrona przedstawiła swoje stanowisko.

Przesłuchano dziewczynę. Ławnicy udali się na obrady i wrócili z werdyktem, którego Sue się nie spodziewała: niewinny. Zmartwiła się, że zrobiła coś nie tak, więc poprosiła prokuratora, by zapytał ławników, czy nie przekonały ich argumenty naukowe. Gdyby tak było, musiałaby zrezygnować z analizy układu żył albo przynajmniej poważnie zmodyfikować tę metodę. Ławnicy wyjaśnili, że ich werdykt nie miał nic wspólnego z nauką. Akurat wyjaśnienia Sue miały dla nich sens. Nie uwierzyli natomiast dziewczynce – ich zdaniem za mało płakała.

Zamiast biadolić nad kapryśnymi werdyktami, Sue przystąpiła do doskonalenia swojej techniki. Chciała mieć lepszą pozycję w walce z czysto emocjonalnymi reakcjami ławników. W tym czasie CAHID prowadziło szkolenia w zakresie identyfikacji ofiar katastrof dla policjantów z całej Wielkiej Brytanii. Sue postanowiła skorzystać z okazji. Poprosiła wszystkich swoich pięciuset słuchaczy o rozebranie się do bielizny. Następnie jej współpracownicy sfotografowali w podczerwieni i w świetle dnia ich stopy, nogi, plecy, brzuchy, klatki piersiowe, ramiona, przedramiona i dłonie. Po skatalogowaniu i porównaniu zdjęcia te stały się znaczącym wsparciem dla techniki analizowania układu żył.

Ponieważ policjanci uwielbiają opowiadać kolegom o prowadzonych sprawach i dzielić się z nimi anegdotkami z pracy, wieści o umiejętnościach Sue szybko się rozeszły. Wkrótce potem kolejny oficer londyńskiej policji zwrócił się do niej o pomoc. I znów chodziło o pedofilię. W 2009 roku policja przeszukała dom Deana Hardy’ego, sprzedawcy mebli z Kentu. W jego komputerze znaleziono sześćdziesiąt trzy zdjęcia pornograficzne. Niektóre przedstawiały dziewczynki w wieku

od ośmiu do dziesięciu lat z Azji Południowo-Wschodniej. Wszystkie były wykorzystywane przez białego mężczyznę. Metadane wskazywały na to, że fotografie zostały zrobione w 2005 roku. Policja udowodniła, że Hardy w 2005 roku podróżował do Tajlandii, i oskarżyła go o wykorzystywanie dziewczynek. Nie przyznał się do winy.



Tym razem Sue Black poleciła sfotografować obie ręce Hardy'ego.

Potem uważnie się im przyjrzała. Zwróciła uwagę na układ żył.

Zauważyła też małą bliznę u podstawy jednego z palców.

Przypatrzyła się układowi zmarszczek na jego kłykciach, a także rozmieszczeniu piegów. Potem porównała to wszystko z ręką widoczną na skonfiskowanych zdjęciach. Wszystko pasowało do siebie pod każdym względem. Policjanci przedstawili te materiały Hardy'emu.

„Pańska lewa ręka jest bardziej podobna do tej ręki na zdjęciu niż do pana prawej ręki w rzeczywistości” – stwierdzili. A potem zapytali: „Czy na tym zdjęciu widać pańską rękę?”. W obliczu tak niepodważalnych dowodów nie pozostawało mu nic innego, jak się przyznać.

Był to pierwszy przypadek w dziejach brytyjskiej kryminalistyki, gdy układ zmarszczek i żył pozwolił zidentyfikować przestępcę.

Wkrótce potem powstał film dokumentalny o chwytaniu pedofilów, opowiadający między innymi o współpracy Sue i policji w sprawie Deana Hardy'ego. Kiedy film został wyemitowany, na policję zgłosiły się cztery kobiety, które twierdziły, że Hardy molestował je, gdy były dziećmi. Mężczyzna został skazany na sześć lat za sprawę tajlandzką i na dalsze dziesięć za molestowanie zgłoszone przez ofiary z Wielkiej Brytanii.

Jeszcze w tym samym roku Sue pomogła skazać członków największego znanego gangu pedofilów w Szkocji. Ośmiu mężczyzn tworzyło, rozpowszechniało i zbierało materiały pornograficzne. Jeden z nich miał na komputerze siedemdziesiąt osiem tysięcy zdjęć. Obecnie Sue i jej zespół pracują w ciągu roku mniej więcej nad piętnastoma sprawami polegającymi na identyfikacji pedofilów. To właśnie do CAHID zwracają się policjanci potrzebujący pomocy w tego rodzaju sprawach.

Ośrodek w Dundee z pewnością nie jest jedynym miejscem, w którym najnowsze osiągnięcia w dziedzinie antropologii sądowej wykorzystuje się do identyfikacji osób. Mary Manheim z Uniwersytetu Luizjany jest twórczynią i dyrektorką laboratorium znanego jako FACES

(Forensic Anthropology and Computer Enhancement Services, Usługi w zakresie antropologii sądowej i rekonstrukcji komputerowych).

Manheim w 1981 roku skończyła anglistykę, po czym wykonała wolę i zwróciła się ku antropologii. Uczestniczyła w ponad tysiącu spraw w Stanach Zjednoczonych i napisała o nich trzy książki: *The Bone Lady* (2000), *Trail of Bones* (2005) i *Bone Remains* (2013). Przez dziesięciolecia tworzyła bazę osób zaginionych, odwiedzając każdy wydział policji, każde biuro szeryfa i każde biuro koronera w Luizjanie.

Baza zawiera biologiczne profile sześciuset zaginionych osób i sto siedemdziesiąt niezidentyfikowanych szczątków – i służy powiązaniu jednych z drugimi. Obecnie baza sprzężona jest z ogólnokrajowym rejestrem dla osób poszukujących zaginionych bliskich.

Przyjrzyjmy się jednej ze spraw, nad którymi pracowała Mary.

Pewnego dnia w głębokich wodach Zatoki Meksykańskiej, dwadzieścia pięć kilometrów od Grand Isle w Luizjanie, znaleziono ciało kobiety.

Została postrzelona w pierś, zawinięta w sieć rybacką i obciążona betonową kotwicą. Nie ulegało wątpliwości, że było to morderstwo.

Chociaż jej ciało od pewnego czasu znajdowało się w wodzie, było dobrze zachowane, po części dlatego, że sieć zabezpieczyła je przed krabami i rybami, które zapewne by je zjadły. Jak zanotowała Manheim, „dyndające części ciała z ruchomymi stawami przyciągają morskie stworzenia i często jako pierwsze giną ręce, stopy i głowa”.

Ciało zostało oznaczone jako 99-15 i przesłane do FACES. Mary pomyślała, że to idealna kandydatka do jej programu i wraz ze swoim zespołem szybko będzie mogła sporządzić portret tej kobiety. Zmierzyła jej czaszkę: blisko osadzone oczy, nagryz pionowy i owalne oczodoły wskazywały, że kobieta była „typową reprezentantką rasy białej”. Na szyi miała niezwykle naszyjnik w kształcie motyla, wykonany z diamentów i turkusów. Analiza szkieletu ujawniła dawne złamania nóg i artretyzm prawego kolana, który mógł powodować utykanie. Usunięto jej zęby mądrości; zabiegu prawdopodobnie dokonał amerykański dentysta. Pomiar kości nóg i oględziny miednicy pozwoliły ustalić w przybliżeniu jej wzrost, wagę i wiek: od stu pięćdziesięciu siedmiu do stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów, od pięćdziesięciu sześciu do sześćdziesięciu jeden kilo i od czterdziestu ośmiu do sześćdziesięciu lat.



Informacje te umieszczono w bazie danych FACES i w październiku 2004 roku ciało 99-15 zostało zidentyfikowane jako sześćdziesięcioletnia kobieta, która zaginęła w Missouri w styczniu 1999 roku. Analiza okazała się strzałem w dziesiątkę, z wyjątkiem niedoszacowanego wieku.

Co czuje antropolog sądowy, kiedy uda mu się kogoś zidentyfikować? Spędził tyle czasu, prowadząc nieme rozmowy z umarłym. Jak wygląda potem konfrontacja z żyjącą osobą, której najgorsze obawy właśnie się potwierdziły? Mary Manheim to wie.

„Udana identyfikacja sprawia członkom rodziny cierpienie, ale zarazem pomaga im dalej żyć” – twierdzi. Godziny dotąd spędzane na zadreczaniu się, co takiego właśnie robi ich bliski, mogą wreszcie zacząć wykorzystywać dla siebie.

Jest taka sprawa, która od lat spędza sen z powiek Sue Black. Sue przyszła na świat w Inverness w północnej Szkocji, w miejscu pewnego tajemniczego zaginięcia. W 1976 roku Renee MacRae wyjechała z domu z dwoma synkami na tylnym siedzeniu samochodu. Starszego wysadziła przed domem męża, z którym pozostawała w separacji, a z młodszym, trzyletnim Andrew, ruszyła do Kilmarnock. Zamierzała odwiedzić siostrę.

Ani Renee, ani Andrew nigdy więcej nie widziano. W nocy w zatoczce przy A9, szosie prowadzącej na południe, zauważono płonące puste niebieskie bmw. W spalonym aucie znaleziono dywanik samochodowy z plamami krwi Renee. Przesłuchano jej męża i ustalono tożsamość kochanka. Intensywne poszukiwania, w tym przeszukanie ponad pięciuset domów, garaży i budynków gospodarczych w mieście, nic nie dały. Policja nie potrafiła ustalić losów Renee i jej syna.

W 2004 roku w szkockiej telewizji wyemitowano film dokumentalny zatytułowany *Unsolved* (Nierozwiązane). Wzbudził on nową falę zainteresowania tajemniczym zaginięciem. Emerytowany policjant stwierdził, że podczas śledztwa rozważano, czy ciała Renee i Andrew nie zostały porzucone w kamieniołomie nieopodal szosy A9.

Do akcji drobiazgowego przeszukania kamieniołomu włączono Sue Black. Cała operacja trwała trzy tygodnie i kosztowała ponad sto tysięcy funtów. W tym czasie z kamieniołomu usunięto dwadzieścia tysięcy ton ziemi i ścięto dwa tysiące drzew. Znaleziono jedynie kości królika, dwa opakowania po chipsach i męskie ubranie.

Mimo niepowodzenia tych poszukiwań Sue Black dostała od siostry Renee list, który dotąd przechowuje. „Chcę tylko, by moja siostra znalazła dom” – pisze w nim kobieta. „Wiem, że nie żyje. Pogodziłam się z tym. Za każdym razem, gdy ktoś zaczyna jej szukać, moja nadzieja rośnie, a za każdym razem, gdy jej nie znajduje, pogrążam się w depresji”. Z doświadczeń Sue wynika, że kiedy ludzie nie mogą odnaleźć swoich bliskich – w Kosowie, Argentynie, Tajlandii czy Wielkiej Brytanii – nie mogą również zaznać spokoju. Ta wiedza każe jej nie ustawać w staraniach, by zapewnić umarłym dom.

Kiedy przekazujemy jakieś wieści – mówi Sue – zawsze są one złe.

„To twój syn, to twoja żona, to twoja córka”. Jednak te złe wieści są swego rodzaju przysługą. Zdają się mówić: „Teraz przynajmniej wiesz, co się stało. Możesz pochować ciało i rozpocząć żałobę. Nigdy tego nie zapomnisz, ale przynajmniej uda ci się ruszyć z miejsca”.

## 9. Rekonstrukcja twarzy

*Natury się dziwiąją wielkiej przemyślności,  
Że na człeka licu mieści moc sprzeczności.*

William Wordsworth, A Character (1800)

Mniejsza o odciski palców i DNA. Tym, co istotnie odróżnia nas od siebie, są oczywiście nasze twarze. Natura, wychowanie i okoliczności łączą się w unikatowy sposób w każdym z nas i tworzą rysy, dzięki którym rozpoznają nas znajomi. Prędzej czy później wszystkich nas zwodzi podobna sylwetka, sposób chodzenia czy fryzura kogoś kompletnie obcego. Ale kiedy odwraca się on albo podchodzi bliżej i widzimy jego twarz, od razu uświadamiamy sobie, że się pomyliliśmy. Śmierć jednak kradnie nam nasze twarze. Nasze ciała się rozkładają, natura odziera nas z nich do kości, a czaszka bez skóry nic nie znaczy dla ludzi, którzy nas znali i kochali.

Na szczęście istnieje niewielka grupa naukowców, którzy pracują nad tym, by przywrócić zmarłym ich twarze. W Wielkiej Brytanii, na Uniwersytecie Manchesterskim, Richard Neave opracował technikę rekonstrukcji twarzy na podstawie kości czaszki. Neave był członkiem zespołu powołanego w 1970 roku do zbadania egipskich mumii znajdujących się w Muzeum Manchesterskim. W roku 1973 za pomocą gipsu i gliny dokonał rekonstrukcji dwóch twarzy Egipcjan liczących sobie cztery tysiące lat: Khnum-Nakhta i Nekht-Ankha, znanych jako „dwaj bracia”. „Od samego początku – pisał – dążyłem do tego, by nie polegać jedynie na intuicji, którą pretensjonalnie określano mianem »licencji artystycznej«”. Zamiast tego Neave ustalał kształt twarzy za pomocą pomiarów grubości tkanki – metodę tę przetestował na zwłokach ludzkich w 1898 roku niemiecki anatom Julius Kollmann.

Neave wykazał się wielką biegłością w modelowaniu mięśni twarzy, które stanowiły rusztowanie dla reszty tkanek. Rozwinąwszy swoje umiejętności w świecie archeologii, zwrócił się ku medycynie sądowej i przeprowadził ponad dwadzieścia rekonstrukcji.



Siedemdziesiąt pięć procent z nich pozwoliło ustalić tożsamość zmarłych.

Paradoksalnie jedna z jego najtrudniejszych spraw rozpoczęła się od znalezienia ciała bez głowy. W 1993 roku na stacji Piccadilly w Manchesterze odkryto zwłoki mężczyzny w samych slipkach. Mimo wysiłków policji nie udało się ustalić jego tożsamości.

Trzy miesiące później w Cannock w Staffordshire, sto dwadzieścia kilometrów od Manchesteru, pewien mężczyzna wyszedł z psem na spacer. Nagle pies zaczął szaleńczo kopać, aż wreszcie znalazł odciętą głowę. Była roztrzaskana na ponad sto kawałków – później okazało się, że została rozbita maczetą. Testy DNA powiązały ją z pozbawionymi głowy zwłokami z Manchesteru, nie zbliżyło to jednak policji ani na krok do ustalenia tożsamości ofiary. Początkowo wydawało się, że przeprowadzenie rekonstrukcji twarzy będzie niemożliwe. Brakowało wielu kości, zwłaszcza tych z najważniejszej, środkowej części czaszki.

Policjanci doszli do wniosku, że morderca specjalnie chciał uniemożliwić rozpoznanie ofiary. Jednak Richardowi Neave'owi dzięki ogromnej wiedzy, doświadczeniu i umiejętnościom udało się posklejać pozostałości czaszki i wypełnić gipsem wolne miejsca. Kiedy w dzienniku „The Independent” opublikowano fotografię odtworzonej przez Neave'a czaszki, zgłosiło się siedemdziesiąt sześć rodzin, które myślały, że rozpoznały twarz swojego krewnego.

Policjanci zebrali zdjęcia zaginionych bliskich i zaczęli porównywać je ze zrekonstruowaną czaszką. W miarę jak przesuwali się w dół listy, mieli coraz większą pewność, że nie uda im się ustalić tożsamości ofiary. W końcu dotarli do ostatniego nazwiska. Adnan al-Sane w zasadzie nie był brany przez nich pod uwagę, ponieważ nic w budowie ciała i czaszki nie wskazywało na to, że ofiara nie jest człowiekiem rasy białej. Jednak szczegóły pasowały. Policja wreszcie odniosła sukces.

Adnan al-Sane był czterdziestosześcioletnim kuwejckim biznesmenem, który mieszkał w Maida Vale w zachodnim Londynie.

Pochodził z zamożnej rodziny i pomnożył jeszcze swój majątek, gdy został w swojej ojczyźnie dyrektorem banku, po czym przeszedł na emeryturę w wieku zaledwie trzydziestu ośmiu lat. Ostatni raz widziano go dzień przed odnalezieniem pozbawionego głowy ciała.



Jadł kolację w centrum Londynu w Britannia Hotel przy Grosvenor Square. Karta dentystyczna i odciski palców al-Sane'a potwierdziły tożsamość znalezionej ciała. Sekcja zwłok wykazała, że podczas ataku połknął ząb, ale głowę odcięto mu już po śmierci. Do dzisiaj nie odnaleziono mordercy ani nie ustalono motywu zbrodni, ale przynajmniej rodzina poznała losy swojego krewnego.

Richard Neave opracował naukowe podstawy rekonstrukcji twarzy, zadając kłam pogładowi, że to bardziej dziedzina sztuki niż nauki. Przez całe swoje życie zawodowe pracował i wykładał na Uniwersytecie Manchesterskim.

Przekazywał tam swoją wiedzę następnym pokoleniom, w tym Caroline Wilkinson, która obecnie jest profesorem na Uniwersytecie Dundee i specjalizuje się w rekonstrukcji twarzoczaszki.

Jedną z najbardziej doniosłych spraw w karierze Caroline rozpoczęła się niemal tak samo jak sprawa al-Sane'a. W sierpniu 2001 roku na plaży przy jeziorze Nulde w Holandii jeden z plażowiczów znalazł kawałek ciała dziewczynki. W ciągu kolejnych dni w różnych miejscach holenderskiego wybrzeża znajdowano inne części ciała.

A potem przy nabrzeżu, jakieś sto dwadzieścia kilometrów od Nulde, rybak znalazł czaszkę. Okaleczenia twarzy uniemożliwiały identyfikację ofiary. Śledczy byli w kropce. Skontaktowali się z Caroline w nadziei, że zgodzi się dokonać rekonstrukcji twarzy.

Kiedy Wilkinson dowiedziała się, że wedle ich szacunków ofiara ma od pięciu do siedmiu lat, zrozumiała, że niełatwo będzie jej podjąć się tego zadania. Po części ta niechęć brała się z tego, że sama miała pięcioletnią córkę. O wiele ważniejsze od powodów osobistych były jednak przyczyny natury zawodowej.

W tamtych czasach anatomowie wątpili, czy możliwe jest zrekonstruowanie dziecięcych twarzy z taką samą dokładnością jak twarzy dorosłych, ponieważ twarze dzieci są jeszcze nie do końca rozwinięte i brakuje im wyrazistości. Jednak Wilkinson zajmowała się rekonstrukcjami twarzy nieletnich podczas pracy nad doktoratem.

Wierzyła, że może okazać się przydatna dla śledztwa. Odsunęła od siebie wszelkie obawy i zbadała zniszczoną czaszkę, którą przysłała jej holenderska policja. W trakcie badania uświadomiła sobie, że zmarłe dziecko ma nietypowe rysy: duży szeroki nos, niepodobny do niewielkich zadartych nosów większości pięcioletków, oraz wielką szparę między

przednimi zębami. Już samo to dowodziło, że musiała to być bardzo charakterystyczna twarz.

Na ogół zaginione dzieci rzadziej udaje się rozpoznać na podstawie fotografii niż dorosłych, mimo większej uwagi, jaką zwracają na nie media, ponieważ nie do końca uformowane dziecięce twarzyczki są do siebie podobne. Według danych Krajowego Centrum do spraw Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci (National Center for Missing and Exploited Children), organizacji, która każdego tygodnia rozpowszechnia w Stanach Zjednoczonych tysiące fotografii zaginionych dzieci, zaledwie jedno na sześćoro z nich znajduje się dzięki telefonom osób, które rozpoznały je na zdjęciu.

Caroline miała jednak nadzieję, że uda się ustalić tożsamość dziewczynki. Włożyła wszystkie swoje umiejętności w wykonanie glinianego modelu jej twarzy. Jego fotografie zostały opublikowane w gazetach i pokazane w telewizjach w całej Europie. W ciągu tygodnia dziewczynkę zidentyfikowano jako pięcioletnią Rowenę Rikkers z Dordrechtu.

Tuż po ustaleniu tożsamości ofiary ujawniono straszliwą historię związaną z ostatnimi pięcioma miesiącami jej krótkiego tragicznego życia. Otóż w tym czasie nad Roweną znęcał się fizycznie chłopak jej matki, zresztą za wiedzą tej ostatniej. Dziewczynka ostatnie dwa miesiące życia spędziła zamknięta w psiej klatce. Po śmierci jej ciało pocięły i rozrzuciły po całej Holandii dwie osoby, które miały się nią opiekować i ją chronić. Ostatecznie matkę i jej chłopaka wytropiono w Hiszpanii, deportowano i skazano. Po raz pierwszy w dziejach holenderskiej kryminalistyki rekonstrukcja twarzy pozwoliła rozwiązać tak poważną zagadkę. Bez pomocy Caroline śmierć Roweny mogłaby nigdy nie zostać wykryta ani pomszczona.



Pomysł odbudowy twarzy nie jest nowy i nie dotyczy wyłącznie morderstw. Wziął się z chęci nawiązania kontaktu z utraconymi osobami poprzez stworzenie ich podobizn. Ludzie robią to od dawna. W 1953 roku archeolożka Kathleen Kenyon odkryła w Jerychu czaszki pochodzące sprzed około siedmiu tysięcy lat przed naszą erą, z nałożoną na nie warstwą gliny i muszelkami imitującymi oczy w oczodołach.

Badaczka była pod wrażeniem ich piękna: „Każda głowa miała swoje własne indywidualne cechy. Patrząc na nie, odnosiło się wrażenie, że

spogląda się na prawdziwe portrety”. Starożytni artyści z Bliskiego Wschodu używali gliny do wyodrębnienia fizycznych różnic między swoimi przodkami, żeby mogli pokonać śmierć.

Twarz zawsze była przepełniona znaczeniami. Osiemnastowieczny artysta William Hogarth nazywał ją indeksem umysłu. Nie da się zaprzeczyć, że twarz zdradza nasze emocje i reakcje – radość, ból, łzy, strach, spokój, rozbawienie. Najmniejsze poruszenie mięśni twarzy może być oznaką gniewu albo czułości. Wystarczy, że pomyślicie o subtelnej różnicy między zmarszczeniem brwi ze zdziwienia a zmarszczeniem brwi w gniewie, a będziecie wiedzieć, o co mi chodzi. Nasze mózgi z niezrównaną biegłością rozpoznają minimalne różnice między twarzami ludzi. Dzięki temu możemy zidentyfikować setki z nich.

Zaledwie pięćtygodniowe dzieci rozpoznają twarze swoich matek.

A dwa i pół procent wszystkich ludzi zostaje superrozpoznawcami – mogą zidentyfikować niemal każdą twarz, jaką kiedykolwiek zobaczyli.

Potrafimy wyczytać z twarzy najważniejsze cechy naszych bliźnich – płeć, wiek czy ogólny stan zdrowia. Jednak ta umiejętność nie oznacza, że umiemy również czytać w myślach. Jak zauważył Shakespeare: „Nie sposób z oblicza dociec usposobień duszy”<sup>19</sup>. W każdym razie jednej rzeczy z pewnością nie umiemy z niej wyczytać: czy człowiek jest przestępcą.



Fig. 1. Tipo scimmiesco - Omicida-grassatore.



Fig. 4. Tipo degenerato - Parricida ladro.



Fig. 2. Tipo scimmiesco - Omicida stupratore.



Fig. 5. Tipo degenerato - Uccisore-grassatore.



Fig. 3. Tipo scimmiesco - Omicida-stupratore.



Fig. 6. Tipo pazzesco - Assassino.

Fragment kolekcji zdjęć z twarzami przestępców, zgromadzonej przez Cesare'a Lombrosa (fotografie przedstawiają morderców).

Lombroso był przekonany, że przestępcę można poznać po wyglądzie  
Dziewiętnastowieczny kryminolog Cesare Lombroso myślał, że to potrafi.



Zmierzył twarze trzystu osiemdziesięciu trzech przestępców i opublikował w 1878 roku książkę pod tytułem *Człowiek. Zbrodniarz w stosunku do antropologii, jursprudencji i dyscypliny więziennej*.

*Zbrodniarz urodzony, obłąkaniec zmysłu moralnego*, w której przypisywał przestępcom określone cechy wyglądu: wydatne szczęki, wysokie kości policzkowe, krzaczaste brwi, ogromne oczodoły i spiczaste uszy. Późniejsza analiza pomiarów Lombrosa wykazała, że jego teorie były całkowicie niedorzeczne. Nie miały oparcia w dowodach, odzwierciedlały jedynie jego uprzedzenia i bezpodstawne opinie.

Jednak lombrozjanizm, jak zwykle się go określać, był kuszącym konceptem, a jego twórcę często proszono o zeznania w sądzie, co zresztą różnie się kończyło. Na przykład kiedyś śmiertelnie się obraził, ponieważ sędzia zignorował jego zalecenia, by skazać oskarżonego za morderstwo mimo braku niezbitych dowodów. Chociaż Lombroso rozpoznał „fizjonomię przestępcy ponad wszelką wątpliwość”, w tym „wielkie uszy, przedwczesne zmarszczki i złowrogie spojrzenie”, co jego zdaniem pozwalałoby uznać oskarżonego za winnego „w krajach mniej przychylnych przestępcom”, sędzia pozostał nieprzejednany. Mimo że Lombrosa krytykowali już niektórzy współcześni mu naukowcy, jego teorie pozostały nadzwyczaj popularne. Ludzie go słuchali, ponieważ instynktownie szukali znaczenia w twarzach.

Lombroso straszliwie pobłądził, jednak na swój sposób zmierzał w dobrym kierunku.

Żeby rozwiązywać zagadki kryminalne i odkopywać sekrety przeszłości, naukowcy i śledczy muszą przywiązywać wielką wagę do ludzkiej fizjologii. Zdaniem Caroline Wilkinson „każda rekonstrukcja twarzy dokonywana bez zrozumienia anatomii i antropologii będzie w najlepszym wypadku naiwna, a w najgorszym niedokładna”.

Malarze i rzeźbiarze już w dawnych czasach wiedzieli, że zrozumienie tego, w jaki sposób poruszają się mięśnie twarzy, może zwiększyć dokładność ich dzieł, co wpływało na to, że zaczęli w większym stopniu interesować się sekcjami zwłok i anatomią człowieka. Leonardo da Vinci dokonał trzydziestu sekcji zwłok, przewyciężając, jak zanotował, „strach przed przebywaniem w towarzystwie zmarłych, rozczłonkowanych, obdartych ze skóry i stanowiących straszny widok”. Sekcje te zaowocowały serią zadziwiających rysunków anatomicznych, w tym przekroju czaszki, które pozwoliły mu później malować bardziej realistyczne twarze.

Wspaniały siedemnastowieczny sycylijski rzeźbiarz Giulio Zumbo nigdy nie widział rysunków Leonarda, udało mu się jednak w zupełnie inny sposób powiązać wygląd twarzy z budową czaszki. Wraz z francuskim chirurgiem nałożył wosk na prawdziwą czaszkę, a potem oderwał płat „skóry”, by odkryć mięśnie twarzy. Powstały w ten sposób barwny model na wpół rozłożonej twarzy, pełen czerwi wychodzących z nozdrzy, był zadziwiająco podobny do prawdziwej twarzy.

W dziewiętnastym wieku, gdy ludzie już lepiej rozumieli działanie ludzkiego ciała, do rekonstrukcji twarzy zaczęli podchodzić bardziej naukowo. Lekarze odczuwali brak jasno sformułowanych reguł rządzących anatomią, więc zaczęli je tworzyć. Niemieccy i szwajcarscy anatomowie oraz rzeźbiarze współpracowali przy opracowywaniu zależności między kształtem twarzy a wyglądem czaszki.

W 1894 roku w Lipsku archeolodzy ekshumowali szkielet, który jak im się wydawało, był szkieletem Jana Sebastiana Bacha. Poprosili anatoma Wilhelma Hisa, by to sprawdził. His podszedł do tego zadania w nader oryginalny sposób, zaopatrując się w zwłoki dwudziestu czterech mężczyzn i czterech kobiet i umieszczając kawałki gumy w charakterystycznych miejscach ich twarzy. W każdy kawałek, który wyobrażał poziom skóry, wbił natłuszczoną igłę, by dotrzeć do kości.

Potem wyciągnął igłę z gumą i zmierzył odległość od czubka igły do gumy. Były to pierwsze na świecie pomiary tkanki miękkiej. Wyciągnął średnią ze wszystkich pomiarów, a potem, przy współudziale rzeźbiarza, zaczął nakładać glinę na domniemaną czaszkę kompozytora. Model do złudzenia przypominał portrety Bacha.

Mimo że wartość naukową rekonstrukcji twarzy Bacha podważał nieco fakt, że Wilhelm His doskonale znał portrety kompozytora, jego technika się sprawdziła; pomiary, jakich dokonał, okazały się przydatne i stosuje się je aż po dziś dzień, chociaż rekonstruktorzy twarzy uważają, że w ostatnich czasach twarze ludzi Zachodu stały się bardziej tłuste.

W 1899 roku Kollmann i rzeźbiarz Büchy zastosowali tę technikę do rekonstrukcji twarzy kobiety z neolitu, którą znaleziono przy jeziorze Auvernier w Szwajcarii. Jest ona uważana za pierwszą dokonaną w ściśle naukowy sposób rekonstrukcję twarzy, ponieważ Kollmann dokonał pomiarów tkanki miękkiej aż u dziewięćdziesięciu dziewięciu zwłok płci żeńskiej i czterdziestu sześciu zwłok płci męskiej (to właśnie z tych

pomiarów skorzysta w latach siedemdziesiątych Richard Neave przy rekonstrukcji twarzy „dwóch braci”).

W dwudziestym wieku technika rekonstrukcji twarzy znacznie się rozwinęła. Antropolog Michaił Gierasimow stworzył metodę nazwaną od jego nazwiska metodą Gierasimowa. Przywiązywał on większą wagę do budowy mięśni niż do pomiarów grubości tkanki. Odwzorowywał na czaszce mięśnie, a potem pokrywał je cienką warstwą gliny, która miała odpowiadać skórze. Dokonał rekonstrukcji ponad dwustu twarzy (w tym Iwana Groźnego) i uczestniczył w stu pięćdziesięciu śledztwach kryminalnych. W 1950 roku został współtwórcą moskiewskiego Laboratorium Rekonstrukcji Plastycznej Radzieckiej Akademii Nauk.

Laboratorium to wciąż istnieje i odgrywa ważną rolę w tej dyscyplinie wiedzy.

Rozwój technologii medycznej zaowocował znacznym postępem w dziedzinie rekonstrukcji twarzy. Zdjęcia rentgenowskie i tomografia komputerowa żywych osób stały się ważnymi źródłami danych. Do lat osiemdziesiątych dokonywano pomiarów wyłącznie na zwłokach, co nieuchronnie prowadziło do pewnych niedokładności. Natychmiast po naszej śmierci ściany komórek rozpadają się, co sprawia, że płyny ustrojowe odpływają na tył głowy i twarze tracą pulchność. Poza tym, jak zauważyła amerykańska rekonstruktorka Betty Gatliff, „ludzie zwykle nie umierają na siedząco, lecz na leżąco. Tkanka miękka więc się przesuwa”. Trójwymiarowe modele żywych twarzy i ich czaszek zawsze były Świętym Graalem rekonstruktorów, a tomografia komputerowa zapewniła bardziej satysfakcjonujące pomiary.

W rezultacie rekonstrukcja twarzy jest obecnie dokładniejsza i w konsekwencji bardziej godna zaufania niż kiedykolwiek wcześniej.



Śledczy wzywają rekonstruktora, kiedy znajdują czaszkę, której nie mogą zidentyfikować mimo analizy śladów na miejscu zbrodni, przejrzenia rejestru osób zaginionych oraz porównania DNA i kart dentystycznych. Jeśli nie wiedzą, kim jest ofiara, ich ostatnią nadzieją staje się zwrócenie do opinii publicznej. Tak było z Roweną Rikkers i Adnanem al-Sane'em.

Zrekonstruowana twarz to narzędzie rozpoznania, „pobudzacz” pamięci. Nie jest do końca dziedziną sądową, bo sama rekonstrukcja nie



może stanowić dowodu w sprawie. Żeby rozpoczęła się procedura identyfikacji, najpierw rodzina musi skontaktować się z policją.

Dlaczego jednak twarz wygląda właśnie tak, a nie inaczej? W jaki sposób się rozwinęła? Skłaniamy się do myślenia o niej jako narzędziu komunikacji społecznej. Kiedy na przykład chcemy potraktować kogoś niegrzecznie, śmiejemy mu się prosto w twarz albo odwracamy od niego głowę. W rzeczywistości nasze twarze ewoluowały głównie z powodów praktycznych. Para oczu z przodu głowy zapewnia nam widzenie stereoskopowe, czyli dwuoczną percepcję głębi i odległości. Nasze usta i szczęki są idealnie przystosowane do żucia, przełykania, oddychania i mówienia. Uszy po bokach głowy pomagają nam określić z maksymalną dokładnością źródło dźwięku. Jednak to nie wszystko.

Rodzinne podobieństwo zwiększało lojalność plemienną w dawnych wspólnotach, ale również w późniejszych dynastiach, takich jak Habsburgowie, słynni z dziedzicznej wady rozwojowej dolnej szczęki.

Kształt twarzy zależy od dwudziestu dwóch kości czaszki. Złożony kształt tych kości i w mniejszym stopniu rozmiary mięśni tłumaczą różnice w wyglądzie twarzy. Zrozumienie niezliczonych wariacji, w jakich występują te kości i mięśnie, może stanowić punkt wyjściowy rekonstrukcji twarzy.

Żeby wywnioskować, jaki kształt i wielkość mogły mieć czyjeś oczy, rekonstruktorzy przyglądają się głębokości oczodołu i kształtowi czoła. Kształt ust ustala się na podstawie wielkości i rozmieszczenia zębów. Uszy i nosy stanowią nie lada wyzwanie, ponieważ chrząstki rozkładają się po śmierci.



Jeśli chodzi o te pierwsze, wiemy tylko, gdzie się znajdowały i czy miały małżowiny; tymczasem każda para uszu jest równie unikatowa jak odciski palców. Trudno odgadnąć, czy nos był zadarty, rzymski, czy przypominał kartofel. Jednak kość nosowa może powiedzieć anatomom zaskakująco dużo. Na przykład spiczasty kawałek kości – kolec nosowy – na dole kości nosowej zwykle ma jeden koniuszek. Jeśli ma dwa, to znaczy, że nos na czubku nieco się rozszerzał.

Rekonstrukcje twarzy dokonywane na podstawie wyglądu czaszki nie pozwalają ustalić tak ważnych elementów rozróżniających ludzi jak kolor włosów i oczu. Przynajmniej na razie. Genetycy bowiem umieją już ustalać dziewiętnaście odcieni oczu w badaniu DNA. Jest to jednak

bardzo kosztowne – i przekracza budżety przeznaczane na rekonstrukcje twarzy, nawet w przypadku morderstw. Na podstawie DNA można również ustalić kolor włosów, ale chociaż koszty takich badań są niewielkie, eksperci zajmujący się rekonstrukcją twarzy nie przeceniają ich wartości. Jak wyjaśnia Caroline Wilkinson:

W tym roku zrobiłam zdjęcia wszystkim swoim studentom. Tylko dwoje z nich miało naturalny kolor włosów. Mam czterdzieści osiem lat i podejrzewam, że większość moich znajomych nie ma pojęcia, jaki jest mój naturalny kolor włosów. Nie jestem nawet pewna, czy sama jeszcze go pamiętam.

Dlatego większość osób zajmujących się rekonstrukcjami stara się omijać tę kwestię. Ledwie zaznaczają włosy (a także nieprzewidywalne uszy) na swoich modelach. A i tak podobieństwo modeli do prawdziwych twarzy bywa porażające. Często jest to zasługa dokładnego odwzorowania tkanki miękkiej, co zapewnia tomografia komputerowa.

Im bardziej model odpowiada prawdziwej twarzy, tym większa szansa, że ktoś rozpozna swojego zaginionego bliskiego. Prawdziwość tych słów udowodniła pewna nadzwyczajna sprawa z Edynburga z 2013 roku.

Dwudziestego czwartego kwietnia do Edynburga przyjechała ze swojego rodzinnego Dublina Philomena Dunleavy. Drobna, nieśmiała sześćdziesięciosześcioletnia kobieta przybyła z wizytą do swojego najstarszego syna Seamusa. W jego mieszkaniu przy Balgreen Road zaczęli nadrabiać zaległości.

Seamus mówił o swojej pracy w edynburskim przedsiębiorstwie tramwajowym. Z kolei Philomena próbowała opowiedzieć mu o tym, co się dzieje u czworga jego rodzeństwa. Seamus jednak zachowywał się dość dziwnie: najpierw błądził gdzieś myślami, a potem wpadł w złość.

Philomena wystraszyła się nie na żarty. Powiedziała synowi, że idzie na spacer po Edynburgu, ale zamiast tego poszła na komisariat policji w Portobello. Zapytała dyżurnego, gdzie znajdzie jakiś tani pokój.

„Boję się spędzić noc pod jednym dachem z moim synem” – oświadczyła. Kilka dni później Seamus zadzwonił do ojca w Dublinie i powiedział, że matka jest w drodze do domu. Nigdy tam nie dojechała.

Szóstego czerwca dwudziestoczteroletni instruktor narciarski udał się na przejażdżkę rowerową do rezerwatu przyrody na Costorphine Hill.

Było gorąco i w pewnej chwili postanowił usiąść gdzieś na chwilę, żeby odsapnąć. Zsiadł z roweru i zaczął go prowadzić wąską ścieżką, gdy nagle

zauważył olśniewająco białe zęby błyszczące w błocie. Po chwili zorientował się, że ma do czynienia z odciętą głową. Większa część tkanki miękkiej zgniła, ale uwielbiające padlinę muchy wciąż jeszcze miały się czym żywić.

W płytkim grobie, z którego wychyły błyszczące zęby, antropolog sądowa Jennifer Miller znalazła dwie odcięte nogi i ludzki tułów, który opisała jako należący do kobiety lat około sześćdziesięciu.

Olśniewający uśmiech był zasługą kosztownych zabiegów dentystycznych. Przy zwłokach znaleziono trochę biżuterii, w tym tradycyjny irlandzki pierścień Claddagh. Z tymi skąpymi informacjami policja rozpoczęła wielotygodniowe przeszukiwanie list osób zaginionych.

W końcu poproszono Caroline Wilkinson o sporządzenie rekonstrukcji twarzy. Wykonała ona skany 3D czaszki, po czym komputerowo dodała tkankę miękką. Gotowy obraz został rozesłany do sił policyjnych w całej Europie i pokazany w programie BBC *Crimewatch*. W programie wspomniano również o pierścieniu Claddagh.

To rozwiązało wszelkie wątpliwości oglądającego program w Dublinie jednego z członków rodziny Philomeny.



Podobieństwo obrazu stworzonego przez Wilkinson do zaginionej było uderzające. Tożsamość ciała ostatecznie potwierdziła analiza karty dentystycznej.

Kilka dni później Seamus został aresztowany i oskarżony o zamordowanie matki. Nie przyznał się do winy, jednak ławnicy nie dali mu wiary. Zgodzili się z rekonstrukcją zdarzeń przedstawioną przez prokuratora, że po wizycie na komisariacie policji Philomena wróciła do mieszkania Seamusa i tam została zabita. Lekarz sądowy odnotował zniszczenie kości szyi (co często oznacza uduszenie), rany głowy i zmiążdżone żebra. Seamus odciął jej głowę i nogi piłą. Nie dało się jednak ustalić, czy te rany zostały zadane przed śmiercią, czy po niej.

Dziennikarz „Herald Scotland” zakładał scenariusz najgorszy z możliwych: „Philomena Dunleavy mogła być wciąż żywa (choć nieprzytomna), kiedy syn zaczął odpiłowywać jej nogi”. Dokładne okoliczności jej śmierci nigdy nie zostały ustalone.

Wiemy tylko, że Seamus włożył pocięte szczątki swojej matki do walizki i zaniósł ją na Corstorphine Hill. Wykopał łopatą płytki grób

i umieścić w nim zwłoki. Eksperci sądowi udowadniają nam raz po raz, że zabicie kogoś to betka w porównaniu z trudnościami w pozbyciu się jego ciała. Zwłoki Philomeny odkryto zaledwie dwa miesiące po jej śmierci. Znalezione na nich ślady doprowadziły do sprawcy. Prokurator nazwał to „sprawą, w której dowody były splecione razem jak żyłki w kablu”. W styczniu 2014 roku Seamus Dunleavy został skazany za morderstwo, w dużej mierze dzięki pracy Caroline Wilkinson.

Nie zawsze jednak zwłoki udaje się zidentyfikować z taką łatwością. Osiemnastego listopada 1987 roku niedopałek papierosa zapalił śmieci pod drewnianymi schodami ruchomymi na najbardziej zatłoczonej stacji metra w Londynie, King's Cross. Początkowo pożar rozprzestrzenił się pod schodami. W końcu przekształcił się w kulę ognia o temperaturze sześćuset stopni Celsjusza, która szybko pognęła w górę schodów do znajdującego się ponad nimi holu z kasami biletowymi.

Setki ludzi zostało uwięzionych w sieci tuneli obsługujących sześć linii metra. Niektórzy z nich uciekali przed czarnym dymem schodami ruchomymi i spalili się żywcem. Inni walili w drzwi, usiłując dostać się do pociągów, które i tak się nie zatrzymywały. Kiedy strażacy wreszcie zwalczyli pożar, odkryli trzydzieści jeden ciał.

W ciągu kilku tygodni policji udało się ustalić tożsamość trzydziestu ofiar. Nie zidentyfikowano tylko mężczyzny w średnim wieku. Richard Neave został poproszony o zrekonstruowanie jego twarzy, która straszliwie ucierpiała w pożarze. Znalazł kilka kawałków tkanki przy nosie i ustach – pomogły mu one w ustaleniu kształtu tej części twarzy. Otrzymał też dane dotyczące wzrostu, wieku i stanu zdrowia ofiary.

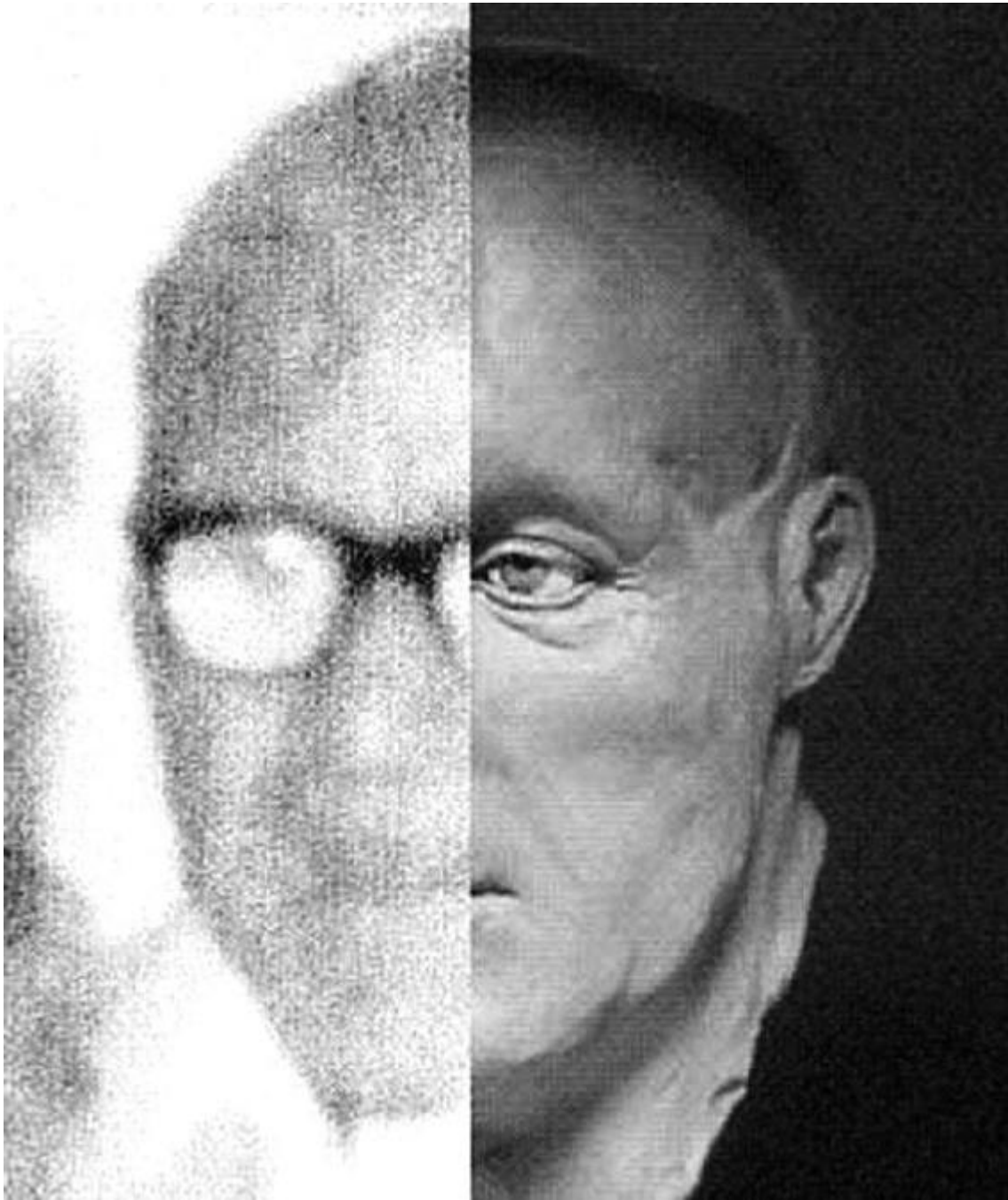
Poproszono o pomoc Interpol i poszukiwania wszczęto nawet w tak odległych krajach jak Chiny i Australia. Portret sporządzony przez Richarda Neave'a został opublikowany w głównych gazetach Wielkiej Brytanii i natychmiast rozdzwoniły się telefony od setek osób, które były święcie przekonane, że to ktoś z kręgu ich znajomych lub krewnych. Nie udało się jednak ustalić niczego pewnego. Tymczasem ciało pogrzebano na cmentarzu w północnym Londynie i oznaczono jako N.N.

W 1997 roku Mary Leishman, Szkotka w średnim wieku, rozpoczęła poszukiwania swojego ojca Alexandra Fallona. Po śmierci żony w 1974 roku Fallon całkowicie się załamał. Nie umiał sobie poradzić z codziennym życiem. Stracił dom i wylądował na ulicy, wśród tysięcy innych anonimowych bezdomnych. Mary i jej siostra zaczęły się

zastanawiać, czy niezidentyfikowana ofiara pożaru na stacji King's Cross to nie ich ojciec, ale nie robiły sobie specjalnych nadziei. W dniu pożaru miał siedemdziesiąt trzy lata i metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, tymczasem lekarz sądowy przeprowadzający sekcję zwłok ofiary pożaru szacował wiek na od czterdziestu do sześćdziesięciu lat i wzrost na metr sześćdziesiąt. Mimo to zmarły w pożarze mężczyzna podobnie jak Alexander Fallon był nałogowym palaczem i tak samo jak on wewnątrz czaszki miał metalową płytkę wstawioną podczas operacji mózgu.

Policjanci jednak uważali, że ofiarą jest inny zaginiony mężczyzna, Hubert Rose, dlatego zlekceważyli pytania Mary Leishman. W 2002 roku, w piętnastą rocznicę pożaru, w północnym Londynie założono komitet mający upamiętnić jego ofiary. To sprawiło, że Mary raz jeszcze postanowiła podzielić się swoimi podejrzeniami z policją.

W 2004 roku Richard Neave obejrzał zdjęcia ojca Mary. Następnie przejrzał swoje archiwum w poszukiwaniu fotografii czaszki ofiary pożaru i swojego modelu. Porównał zdjęcia z profilu i en face i momentalnie dostrzegł podobieństwo – wystające kości policzkowe, wąskie usta, podobny rozstaw oczu, takie same zmarszczki mimiczne biegnące z kącika ust do podbródka. Mężczyzna na zdjęciu miał tylko o wiele bardziej kartoflowaty nos niż jego model. Po sprawdzeniu karty dentystrycznej i konsultacji z neurochirurgiem w sprawie metalowej płytki ostatnia ofiara pożaru na stacji metra King's Cross została w końcu zidentyfikowana jako Alexander Fallon – szesnaście lat po śmierci.



Fotografia Alexandra Fallona, ofiary pożaru na stacji metra King's Cross, zestawiona z rekonstrukcją twarzy dokonaną na podstawie analizy jego szczątków. To model wykonany przez Richarda Neave'a sprawił, że córka



Alexandra Fallona rozpoczęła poszukiwania. Spełnił swoje zadanie. Dzięki temu i innym dowodom niepotrzebne okazało się przeprowadzanie traumatycznej ekshumacji.

A poza tym, jak powiedziała Mary Leishman, „mamy pewność, że mój ojciec padł ofiarą pożaru – choćby dlatego, że dzięki pomocy policji ustaliliśmy, że po pożarze nikt nie brał zasiłku na jego nazwisko. Gdyby ojciec żył, z pewnością byłby pierwszy w kolejce. Wystarczyło, że zwęszył gdzieś pieniądze”.

Gdyby do pożaru na stacji King's Cross doszło dzisiaj, twarz Alexandra Fallona została by odbudowana przez komputer. Cyfrowa rekonstrukcja twarzy nie wyparła całkowicie modelowania z gliny (którego wciąż uczy swoich studentów w Dundee Caroline Wilkinson), niemniej około osiemdziesięciu procent współczesnych rekonstrukcji odbywa się przy współudziale komputera.

Najpierw Caroline dokonuje skanu 3D czaszki, zwykle przy użyciu tomografu komputerowego, a potem przenosi uzyskany model do programu graficznego. Następnie wybiera jeden z podstawowych szablonów z mięśniami i nakłada je na czaszkę. Ulepszona ręcznie – metodą „przeciągnij i upuść”. Wykorzystuje przy tym te same grubości, które stosowała, gdy pracowała w glinie. Komputerowa rekonstrukcja twarzy jest szybsza od modelowania w glinie, ponieważ dzięki gotowym szablonom Caroline nie musi za każdym razem zaczynać od początku.

Jednak nie jest dużo szybsza. Wciąż sporo czasu zajmuje dodanie skóry, oczu i włosów oraz uzyskanie ich właściwej struktury.

Na tym jednak nie kończy się przewaga rekonstrukcji komputerowej nad modelowaniem z gliny. Caroline może dowolnie zmieniać takie elementy jak kolor skóry czy włosów, a potem drukować dziesiątki kopii, które mogą obejrzeć śledczy. Skanowanie 3D pozwala rekonstruktorowi wyraźniej zobaczyć uszkodzenia czaszki wywołane na przykład uderzeniami młotka. Precyzyjne oddanie wyglądu rany umożliwia dokładniejsze przedstawienie przebiegu wydarzeń w sądzie.

Jeśli ktoś rozpozna rekonstrukcję i przyśle zdjęcie zaginionej osoby, rekonstruktor może je zeskanować i nałożyć na obraz czaszki. To cyfrowa wersja techniki, którą po raz pierwszy zastosowano przy sprawie doktora Bucka Ruxtona z 1935 roku (s. 75–79).

Rekonstruktorzy używają komputerów nie tylko do odtworzenia wyglądu twarzy z przeszłości, lecz także do stworzenia symulacji jej aktualnego wyglądu, co jest szczególnie istotne w przypadku osób zaginionych. Ten proces postarzania można w znacznym stopniu zautomatyzować. Z wiekiem nasze uszy wydłużają się w bardziej lub

mniej przewidywalnym stopniu, a poza tym istnieją algorytmy pozwalające przewidzieć zmiany na starzejącej się twarzy. Wszystko zależy jednak głównie od instynktu i doświadczenia rekonstruktora, który analizuje fotografie starzejących się ludzi i rozpoznaje ogólne tendencje. Wykorzystuje do tego zdjęcia krewnych ofiary, dostosowuje obraz tak, by odzwierciedlał tryb życia, jaki mógłby wieść zaginiony, i dodaje charakterystyczny strój lub zarost. Ręcznie dodaje się również takie szczegóły jak plamy wątrobowe. Dla Caroline Wilkinson „najtrudniejsze jest oddanie kolorów skóry i oczu, tego, czy utyli, czy wręcz przeciwnie, i czy mają zmarszczki”.

Poszukiwania zaginionych muszą również uwzględniać takie zmiany w ich wyglądzie, które nie mają nic wspólnego z procesem starzenia się i które można uzyskać w prosty sposób, choćby przez zapuszczenie zarostu. Radovan Karadžić to były prezydent Serbskiej Republiki Bośni i Hercegowiny, którego Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii oskarżył o zbrodnie wojenne, w tym o masakrę w Srebrenicy (1995), w której zginęło osiem tysięcy Bośniaków. Po tym oskarżeniu Rzeźnik z Bośni rozplątał się w powietrzu. Ogolił głowę, zapuścił brodę, przywdział mnisi strój i wiódł wędrownie życie, chodząc od jednego klasztoru do drugiego.

Caroline Wilkinson została poproszona o wykonanie portretu Karadżicia z uwzględnieniem upływu czasu. Trafnie oddała kształt jego twarzy, lecz nie przewidziała, że zapuści długą brodę. Tymczasem były prezydent osiadł w Belgradzie, długie włosy związał w kucyk, oczy ukrył za wielkimi kwadratowymi okularami, a twarz za długą białą brodą. Przedstawiał się jako Dabić, duchowy poszukiwacz, podawał za eksperta terapii kwantowej, pracował w klinice medycyny alternatywnej i wygłaszał odczyty.



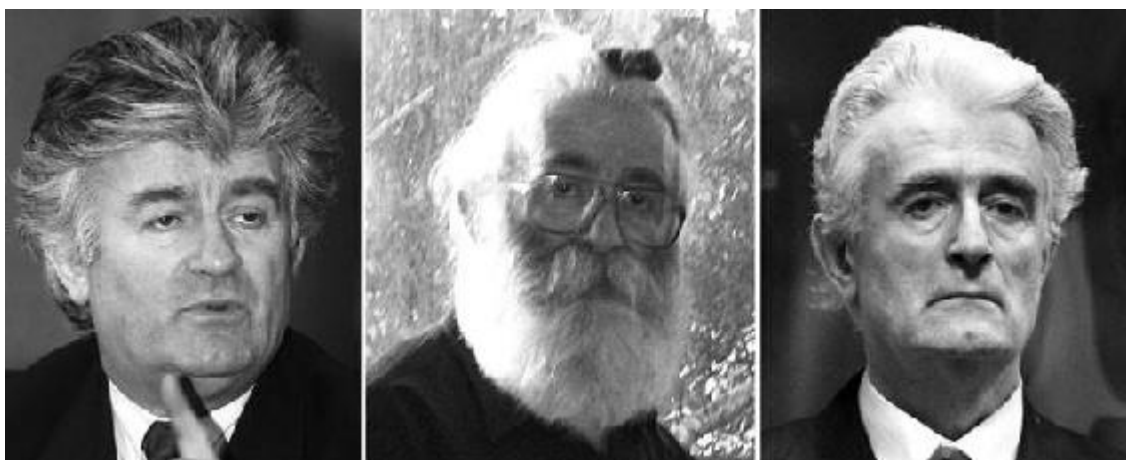
Portrety Karadżicia stały się nowym bodźcem do prowadzenia poszukiwań. W 2008, rok po ich sporządzeniu przez Caroline, został aresztowany przez serbskie służby bezpieczeństwa i przekazany do Hagi. Jego proces wciąż trwa.

Komputery często pomagają rekonstruktorom zidentyfikować również mniej groźnych przestępców. Rekonstruktorzy analizują materiały z kamer przemysłowych i porównują je z podejrzanymi. Kiedy niewyraźny obraz wideo nie robi na sprawcach wrażenia i ani myślą się



przyznać do winy (a zdarza się to dosyć często), trudno im coś udowodnić. Nawet jeśli materiał wideo jest wysokiej jakości, identyfikacja nieznannej twarzy nie zawsze okazuje się niezawodna.

O wiele bardziej wiarygodnym rozwiązaniem jest komputerowe porównywanie obrazów. Jedną z metod polega na nałożeniu stop-klatki z materiału wideo na fotografię podejrzanego – chociaż może być o to trudno, bo przestępcy zwykle nie patrzą w obiektyw. Inną techniką, którą od piętnastu lat stosuje się w Wielkiej Brytanii, są pomiary antropometryczne. Polegają one na porównywaniu odległości między określonymi punktami twarzy na dwóch fotografiach. Technika ta bywa jednak zawodna. Nawet jeśli podejrzaný zgodzi się ustawić do fotografii w takiej samej pozycji jak osoba na materiale wideo, trzeba jeszcze dostosować mnóstwo innych szczegółów, takich jak odległość od obiektywu, kąt nachylenia czy położenie głowy.



Rzeźnik z Bośni, Radovan Karadžić: w 1994 roku (z lewej); w czasie, kiedy ukrywał się po oskarżeniu go o zbrodnie wojenne (pośrodku); przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii w Hadze w lipcu 2008 roku (z prawej). Oskarżono go o ludobójstwo, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości

Przyjrzelśmy się temu, w jaki sposób rekonstruktorzy identyfikują umarłych na podstawie czaszek, zaginionych na podstawie fotografii i poszukiwanych na podstawie materiałów wideo. Kolejnym ważnym aspektem ich pracy jest przedstawianie wyglądu sprawców na podstawie zeznań naocznych świadków. Początkowo było to zadanie rysowników, którzy zamieniali często mgliste wspomnienia świadka w portret pamięciowy podejrzanego.

Jednak w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku badacze z Uniwersytetu w Kencie pomogli rozwinąć alternatywną metodę nazwaną E-FIT (skrót od Electronic Facial Identification Technique, technika elektronicznej identyfikacji twarzy). Obecnie siły policyjne na całym świecie stosują E-FIT, a sporządzone tą metodą portrety pamięciowe stale pojawiają się w mediach. Żeby wykonać tego rodzaju portret, naoczny świadek przygląda się wygenerowanym przez komputer twarzom i klika tę, która najbardziej przypomina mu twarz poszukiwanej osoby. Następnie wyświetla się kolejny zestaw twarzy, tym razem o bardziej wyselekcjonowanych cechach. I tak dalej, i tak dalej, aż do wybrania twarzy najbardziej podobnej do twarzy osoby, którą zapamiętał świadek.

Rekonstrukcje twarzy początkowo były sposobem na konfrontację z naszą historią – i wciąż używamy ich do tego celu. W 2012 roku pod parkingiem w Leicester odnaleziono ludzkie kości. Podejrzewano, że jest to szkielet Ryszarda III, ostatniego króla Anglii z dynastii Plantagenetów, który w 1485 roku zginął nieopodal, w bitwie pod Bosworth, i został pochowany w miejscowym kościele.

Towarzystwo Ryszarda III zebrało zespół naukowców do zbadania szczątków. Badacze zaczęli analizować próbki DNA i zrobili skan 3D czaszki. Wysłali go Caroline Wilkinson, która przystąpiła do odtwarzania twarzy króla. Starła się przy tym nie oglądać jego portretów, by nie wpłynęły na wyniki jej pracy. Wraz ze swoim zespołem wymodelowała mięśnie i skórę. Posłużyła się przy tym stereolitografią, techniką komputerową polegającą na wznoszeniu kolejnych warstw konstrukcji za pomocą poruszającego się promienia lasera. Używa się przy tym płynnego polimeru, który twardnieje w kontakcie ze światłem laserowym.

Kiedy pojawiły się wyniki testu DNA i okazało się, że pasują do DNA potomków króla, Caroline w końcu porównała swój model z portretami. Okazały się uderzająco podobne, z orlim nosem i wydatną brodą. „Nie wygląda na twarz tyrana” – orzekła Philippa Langley z Towarzystwa Ryszarda III. „Przykro mi, ale po prostu nie wygląda.

Jest bardzo przystojna. Ma się wrażenie, jakby w każdej chwili można było zacząć z nim rozmawiać”.

Caroline jest bardzo dumna ze swojej rekonstrukcji twarzy Ryszarda III. „Nasze metody rekonstrukcji twarzy przeszły wiele testów na żywych badanych. Wynika z nich, że tylko około trzydziestu procent miało błędy

większe niż dwumilimetrowe” – ujawnia. Żeby osiągnąć tak wielką precyzję, Caroline musiała korzystać z doświadczeń wszystkich rekonstruktorów, jacy pojawili się przed nią, począwszy od Gulia Zumba, a skończywszy na Wilhelmie Hisie i Richardzie Neave’em. Tak wspaniałe rezultaty zawdzięcza jednak również swojej artystycznej obsesji i nieustającej obserwacji. Opisuje siebie jako osobę, która „wkurza wszystkich dookoła, bo gdy na przykład ogląda film, bez przerwy krzyczy: »Spójrzcie na jego uszy, patrzcie na ten nos, ale wielki!«, a inni na to: »Zamknij się! Po prostu oglądaj film«”.

Caroline dodaje: W metrze często wyjmuję komórkę i ukradkiem robię nią zdjęcia ludziom. Po prostu wyciągam iPada, udaję, że coś czytam, a w rzeczywistości strzelam fotki. Jestem okropna. Za każdym razem kiedy wyjeżdżam za granicę, a robię to głównie przy okazji badań archeologicznych, kupuję albumy z portretami fotograficznymi.

W miejscach, do których przyjeżdżam, można dostać albumy, których nie ma w internecie. Jeśli jadę do Egiptu, staram się kupić albumy ze zdjęciami twarzy Egipcjan i tak dalej. W tej chwili mam ogromną bazę danych, którą możemy wykorzystywać do informowania o tym, co robimy.

To właśnie dostęp do wielkiego wyboru twarzy z całego świata czyni naszych współczesnych rekonstruktorów lepszymi anatomami od Leonarda da Vinci. Wykorzystanie nauki w świecie sztuki umożliwia zmarłym opowiedzenie kolejnego rozdziału ich historii.

## 10. Informatyka śledcza

*Nadejście internetu utrudniło konstruowanie intrygi kryminalnej, ponieważ zarówno detektyw, jak i czytelnik mają dostęp do o wiele większej ilości informacji.*

*Czytelnik nie będzie zbyt długo zainteresowany losami detektywa, który jest na tyle tępy, by rozpoczynać śledztwo bez uprzedniego wyszukania informacji w sieci.*

Jeffrey Barlow, Berglund Center for Internet Studies  
(Centrum Badań nad Internetem Mary i Jamesa Berglundów)

Angus Marshall i jego żona są ekspertami kryminalistycznymi.

Goście na przyjęciach często wysuwają przypuszczenie, że spędzają oni całe dni w kostnicy i dokonują sekcji zwłok. Shirley Marshall rozczarowuje ich, kiedy wyjaśnia, że pracuje głównie w laboratorium.

Angus posuwa się jeszcze dalej: „Z mięsem mam do czynienia tylko wtedy, gdy robię obiad albo skaleczę się przy naprawianiu samochodu”.

W szkole Angus należał do klubu krótkofalowców, bo interesował się elektroniką. Pewnego dnia matematyk przyniósł na lekcję mikrokomputer. „Doprowadziło to do powstania klubu komputerowego i tak rozpoczął się mój upadek. Od 1983 roku nie widziałem światła dziennego”.

Po studiach Angus rozpoczął karierę naukową. Na Uniwersytecie Hull pracował w Centrum Komputerowo-Internetowym (Centre for Internet Computing) – tej nazwie nie mógł się oprzeć chyba żaden haker.

Jednemu udało się nawet pozbawić cały kampus połączenia internetowego. Angus postanowił go wytropić po adresie IP i ustalił jego realny adres w Amsterdamie. Dość skromne początki, ale Angus był tak dumny z efektów swojej pracy dochodzeniowej, że wysłał raport do Brytyjskiego Towarzystwa Nauk Sądowych (British Forensic Science Society). Dzięki temu, kiedy pojawiła się naprawdę poważna sprawa, wiedzieli, do kogo dzwonić.

Trzydziestojednoletnia Jane Longhurst mieszkała w Brighton. Była nauczycielką dzieci specjalnej troski. Kasztanowe włosy sięgały jej do

ramion. Wszyscy wiedzieli, że jest łagodna i pełna życia, zwłaszcza jej przyjaciele z miejscowej orkiestry, w której grała na altówce. Wczesnym rankiem w piątek 14 marca 2003 roku Jane jak zwykle pocałowała na pożegnanie swojego chłopaka Malcolma.

Kiedy wrócił wieczorem, a jej jeszcze nie było, natychmiast się zaniepokoił. Jane była odpowiedzialną osobą. Wtajemniczyłaby go w swoje plany, żeby niepotrzebnie się o nią nie martwić. O północy był już tak wystraszony, że zadzwonił na policję. Początkowo funkcjonariusze potraktowali to jak zwykłe zaginięcie, jednak po pięciu dniach wszczęli dochodzenie w sprawie morderstwa. Bank Jane poinformował ich, że od piątku na jej koncie nie przeprowadzano żadnych operacji, a operator telefoniczny, że z jej telefonu nie wykonywano w tym czasie żadnych połączeń.

Dziewiętnastego kwietnia, po miesiącu poszukiwań, w których uczestniczyło siedemdziesięciu policjantów, i niezliczonych anonsach prasowych, ciało Jane zostało odnalezione. Nieznany sprawca wywiózł je do rezerwatu przyrody w West Sussex i tam podpalił. Przygodny spacerowicz zauważył ogień i wezwał straż pożarną. Strażak, który znalazł ciało, dostrzegł nylonowe rajstopy zaciśnięte na szyi. Na miejscu zbrodni technicy kryminalistyczni natrafili na zapaliki i pusty kanister.

Jane zidentyfikowano dzięki karcie dentystycznej. Lekarze sądowi przeprowadzający sekcję zwłok stwierdzili, że rajstopy zaciśnięto na jej szyi tak mocno, iż wywołały krwawienie. Kilka dni później policja aresztowała Grahama Couttsa, obwoźnego sprzedawcę środków czyszczących i gitarzystę, i postawiła mu zarzut spowodowania śmierci Jane. Graham był chłopakiem najlepszej przyjaciółki dziewczyny i znał ją od pięciu lat.

Kiedy Couttsowi przedstawiono raport z sekcji zwłok i materiał dowodowy, początkowo odmawiał zeznań. W końcu jednak przyznał się do zabicia Jane. Zeznał, że umówił się z nią na basen w miejscowym ośrodku sportu i rekreacji, ostatecznie jednak poszli do niego. Jane zgodziła się spróbować seksu z podduszaniem, dlatego zawiązał rajstopy na jej szyi i zaciskał je coraz mocniej, równocześnie się masturbując.

Kiedy po osiągnięciu orgazmu spojrzął na nią, ku jego przerażeniu okazała się nieżywa. Ukrył ciało w kartonowym pudle i zaniósł je do szopy.

Jedenaście dni po zaginięciu Jane odwiedzili go policjanci.

Rozmawiali ze wszystkimi jej znajomymi, szukając jakiegoś tropu.

Postanowił wtedy ukryć zwłoki w komórce, którą wynajmował w pobliskim magazynie Big Yellow Storage. Przez następne trzy tygodnie odwiedzał ją dziewięć razy. Kiedy odór rozkładu stał się zbyt silny, przeniósł ciało raz jeszcze. Siedemnastego kwietnia pojechał do rezerwatu przyrody, by w końcu je spalić.

W komórce policjanci znaleźli telefon Jane, jej torbę, kurtkę i kostium kąpielowy, a także koszulę Couttsa, na której znajdowała się krew dziewczyny, oraz prezerwatywę z jego nasieniem i śladami DNA Jane. Następnie funkcjonariusze przeszukali mieszkanie Couttsa i zabrali z niego dwa komputery. Angus Marshall oraz specjaliści z Wydziału Przystępności Komputerowej (Police Computer Crime) przystąpili do pracy. Oglądając materiały zgromadzone w obu urządzeniach, Angus z trudem zwalczał obrzydzenie.

Przed sądem obrona utrzymywała, że Coutts jest winien jedynie nieumyślnego spowodowania śmierci, i wezwała na świadka lekarza sądowego Dicka Shepherd (s. 113–125). Shepherd zeznał, że w trakcie tak zwanego seksu z podduszaniem agonia może trwać tylko sekundę lub dwie, jeśli dojdzie do podrażnienia nerwu błędnego. Z kolei Vesna Djurovic, lekarka sądowa powołana na świadka przez prokuratora, utrzymywała, że w przypadku podduszania człowiek umiera od dwóch do trzech minut, więc oskarżony miał mnóstwo czasu, by uświadomić sobie, co robi.

Była dziewczyna Couttsa zeznała, że podduszał ją wiele razy w trakcie ich pięcioletniego związku. Natomiast dwaj byli chłopcy Jane oświadczyli, że jej zwyczaje seksualne były całkowicie normalne.

Zapytany o to przez prokuratora Coutts przyznał, że kobieta szyja jest dla niego fetyszem i że tamtego dnia po raz pierwszy uprawiał seks z Jane.

Dla Angusa ta sprawa okazała się niezwykle trudna, zarówno na płaszczyźnie zawodowej, jak i emocjonalnej. Przeszedł „od dosyć banalnej sprawy hakerskiej do okropnego morderstwa. Do końca życia nie zapomnę tej sprawy”. Odmieniła ona jego karierę, a także pozwoliła mu się przekonać, jakiego rodzaju rzeczy robią ludzie, gdy myślą, że są całkowicie bezkarni. Wiele się przy okazji nauczył: „Byłem przepytywany przez dwóch adwokatów.

Mieli problemy z podstawowymi pojęciami i źle stawiali pytania. W końcu sędzia, który o wiele lepiej znał się na kwestiach technicznych niż oni, nie wytrzymał i włączył się do przesłuchania”.

Niestety, zadał Angusowi pytanie o ciasteczka – informacje przechowywane na naszych komputerach służące do komunikowania się ze stronami internetowymi, które ponownie odwiedzamy. Wystraszyło to ławników. „Zaczęli przekazywać sędziemu kartki z pytaniami. Chcieli się dowiedzieć, jak mogą się zabezpieczyć i ukryć swoją aktywność w sieci przed małżonkami i innymi członkami rodziny”. Kiedy sędzia przywrócił w końcu porządek w sali, Angus przedstawił materiał dowodowy.

Na dwóch komputerach Couttsa znalazł ponad osiemset zdjęć pornograficznych.

Sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć z nich przedstawiało duszone, uduszone i powieszane kobiety. Na jednym z nich Święty Mikołaj dusił dziewczynkę. Oprócz tego Angus poddał analizie aktywność Couttsa w sieci. Mężczyzna odwiedzał takie strony pornograficzne jak Necrobabes, Deathbyasphyxia i Hangingbitches (Nekrokociaki, Śmierćprzezuduszenie i Dyndajacedziwki).

Częstotliwość tych wizyt zwiększyła się w tygodniach poprzedzających śmierć Jane – wtedy wykupił również dostęp do takich serwisów jak Club Dead i Brutal Love (Klub Zmarłych i Brutalna Miłość). Szczytowe punkty jego aktywności w sieci przypadły na dzień przed śmiercią Jane i dwa dni przed spaleniem jej ciała.

Graham Coutts został uznany za winnego morderstwa i skazany na dożywocie. Angus wspomina, że sędzia podkreślił znaczenie „dowodów znalezionych w jego komputerze, które ukazywały jego zwykłą aktywność i to, że w dniu morderstwa ta aktywność całkowicie zamarła”.

Od czasu tej sprawy Angus zaczął przywiązywać szczególną wagę do ustalania chronologii zdarzeń.

Cyfrowe ślady pozostawiane przez zbrodniarzy popełniających przestępstwa ze szczególnym okrucieństwem wskazują na to, dokąd wiodą pokrętne ścieżki ich umysłu. Czy to internet prowadzi ich na manowce? Istnieje około stu tysięcy stron internetowych z tak zwanymi *snuff movies*, filmami przedstawiającymi sceny gwałtów, zabójstw, aktów kanibalizmu i nekrofilii. Władze Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych usiłują zwalczać tego rodzaju strony, chociaż działają

ostrożniej niż rząd Islandii, który próbował całkowicie zakazać internetowej pornografii.

Mimo czujności władz problemu wciąż nie udaje się rozwiązać, ponieważ miejsce zamkniętej strony niemal natychmiast zajmuje kolejna, pod inną nazwą. Dotarcie do źródeł całego procederu i ściganie producentów twardej pornografii wymagałoby nierealnej w dzisiejszych warunkach organizacji i współpracy międzynarodowej. Niektórzy twierdzą, że takie strony istnieją, ponieważ odpowiadają na pewną społeczną potrzebę. Wymaga to dokładnego zbadania i wyjaśnienia, ale wydaje się, że w tym przypadku popyt i podaż nakręcają się wzajemnie.

Niezależnie od tego, czy materiały w internecie wywołują przestępcze zachowania, czy jedynie odzwierciedlają rzeczywistość, bez wątplenia przestępcy seksualni wykorzystują je do podkręcania własnych fantazji.

Wieczorem 26 maja 2013 roku dwudziestotrzyletni Jamie Reynolds wysłał krótkiego SMS-a: „Nie mogę się doczekać. Nie spóźnij się”.

Zaprosił w ten sposób siedemnastoletnią Georgię Williams, córkę policjanta, do domu w Wellington w Shropshire. Georgia miała wziąć udział w modowej sesji fotograficznej. Reynolds nie wtajemniczył jej w to, co w rzeczywistości planował od miesięcy.

Kiedy przyjechała na miejsce, poprosił ją o włożenie butów na wysokich obcasach, skórzanej kurtki i takiej samej spódnicy. Zrobił kilka zdjęć, po czym poprosił, żeby stanęła na czerwonym pojemniku na śmieci ustawionym na podeście schodów. Nad nią znajdował się właz na strych z przyczepionym sznurem. Reynolds założył dziewczynie pętlę na szyję i zrobił kolejne zdjęcie. Według policjantów, którzy oglądali później tę fotografię, Georgia wyglądała w tamtej chwili na zadowoloną i uległą. I wtedy mężczyzna wykopał pojemnik spod jej stóp. Lekarz sądowy stwierdził w czasie sekcji, że siniak na dole jej pleców powstał, gdy sprawca ciągnął ją w dół, by przyspieszyć uduszenie. Potem wykorzystał seksualnie jej ciało.

Kiedy policjanci przejrzelili zawartość komputera Reynoldsa, odkryli dziesiątki kolaży fotograficznych.



Jamie wycinał głowy ze zdjęć, które dziewczyny zamieszczały na Facebooku, i doklejał je do zdjęć pornograficznych. Śledczy znaleźli również siedemdziesiąt dwa filmy z twardą pornografią, blisko



siedemnaście tysięcy zdjęć i czterdzieści opowiadań napisanych przez sprawcę. Jedno z nich nosiło tytuł

*Niespodzianka dla Georgii Williams*. Reynolds robił zdjęcia swojej ofierze przed atakiem, w jego trakcie i po nim. Z uwagi na drastyczny charakter tych materiałów prokurator wniósł o wyłączenie jawności tej części procesu, podczas której miały one być prezentowane. Reynolds został skazany na dożywocie za popełnienie zbrodni, którą ojciec Georgii nazwał „przerazającą i niemieszczącą się w głowie”.

Upowszechnienie się komputerów osobistych i smartfonów pomogło takim osobnikom jak Graham Coutts i Jamie Reynolds zaspokajać ich zboczone fantazje. Większość ludzi używa jednak internetu do stosunkowo niewinnych rzeczy (choć reakcja ławników na wyjaśnienia Angusa dotyczące ciasteczek podczas procesu Couttsa może sugerować coś zgoła innego). Przestępcy również wykorzystują sieć do wykonywania wielu zwykłych czynności. Piszą e-maile do rodziny i robią zakupy w sklepach internetowych. Kiedy jednak wkraczają na drogę przestępstwa, pozostawiają ślady, które specjaliści tacy jak Angus potrafią znaleźć z większą łatwością, niż się złoczyńcom wydaje.

Dzisiejszy zalew urządzeń elektronicznych rozpoczął się od wąskiej strużki. Na początku lat osiemdziesiątych informatycy śledczy pomagali głównie w dochodzeniach dotyczących naruszania prawa własności (gdy dzieci kopiowały gry na swoje konsole Atari) i nieuczciwych praktyk biznesowych. W tamtych czasach twarde dyski miały tak małą pojemność, że ekspert bez problemu mógł przejrzeć całą ich zawartość i błyskawicznie znaleźć to, czego potrzebował do udowodnienia winy podejrzanego. „Początkowo komputery były dość tępymi urządzeniami” – twierdzi Angus. „Nie było mowy o obecnym stopniu skomplikowania i komunikacji”.

Do połowy lat dziewięćdziesiątych komputery łączyły się ze sobą za pomocą tak zwanych BBS-ów (skrót od Bulletin Board Service) stanowiących załączek ogólnoswiatowej sieci. Ludzie używali tej formy komunikacji do rozmów o problemach technicznych, jakie napotkali, lub proszenia o pomoc w przejściu gry. Wśród ówczesnych maniaków komputerowych była również grupa odstępców badających możliwości wykorzystania nowych zdobyczy techniki do robienia okropnych rzeczy, ale większość po prostu cieszyła się z nowych możliwości. Żeby należeć

do tego świata, trzeba było wykazać się nie lada techniczną biegłością – użytkownicy często sami składali swój sprzęt.

Moc obliczeniowa rosła jednak w postępie geometrycznym. Kiedy Microsoft wypuścił Windows 95, przybliżył ogólnościatową sieć zwykłym ludziom. To wtedy policjanci zaczęli traktować poważniej informatykę śledczą, ponieważ tak jak Angus uświadomili sobie, że „przestępcy bardzo szybko przyswoili sobie nową technologię”. W 2001 roku minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii Jack Straw utworzył Krajowy Wydział do Walki z Cyberprzestępczością (National Hi-Tech Crime Unit). Przy tej okazji stwierdził: „Nowe technologie przynoszą ogromne korzyści praworządnyemu obywatelom, ale również stwarzają liczne okazje przestępcom, począwszy od oszustów, a na pedofilach skończywszy”.

Krajowy Wydział do Walki z Cyberprzestępczością zajął się nowymi przestępstwami, które powstały na skutek cyfrowej rewolucji (takimi jak hakerstwo), a także starymi w nowej odsłonie (takimi jak stalking).

Od 2006 roku wydział krajowy w wielu zadaniach wyręczają wydziały regionalne. Obecnie to starszy oficer śledczy na miejscu zbrodni decyduje o tym, czy potrzebuje pomocy krajowego wydziału przy przeglądaniu materiałów cyfrowych. „To tak jak z DNA” – wyjaśnia Angus. „Jeśli mają zeznania naocznego świadka, odciski palców i wszystko inne, często niepotrzebne im kosztowne badania. Ale w przypadkach stalkingu bądź uwodzenia dzieci przez internet zwykle zwracają się o pomoc”. Jeśli wydziałowi akurat brakuje mocy przerobowych, osoba kierująca dochodzeniem może zwrócić się z prośbą do któregoś z niezależnych ekspertów, takich jak Angus. Do tego czasu „rutynowe czynności są już wykonane i śledczy chcą natychmiastowych odpowiedzi na trudne pytania, dlatego często improwizują i wymyślają nowe metody działań”.

Przykładem takiej improwizacji był niedawny proces dotyczący molestowania nieletniej. Oskarżonemu – nazwijmy go David – postawiono zarzut wielokrotnego dopuszczenia się aktów pedofilii.

Strategia jego obrońcy polegała na zdyskredytowaniu głównego świadka, jego pasierbicy, którą nazwiemy Sarah. Obrońca twierdził, że to nie ojczym uprawiał seks z czternastolatką, ale chłopcy, z którymi przeprowadzała świńskie rozmowy na Facebooku. Na potwierdzenie swoich zarzutów David przedstawił dane zgromadzone przez keylogger, którego zainstalował na komputerze Sarah.

Keylogger to oprogramowanie niewidoczne dla użytkownika, które zapisuje wszelkie jego działania na komputerze. Za każdym razem, gdy Sarah napisała coś lub kliknęła link, program robił zrzut ekranu, czyli zapisywał obraz znajdujący się na monitorze. David co jakiś czas archiwizował te zrzuty na swoim komputerze. Jeden z nich, przedstawiony w sądzie, był zapisem nieprzyzwoitej rozmowy, którą Sarah prowadziła na Facebooku z innym nastolatkiem – nazwijmy go Fred. Tyle że oboje zaprzeczali, by do takiej rozmowy w ogóle doszło.

Angus częściej sprawdza wirtualne życie podejrzanych niż rzekomych ofiar. Jednak w tym przypadku najlepszym sposobem na potwierdzenie lub podważenie zeznań Davida było przejrzanie zawartości komputera Sarah. Nie znalazł tam żadnego śladu rozmowy z Fredem, ale to jeszcze nie znaczyło, że nigdy nie miała ona miejsca.

„Zasadniczo Facebook nie zostawia żadnych śladów na twardej dyskach. Wszystko dzieje się w przeglądarce” – wyjaśnia Angus. Dotarł do keyloggera zainstalowanego na komputerze, ale i tam nie znalazł zrzutu ekranu z rzekomą rozmową. To jednak także niczego nie dowodziło, bo keylogger zwykle usuwa zrzuty, kiedy jest ich zbyt dużo, żeby nie zapychać twardego dysku.

Oczywiście Facebook przechowuje historię wszystkich rozmów, nawet tych, które użytkownicy skasowali. Angus zaczął się zastanawiać, czy nie zwrócić się do tej firmy o udostępnienie zapisów rozmów Sarah i Freda. Niestety, podpadałoby to pod przechwytywanie komunikatów i tajną obserwację, więc musiałby mieć uprawnienia wynikające z Ustawy regulującej uprawnienia śledcze (Regulation of Investigatory Powers Act) z 2000 roku.



A Facebookowi bez wątpienia też by się nie spieszyło. Angus musiałby czekać co najmniej pół roku na materiały, których potrzebował.

Poprosił więc Sarah o jej login i hasło, a potem zalogował się na jej konto. Nie znalazł tam ani śladu rozmowy z Fredem. Oczywiście mogła ją usunąć. Nie mogła jednak całkowicie wymazać Freda z listy znajomych. Tymczasem chłopak nie figurował ani wśród jej dawnych znajomych, ani wśród obecnych, ani w zaproszeniach do grona znajomych. Następnie Angus poprosił Freda o dostęp do jego konta i także nie znalazł tam ani śladów rozmów z Sarah, ani dowodów na to, by kiedykolwiek była wśród jego znajomych. Na koncie dziewczyny odkrył za to zapisy jej

normalnych rozmów z innymi chłopcami, które David miał na zrzutach ekranu. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna wymieszał sfabrykowane zrzuty z prawdziwymi. Jednak Angus aż za dobrze wiedział, że brak dowodu nie stanowi dowodu na niewinność.

Ostatecznie sporządził raport, w którym przyznał, że nie ma absolutnej pewności co do przebiegu zdarzeń. Teoretycznie było możliwe, że Sarah i Fred świntuszyli, wykorzystując do tego celu fałszywe profile, które wyglądały identycznie jak normalne. Równie dobrze jednak David, który był niezłym fotografem, mógł podrobić zrzuty ekranu. Żeby to udowodnić, Angus musiałby jednak mieć dostęp do jego komputera i sprawdzić, czy obrobił je w programie graficznym.

Sędzia musiał podjąć decyzję, czy kontynuować proces, czy odroczyć postępowanie do czasu, gdy Angus sprawdzi komputer Davida.

Postanowił kontynuować. Ławnicy wysłuchali zeznań ofiar i zapoznali się z dowodami przedstawionymi przez Angusa. Chociaż były one niejednoznaczne (i Angus tego nie ukrywał), w jakiś sposób sugerowały, że David jest manipulatorem i kłamcą. Po naradzie ławnicy uznali go za winnego. Odsiaduje dwudziestoletni wyrok pozbawienia wolności.

Jak pokazuje sprawa z keyloggerem, im więcej ludzi korzysta z coraz większej liczby funkcji dostępnych na urządzeniach cyfrowych, tym trudniej informatykom śledczym wykonywać swoją pracę. Podczas gdy inni eksperci kryminalistyki potrafią udzielić jasnej odpowiedzi na pytania typu: „Czy ślady krwi zostawił pan A, czy pan B?”, specjaliści pokroju Angusa muszą ocenić autentyczność materiału dowodowego, sporządzić wykres aktywności online i offline oraz ocenić wiarygodność alibi. Bez wnikliwości i sporej wyobraźni nie jest to możliwe.

Angus kocha swoją pracę ze względu na intelektualne wyzwania, jakie przed nim stawia. „Zawsze uczę się czegoś nowego. Nie jest to zwykła harówka polegająca na odbębnianiu tych samych rzeczy każdego dnia, ale rozwiązywanie zagadek”. Najtrudniejsze jest dla niego pogodzenie się z tym, że śledztwo zmierza donikąd. „Nie znam nikogo, kto pracowałby w tym zawodzie i zrezygnował ze śledztwa z powodu braku rezultatów. Wciąż szuka się i szuka, bo przecież musi być coś, zawsze jest coś – i naprawdę trudno ci zaakceptować, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś, a jednak dotarłeś do ściany”.

Zanim Angus przystąpi do pracy, musi mieć urządzenie, które będzie sprawdzał. Czasami zdobycie tego sprzętu stanowi nie lada utrapienie.

„Żeby zebrać dowody przeciwko jednemu pracownikowi, nie można wpaść do biura i przetrząsnąć komputerów całej załogi. Reakcja musi być adekwatna”. Zarekwirowanie sprzętu, który będzie sprawdzał Angus, to zadanie policjantów. Muszą zdobyć nakaz przeszukania, żeby skonfiskować urządzenie elektroniczne, które podejrzany trzyma w swoim pokoju albo w kieszeni spodni.

Kiedy policja znajduje urządzenie na miejscu zbrodni, często pokryte jest ono odciskami palców i śladami DNA. Ponieważ jednak pędzle magnetyczne, których technicy używają do ujawniania śladów linii papilarnych, wytwarzają pole elektromagnetyczne, dowody mogą ulec zniszczeniu. Dlatego technicy ostrożnie umieszczają taki sprzęt w antystatycznych plastikowych torebkach, a potem wysyłają do informatyków śledczych.

Wciąż od czasu do czasu urządzenia wysyłane są do złych wydziałów – twierdzi Angus. Widziałem już telefony komórkowe w wydziale zajmującym się telewizją przemysłową, bo śledczy chcieli wydobyć z nich zdjęcia. Widziałem też policjantów, którzy brali telefony i zaczęli w nich sami grzebać, żeby zobaczyć, co jest w środku. To coraz rzadszy widok, ale jednak wciąż się to zdarza.

Kiedy urządzenie trafi w końcu do odpowiedniego wydziału, zdaniem Angusa „nieważne, czy to naprawdę istotne śledztwo dotyczące morderstwa lub zaginionych osób, i tak przeleży w magazynie dowodów jakieś pół roku, bo policja ma huk roboty”. Obecnie rzadko trafiają do niego takie sprzęty jak automatyczna sekretarka, drukarka czy faks.

Zwykle są to komputery, smartfony i tablety. Te niewielkie urządzenia w mniejszym lub większym stopniu są zapisem czyjegoś życia. Nie można ich zniszczyć. „Zasada numer jeden: jeśli to tylko możliwe, zachować” – mówi Angus. Zasadzie tej pozostają wierni nie tylko informatycy śledczy, lecz także technicy kryminalistyczni oraz cywile, jeśli chcą zdobyć dowód, który zostanie dopuszczony przez sąd.

W praktyce zwykle wygląda to tak, że informatycy wykonują obraz dysku, żeby zachować integralność oryginału.

Kiedy w 1992 roku po raz pierwszy użyto terminu „informatyka śledcza”, dotyczył on odzyskiwania danych z komputerów dla potrzeb śledztwa. W jednej z pierwszych spraw Angusa dyrektor firmy oskarżył poprzednią dyrekcję o oszustwo i jako dowód przedstawił firmowy twardy dysk. Jednak wcześniej wysłał go na dwa tygodnie do naprawy,

a przez następny tydzień trzymał go w domu. Angus zawiadomił sędziego, że nie zachowano należytej ochrony dowodów. Nie miał pewności, czy ktoś nie dodał, nie zmienił lub nie podpisał plików w ciągu tych kilku tygodni. Potem zaś wsiadł do pociągu do Leeds, gdyż tam miała się odbyć rozprawa. Dojeżdżał właśnie do York Station, kiedy zatelefonowano do niego z sądu. Sędzia zapoznał się z jego raportem i umorzył postępowanie. Angus wysiadł z pociągu, przeszedł na sąsiedni peron i wrócił do domu w Darlington.

Czasami muszę złamać zasadę numer jeden – wyznaje Angus.

Danych z najnowszych iPhone'ów i smartfonów BlackBerry praktycznie nie da się skopiować bez ingerencji. Żeby to zrobić, muszę na nich instalować specjalne oprogramowanie. Stąd wzięła się zasada numer dwa: jeśli nie możesz czegoś skopiować i musisz to zmienić, upewnij się, że wiesz, co robisz, i że będziesz umiał to wyjaśnić. Dobrze jest równocześnie robić notatki.

Jeśli nieuważny śledczy otworzy plik, pozostanie po tym ślad.

Może to wszystko utrudnić – prawnicy strony przeciwnej uwielbiają podawać w sądzie argument, że plik został zmieniony.

Kiedy Angus ma już wierną kopię twardego dysku, używa specjalnie przystosowanego oprogramowania do przejrzania zarówno aktualnych, jak i usuniętych plików. Potrafi odzyskać niemal wszystkie zdjęcia, filmy i wiadomości usunięte z komputera bądź smartfona, podobnie jak dawni śledczy umieli odtworzyć to, co napisano ołówkiem, który został wytarty gumką.

W telefonach komórkowych Angus przegląda SMS-y, numery, na które dzwono, i nieodebrane połączenia. Wymiana zdań prowadzona w SMS-ach pokazuje niekiedy, o czym przestępcy rozmawiali mniej więcej w czasie popełnienia przestępstwa. Ważnym dowodem może też być pojedynczy SMS. Rankiem 18 czerwca 2001 roku piętnastoletnia Danielle Jones zaginęła w pobliżu swojego domu w East Tilbury w Essex. Podejrzenia padły na jej wuja Stuarta Campbella. Kiedy śledczy znaleźli u niego na strychu zieloną płócienną torbę zawierającą parę białych pończoch z plamami krwi zarówno jego, jak i Danielle, został aresztowany.

Campbell twierdził, że w dniu zaginięcia Danielle był w markecie budowlanym w Rayleigh, pół godziny drogi od East Tilbury. Policja sprawdziła jego telefon komórkowy i znalazła SMS-a wysłanego tego

ranka z komórki Danielle: HEJ STU JESTEŚ SUPER NAJLEPSZY WUJEK NA ŚWIECIE!

POWIEDZ MAMIE ŻE MI PRZYKRO SORKI 3MAJ SIĘ CAŁUSKI DAN  
Jednak kiedy policja przeanalizowała dane otrzymane od operatora komórkowego, okazało się, że w momencie gdy Campbell otrzymał SMS-a, zarówno jego telefon, jak i telefon Danielle znajdowały się w zasięgu tego samego nadajnika.

Na dodatek ekspert językoznawca Malcolm Coulthard wykazał w sądzie, że Danielle zwykle pisała SMS-y małymi literami. Zauważył również, że w drugiej wiadomości, wysłanej do Campbella zaraz po pierwszej, dziewczyna użyła słowa „narka”, podczas gdy zazwyczaj posługiwała się słowem „nara”. Najwyraźniej obie wiadomości sfabrykował Campbell. Mimo fiaska kosztujących 1,7 miliona funtów poszukiwań ciała Danielle jej wujek został skazany na dożywocie.



Możliwość precyzyjnego ustalenia miejsc pobytu ofiar i podejrzanych oczywiście przynosi śledczym korzyści. Nowoczesne iPhone'y i komórki z systemem Android domyślnie zapisują lokalizację urządzenia, co umożliwia sporządzenie szczegółowej mapy z punktami, w których znajdował się telefon, a prawdopodobnie również osoba, która go miała przy sobie. Opcję tę można wyłączyć w ustawieniach smartfona, ale wiele osób o tym nie wie. Specjalny lokalizator w iPhone 5S działa nawet po wyładowaniu baterii. Użytkownicy twierdzą, że działa nawet cztery dni po samoistnym wyłączeniu urządzenia. Apple tłumaczy, że pomaga to udoskonalać aplikacje z mapami i dostosowywać propozycje spędzania czasu w określonych miejscach wysyłane użytkownikom smartfonów. Rzecz jasna również policja jest żywo zainteresowana tymi danymi.

Zresztą nawet jeśli użytkownik wyłączy tę opcję w swoim telefonie, śledczy zawsze mogą poprosić operatora sieci o ustalenie przybliżonej lokalizacji komórki w określonym czasie. Jest to możliwe dlatego, że telefony komórkowe nieustannie łączą się z okolicznymi masztami telefonicznymi, próbując złapać sygnał. Maszty te obsługują zwykle niewielkie obszary, jak to było w przypadku Stuarta Campbella w East Tilbury, a także w pewnej niezwyklej sprawie prowadzonej w Szkocji w 2010 roku.

Rankiem 4 maja trzydziestoosmioletnia Suzanne Pilley wyruszyła do pracy. Była księgową w biurze rachunkowym mieszczącym się przy

Thistle Street w centrum Edynburga. O 8.51 została zarejestrowana przez kamerę telewizji przemysłowej. Wychodziła z hipermarketu Sainsbury's, w którym kupiła sobie coś na lunch. Później nie widział jej już nikt poza kolegą z pracy, czterdziestodziewięcioletnim Davidem Gilroyem. Gilroy miał żonę i dzieci, ale od jakiegoś roku łączył go romans z Suzanne. Ostatnio postanowiła na dobre zakończyć ich związek, ponieważ miała dosyć jego ciągłej kontroli i zazdrości.

Przez cały miesiąc poprzedzający zaginięcie kobiety Gilroy nękał ją niezliczonymi wiadomościami głosowymi. Wysłał jej też w sumie ponad czterysta SMS-ów. Rozpaczliwie pragnął naprawić ich związek i nie mógł się pogodzić z odrzuceniem. W ciągu dwóch ostatnich dni wysłał jej ponad pięćdziesiąt błagalnych SMS-ów. Dzień przed zaginięciem oprócz nich zostawił jej na poczcie głosowej komunikat: „Martwię się o ciebie”.

Noc poprzedzającą zaginięcie Suzanne spędziła ze swoim nowym chłopakiem Markiem Brooksem. Doprowadziło to Gilroya do białej gorączki. Zamordował kobietę w podziemiach ich biura i ukrył ciało na klatce schodowej. Kolegom z pracy (którzy później opisywali, że „był spocony i miał kilka zadrapań na szyi i twarzy”) powiedział, że musi pojechać autobusem do domu po samochód. Po drodze, jak wynika z materiału nagranych przez kamerę telewizji przemysłowej, kupił cztery odświeżacze powietrza w drogerii Superdrug. Po powrocie do pracy Gilroy poprzestawiał umówione spotkania, by następnego dnia móc pokonać dwieście kilometrów dzielące go od wiejskich terenów Argyll i odwiedzić szkołę, której obsługą księgową zajmowała się jego firma.

Potem umieścił ciało Suzanne w bagażniku swojego auta.

Wieczorem poszedł zobaczyć występ swoich dzieci na szkolnym koncercie, po czym udał się z rodziną do restauracji. Tymczasem zaniepokojeni rodzice Suzanne zgłosili na policji jej zaginięcie.

Szóstego maja policjanci przesłuchali Gilroya. Zauważyli skaleczenie na jego czole, siniaka na klatce piersiowej, a także zadrapania na dłoniach, nadgarstkach i przedramionach. Gilroy oświadczył, że to efekt pracy w ogródku. Lekarz sądowy Nathaniel Cary obejrzał później fotografie przedstawiające te skaleczenia i zeznał, że mogą to być ślady czyichś paznokci powstałe w trakcie szamotaniny.

Wspomniał też, że widział już podobne na ciałach dusicieli. Dodał, że nie jest tego całkowicie pewien, ponieważ Gilroy zatuszował zadrapania



kosmetykami w kolorze skóry. Przyznał też, że wersja podejrzanego dotycząca pochodzenia skaleczeń jest równie prawdopodobna.

Po przesłuchaniu Gilroya policjanci nabrali tak dużych podejrzeń, że zarekwirowali mu telefon komórkowy i samochód. Kiedy ekspertka kryminalistyczna Kirsty McTurk otworzyła bagażnik auta, poczuła zapach odświeżacza powietrza lub środka czyszczącego. Szukała dowodów w bagażniku, a potem na klatce schodowej biura przy Thistle Street. Nie znalazła ani śladu DNA Suzanne. Kiedy jednak wpuszczono tam psy wyspecjalizowane w znajdowaniu zwłok, okazały pobudzenie towarzyszące wykrywaniu śladów ludzkiej krwi. Jeden z tych psów, springer spaniel angielski wabiący się Buster, niewiele wcześniej znalazł zwłoki znajdujące się blisko trzy metry pod wodą.

Policjanci odkryli również, że samochód Gilroya ma uszkodzone zawieszenie, a pod podwoziem znajdują się kawałki roślin. Przejrzenie materiałów z przydrożnych kamer nic nie dało, jednak śledczy mieli pewność, że zrobił rundkę znaną malowniczą drogą o nazwie A83 Rest and Be Thankful.

Telefonem Gilroya zajął się informatyk śledczy. „Kiedy wyłączasz komórkę – wyjaśnia Angus – zapisuje ona, z którym masztem telefonicznym po raz ostatni się łączyła. Dzięki temu, kiedy ją ponownie włączysz, może go znów szybko znaleźć”. W drodze do szkoły w Argyll Gilroy wyłączył telefon między Stirling a Inveraray.

Policja podejrzewała, że zrobił to, żeby uniknąć wyśledzenia, kiedy szukał dobrego miejsca do porzucenia ciała Suzanne w gęstym lesie. Potem pojechał do szkoły. W drodze powrotnej ponownie wyłączył komórkę między Stirling a Inveraray. To właśnie wtedy, zdaniem policji, porzucił ciało.

Mimo że ekipom poszukiwawczym nie udało się znaleźć ciała Suzanne, Gilroy stanął przed sądem i 15 marca 2012 roku został uznany za winnego morderstwa i utrudniania śledztwa oraz zatajania dowodów.

Sędzia, lord Bracadale, zgodził się na wpuszczenie ekip telewizyjnych do sali sądowej – tym sposobem Gilroy stał się pierwszym mordercą w dziejach, którego brytyjska telewizja filmowała podczas odczytywania wyroku. „Z mrozącym krew w żyłach spokojem i wyrachowaniem – stwierdził Bracadale – porzucił pan ciało, prawdopodobnie gdzieś w Argyll, i podczas gruntownego dochodzenia prowadzonego z godną

pochwały wnikliwością przez policję odmawiał pan jakiegokolwiek współpracy”. Sąd skazał Gilroya na minimum osiemnaście lat więzienia.

Z powodu pogroźek innych osadzonych z więzienia w Edynburgu morderca został przeniesiony do więzienia w Shotts, gdzie pierwszego dnia pobytu jeden ze współwięźniów złamał mu szczękę.



Do skazania Gilroya doszło w głównej mierze dzięki wnikliwości, z jaką śledczy badali wszelkie cyfrowe ślady. Gdyby nie analiza danych z telefonu komórkowego i zapisów z kamer telewizji przemysłowej, prawdopodobnie byłby dziś wolnym człowiekiem. Niezmiernie rzadko udaje się skazać mordercę, gdy nie ma ciała ofiary. W przypadku Stuarta Campbella udało się to po części dzięki plamom krwi Danielle, które śledczy znaleźli na bieliźnie ukrytej u niego na strychu. Tak zdarzyło się również w przypadku dilerki narkotyków z Merseyside skazanego dzięki śladom DNA wykrytym na pancerzykach czerwi, które żywiły się zwłokami (s. 87). W sprawie Gilroya nie znaleziono śladów DNA.

Zadrapania na ręce mogły nie wystarczyć. Został skazany głównie w wyniku przeprowadzenia analizy aktywności jego komórki oraz przedstawienia materiałów z kamer telewizji przemysłowej.

Ludzie tacy jak Angus Marshall wykorzystują zdjęcia i filmy do obciążania winą przestępców takich jak David Gilroy. Ta praca nie obfituje w spektakularne odkrycia, zwykle jest żmudna i metodyczna; by powstał kompletny cyfrowy obraz, potrzeba sporo czasu. Angus sam tworzy programy, które mają mu pomóc w pracy. „Dziwak ze mnie. Nie używam standardowych narzędzi – gdybym to robił, otrzymywałbym takie same rezultaty jak inni. Moje programy na ogół nie są zbyt skomplikowane, po prostu pomagają zautomatyzować wiele procesów, dzięki czemu od czasu do czasu mogę się wyspać”. Jeden z tych programów odzyskuje wszystkie zdjęcia i filmy, które były na twardym dysku, inny przegląda je i porównuje z policyjną bazą danych dotyczącą molestowania dzieci, automatycznie przyznając im jeden z pięciu poziomów drastyczności (od względnie niewinnej nagości aż do całkowitego bestialstwa). „Niestety, zawsze zdarza się kilka takich, które są czymś zupełnie nowym, i muszę je sam zaklasyfikować” – twierdzi Angus, a jego zwykle pogodna twarz pochmurnieje.



Policja szukająca zwłok Suzanne Pilley w pobliżu Arrochar w Szkocji. Ciała kobiety nigdy nie odnaleziono; mimo to w 2012 roku David Gilroy został uznany za winnego jej zamordowania

Baza danych zawiera informacje o pochodzeniu danego zdjęcia lub filmu, o ile dało się je ustalić. To oznacza, że śledczy mogą powiązać użytkowników nielegalnych treści z ich twórcami, tak jak w przypadku rozbicia największego znanego gangu pedofilów w Szkocji w 2005 roku

(s. 258). To koszmarne roboty, ale niezależni eksperci tacy jak Angus (lub częściej po prostu funkcjonariusze policji) bardzo starannie analizują zdjęcia i filmy pornograficzne.

Szukają wskazówek dotyczących miejsca powstania tych materiałów.

Czasami są to takie drobnostki jak kształt gniazdek elektrycznych, dźwięk z telewizora czy język, który gdzieś słychać – wyjaśnia Angus.

Można również ustalić porę dnia na podstawie położenia słońca na niebie. A także odgadnąć wiek ofiary i porównać jej wygląd ze zdjęciami z bazy danych osób zaginionych.

Do tego dochodzą metadane – informacje opisujące zdjęcia i filmy z aparatów cyfrowych i smartfonów. Są to tak przydatne dane jak marka i model urządzenia czy data i godzina zrobienia zdjęcia albo nakręcenia filmu (o ile sprawca ustawił zegar). Chociaż istnieją programy pozwalające zmieniać te dane, najczęściej są one nienaruszone i przy użyciu odpowiedniego oprogramowania można je odczytać.

Nowoczesne urządzenia umieszczają w metadanych nawet współrzędne GPS, co pozwala ustalić położenie fotografa. Dzięki temu informatycy śledczy mogą zapytać operatora sieci komórkowej o to, czyje telefony były aktywne na danym obszarze w określonym czasie.

Współrzędne GPS pomagają również wskazać miejsce, w którym akurat znajdują się uciekający przestępcy, tak jak w sensacyjnej sprawie Johna McAfee'ego, cokolwiek niezrównoważonego geniusza komputerowego mieszkającego w dżungli w Belize.

McAfee jest synem Angielki, która zakochała się w amerykańskim żołnierzu stacjonującym w Wielkiej Brytanii podczas drugiej wojny światowej. John jako chłopiec wyjechał z rodzicami do Wirginii. Kiedy miał piętnaście lat, jego nadużywający alkoholu i niestroniący od przemocy ojciec popełnił samobójstwo. W późniejszym czasie John uzależnił się od narkotyków, jednak nie przeszkodziło mu to zostać zdolnym programistą komputerowym pracującym w tak szacownych instytucjach jak NASA. W końcu rozpoczął własną działalność i stworzył McAfee Anti-virus, pierwszy powszechnie dostępny komercyjny program antywirusowy. W 1996 roku sprzedał udziały w firmie za dziesiątki milionów dolarów. Do tego czasu, jak sam przyznaje, ludzie znali go jako „paranoiczne i schizofreniczne *enfant terrible* Doliny Krzemowej”.

W 2008 roku, w wieku sześćdziesięciu trzech lat, John McAfee wyjechał z Kalifornii do Belize. Miał zamiar wykorzystać rośliny z dżungli

do produkcji nowego antybiotyku, który jak to ujął, powinien „pokonać zdolność bakterii do łączenia się”. W 2012 roku policja zorganizowała nalot na jego ośrodek badawczy. Podejrzewano, że w rzeczywistości wytwarza się tam metamfetaminę. Zarzuty te ostatecznie oddalono.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie konflikt Johna z przybyłym ze Stanów Zjednoczonych sąsiadem Gregorym Faullem. Ich stosunki popsuły się do tego stopnia, że w końcu nie można ich było naprawić.

Faull, właściciel pubu sportowego w Orlando, nie znosił przede wszystkim psów sąsiada. Wysłał skargę do miejscowych władz.

Czytamy w niej: „Te zwierzęta biegają luzem, tworząc dzikie stado. Jak dotąd trzech okoliczni mieszkańcy zostali pogryzieni, a trzech turyści zaatakowani”. Jakiś czas później cztery z jedenastu psów McAfee’ego zatrąły się tak poważnie, że musiał je zastrzelić, by skrócić ich męki.

Jedenastego listopada 2012 roku gospodyni znalazła Faulla na tarasie jego domu z kulą w głowie. Kiedy policjanci chcieli przesłuchać McAfee’ego, schował się przed nimi w pudle. A potem zaczął uciekać, udając akwizytora. Nie przeszkadzało mu to jednak prowadzić bloga i udzielać internetowych wywiadów. „W radykalny sposób zmieniłem swój wygląd” – pisał. „Niestety, chyba wyglądam teraz na mordercę”.

Kiedy przekroczył nielegalnie granicę z Gwatemalą, redaktor naczelny magazynu „Vice” postanowił relacjonować jego ucieczkę i wysłał za nim fotoreportera.



John McAfee w otoczeniu dziennikarzy po zatrzymaniu przez gwatemalską policję



Dom McAfee'ego w Belize.

Trzeciego grudnia na stronie internetowej „Vice” pojawiło się zdjęcie McAfee'ego stojącego na tle palm. Podpis głosił: „WŁAŚNIE ZNALEŻLIŚMY JOHNA MCAFEE'EGO, FRAJERZY”. Niestety, zdjęcie zawierało metadane pozwalające ustalić dokładne miejsce, w którym znajdował się John. Kiedy fotoreporter zdał sobie z tego sprawę, zamieścił na Facebooku informację, że przed publikacją zmienił metadane. Było to jednak kłamstwo. Wkrótce gwatemalska policja namierzyła i zatrzymała McAfee'ego. Symulował atak serca, by dać trochę czasu swojemu adwokatowi. Prawnik zdołał nie dopuścić do deportacji swojego klienta do Belize. Wysłano go do Miami. Tam został uwolniony, po czym wyjechał do Montrealu. Policja w Belize wciąż interesuje się nim w związku z morderstwem Gregory'ego Faulla, choć nie uważa go już za głównego podejrzanego.



Obecnie McAfee znów mieszka w Dolinie Krzemowej. Ostatnio wynalazł mający kosztować około stu dolarów gadżet o nazwie D-Central,

który podłączony do komputera, smartfona lub tabletu ma, jak obiecuje twórca, uczynić nas całkowicie niewidocznymi w sieci.

„Jeśli cię nie widać, nie można cię zhakować, znaleźć ani wysledzić tego, co robisz”. Ta idea wydaje się pociągająca wielu ludziom, zwłaszcza w świetle rewelacji Edwarda Snowdena, ale chyba najbardziej atrakcyjna jest dla samego Johna McAfee’ego, który zapewne wciąż nie może przeboleć swojej wpadki z metadanymi.

D-Central to radykalne rozwiązanie dla osób chcących zachować prywatność, obiekt westchnień zarówno przestępców, jak i praworządnych obywateli.

Rzeczywiście, młodsze pokolenia bardziej dbają o to, żeby nie zostawiać śladów – przyznaje Angus. Rozmawiam z młodymi ludźmi od lat i są oni w pełni świadomi tego, jak bardzo rozwinięte jest oprogramowanie szpiegujące i w jak wielkim stopniu wykorzystuje się ich dane. Wielu z nich stosuje proste rozwiązanie: po prostu kłamią, tworzą fałszywe konta i zostawiają fałszywe ślady.

Niektórzy robią to po to, by potencjalni pracodawcy nie dotarli do fotek, na których są topless lub pijani; inni dlatego, że nie chcą, by agencje rządowe przeglądały ich dane; jeszcze inni pragną ukryć swoją przestępczą działalność.

Angusowi nie podoba się śledzenie działań obywateli przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency, NSA) w Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza to, że zapewnia ona bezpieczeństwo ogółowi przez naruszanie prywatności jednostki.

„Przyzwyczailiśmy się do myśli, że w Europie Wschodniej pod tym względem było źle. Tymczasem o wiele gorzej jest u naszych sojuszników”. Takie agencje jak NSA monitorują Gmaila czy Facebooka przy użyciu programów do wynajdywania określonych słów. Jeśli wyślesz do ukochanej e-mail ze słowami „jesteś bombowa”, to, jak uważa Angus: „Przeczytają go, pewnie trochę się pośmieją i zarchiwizują, ale nic więcej. Ale jeśli napiszesz coś o budowaniu głowic atomowych, prześwietlą cię na wylot”. Oczywiście najwięksi przestępcy często trzymają się z dala od takich serwisów jak Gmail czy Facebook.

Niektórzy z nich wiedzą również, że jeśli na swoich smartfonach i tabletach korzystają z Facebooka, zostawiają ślad, który Angus może znaleźć. „Jeśli jednak na urządzeniu przenośnym zainstalowana jest przeglądarka, takiego śladu nie ma. Wtedy musimy prosić ludzi



z Facebooka o udzielenie informacji i czasami nawet zostajemy wysłuchani. Natomiast ludzie z Twittera nas ignorują”.

Wielkie kalifornijskie korporacje starają się nakłonić wszystkich, by przechowywali swoje pliki w tak zwanej chmurze. Chmura umożliwia przetrzymywanie aktualnych wersji plików na wszystkich cyfrowych urządzeniach użytkownika, dzięki czemu korporacje mają do nich łatwiejszy dostęp. Paradoksalnie, im jest on łatwiejszy dla użytkowników i korporacji, tym trudniejszy dla takich osób jak Angus.

Przyszłość – mówi Angus – to przechowywanie online.

Użytkownicy coraz więcej plików umieszczają w chmurze, dzięki czemu mają do nich stały dostęp. Coraz trudniej pozyskać nam materiały z urządzeń, bo zwyczajnie ich tam nie ma. Po pierwsze, musimy ustalić, czy technicznie możliwe jest dla nas ściąganie danych z chmury, a po drugie, czy mamy do tego prawo.

Współpraca międzynarodowa jest dla śledczych tak samo trudna jak przed pojawieniem się chmury obliczeniowej, ale potrzeby są nieporównywalnie większe. Angus wspomina niedawną sprawę. Sędzia zwrócił się do serwisu społecznościowego z dwoma pytaniami dotyczącymi jednego z użytkowników. „Otrzymaliśmy bardzo jasną odpowiedź od naszego działu prawnego” – odpisano mu. „Zwrócił się pan do nieodpowiedniego oddziału. Nie powinien pan pisać do USA, ale do Dublina”. A potem dodano: „Na mocy umowy podpisanej między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi nie musimy odpowiadać na pańskie pytania”.

Eksperci kryminalistyczni mają z chmurą inny problem. Dropbox przechowuje pliki, które są zsynchronizowane z urządzeniami, i umożliwia użytkownikom nadpisywanie albo zmienianie plików znajdujących się na jednym urządzeniu z poziomu drugiego urządzenia, które może znajdować się w dowolnym miejscu na świecie. Angus podkreśla: To niesamowita korzyść dla użytkownika, ale jeśli ktoś zmienił coś na komputerze w swoim domu w jednym regionie kraju, a jego laptop w innym domu w drugim regionie kraju jest włączony, Dropbox zmienił pliki również na tym laptopie. Wówczas nie potrafię określić, w którym domu znajdował się użytkownik.

Jeśli takie działania mają rozmyślny charakter, noszą nazwę *anti-forensics* i mogą przybierać dziesiątki form. Prostym przykładem jest przestępca, który kupuje telefon na kartę kilka dni przed planowanym

napadem, a potem natychmiast go wyrzuca. Istnieją również bardziej skomplikowane metody utrudniania śledztwa. Niektóre programy umożliwiają użytkownikom zmianę metadanych w plikach.

Z ich pomocą można wpisać informację, że plik został utworzony w roku 1912, a ostatni raz otwierano go w 2050. Inni cyberprzestępcy tworzą pliki, które oszukują programy używane przez informatyków śledczych.

Analizatory klasyfikują je tak, jakby były czymś zupełnie innym. To sprawia, że ekspert kryminalistyczny może wziąć na przykład film pornograficzny z udziałem dzieci za plik mp3. Przejrzenie tych wszystkich podstępów wymaga nie lada inteligencji i doświadczenia.

Tak jak profiler musi być pełen zrozumienia dla przestępcy, by pojąć jego motywy i przewidzieć działania, tak i informatyk śledczy musi być na bieżąco z wszelkimi nowinkami, żeby móc przewidzieć, co wymyślą cyberprzestępcy.

Czasami eksperci sami zachowują się tak, jakby próbowali zacierać ślady. Jak mówi Angus: „Mam kolegów, którzy podróżują po świecie bez żadnych urządzeń technicznych. Kupują nowy laptop i nowy telefon w kraju, w którym akurat są, a przed wyjazdem je wyrzucają”. Robią to dlatego, że pracownicy lotnisk w wielu krajach sprawdzają, czy podróżni nie przemycają na takich urządzeniach dowodów na to, co naprawdę dzieje się w ich kraju, materiałów pornograficznych albo instrukcji umożliwiających skonstruowanie bomby. Wystarczy, że na krótki czas uzyskają dostęp do sprzętu. „Zaciągają cię do osobnego pomieszczenia, gdzie pracownik w gumowych rękawiczkach zajmuje się tobą przez jakieś pół godziny” – twierdzi Angus. Tyle wystarcza, żeby skopiować całą zawartość twardego dysku.

W przypadku cyberprzestępstw takich jak hakerstwo informatycy śledczy czasami zostają w tyle za przestępcami. Stara prawda głosi: kiedy informatyk śledczy robi krok, przestępca robi dwa. Pojawienie się daktyloskopii wymogło na przestępcach używanie rękawiczek. Kamery telewizji przemysłowej sprawiły, że zaczęli chodzić w bluzach z kapturami. Czasami stosowanie starych technologii może być najlepszym sposobem na wyprowadzenie informatyków śledczych w pole. Staromodne BBS-y mogą być całkowicie nie do wykrycia.

„Naprawdę łatwo je zrobić” – ujawnia Angus. „Wciąż można znaleźć stare oprogramowanie. Sprzęt też jest dostępny. Jeśli do tego

wykorzystasz telefon na kartę, staniesz się prawie niewidzialny”.

Dowody materialne wciąż odgrywają kluczową rolę w większości dochodzeń.

Żadna ze spraw, którymi się zajmowałem, nie opierała się jedynie na dowodach cyfrowych – przyznaje Angus. Cyfrowy dowód na ogół ma potwierdzić jakiś inny. To niesamowicie silne potwierdzenie, ale rzadko bywa samodzielnym dowodem. Dlatego jeśli go nie znajdziemy, śledczy też sobie poradzą. Jak już mówiłem: brak dowodu nie stanowi dowodu na niewinność.

## 11. Psychologia sądowa

*Każdy złodziej ma charakterystyczny styl lub modus operandi, od których rzadko odchodzi i których nie może się całkowicie wyzbyć.*

*Czasami jest to tak charakterystyczna cecha, że nawet nowicjusz bez trudu ją dostrzeże, jednakże tylko doświadczony, inteligentny i wnikliwy obserwator potrafi rozpoznać te często prawie niewidoczne rysy, które charakteryzują złodzieja, i wysnuć z nich ważne wnioski.*

*Hans Gross, Handbuch für Untersuchungsrichter als System der Kriminalistik (1893)*

Nie każde złamanie prawa jest przestępstwem. Przede wszystkim człowiek musi złamać je celowo. Z nielicznymi wyjątkami przestępstwo nie może być ukarane bez *mens rea*, czyli intencji przestępczej. Innymi słowy, jeśli osoba łamiąca prawo nie wiedziała, co robi, czy to z powodu choroby psychicznej, czy dlatego, że była pod wpływem środków odurzających, prędzej zostanie skierowana na leczenie niż ukarana.

Chociaż z kryminalów wynika, że najważniejsze jest ustalenie motywu zbrodni, w prawdziwym życiu zwykle jest to najmniejsze ze zmartwień śledczych. Oni skupiają się raczej na solidnych dowodach i okolicznościach sprzyjających popełnieniu zbrodni. Czasami jednak właśnie motyw pozwala im zmierzać we właściwym kierunku i w końcu znaleźć kluczowy dowód. Na przykład odkrycie, że zaginione dziecko oskarżało kogoś o wykorzystywanie seksualne, może przekształcić toczące się dochodzenie w o wiele poważniejszą operację. Poza tym ławnicy kochają motywy, bo pomagają im one zrozumieć wydarzenia, które najczęściej są bardzo odległe od ich własnych doświadczeń.

O wiele trudniej znaleźć motyw, gdy przestępca nie wywodzi się z kręgu najbliższych znajomych, a ofiar jest kilka. Motywy seryjnego mordercy mogą być nielogiczne, złożone, rozwijać się przez całe życie albo istnieć zaledwie przez nanosekundę.

W psychologii często powtarza się, że to, jak mordercy zachowują się w dorosłym życiu, zależy od czynników, na które nie mają wpływu, takich jak wychowanie i dziedziczność. Naukowcy stworzyli wiele teorii

mających wyjaśnić, dlaczego niektórzy z nas wyrastają na seryjnych morderców. Wnioski, do jakich dochodzą, są czasami naprawdę szokujące.

Amerykański neurobiolog James Fallon zbadał mózgi kilku seryjnych morderców i zauważył niższą od przeciętnej aktywność w częściach płata czołowego powiązanych z empatią, moralnością i samokontrolą. Fallon spróbował określić różnice między nimi a normalnymi ludźmi. W tym celu położył na biurku skany ich mózgów i wymieszał je ze skanami mózgów członków swojej rodziny. Skan, który bezsprzecznie wskazywał na psychopatę, okazał się skanem jego własnego mózgu. W pierwszej chwili James zastanawiał się nad ukryciem kłopotliwych wyników, ostatecznie jednak postanowił pobawić się w dobrego naukowca i zbadać swoje DNA. Rezultaty były jeszcze bardziej niepokojące. „Miałem te wszystkie groźne allele wiążące się z agresją, przemocą i niewielką empatią”.

Poważnie zmartwiony Fallon zaczął badać historię swojej rodziny.

W konarach swojego drzewa genealogicznego odkrył siedmiu przypuszczalnych morderców, wśród nich bohaterkę poniższej dziecięcej rymowanki:

*Jak Lizzie Borden siekierę wzięła,*

*Czterdzieści razy mateczkę cięła.*

*Gdy zaś ujrzała, co narobiła,*

*Ojczulka swego też utrupiła.*

Fallon zaczął się zastanawiać, dlaczego nie został przestępcą.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że zawdzięcza to miłości swojej matki, i podziękował jej z głębi serca. W 2013 roku napisał książkę pod tytułem *The Psychopath Inside* (Wewnętrzny psychopata), w której stwierdził: „Biologia to jeszcze nie wyrok śmierci, ale przez nią jest on wysoce prawdopodobny. Geny ładują pistolet i sprawiają, że ktoś bezbronny staje się psychopatą”.

Pierwsi naukowcy uczestniczący w rozprawach sądowych podobnie jak Fallon chcieli rozpoznawać nieprawidłowo działające umysły.



Z uwagi na swoje wykształcenie medyczne byli zainteresowani zdolnościami umysłowymi przestępców i próbowali zdiagnozować u nich choroby umysłowe. Kiedy oskarżony jest niepoczytalny? Kiedy nie odpowiada za swoje czyny?

Gdy policjanci natrafiali na dziwaczne przestępstwa, w których nie umieli znaleźć sensu, zwracali się o pomoc do psychiatrów i psychologów mających doświadczenie z chorymi psychicznie. Zwykle okazywało się, że sprawcy byli szaleni. Wytyczne dotyczące ustalania niepoczytalności, które wciąż obowiązują w wielu krajach, zostały ustanowione w 1843 roku przy sprawie Daniela M'Naghtena, który z powodu niepoczytalności nie został skazany za zastrzelenie sekretarza premiera Edwarda Drummonda. Można je sprowadzić do pytania: „Czy sprawca w chwili popełniania czynu zdawał sobie sprawę z tego, co robi, a jeśli tak, czy wiedział, że jest to złe?”.

Czasami przestępstwa wydają się zostawiać trochę miejsca na wątpliwości. Do 1929 roku Peter Kürten, znany również jako Wampir z Düsseldorfu, zabił młotkiem, zadłgał i udusił co najmniej dziewięć niemieckich dziewczynek i kobiet. Kiedy Kürten czekał na egzekucję, wybitny psycholog Karl Berg zyskał jego zaufanie i zdołał nakłonić go do zwierzeń.

Rozwinał się we mnie silny popęd seksualny – powiedział mu Kürten – zwłaszcza w ostatnich latach. Zbrodnie jeszcze bardziej go wzmacniały. Z tego powodu dążyłem do znajdowania nowych ofiar.

Czasami doznawałem orgazmu, kiedy dusiłem ofiarę. Czasami nie – wtedy doznawałem go w momencie, kiedy dźgałem ją ostrym narzędziem. Nie chciałem zaznawać satysfakcji seksualnej podczas normalnego stosunku, ale poprzez zabijanie.

Ulubioną bronią Kürtena były nożyczki. Widok krwi miał dla niego większe znaczenie niż osiągnięcie orgazmu. Zapytał nawet Berga, czy usłyszy krew tryskającą z tułowia w chwili, gdy gilotyna odetnie mu głowę. Miał na to nadzieję.

Mieszkańców Düsseldorfu zapewne najbardziej zszokowało to, że Wampir, który terroryzował całe miasto, wcale nie wyglądał na szaleńca.

„Był szczupły i względnie przystojny, miał bujne, zawsze porządnie uczesane jasne włosy, niebieskie oczy i mądre spojrzenie” – donoszono.

Pierwszego dnia procesu zjawił się w sądzie „ubrany w nieskazitelnie czysty garnitur (...). Wyglądał jak biznesmen”. Nic w wyglądzie i zachowaniu Kürtena nie wskazywało na koszmarnie dzieciństwo, pełne przemocy, małżeńskich gwałtów i kazirodztwa (choć z jego długich rozmów z Bergiem wyłania się obraz człowieka całkowicie oderwanego od rzeczywistości). To prawdopodobnie dlatego udało mu się zaprzyjaźnić

z tak wieloma ofiarami. Choć jego zbrodnie wskazywały na szaleństwo, trudno go było zamknąć w ściśle określonych ramach.

Mimo niemożności określenia jednego zespołu cech charakteryzujących wszystkich przestępców w taki sposób, w jaki w dziewiętnastym wieku starał się to zrobić Cesare Lombroso, kryminolog żyjący w czasach Petera Kürtena (na przykład Hans Gross) rozumieli, że w umyśle przestępcy można częściowo wniknąć dzięki tropom znalezionym na miejscu zbrodni. Codzienne zachowanie seryjnych morderców do pewnego stopnia współgra z ich zbrodniami.

Jeśli na przykład osoba popełniająca morderstwa na tle seksualnym miała przedtem partnera, zwykle znęcała się nad nim (tak jak Kürten nad swoją żoną). Psycholodzy sądowi pamiętają o tym, gdy sporządzają profile seryjnych morderców, które mogą pomóc policji w prowadzeniu dochodzeń.

Najprawdopodobniej pierwszy taki profil powstał w 1888 roku w trakcie śledztwa w sprawie morderstw w dzielnicy Whitechapel we wschodnim Londynie. O godzinie 3.40 rano w piątek 31 sierpnia furman idący ulicą Buck's Row dostrzegł leżącą na chodniku kobietę z zadartą spódnicą. Gdy dotknął jej ręki, okazała się zimna. Jedyna latarnia stała po drugiej stronie ulicy i mężczyzna nie miał pewności, czy kobieta nie jest po prostu pijana. Opuścił jej spódnicę, żeby nie wyglądała nieskromnie, po czym udał się na poszukiwanie policjanta.

Kiedy na miejscu zbrodni pojawił się posterunkowy John Neil, ujrzał krew sączącą się z szyi kobiety. Ktoś poderżnął jej gardło – i to tak gwałtownie, że przeciął rdzeń kręgowy. Gdy kobietę przewieziono do kostnicy, inspektor John Spratling podniósł jej ubranie.



Policja szukająca ciał ofiar Kürtena na farmie Pappendell w Düsseldorfie

*Okazało się, że ma głęboko rozcięty brzuch. Z rozcięcia sięgającego aż do mostka wystawały jelita. Reporter „Reynolds’ Newspaper” zanotował: „Przypominała tusze cielęce, które widuje się u rzeźnika”. Lekarz sądowy odkrył dwa dźgnięcia w kobiece genitalia i uznał, że morderca „musi dysponować podstawową wiedzą dotyczącą anatomii”. Kobieta została rozpoznana jako Mary Ann Nichols, czterdziestotrzyletnia prostytutka. Większość swojego dobytku miała ze sobą: białą chusteczkę, grzebień i lusterko.*





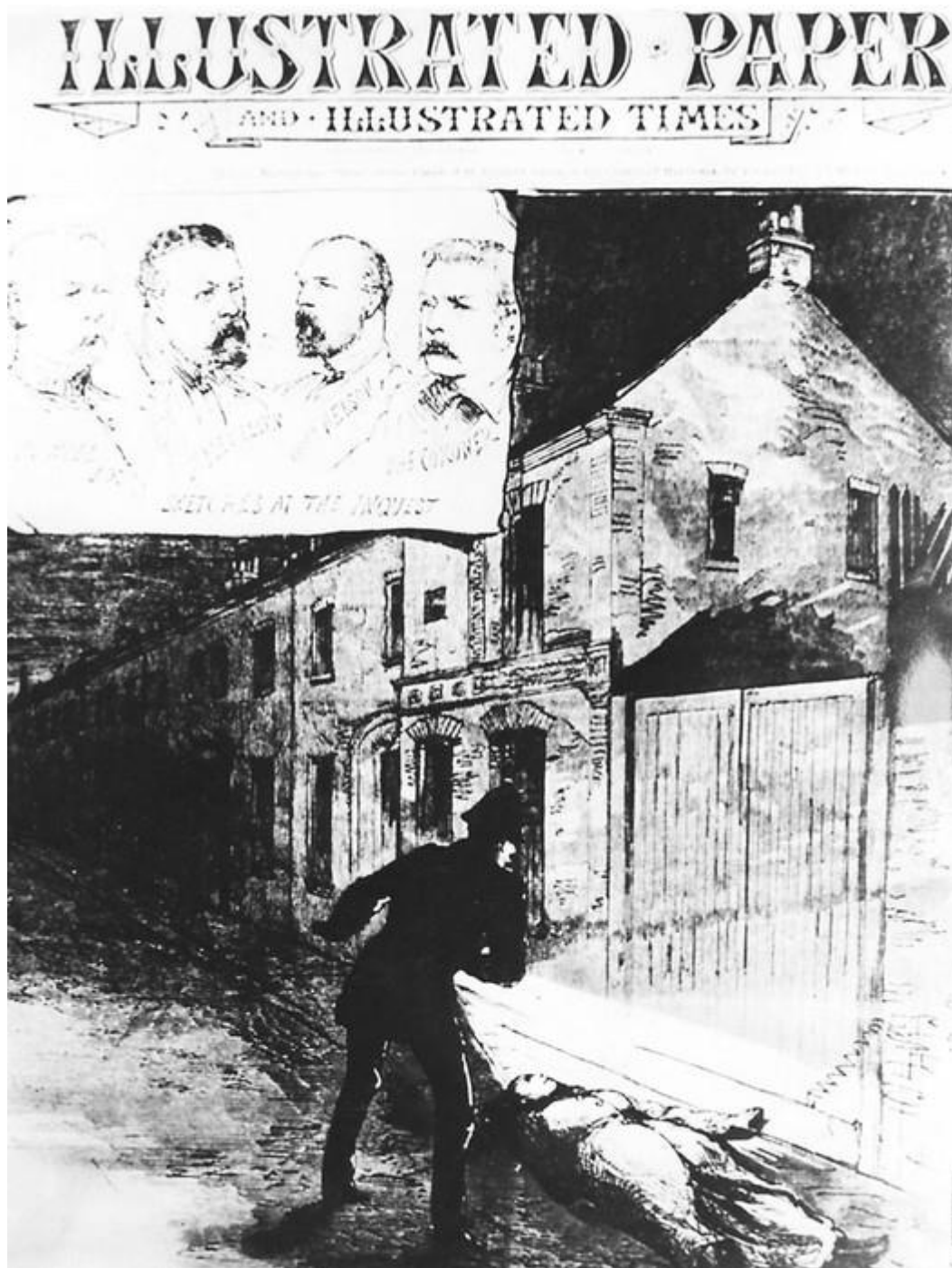
rko.

### Peter Kürten, Wampir z Düsseldorfu

Przez następne dwa i pół miesiąca na mrocznych uliczkach Whitechapel znaleziono trzy kolejne martwe prostytutki. Kiedy 9 listopada w wynajętym pokoju odkryto piątą, Mary Jane Kelly, Scotland Yard wcale nie był bliżej zidentyfikowania mordercy, który do tego czasu otrzymał już przydomek Kuba Rozpruwacz. Zdesperowani policjanci

wezwali na pomoc doktora Thomasa Bonda, chirurga z wydziału policji w Westminsterze. W trakcie oględzin zwłok doktor osłupiał ze zgrozy. W klatce piersiowej nie znalazł serca. Kuba Rozpruwacz zabrał je ze sobą.

Jakiś czas później, w zaciszu swojego gabinetu, Bond zaczerpnął powietrza i zaczął rozmyślać nad tym, co widział. Przede wszystkim odpowiedział na główne pytanie stawiane przez policję. W odróżnieniu od pierwszego lekarza sądowego doszedł do wniosku, że morderca „nie dysponuje nawet wiedzą rzeźnika czy jakiegokolwiek innej osoby nawykłej do rozcinania tusz”. Ambicje Bonda nie ograniczały się jednak do stwierdzenia, kim nie jest Rozpruwacz. Przejrzał policyjne raporty oraz zapiski z sekcji zwłok kilkunastu prostytutek zamordowanych w Whitechapel w ciągu poprzednich siedmiu miesięcy i uznał, że pięć z nich zabił ten sam człowiek. Kuba Rozpruwacz atakował między północą a szóstą rano przy użyciu długiego noża. podpis, czyli cechy rozpoznawcze pozwalające ustalić, że zbrodnia jest dziełem konkretnego mordercy.



Kuba Rozpruwacz na pierwszych stronach gazet. Okładka ówczesnego czasopisma, na której posterunkowy Neil znajduje ciało Mary Anne Nichols Bonda w równej mierze interesowała sama zbrodnia co tak zwany



Ofiary Rozpruwacza leżały na plecach z rozłożonymi nogami, miały podcięte gardła, a ich wnętrzności sprawca wyjmował, a czasami nawet

zabierał z miejsca zbrodni. Z morderstwa na morderstwo ich obrażenia były coraz bardziej dotkliwe – klasyczny przykład coraz większej pewności siebie prowadzącej do eskalacji przemocy. Cztery ofiary zostawił na ulicy. Ostatnią, Mary Kelly, zabił w czterech ścianach, dzięki czemu miał więcej czasu, by ją okaleczyć.

Bond opisał Rozpruwacza jako „ulegającego powtarzającym się atakom erotomanii i żądzy zabijania” i sporządził swój słynny profil mordercy:

To człowiek o wielkiej sile fizycznej, niesłychanym opanowaniu i odwadze (...). Jeśli chodzi o powierzchowność, to najprawdopodobniej cichy, wyglądający na nieszkodliwego mężczyzna w średnim wieku, porządnie ubrany. Wydaje się, że ma w zwyczaju nosić pelerynę lub płaszcz, w innym wypadku trudno byłoby mu zbiec z miejsca zbrodni bez wzbudzania zainteresowania na ulicy z powodu śladów krwi na rękach i ubraniu (...). Z natury zapewne jest samotnikiem ze skłonnością do ekscentryczności, (...) być może żyjącym pośród szanowanych osób, mających pewną wiedzę na temat jego charakteru i zwyczajów, jak również podstawy do podejrzeń, że czasami szwankuje na umyśle.

Niektóre stwierdzenia w profilu sporządzonym przez Bonda wydają się naciągane (niby dlaczego morderca miałby być w średnim wieku?). Ignoruje on też pewne czynniki, takie jak brak nasienia na miejscach zbrodni. Mimo to raport ten zrobił olbrzymie wrażenie na wyższych rangą funkcjonariuszach policji i przedstawicielach rządu zaangażowanych w śledztwo. Rzecz jasna, nie wiemy, na ile trafne były przypuszczenia Bonda, ponieważ policja nigdy nie ujęła Kuby Rozpruwacza. Jednak profil sporządzony przez doktora jest niezwykle starannym dokumentem, pełnym słów do dziś używanych przy profilowaniu przestępców, takich jak „zapewne”, „najprawdopodobniej” i „być może”. Ponadto porusza on ważne kwestie – choćby sposób, w jaki Rozpruwacz zdołał uciekać niezauważony z miejsca zbrodni.

Początek współczesnej historii profilowania przestępców datuje się na lata czterdzieste dwudziestego wieku, kiedy amerykańskie Biuro Służb Strategicznych (Office of Strategic Services) poprosiło psychiatrę Waltera Langer'a o przygotowanie profilu Adolfa Hitlera. Po drugiej wojnie światowej Lionel Haward, psycholog pracujący w brytyjskich Królewskich Siłach Lotniczych (a przedtem na Uniwersytecie Surrey) sporządził listę charakterystycznych cech, które mogą przejawiać wysoko postawieni niemieccy przestępcy wojenni. Profilowanie stosował również w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku doktor James Brussel, zastępca

komisarza do spraw zdrowia psychicznego stanu Nowy Jork. Brussel mieszkał w West Village, palił fajkę i był wyznawcą Freuda. Trudno uznać go za grzecznego chłopca. Jedną z wielu jego książek nosiła tytuł *Instant Shrink: How to Become an Expert Psychiatrist in Ten Easy Lessons* (Psychiatra w wersji instant. Jak zostać specjalistą w dziedzinie psychiatrii w dziesięciu prostych lekcjach).

Najbardziej znany jest ze sporządzenia profilu Szalonego Bombiarza z Nowego Jorku, który terroryzował miasto przez szesnaście lat.

Szesnastego listopada 1940 roku pracownik firmy energetycznej Consolidated Edison znalazł na parapecie w siedzibie firmy w Nowym Jorku niewielką rurobombę wypełnioną prochem. Zawinięta była w papier, na którym odręcznie napisano: „OSZUŚCI z CON EDISON – TO DLA WAS”. Ładunek okazał się niegroźny. Dziesięć miesięcy później podobną bombę znaleziono na ulicy jakieś pięć przecznic od siedziby tej samej firmy, również z dołączoną notatką. I podobnie jak pierwsza, ta również okazała się nieszkodliwa.

Po japońskim ataku na Pearl Harbor w grudniu 1941 roku nowojorska policja otrzymała list następującej treści: „PODCZAS WOJNY NIE BĘDĘ WIĘCEJ PODKŁADAŁ BOMB – NIE POZWALA MI NA TO MÓJ PATRIOTYZM. PÓŹNIEJ JEDNAK WYMIERZĘ CON EDISON SPRAWIEDLIWOŚĆ – ZAPŁACĄ ZA SWOJE PODŁE UCZYNKI”.

I rzeczywiście, w Nowym Jorku nie znaleziono ani jednej rurobomby aż do 1951 roku. Wówczas to Szalony Bombiarz rozpoczął nową ofensywę. Przez następne pięć lat podłożył co najmniej trzydzieści jeden ładunków, głównie w budynkach użyteczności publicznej, w tym w teatrach, kinach, bibliotekach, na stacjach kolejowych i w toaletach.

Każdy z nich był rurobombą wypełnioną prochem i ukrytą w wełnianej skarpecie. Urządzenie zegarowe wykonywał z baterii do latarki i zegarka kieszonkowego. Czasami policja otrzymywała telefoniczne ostrzeżenia; kiedy indziej ładunki nie wybuchały. Stale powtarzały się za to pogróżki, że bomby będą podkładane dopóty, dopóki Consolidated Edison nie spotka sprawiedliwa kara.

Pierwsza bomba wybuchła w marcu 1951 roku nieopodal Oyster Bar na stacji Grand Central. W grudniu 1952 roku w Loews Theater przy Lexington Avenue po raz pierwszy raniła człowieka. W listopadzie 1954 roku ładunek ukryty w jednym z foteli w Radio City Music Hall wybuchł, gdy publiczność oglądała *Białe Boże Narodzenie*. Cztery osoby zostały

ranne. W grudniu 1956 roku sześć osób odniosło rany w wyniku eksplozji bomby w Paramount Theater na Brooklynie. Tysiąc pięćset osób zgromadzonych na widowni oglądało wówczas *Wojnę i pokój*.

W mieście wrzało. Policja miejska Nowego Jorku rozpoczęła największą akcję poszukiwawczą w swoich dziejach. Uważano, że za zamachami stoi były pracownik Con Ed żywiący urazę do firmy. Jednak badania daktyloskopijne, analizy grafologiczne i sprawdzanie ładunków wybuchowych nic nie dały.

Wtedy policjanci wezwali na pomoc Brussela. Zapoznał się z aktami sprawy, przyjrzał się miejscom zbrodni oraz metodom działania Szalonego Bombiarza i przygotował dokument, który nazwał portretem: „Przestudiowałem działania sprawcy, wydedukowałem, jakim może być człowiekiem”. Brussel uznał, że Szalony Bombiarz jest uzdolnionym technicznie Słowianinem, praktykującym katolikiem, mieszkańcem Connecticut po czterdziestce, schludnym i gładko ogolonym, kawalerem i najprawdopodobniej prawiczkim. Zauważył ponadto, że mężczyzna pisze literę „W” tak, jakby to było podwójne „U”, co upodabnia ją do kobiecych piersi. Miało to oznaczać, że cierpi na kompleks Edypa i prawdopodobnie mieszka z matką lub inną starszą krewną. Brussel doszedł też do wniosku, że Szalony Bombiarz jest paranoikiem. Na zakończenie napisał, że podczas zatrzymania przez policję będzie miał na sobie zapięty dwurzędowy garnitur.

Na prośbę psychiatry profil sprawcy został opublikowany w „New York Timesie” w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia w 1956 roku.

Prawdopodobnie w ten sposób Brussel najbardziej przyczynił się do schwytania Szalonego Bombiarza. W drugi dzień świąt „New York Journal-American” zamieścił list otwarty z obietnicą sprawiedliwego procesu, jeśli mężczyzna odda się w ręce policji. Bombiarz odpisał, że nie może, i poskarżył się na Con Ed: „Uczestniczyłem w wypadku w godzinach pracy. Leczenie kosztowało tysiące dolarów (...). Nie dostałem ani grosza za swój ból i udramę”.

Te słowa skłoniły pracownicę firmy Alice Kelly do przejrzenia akt pracowniczych sprzed lat czterdziestych (przedtem firma utrzymywała, że je zniszczono). Znalazła akta George’a Metesky’ego, który pracował w Con Ed w latach 1929–1931 i został poszkodowany w wypadku, do którego doszło w elektrowni Hell Gate. Metesky twierdził, że nawdychał się wówczas szkodliwych gazów, co doprowadziło do zachorowania na

zapalenie płuc i gruźlicę. Kiedy zwolniono go z pracy bez odszkodowania, napisał dziewięćset listów do burmistrza, komendanta policji i gazet. „Nigdy nie dostałem nawet najkrótszej odpowiedzi” – poskarżył się później. Kelly przejrzała listy wysłane przez mężczyznę do jej firmy i zauważyła, że w kilku używa wyrażenia „podłe uczynki”, tego samego, które pada w liście Szalonego Bombiarza.

Dwudziestego pierwszego stycznia 1957 roku policjanci podjechali pod dom Metesky’ego w Westchester w Connecticut. Otworzył im ubrany w piżamę, którą dopiero co włożył, by spędzić wieczór ze swoimi dwiema starszymi siostrami. Kobiety oświadczyły, że jest niesamowicie schludnym mężczyzną, który regularnie chodzi do kościoła. Poszedł na górę się ubrać, a kiedy wrócił, miał na sobie zapięty dwurzędowy garnitur. Powiedział policjantom, że konstruował swoje bomby w taki sposób, by uniknąć ofiar. Psychiatrzy uznali Metesky’ego za niepoczytalnego. Został umieszczony w Stanowym Szpitalu dla Chorych Psychiczenie Przeszłoców w Matteawan. Wypuszczono go w 1973 roku. Umarł dwie dekady później w wieku dziewięćdziesięciu lat.

Mimo że profil Brusselsa przeszedł do legendy, w rzeczywistości dopiero drobiazgowo sprawdzenie akt pracowniczych dokonane przez Alice Kelly pozwoliło na zatrzymanie sprawcy. Jednak dokument sporządzony przez psychiatrę uznano za przejaw geniuszu, ponieważ trafnie odmalował swojego bohatera jako ciepiącego na paranoję katolika słowiańskiego pochodzenia, mieszkającego w Connecticut i noszącego określony rodzaj garnituru. Jego wnioski nie powstały jednak za sprawą czarów, ale były dowodem żelaznej logiki: podkładanie bomb zwykle wiąże się z paranoją, ten sposób wyrażania protestu był rozpowszechniony we wschodniej Europie, większość Słowian to katolicy, wielu mieszka w Connecticut, a dwurzędowe garnitury w latach pięćdziesiątych po prostu były modne.

Najbardziej szokujący w całej tej sprawie wydaje się fakt, że nowojorska policja przez szesnaście lat nie potrafiła wytropić Szalonego Bombiarza, mimo że w swoich liścikach dostarczał wiele wskazówek.

W jednym z nich napisał nawet: „JESTEM CHORY I CON EDISON MUSI ZA TO ZAPŁACIĆ”.

Malcolm Gladwell w artykule zamieszczonym w „New Yorkerze” w 2007 roku napisał: „Brussel wcale nie zrozumiał umysłu Szalonego Bombiarza. Zrozumiał tylko, że jeśli przepowiadasz wiele rzeczy, te, których nie udało ci się przewidzieć, szybko zostaną zapomniane. To nie

jest tryumf psychologii sądowej. To tryumf kuglarskich sztuczek”. Jednak w latach pięćdziesiątych ludzie nie krytykowali Brussela. Po prostu czuli ulgę. Dokument stworzony przez psychiatrę odegrał wielką rolę, ponieważ zachęcił policjantów do zlecenia psychiatrom i psychologom sporządzania profili przy dochodzeniach toczących się w poważnych sprawach.



Policjanci prowadzący Szalonego Bombiarza, czyli George’a Metesky’ego. Ma na sobie dwurzędowy garnitur. Dr James Brussel, który sporządził profil zamachowca przed jego schwytaniem, przewidział, że w chwili aresztowania będzie właśnie tak ubrany



W 1977 roku FBI wprowadziło do programu nauczania w swojej akademii w Quantico w Wirginii zajęcia z profilowania. Był to pomysł Howarda Tetona, który uważał Jamesa Brussela za „prawdziwego pioniera na tym polu” i był pod wielkim wrażeniem jego sukcesów.

Niewielka grupa agentów FBI jeździła w weekendy do więzień. Tam rozmawiała z trzydziestoma sześcioma seryjnymi mordercami i gwałcicielami. Agentom zależało na sporządzeniu profili na podstawie dowodów empirycznych, a nie przeczuć i anegdot. W rezultacie stworzyli dwa modele seryjnych morderców: chaotycznego, który atakuje przypadkowe ofiary i nie obchodzi go, kim one są, morduje je byle jak i zostawia liczne ślady, oraz zorganizowanego, który starannie wybiera ofiary, by realizowały jego specyficzne fantazje, spędza z nimi dużo czasu i rzadko zostawia ślady.

Podział seryjnych morderców na dwie kategorie jest kuszący, ale nie do końca odpowiada rzeczywistości. Raczej mamy tu do czynienia z całym spektrum zachowań. Podczas gdy jedni mordercy cały czas działają chaotycznie, inni z biegiem lat stają się coraz bardziej zorganizowani. Na przykład Kuba Rozpruwacz zajął się Mary Kelly, swoją piątą i prawdopodobnie ostatnią ofiarą, w zaciszu wynajętego pokoju, by starannie ją okaleczyć. Z drugiej strony eskalacja przemocy nie zawsze sprawia, że mordercy są lepiej zorganizowani. Gdy wzrasta żądza krwi, ich ataki mogą się stać bardziej chaotyczne i nieostrożne.

Hollywoodzkie filmy każą nam postrzegać seryjnych morderców jako enigmatycznych, niezmiernie inteligentnych i pochodzących z klasy średniej białych. Po części odpowiada to prawdzie – ze statystyk wynika, że ich inteligencja zwykle nieznacznie przekracza przeciętną, są samotni, biali i wywodzą się (z pewnymi wyjątkami) z klasy robotniczej lub średniej.

Jak zauważył ekspert kryminalistyczny Brent Turvey:

Mamy gwałciciela, który atakuje kobietę w parku i podciąga jej bluzkę tak, by zasłaniała jej twarz. Dlaczego? Co to może znaczyć? Otóż może to oznaczać dziesięć różnych rzeczy. Może to oznaczać, że nie chce jej widzieć. Może to oznaczać, że nie chce, żeby ona widziała jego.

Może to oznaczać, że chce widzieć jej piersi, chce wyobrazić sobie kogoś innego, chce w ten sposób skrępować jej ręce – wszystko to jest możliwe. Nie można patrzeć na jedno zachowanie w oderwaniu od innych.



Wielu z nas swoje pierwsze spotkanie z profilerem przeżyło w ciemności. Film *Milczenie owiec* (1991) oparty na fascynującej powieści Thomasa Harrisa zapoznał nas z agentką FBI Clarice Starling graną przez Jodie Foster. Clarice została oddelegowana do prowadzenia śledztwa w sprawie seryjnego mordercy, ponieważ jej szefowie uznali, że uda się jej uzyskać pomoc Hannibala Lectera, genialnego psychiatry odsiadującego wyrok za popełnienie serii morderstw o podtekście kanibalistycznym. Zarówno w filmie, jak i w książce utkano zawiłą sieć zagadek i fałszywych tropów, która odzwierciedla trudności w sporządzeniu profilu seryjnego mordercy.

Książki Thomasa Harrisa o Hannibalu Lecterze jako jedne z pierwszych zawierają motyw profilowania przestępców. Od tamtej pory był on często wykorzystywany przez wielu autorów kryminałów, nie wyłączając mnie. Dla pisarzy zrozumienie motywacji bohaterów wydaje się kluczowe. Dzięki psychologii sądowej otrzymaliśmy idealnego bohatera: kogoś, kto spogląda na innych analitycznie, ale i z empatią, a do tego bierze udział w wydarzeniach.

Jednak nie tylko pisarzy fascynują możliwości, które zapewnia profilowanie przestępców. Już w połowie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku siły policyjne na całym świecie były pod wrażeniem profilerów szkolonych przez FBI. Dawali oni nadzieję na rozwiązanie spraw, które dotąd wydawały się beznadziejne.

Przez cztery lata londyńska policja próbowała wytropić gwałciciela napadającego na mieszkanki Londynu. Ataki rozpoczęły się w 1982 roku, kiedy mężczyzna w kominiarce zgwałcił kobietę w pobliżu stacji metra Hampstead Heath. W podobnych okolicznościach doszło do kolejnych gwałtów w północnym Londynie. Dwudziestego dziewiątego grudnia 1985 roku Gwałciciel z Metra zmienił się w Mordercę z Metra, kiedy wywlókł z pociągu dziewiętnastoletnią Alison Day, zakneblował ją i związał, po czym zgwałcił i zadusił kawałkiem sznurka.

W tamtej chwili policja przypisywała już jednemu sprawcy (czasami działającemu ze współnikiem) czterdzieści gwałtów. Potem ofiarą ataku padła piętnastoletnia Holenderka Maartje Tamboezer, która jechała na rowerze przez las w pobliżu stacji kolejowej w Surrey. Dwóch mężczyzn wlokło ją przez kilometr, potem zgwałciło, udusiło jej własnym paskiem i podpaliło ciało. Zaledwie miesiąc później prezenterka lokalnej telewizji

Anne Locke została uprowadzona w chwili, gdy wysiadała z pociągu w Brookmans Park w Hertfordshire.

Lista podejrzanych osiągnęła niebotyczne rozmiary. Potrzebne było świeże spojrzenie.

W 1986 roku policjanci skontaktowali się z Davidem Canterem, psychologiem z Uniwersytetu w Surrey. Zadali mu jedno pytanie: „Czy pomoże nam pan schwycić sprawcę, zanim znów kogoś zabije?”.

Do wszystkich ataków dochodziło wieczorami lub w pobliżu stacji metra albo dworców kolejowych. Ich ofiarami padały zwykle nastolatki.

Gwałcono je, a w trzech wypadkach następnie uduszono. Canter przeanalizował daty i szczegóły napadów, a potem umieścił na mapie miejsca, w których się one wydarzyły. Zasugerował, że początkowo gwałtów dokonywano pod wpływem sprzyjających okoliczności, jednak po pewnym czasie zaczęto je planować. Do pierwszych ataków doszło na terenie znanym sprawcy, blisko jego domu. Potem mężczyzna rozszerzył działalność na obszary, gdzie nikt nie mógł go rozpoznać. Na podstawie zeznań świadków i raportów policyjnych Canter przygotował profil przestępcy. Jego zdaniem był żonaty, ale bezdzietny (ponieważ przed niektórymi atakami rozmawiał ze swoimi ofiarami), miał pracę wymagającą pewnych kwalifikacji (bo umiał zaplanować późniejsze napady), był przed trzydziestką (tak wynikało z zeznań świadków) oraz „prawdopodobnie od dawna stosował przemoc wobec kobiet i ma opinię osoby o trudnym charakterze”.

Dzięki profilowi Cantera policjanci zaczęli śledzić Johna Duffy’ego, stolarza, który przez pewien czas pracował w British Rail i mieszkał w Kilburn, bardzo blisko miejsca trzech pierwszych napadów.

Duffy już wcześniej był na liście podejrzanych, gdyż zgwałcił pozostającą z nim w separacji żonę, przystawiając jej nóż do gardła.

Znajdował się jednak na dole tej listy, gdyż policjanci zaklasyfikowali to zdarzenie jako sprawę rodzinną. Kiedy Canter stwierdził, że Gwałciciel z Metra może mieć na koncie podobne akty przemocy, Duffy został przesunięty na górę listy. Policjanci aresztowali go, gdy szedł za jakąś kobietą w parku. Udowodniono mu dwa morderstwa i cztery gwałty.

W lutym 1988 roku uznano go za winnego.

Trzydzieści siedem punktów profilu sporządzonego przez Cantera pasowało do Duffy’ego. Według psychologa miał być niewysoki (mierzył metr sześćdziesiąt trzy), czuć się nieatrakcyjny (miał na twarzy

blizny po trądziku), interesować się sztukami walki (spędzał mnóstwo czasu w klubie sztuk walki i kolekcjonował broń wykorzystywaną w kung-fu), zbierać pamiątki związane ze swoimi zbrodniami (miał trzydzieści trzy klucze do domów swoich ofiar). Po skazaniu Duffy'ego brytyjska policja zaczęła powszechnie korzystać z usług psychologów przy poważniejszych śledztwach.

Jednak współnik gwałciela wciąż pozostawał na wolności. Przez blisko dziesięć lat Duffy odmawiał zeznań na jego temat. Ostatecznie informacje wydobyła z niego psycholog sądowa Jenny Cutler. Jak twierdzi mój informator: „Zaczął ją lubić. Czuł się zagubiony w nieprzyjaznym męskim środowisku. Na swój sposób uległ jej urokowi”. W końcu wyjawiał nazwisko swojego towarzysza – okazał się nim przyjaciel z dzieciństwa David Mulcahy. Ponieważ obaj wywodzili się z irlandzkiej klasy pracującej, inni uczniowie znęcali się nad nimi.

Dzięki temu chłopcy zbliżyli się do siebie. W wieku trzynastu lat Mulcahy został wyrzucony ze szkoły za to, że zatłukł na śmierć jeża na szkolnym podwórku. Był cały we krwi, a Duffy stał obok niego i zanosił się śmiechem. Pierwszy wspólny gwałt zaliczyli, gdy mieli po dwadzieścia dwa lata. W sądzie podczas rozprawy Mulcahy'ego Duffy wyjaśnił: Zwykle jeździliśmy samochodem. Nazywaliśmy to polowaniem.

Szukaliśmy ofiary, a po znalezieniu śledziliśmy ją. David miał na kasecie *Thriller* Michaela Jacksona. Puszczaliśmy ten utwór i śpiewaliśmy podczas przygotowań. (...) To był taki nasz żarcik, rodzaj zabawy. Pomagał budować napięcie. (...) To jak uzależnienie – strasznie trudno to przerwać.

Analiza DNA, której wykonanie w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku nie było możliwe, nie pozostawiała wątpliwości.

W 1999 roku Mulcahy został uznany za winnego popełnienia trzech morderstw i siedmiu gwałtów, natomiast Duffy – kolejnych siedemnastu gwałtów.

Najbardziej pożyteczne w profilu sporządzonym przez Davida Cantera okazało się przypuszczenie dotyczące miejsca zamieszkania sprawców. Przed skazaniem Duffy'ego Canter był psychologiem środowiska. Po zakończeniu tej sprawy przebranżowił się na psychologa śledczego i przez większość czasu zajmuje się profilowaniem geograficznym. Tak jak praworządni obywatele lubią odwiedzać te same sklepy, tak większość

przestępców lubi popełniać zbrodnie w tych samych rejonach. Czują się bezpieczniej w znanych sobie okolicach.

David Canter postawił hipotezę okręgu: jeśli narysuje się okrąg, który będzie przechodził przez miejsca zbrodni położone najdalej od siebie, prawdopodobnie sprawca mieszka w jego środku. Badania potwierdziły, że sprawdza się to w przypadku większości przestępców, którzy zaatakowali ponad pięć razy. Canter odkrył też, że seryjny morderca zwykle mieszka w obrębie trójkąta, którego wierzchołkami są miejsca jego trzech pierwszych zbrodni, tak jak to było w przypadku Duffy'ego.

Psycholog opracował specjalne oprogramowanie komputerowe o nazwie Dagnet (Obława). Program nie stawia iksa w miejscu, w którym prawdopodobnie znajduje się dom mordercy, ale zaznacza możliwe obszary jego zamieszkania i za pomocą różnych kolorów wskazuje, jakie jest tego prawdopodobieństwo.

Osobiście zetknęłam się z wykorzystaniem algorytmów komputerowych w tropieniu seryjnych przestępców dzięki Kimowi Rossmowi, śledczemu z wydziału policji w Vancouver. Był pierwszym policjantem w Kanadzie, który uzyskał doktorat z kryminologii. Badania prowadzone na potrzeby tej dysertacji zaowocowały opracowaniem przez niego programu, który pozwala ustalić miejsce zamieszkania sprawcy. Kiedy się poznaliśmy, program był właśnie w fazie testów beta przeprowadzanych przez śledczych zajmujących się włamaniami.

Wyniki wprawiły ich w osłupienie. Ja również byłam pod tak wielkim wrażeniem tego, co zobaczyłam i usłyszałam, że pozwoliłam sobie wykorzystać to w swoim thrillerze *Killing the Shadows*, opublikowanym w 2000 roku, gdy profilowanie geograficzne dopiero raczkowało. Kiedy po latach odbywałam trasę promocyjną po Ameryce, pewnego ranka włączyłam telewizor i ujrzałam Kima Rossmę, który właśnie wypowiadał się na temat poszukiwań snajpera z Waszyngtonu.



Niszowa nowinka naukowa w ciągu kilku lat została rozpowszechniona na szeroką skalę.

Gdy pisałam *Killing the Shadows*, miałam już na koncie dwie powieści, których bohaterem był psycholog kliniczny i profiler, doktor Tony Hill. Kiedy w mojej głowie zrodził się pomysł na pierwszą z nich, *Syreni śpiew*, wiedziałam, że potrzebuję pomocy. Brytyjska policja działa trochę inaczej niż FBI czy Kanadyjska Królewska Policja Konna.

Nie szkolimy policjantów w zakresie nauk behawioralnych, raczej skłaniamy się do tego, by śledczy korzystali z pomocy lekarzy i naukowców. Nagle uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, jak to wygląda w praktyce i czym właściwie zajmuje się profiler. Zwróciłam się o pomoc do doktora Mike'a Berry'ego. I chociaż przywłaszczyłam sobie jego metody pracy, pozwolę sobie w tym miejscu złożyć oświadczenie, że różni się on od doktora Tony'ego Hilla dosłownie pod każdym względem!

Psycholog Mike Berry, podobnie jak David Canter, zaczął sporządzać profile przestępców, gdy tylko brytyjska policja zaczęła traktować je serio. Przez wiele lat pracował na najtrudniejszym odcinku – zajmował się pacjentami strzeżonych szpitali psychiatrycznych. Potem został wykładowcą psychologii na Uniwersytecie Manchesterskim.

Obecnie wykłada w dublińskim Królewskim Kolegium Chirurgów.

„Odbyłem szkolenie kliniczne, a następnie staż na oddziałach klinicznych zajmujących się dorosłymi, osobami z zaburzeniami uczenia się i dziećmi oraz na neuropsychologii. Potem rozpocząłem pracę w Broadmoor z Tonym Blackiem i innymi kolegami”. Broadmoor to strzeżony szpital psychiatryczny w Berkshire, w którym od dnia otwarcia w 1863 roku przebywali najgroźniejsi przestępcy Wielkiej Brytanii, w tym Charles Bronson, Ronnie Kray i Peter Sutcliffe, zwany Rozpruwaczem z Yorkshire. Po latach Mike przeniósł się do szpitala Ashworth w Merseyside, gdzie zajmował się szczególnie niebezpiecznymi pacjentami.



Mike Berry, który rozpoczynał karierę w tych samych czasach co David Canter, przyznaje, że wczesne prace tego ostatniego walenie przyczyniły się do wymierzenia sprawiedliwości dwóm mordercom i zwiększenia popularności profilowania geograficznego. Jednak widzi również ujemne strony tej sytuacji: To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Wszystko poszło za szybko. Media zaczęły wywierać presję na policję. Mogły mówić: „Minął już tydzień, a wy jeszcze nikogo nie znaleźliście? Kiedy w końcu zatrudnicie ekspertów?”. Uważano, że wystarczy zapukać do drzwi psychologa, a dwie godziny później morderca będzie już za kratkami.

Potem jednak doszło do sprawy, która poważnie podkopała zaufanie społeczeństwa do profilowania przestępców. Dwudziestego ósmego lipca 1992 roku londyńska policja zatrudniła profilera Paula Brittona.

Funkcjonariusze potrzebowali pomocy w schwytaniu sprawcy przerażającej zbrodni, do której doszło dwa tygodnie wcześniej w parku Wimbledon Common w południowo-zachodnim Londynie. Rachel Nickell, dwudziestotrzyletnia modelka o niebieskich oczach i blond włosach, poszła na spacer ze swoim dwuletnim synem Alekssem i psem.

Kiedy przechodziła przez porośnięty drzewami teren, zza drzew wyszedł mężczyzna i zadał jej czterdzieści dziewięć ciosów nożem. W swojej autobiografii *Profil mordercy* (1998) Paul Britton pisze, że Rachel leżała w najbardziej poniżającej pozycji, w jakiej mógł zostawić ją morderca, biorąc pod uwagę okoliczności – z odsłoniętymi pośladkami. Jej „gardło zostało rozcięte do tego stopnia, że głowa prawie odpadła”<sup>20</sup>. Alex był ubrudzony błotem, ale poza tym nie ucierpiał. Kiedy go znaleziono, krzychał: „Mamusi, obudź się!”.

Technicy odkryli w błocie przy ciele Rachel odcisk buta, ale żadnego nasienia, śliny ani włosów mordercy. Świadkowie zeznawali, że widzieli przeciętnie wyglądającego mężczyznę między dwudziestką a trzydziestką, który mył ręce w pobliskim strumieniu niedługo po morderstwie. Sprawa wzbudziła ogromne zainteresowanie mediów, a miejscowa organizacja kobieca zaproponowała policji przekazanie czterystu tysięcy funtów na pomoc w śledztwie, jednak oferta została odrzucona.

Policjanci poprosili Brittona o sporządzenie profilu mordercy. Ten uważał, że sprawca wybrał na ofiarę nieznaną kobietę, bo nie chciał ryzykować rozpoznania. „Jeżeli był w jakichś związkach, to były nieudane lub niesatysfakcjonujące. Oprócz dewiacji seksualnych cierpi prawdopodobnie na jakieś formy zaburzeń, na przykład trudności z utrzymaniem wzrodu lub kontrolą wytrysku”<sup>21</sup>. Chaotyczny charakter ataku i brak prób ukrycia ciała miały sugerować, że morderca „nie posiada inteligencji i wykształcenia wyższego niż przeciętne. Jeżeli pracuje, to jako pracownik fizyczny lub robotnik niewykwalifikowany.

Jest samotny i prowadzi względnie samotniczy styl życia, mieszka z rodzicami lub samodzielnie w mieszkaniu bądź kawalerce”<sup>22</sup>. Na końcu swojego raportu Britton zawarł ostrzeżenie: „Kolejny atak jest nieunikniony. Według mojej opinii mężczyzna ten w wyniku silnych zachowań dewiacyjnych i agresywnych fantazji w bliższej lub dalszej przyszłości zabije następną osobę”<sup>23</sup>. W sumie był to bardzo ogólny profil pasujący do wielu mężczyzn.

W ciągu miesiąca od morderstwa policjanci otrzymali ponad dwa i pół tysiąca telefonów i toneli w papierkowej robocie. Postanowili użyć profilu Brittona, by zacieśnić krąg podejrzanych. Kiedy w programie BBC *Crimewatch* przedstawiono rekonstrukcję morderstwa oraz zarys profilu sprawcy, na policję zadzwoniły trzy osoby i podały nazwisko Colina Stagga, dwudziestodzieciolatka mieszkającego samotnie jakieś półtora kilometra od Wimbledon Common. Powiedział on sąsiadom, że dziesięć minut przed śmiercią Rachel spacerował w pobliżu miejsca, w którym ją zamordowano.

We wrześniu, kiedy policjanci udali się do mieszkania Stagga, by zabrać go na przesłuchanie, na drzwiach jego mieszkania dostrzegli tabliczkę z napisem „Chrześcijanom wstęp wzbroniony, tutaj mieszka poganin”. W środku znaleźli pisma pornograficzne i książki o tematyce okultystycznej. Przesłuchiwali Stagga przez trzy dni. Kiedy zapytali go o buty, które nosił w dniu morderstwa, odparł, że wyrzucił je dwa dni przed aresztowaniem. Był w związkach z kilkoma kobietami, ale z żadną mu nie wyszło. Powiedział też policjantom, że kilka dni po morderstwie Rachel poszedł do Wimbledon Common i opalał się tam kompletnie nago, jeśli nie liczyć okularów przeciwsłonecznych. Na widok przechodzącej obok kobiety rozłożył nogi. Wielokrotnie powtarzał, że to nie on zabił Nickell i nie mył rąk w pobliskim strumieniu.

Stagg pasował do profilu przygotowanego przez Brittona i stał się głównym podejrzanym. Policjanci nie mieli jednak żadnego dowodu przeciwko niemu. Nie pozostało im nic innego, jak ponownie zwrócić się do psychologa. Po radzie postanowiono posłużyć się żywą przynętą w postaci atrakcyjnej policjantki.

Britton odbył z funkcjonariuszką ukrywającą się pod pseudonimem Lizzie James kilka spotkań sam na sam, podczas których udzielił jej niezbędnych wskazówek. Miała przekonać Stagga, że jest osobą otwartą i bezpruderyjną, żeby zaczął się jej zwierzać. Miała też powiedzieć mu, że jako nastolatka kontaktowała się z okultystami, podczas tych spotkań była wykorzystywana, a kiedyś zmuszono ją do oglądania morderstwa na tle seksualnym dokonanego na młodej kobiecie i dziecku. Po zerwaniu z tą grupą wszystkie jej związki z mężczyznami szybko się kończyły, ponieważ żaden z jej partnerów nie był na tyle sprawny seksualnie i dominujący, by zrealizować jej fantazje.

Lizzie napisała do Stagga. Odpowiedź nadeszła natychmiast.



Wysłała mu swoje zdjęcie i ich korespondencja nabrała tempa. Kobieta namawiała podejrzanego, by zwierzył się jej ze swoich fantazji:

Prosiłeś mnie o wyjaśnienie, co czuję, gdy piszesz do mnie takie osobiste listy. Cóż, po pierwsze, bardzo mnie podniecają, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wykazujesz ogromne opanowanie, jesteś powściągliwy, kiedy masz ochotę wybuchnąć. Chcę tego wybuchu. Chcę czuć twoją moc i dominację, tak bym była tylko w Twojej mocy, bezbronna i poniżona<sup>24</sup>.

Stagg odpisał: Potrzebujesz cholernie dobrego pieprzenia i prawdziwego faceta takiego jak ja... Jestem jedynym facetem na świecie, który może Ci to dać. Zrobię wszystko, abyś płakała w agonii, gdy będę się nad Tobą znęcał. Zniszczę Twoje poczucie własnej wartości, nigdy już nie spojrzysz ludziom w oczy...<sup>25</sup>

Dwudziestego dziewiątego kwietnia rozmawiali przez telefon (była to dopiero ich druga rozmowa telefoniczna). Stagg opowiedział Lizzie o swojej fantazji: wchodzi w nią od tyłu i ciągnie gwałtownie za pasek, który kobieta ma zapięty na szyi. Nazajutrz przysłał jej list, w którym przyznawał się do tego, że aresztowano go w związku z morderstwem Nickell. „Nie jestem mordercą – dodał – gdyż wierzę, że każdy przejaw życia od najmniejszego robaczka do rośliny, zwierzęcia i człowieka jest jedyny w swoim rodzaju i święty”<sup>26</sup>.

Pięć miesięcy po rozpoczęciu ich korespondencji Stagg i Lizzie spotkali się po raz pierwszy w Hyde Parku. Kobieta zdała mu pełną relację ze spotkań grupy okultystycznej, w których brała udział, a Stagg wręczył jej brązową kopertę. Zawierała opowiadanie, w którym ważną rolę odgrywali Stagg, jeszcze jeden mężczyzna, Lizzie, a także strumień, las, ból i nóż ociekający krwią. Pod koniec Stagg wyjaśniał, że napisał tę historię, bo pomyślał, że spodoba się Lizzie. Policjanci zareagowali entuzjastycznie. Britton powiedział im: „Przyglądamy się osobnikowi należącemu do bardzo niewielkiego odsetka mężczyzn w ogólnej populacji. (...) Szanse, że na Wimbledon Common mieszkają dwaj osobnicy należący do tej grupy, są niesamowicie małe”<sup>27</sup>.

W sierpniu 1993 roku Colin Stagg został aresztowany. Ponad rok później, kiedy sprawa w końcu trafiła do sądu, sędzia Ognall po przeczytaniu siedmiuset stron akt związanych ze sprawą nieprzychylnym okiem spojrział na pułapkę, którą policjanci i Britton zastawili na Stagga:

Obawiam się, że tego rodzaju zachowanie zdradza nie tylko nadmierny zapał, lecz także jest poważną próbą obciążenia podejrzanego poprzez stanowcze i zwodnicze postępowanie w sposób jak najbardziej rażący. (...) Oskarżenie próbowało przekonać mnie, że celem tej operacji było umożliwienie oskarżonemu albo wyeliminowania się z kręgu podejrzanych, albo wykazanie, że był on faktycznie zamieszany w morderstwo. Zmuszony jestem powiedzieć, że uważam opis tej akcji za wysoce nieszczer<sup>28</sup>.

Ognall uznał listy i nagrania z rozmów za niedopuszczalny materiał dowodowy i Stagg wyszedł na wolność.

W 1998 roku Lizzie James przeszła na wcześniejszą emeryturę w wieku trzydziestu trzech lat z powodu stresu pourazowego, którego doświadczyła w wyniku rozpracowywania Stagga. W roku 2002 Paul Britton stanął przed komisją dyscyplinarną Brytyjskiego Towarzystwa Psychologicznego (British Psychological Society) za to, że podczas śledztwa w sprawie śmierci Rachel Nickell udzielał porad, które nie miały podstaw naukowych, i wyolbrzymiał skuteczność swoich metod.

Jednak komisja zakończyła obrady zaledwie po dwóch dniach – uznano, że sprawa uległa przedawnieniu. Poza tym w ciągu tych dwóch dni członkowie gremium dowiedzieli się, że akcja została zatwierdzona przez najwyższe władze policyjne, a metody Brittona sprawdził wydział profilowania FBI w Quantico w Wirginii.

W tym samym roku policja powołała specjalny zespół do ponownego przeanalizowania sprawy morderstwa Rachel Nickell.

Naukowcy zbadali ubranie kobiety i udało im się wykryć ślady DNA za pomocą nowej, wyjątkowo czułej techniki (s. 213). Nie było to DNA Colina Stagga, lecz Roberta Nappera – schizofrenika paranoidalnego, który zdążył zgwałcić w Londynie osiemdziesiąt sześć kobiet, zanim go schwytano i zamknięto w Broadmoor. W listopadzie 1993 roku, szesnaście miesięcy po zamordowaniu Rachel Nickell, Napper zabił Samanthę Bisset i jej czteroletnią córeczkę Jazmine w ich mieszkaniu w Plumstead. W grudniu 2008 roku uznano go za winnego zamordowania Rachel.

Lekarz sądowy Dick Shepherd przeprowadzał sekcję zwłok zarówno Rachel, jak i Samanthy i Jazmine. Twierdzi, że w trakcie autopsji tych ostatnich zauważył: „Ten człowiek już to robił, to nie jest jego pierwsze morderstwo.

Nie sądzicie, że to może być morderca Nickell? To wygląda na robotę seryjnego mordercy”, ale wszyscy wykrzyknęli: „Nie, no co ty, przecież już mamy Stagga, nie spuszczaamy go z oczu przez całą dobę”. Kiedy zapytałem, czy te morderstwa nie są ze sobą powiązane, Paul Britton nazwał je „kompletnie różnymi”.

W maju 1994 roku policjanci przeszukali dom Nappera i znaleźli tam parę butów Adidas Phantom. Dopiero dekadę później porównali je z odciskiem buta zostawionego obok ciała Rachel Nickell w Wimbledon Common. W grudniu 2008 roku w artykule wstępnym w dzienniku „Times” stwierdzono:

Niechęć do prowadzenia śledztwa przeciwko Napperowi można wyjaśnić tylko wiarą Paula Brittona i oskarżycieli z Koronnej Służby Prokuratorskiej, że mają już sprawcę. Ich zdaniem to Colin Stagg był winny zamordowania Rachel Nickell, dlatego zignorowali materiał mogący obciążyć Nappera.

Stagg okazał się po prostu samotnym człowiekiem, desperacko pragnącym stracić dziewictwo z piękną kobietą. Jego najbardziej przesycone erotyzmem opowiadanie w tak dużym stopniu przypominało morderstwo Rachel prawdopodobnie dlatego, że czuł, iż Lizzie James pragnie brutalnego seksu. Potraktował to pragnienie jako inspirację.

Oprócz olbrzymiej tragedii rodzin Nickell i Bisset trzeba zwrócić uwagę na fakt, że oba śledztwa były niezwykle kosztowne. Na dodatek Colin Stagg zdołał wywalczyć odszkodowanie w wysokości siedmiuset sześciu tysięcy funtów (po części dlatego, że zszargano jego dobre imię i w rezultacie nigdzie nie mógł znaleźć pracy). Obecnie profilerzy są nazywani doradcami do spraw behawioralnych i muszą mieć akredytację. Wymowne jest to, że w wytycznych sformułowanych dla nich przez policję Kentu możemy przeczytać: „Muszą znać granice swoich kompetencji i nie mogą ich przekraczać”.

W przeciwieństwie do profilu Mordercy z Metra sporządzonego przez Davida Cantera najmniej użytecznym twierdzeniem zawartym w profilu napisanym przez Brittona okazało się to, że morderca Nickell „mieszka w niewielkiej odległości od Wimbledon Common i doskonale zna ten teren”<sup>29</sup>. W rzeczywistości terenem działania Roberta Nappera były okolice Plumstead, a do Wimbledon Common przyjechał tylko na gościnne występy.

Mike Berry zjawia się na miejscu zbrodni, gdy tylko zostanie odkryta, ponieważ uważa, że pomaga mu to wstępnie ustalić związek sprawcy z danym terenem.

Pamiętam, jak przed laty odwiedziłem miejsce zbrodni w miejskim parku – wspomina. Taksówkarz dał mi latarkę i powiedział: „Nie może pan tam iść sam, już pan stamtąd nie wróci”. Była północ i w parku panowała całkowita ciemność. Miało to istotny wpływ na mój profil.

Powiedziałem sobie: „Dobra, to wszystko, co muszę wiedzieć”. Ciało znaleziono w stawie pośrodku parku. Osoba, która zabiła kobietę, musiała bardzo dobrze znać ten teren, inaczej nie udałooby się jej tam trafić. Ze zdjęć zrobionych za dnia nie wynikało, jak ciemno jest tam w nocy.

Wcześnie uzyskana prosta informacja może stanowić solidną podstawę profilu sprawcy. Staje się to tym ważniejsze, im mniej śladów znajduje się na miejscu zbrodni.

Pamiętam pewną sprawę – kontynuuje Mike. Rozmawialiśmy z miejscowym posterunkowym. Powiedział nam, że młodzi, którzy wracają taksówkami z nocnych klubów w pobliskim mieście, zazwyczaj wysiadają przed lasem. Idą leśną ścieżką, zatrzymują się na polanie, tam piją i palą, a potem ruszają do wioski, w której mieszkają. Gdyby brali taksówkę do samej wioski, kosztowałyby to ich dwa razy tyle, bo szosa biegnie dookoła lasu. Ofiara, szesnastoletnia dziewczyna, nie bała się pójść z kimś przez las, bo wszyscy tak robili. Posterunkowy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ważne jest to, co powiedział. Właśnie wytłumaczył, dlaczego ofiara znalazła się w lesie. Była w dzinsach i bluzce i nic nie wskazywało na to, że odbyła stosunek.

Najprawdopodobniej po prostu odrzuciła zaloty osoby, z którą szła, a ta wpadła w złość, chwyciła ją za gardło, udusiła, a potem poszła do domu.

Przekonało to śledczych, że sprawcą popełnionego pod wpływem impulsu, nieplanowanego zabójstwa jest młody mężczyzna mieszkający w wiosce. W tym miejscu warto zaznaczyć, że policjanci zajmujący się sprawą byli obcy w tym rejonie, więc rozmowa z miejscowym posterunkowym miała sens, bo mogła dostarczyć niezbędnych informacji. Kilka godzin później zatrzymano podejrzanego. Idealnie pasował do profilu i został uznany za winnego.

Od pierwszej chwili byłem zafascynowana opowieściami Mike'a o profilowaniu. Metody działania Tony'ego Hilla wywodzą się właśnie z jego sposobu postępowania. Półki w gabinecie Mike'a pełne są książek

związanych z psychologią sądową, w tym wspomnień profilerów opowiadających o swoich doświadczeniach. Mike ma świadomość pułapek, w które wpadają niektórzy z nich. „Zawsze lepiej mówić, że to charakterystyka prawdopodobnego mordercy, a nie charakterystyka mordercy. Psycholodzy nie powinni próbować wskazywać konkretnych osób”.

Mike przygotowuje profile na podstawie badań empirycznych sprawców, ale opiera się również na doświadczeniu zdobytym w czasie lat pracy z przestępcami podczas terapii i dochodzeń. Zapewnia mu to bogaty materiał pomocniczy przy konstruowaniu profili, w których i tak – podobnie jak w raporcie doktora Thomasa Bonda z 1888 roku – roi się od słów w rodzaju „zapewne”, „najprawdopodobniej” i „być może”. No chyba że jest czegoś absolutnie pewien.

Po wizycie na miejscu zbrodni Mike analizuje zdjęcia i policyjne notatki, zeznania świadków, raporty z sekcji zwłok i wszelkie istotne informacje, do jakich tylko ma dostęp. Na tym etapie istotne jest, by policjanci zatrzymali dla siebie szczegóły dotyczące podejrzanego, Chodzi o to, żeby profiler nie sugerował się ich wstępnymi osądami.

Profile muszą być wolne od jakichkolwiek uprzedzeń.

Kolejny etap rozgrywa się w głowie profilera.

Siedzę przed ciemnym monitorem i myślę – opowiada Mike.

Rozwijam wstępne hipotezy, żeby oprzeć na nich profil. Idę na spacer i obracam je w myślach, a czasami, jeśli pracuję z kimś, do kogo mam zaufanie, dzielę się z nim swoimi przypuszczeniami. Potem odbywa się proces eliminacji. Czy na przykład mogę założyć, że sprawca to mężczyzna? Przecież w dzisiejszych czasach coraz częściej mordercami okazują się kobiety. (...) Więc przyglądam się hipotezom i niektóre przyjmuję, a inne odrzucam. Jeśli przestępstwo miało tło seksualne, określam wiek podejrzanego na od dziesięciu do sześćdziesięciu lat.

Prawdopodobnie jednak jest on nieznacznie starszy od nastolatków, którzy po raz pierwszy uprawiają seks. Zaczynają się trudne pytania.

Jeśli sprawca użył prezerwatywy, zastanawiam się dlaczego. Może dysponuje podstawową wiedzą kryminalistyczną, ma doświadczenie w tym względzie i nie chciał zostawiać śladów. (...) Tworzę pewien model i cały czas podważam jego elementy, pytam sam siebie, gdzie mam dowody na daną rzecz. Czasami zdarza się, że pracuję nad czymś wiele godzin, a potem jedna odpowiedź przecząca sprawia, że muszę wyrzucić

wszystko do kosza. Wydaje mi się, że policjanci i profilerzy popełniają błędy, gdy mają jakieś przeczucie i kurczowo się go trzymają.

Musimy się nauczyć odpuszczać. Jeśli materiał dowodowy nie pasuje do hipotezy, trzeba ją odrzucić i przejść do planu B. A nawet do planu Z.

Profil powinien określać płeć, wiek, przynależność do grupy etnicznej, stan cywilny, rodzaj pojazdu, hobby, karalność, stosunki z kobietami, związek z ofiarą, przynależność klasową, wykształcenie, zachowanie po dokonaniu przestępstwa, zachowanie podczas przesłuchania i tak dalej.

Po przejrzaniu wszelkich informacji o przestępstwie niektórzy profilerzy przechodzą do stałego zestawu pytań wstępnych. Oto pytania Davida Cantera: Jakie szczegóły przestępstwa dowodzą inteligencji, wiedzy i umiejętności sprawcy? Czy działał on spontanicznie, czy metodycznie?

W jaki sposób nawiązał kontakt z ofiarą i czy mówi mi to coś o sposobie, w jaki kontaktuje się z innymi? Czy sposób popełnienia przestępstwa sugeruje, że to nie pierwszy raz? Czy sprawca zna miejsce, w którym popełnił zbrodnię?

Celem profilerów nie powinno być znalezienie konkretnej osoby, tak jak to było w przypadku Colina Stagga, ale dostarczenie funkcjonariuszom kierującym dochodzeniem raportu, który pozwoli im nieco zawęzić krąg podejrzanych. Na przykład w sprawie Rozpruwacza z Yorkshire śledczy mieli dwieście sześćdziesiąt osiem tysięcy podejrzanych i złożyli dwadzieścia siedem tysięcy wizyt w różnych domach. Mike Berry zauważa: „Jeśli morderstwo odbyło się na tle seksualnym, na liście podejrzanych powinniśmy mieć około trzydziestu milionów mężczyzn. Po zawężeniu kryteriów wiekowych zostaje dwadzieścia milionów...”. Każde działanie profilerów prowadzące do zmniejszenia tej liczby jest niezwykle cenne dla policji.

Niektórzy wciąż mają fałszywe wyobrażenie na temat profilowania – twierdzi Mike. Uważają, że profiler przychodzi i z miejsca stawia tezę, iż przestępca jest leworęczny, rudy, ma metr sześćdziesiąt siedem wzrostu i kibicuje Manchester City. Na szczęście coraz więcej ludzi postrzega profilowanie jako kolejną broń w arsenale policjanta – taką jak DNA czy medycyna sądowa. To bardziej narzędzie niż główne źródło informacji. I bardzo dobrze.

Czy urok i dreszczyk emocji zapoczątkowane przez Jamesa Brussela i Clarice Starling wciąż towarzyszą profilowaniu?

To wyzwanie, ale również wyjątkowo wyczerpujące doświadczenie – twierdzi Mike. Czasami ma się do czynienia z naprawdę odrażającymi zbrodniami. Kiedy rozpoczynałem swoją przygodę z profilowaniem, miałem do siebie pretensje za każdym razem, gdy po moich informacjach policja nie docierała do sprawcy. Po jakimś czasie jednak zrozumiałem, że ja tylko dostarczam im prawdopodobną charakterystykę przestępcy. Reszta należy do nich. Obecnie wielu śledczych bezpośrednio kontaktuje się z policyjnym kolegium w Bramhill. Policja staje się coraz bardziej samowystarczalna i coraz częściej korzysta z własnych zasobów kadrowych.

Zewnętrzni psychologowie idą w odstawkę.

Oczywiście psychologowie sądowi nie zajmują się wyłącznie tropieniem morderców. Większość przyjmuje zwykłych pacjentów i tylko od czasu do czasu pojawia się na rozprawach w sądach cywilnym i karnym. Mike Berry twierdzi, że on i jego koledzy stawiają się w sądzie nie częściej niż pięć razy do roku (choć w tym samym czasie sporządzają około setki opinii, z czego pięć procent jest podważane, co skutkuje koniecznością pojawienia się na rozprawie). Poza sądem psychologowie sądowi dużo pracują z przestępcami w strzeżonych szpitalach psychiatrycznych. Czasami przygotowują ich do życia na zewnątrz, a czasami próbują nakłonić do ujawnienia informacji, które pomogą zakończyć inne dochodzenia, tak jak było w przypadku Jenny Cutler i Johna Duffy'ego. „Pracuję zarówno ze sprawcami, jak i z ofiarami” – twierdzi Mike. „To nie lada wyzwanie. Trzeba nakłonić ich do zwierzeń, zrozumieć ich sens. (...) Czasami trwa to wiele miesięcy, a nawet lat”.

Mike Berry nie szczędzi również pochwał psychologom akademickim: „Częściej pytają o dowody. Podejmują badania w tak różnych obszarach, jak analiza mowy gwałcicieli, sposób poruszania się seryjnych przestępców czy prowadzenie przesłuchań. Wszystko to są bardzo przydatne rzeczy i wykorzystujemy niektóre z nich w profilowaniu”. David Canter, którego Berry nazywa „znaczącą siłą na tym polu”, uważa, że przesłuchiwanie sprawców, ofiar i świadków w taki sposób, by wydobyć z nich wszystko, co nas interesuje, to największy wkład psychologów w techniki prowadzenia śledztwa.

Przesłuchanie ma na celu przede wszystkim nakłonienie kogoś do zwierzeń, a to zwykle jest trudne i obarczone niebezpieczeństwem pomyłki. Psychologowie, wyszkoleni w sztuce prowadzenia rozmów, mogą

udzielić śledczym kilku ważnych rad: muszą oni stworzyć przyjazną atmosferę, umieścić pytania, które stawiają, we właściwym kontekście, zadawać pytania, na które nie da się odpowiedzieć prostym „tak” lub „nie”, unikać przerywania osobie przesłuchiwanej i okazywać zainteresowanie wszystkim, co mówi, nawet jeśli są to rzeczy niezwiązane z tematem. Chociaż każdy człowiek jest inny, zachęcanie przesłuchiwanego do mówienia prawdy często buduje atmosferę zaufania i szacunku. Inną sprawdzoną metodą zwiększającą szanse na nakłonienie podejrzanego do zwierzeń jest upewnienie się, czy w pełni zdaje on sobie sprawę z wagi materiału dowodowego zgromadzonego przeciwko niemu. Jednak w odróżnieniu od tego, co widzimy w filmach, zastraszenie może też sprawić, że przesłuchiwany całkowicie zamilknie albo zacznie składać fałszywe zeznania. A poza tym w czasach gdy przesłuchania są nagrywane, próba zastosowania jakichkolwiek środków przymusu może skończyć się odrzuceniem przez sąd dowodu z zeznań.

Psycholodzy sądowi coraz częściej uczestniczą również w autopsjach psychologicznych, próbach ustalenia stanu umysłu osoby przed jej śmiercią. Lekarz sądowy ustala przyczynę śmierci na podstawie sekcji zwłok, ale niekoniecznie wie, czy doszło do samobójstwa, morderstwa, czy wypadku. Psycholodzy analizują pamiętniki, e-maile i aktywność w sieci, sprawdzają, czy w rodzinie zmarłego nie było chorób psychicznych, i rozmawiają z jego bliskimi.

W 2008 roku Mike Berry komentował w Sky Television głośną sprawę zniknięcia uczennicy Shannon Mathews w Dewsbury w West Yorkshire. Jego analiza wydarzeń opierała się na wyczuciu niuansów zachowania. Zdolność ta okazuje się niezwykle przydatna przy autopsjach psychologicznych.

Zauważyłem, że podczas wywiadu, kiedy jej matka [Karen] wraz ze swoim młodym partnerem siedzieli na sofie, jedno z dzieci próbowało wspiąć się na jej kolana, a ona je odepchnęła. Pomyślałem, że jeśli właśnie straciło się jedno z dzieci, naturalną reakcją powinno być przytulenie innego. Ona jednak tego nie zrobiła. Potem powiedziała coś w stylu: „Wszyscy się ucieszą, kiedy się znajdzie” zamiast: „Ucieszę się, kiedy się znajdzie” albo: „Będę szczęśliwa”. Okazało się, że Karen uspiła swoją dziewięcioletnią córeczkę temazepamem i oddała ją współniczce, która przetrzymywała ją przez miesiąc w pobliskim domu.



Plan był taki, że chłopak Karen „znajdzie” Shannon, a potem wszyscy troje zgarną nagrodę. Jednak dzięki poufnej informacji policja odnalazła dziewczynkę. Była ukryta w tapczanie w domu współniczki.

Nieco bardziej konwencjonalnej autopsji psychologicznej dokonano w 1976 roku po śmierci Howarda Hughesa, ekscentrycznego amerykańskiego biznesmena, który w wieku osiemnastu lat odziedziczył po ojcu rodzinny interes w Houston w Teksasie.

W wieku sześćdziesięciu lat Hughes był najbogatszym człowiekiem świata, ale panicznie bał się chorób zakaźnych. Przeprowadził się do Meksyku, gdzie robił sobie zastrzyki z kodeiny, nie nosił ubrań, nie obcinał włosów ani paznokci, nigdy się nie kąpał ani nie mył zębów. Całe dnie i noce siedział na sedesie. Z powodu samotniczego i dziwaczego trybu życia jego testament podważono i poproszono doktora Raymonda Fowlera, prezesa Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego (American Psychological Association), o przygotowanie opinii rozstrzygającej o jego poczytalności. Fowler doszedł do wniosku, że chociaż Hughes cierpiał na zaburzenia psychiczne i był ekscentryczny ponad wszelką miarę, to jednak zawsze wiedział, co robi, i nie był chory psychicznie. Testament został uznany.

W pochodzącym z 1827 roku eseju *O morderstwie jako jednej ze sztuk pięknych* angielski pisarz Thomas de Quincey żartobliwie sugerował, że na morderstwo powinno się patrzeć jak na dzieło sztuki, a nie jak na przestępstwo. W pewnym sensie właśnie tym zajmuje się psycholog sądowy (czy też raczej psycholog sądowa, bo to zawód w osiemdziesięciu pięciu procentach sfeminizowany): próbuje namalować obraz oddający wnętrze czyjejs głowy. Może odbiegać od kanonów piękna, ale bez wątpienia ma znaczenie. Im bowiem lepiej zrozumiemy te dziwne wszechświaty, które zamieszkują inni ludzie, tym szybciej nad nimi zapanujemy, zanim zaczną siać zniszczenie.

## 12. Sala sądowa

*W odróżnieniu od oskarżenia, które musi dowieść swoich racji, obronie wystarczy zasianie wątpliwości, żeby wygrać.*

*Tim Pritchard, „Observer”, 3 lutego 2001*

W ciągu trzynastu lat, które Fiona Raitt przepracowała jako prawnik, zawsze traktowała dowody jak jedną ze „składowych procesu”.

Jednak po powrocie na uczelnię – Uniwersytet Dundee – zaczęła rozmawiać z naukowcami i psychologami o tym, w jaki sposób „pobiera się je z miejsca zbrodni, jak się je przechowuje, jak wykorzystuje i w końcu jaką rolę odgrywają w sądzie”. Obecnie Fiona jest wykładowczynią prawa dowodowego i pisze o tym w następujący sposób: „Wszyscy mają własne, odmienne interesy, które wiążą się z dowodami, począwszy od najwcześniejszego etapu, kiedy się je znajduje, a skończywszy na ich okazaniu w sądzie”. I tak policjanci traktują dowody ze szczególną pieczołowitością, jeśli myślą, że pomogą im one doprowadzić do skazania. Prokurator zignoruje dowody, w świetle których oskarżony wygląda na niewinnego. Z kolei obrońca pominie te obciążające jego klienta i będzie się starał przekonać sędziego, by nie dopuścił do zeznań ważnych świadków. Pośrodku tego odbywającego się w sali rozpraw przeciągania liny znajdują się dowody i eksperci kryminalistyczni, którzy posługują się całą swoją wiedzą i umiejętnościami, by te dowody należycie zinterpretować. Prawnicy nie zważają się podważyć ich zeznań i kompetencji, jeśli tylko im to w czymś pomoże.

Przyjrzyjmy się typowemu dowodowi – kurtce podejrzanego o morderstwo. Technicy kryminalistyki starają się jak najszybciej zebrać z niej wszelkie podejrzone włókna i włosy, by oddać je do analizy.

Potem wkładają kurtkę do plastikowej torby i wysyłają ją do laboranta, który szuka na niej plam krwi. Jeśli je znajduje, wkłada kurtkę do kolejnej torby i odkłada ją, by czekała na ewentualne pojawienie się w sądzie w charakterze dowodu. Jeśli natomiast nie znajduje na niej nic

przydatnego, oddaje ją do magazynu. Tam kurtka czeka na kolejny przełom w nauce, który pozwoli ją wykorzystać.

Tak właśnie było w przypadku kurtki należącej do członka gangu, który w 1993 roku zamordował osiemnastoletniego ucznia Stephena Lawrence'a podczas niczym niesprowokowanego rasistowskiego napadu w południowo-wschodnim Londynie. Stephen przygotowywał się do matury i marzył o tym, by zostać architektem. Stał z kolegą na przystanku autobusowym w Eltham. Wracali do domu. Nagle banda wyrostków przewróciła go na ziemię i zadźgała. Jeden z członków gangu, Gary Dobson, miał na sobie szarą skórzaną kurtkę. Zarówno on, jak i jego koledzy nie przyznali się do winy, chociaż alibi, które przedstawili policji, okazało się fałszywe. Obciążały ich również inne dowody, takie jak materiał z ukrytej kamery zainstalowanej przez policję w domu Dobsona. Mimo że członkowie gangu nigdy nie rozmawiali o morderstwie, Dobson nazwał kolegę, który zabrał mu czapkę bejsbolówkę, „czarną pi...”. Kiedy kolega klepnął Dobsona, ten wyjął nóż do wykładzin i zagroził: „Klepniesz mnie jeszcze raz, ty głupia pi..., to cię, ku..., potnę”.

W 1996 roku Dobson stanął przed sądem, ale został uniewinniony z braku dowodów. Jednak dzięki większej dokładności badań kryminalistycznych, a także uchyleniu w 2005 roku prawa o niemożności powtórnego pociągnięcia do odpowiedzialności za to samo przestępstwo (oznacza to, że ludzie mogą stanąć przed sądem pod tym samym zarzutem, jeśli dostarczone nowe dowody, które nie były dostępne podczas pierwszego procesu), w 2006 roku policja wznowiła śledztwo. Torba ze skórzaną kurtką pojechała do siedziby firmy LGC Forensics. Tym razem naukowcy znaleźli mikroskopijny dowód, który wystarczył, aby raz jeszcze oskarżyć Dobsona o morderstwo.

Podczas jego procesu w listopadzie 2011 roku prokurator Mark Ellison zaprezentował ławnikom film, na którym Dobson wznosi rasistowskie okrzyki, a także nakręcony tą samą kamerą materiał, w którym inny członek gangu mówi: „Mówię ci, pojedę do Catford z dwoma gnatami, skopię dupsko jakiemuś czarnuchowi, będę go torturował i podpale (...). Potem oderwę mu nogi i ręce i powiem: »No jazda, możesz się zwijać na chatę«”. Ellison wezwał również naocznych świadków morderstwa, by jeszcze raz opisali je przed ławą przysięgłych.

Jednak kluczowy dla sprawy okazał się dowód, który Edward Jarman z LGC Forensics znalazł na skórzanej kurtce Dobsona.

Jarman poświęcił na jej zbadanie dwa dni. Pod mikroskopem zauważył półcentymetrową plamkę krwi wewnątrz kołnierza. Po przeprowadzeniu testów DNA miał pewność, że istnieje jedna szansa na miliard, iż jest to krew kogoś innego niż Stephen. Była to albo krew z rany zadanej nożem, albo z samego noża. Na dnie torby na dowody Jarman znalazł również kilka zaschniętych płatków krwi Stephena oraz włókna z kurtki i koszulki polo, które chłopak miał na sobie feralnego wieczoru. Więcej takich włókien znalazł podczas powtórnego badania taśmy klejącej, której używano do ściągnięcia drobinek z kurtki Dobsona po morderstwie.

Podróży z miejsca zbrodni do sali rozpraw, którą odbywają dowody, gazety nie poświęcają zbyt dużo miejsca. Jednak to właśnie proces jest ostatecznym sprawdzianem dla dowodu: jeśli dowód nie jest należycie udokumentowany, nie zostanie dopuszczony przez sąd. A jeśli upadnie przed sądem, cały trud ekspertów kryminalistycznych – informatyków śledczych, lekarzy sądowych, entomologów, specjalistów od daktyloskopii, toksykologów – pójdzie na marne. Na procesie Dobsona jego obrońca Tim Roberts dwoił się i troił, żeby zakwestionować wiarygodność śladów znalezionych na kurtce. Podczas mowy wstępnej powiedział: Oskarżenie wniesione przeciwko Gary’emu Dobsonowi oparte jest na nader wątpliwym materiale dowodowym. W trakcie napadu na Stephena Lawrence’a Gary Dobson przebywał w domu swoich rodziców. Jest niewinny. Akta tej sprawy są pokaźne, ale dowody, na podstawie których wniesiono oskarżenie, włókna i płatki, nie wypełniłyby nawet łyżeczki do herbaty.

Przez osiemnaście lat kurtka znajdowała się w papierowej torbie zaklejonej taśmą. Roberts zwrócił uwagę, że na początku lat dziewięćdziesiątych dowody rzeczowe dotyczące podejrzanych i ofiar często przechowywano w tym samym pomieszczeniu. Przez lata w różnych laboratoriach w całej Anglii wielu naukowców badało dowody zgromadzone w sprawie Stephena Lawrence’a, a żaden z nich nie nosił odzieży ochronnej. Roberts twierdził również, że plama na kołnierzu kurtki nie powstała podczas morderstwa, a zaschnięte płatki krwi znalazły się w torbie na dowody przez niechłujstwo naukowca, który badał również dowody rzeczowe Stephena.



Brązowa papierowa torba, w której przechowywano skórzaną kurtkę Gary'ego Dobsona z plamą krwi Stephena Lawrence'a

Zasugerował, że plama powstała na skutek rozpuszczenia się jednego z tych płatków w trakcie przeprowadzania testu na ślinę. Test ten wymagał między innymi zamoczenia kurtki. Edward Jarman ripostował, że poddał płatki krwi sprawdzianowi. Pod wpływem wody stały się „podobne do żelu”, zbyt kleiste, żeby wnikać w materiał. Jego argumentacja była obszerna i szczegółowa. Jeden z dziennikarzy obecnych w sali sądowej podczas trwającego sześć tygodni procesu Dobsona stwierdził: „Przez długie godziny pod koniec listopada, gdy prawnicy kłócili się o to, czy brązowe papierowe torby są wystarczająco bezpieczne, ławnicy sprawiali wrażenie znudzonych”.

Roberts usilnie starał się również o to, by sędzia nie dopuścił do zeznań kolejnego świadka, Rosalind Hammon. LGC powierzyło jej czuwanie nad łańcuchem dowodowym. Adwokat zwrócił uwagę, że jej zeznania będą niewiarygodne, ponieważ jest pracownicą firmy. Sędzia odrzucił ten argument i pozwolił jej mówić. Zeznała, że chociaż kurtka odbyła skomplikowaną podróż, jest „zupełnie nieprawdopodobne”, by krew i włókna znalazły się na niej w wyniku zaniedbań naukowców.

Trzeciego stycznia 2012 roku Gary Dobson został uznany za winnego morderstwa i skazany na co najmniej piętnaście lat więzienia. Udawało mu się grać na nosie wymiarowi sprawiedliwości przez osiemnaście lat i dwieście pięćdziesiąt sześć dni – to o trzydzieści pięć dni więcej, niż żył Stephen Lawrence. Pisarz Brian Cathcart powiedział po procesie: „Skazanie sprawcy w pewnej chwili wydawało się czystą fantazją. To niezwykle, że można wrócić do dowodów i znaleźć mikroskopijne cząstki, które to umożliwią”. Innego członka gangu, Davida Norrisa, skazano w tym samym procesie, głównie dzięki kosmykowi włosów Stephena znalezionemu na džinsach, które miał na sobie w dniu morderstwa. Świadkowie zdarzenia sugerowali, że w napadzie uczestniczyło jeszcze trzech lub czterech innych mężczyzn. Ich nazwiska są znane policji, jednak brakuje dowodów łączących ich z tym zdarzeniem.

W sprawie Stephena Lawrence’a ciężka praca prokuratury pozwoliła na znalezienie dowodów, które doprowadziły do skazania dwóch bezwzględnych morderców. Dowodów, które „choć nie wypełniłyby nawet łyżeczki do herbaty”, pogrążyły Gary’ego Dobsona.

Pomogły w tym materiały filmowe. Bywają one jednak obosiecznym mieczem i czasami prawnikom udaje się wykorzystać je w sposób, który w ogóle nie służy wymierzaniu sprawiedliwości.



Gary Dobson i David Norris, skazani w 2012 roku za zabicie Stephen'a Lawrence'a Ławnicy uwielbiają nagrania z kamer telewizji przemysłowej.

Podczas gdy wiele dowodów przedstawianych w sądach można interpretować na mnóstwo sposobów, filmy na ogół stanowią niezbitą dowód na to, co się stało. Szkopuł w tym, że znajduje się na nich wszystko, a nie tylko to, co chciałyby zobaczyć prokuratura. W wydanej w 2010 roku książce *Defending the Guilty* (Obrona winnego) prawnik Alex McBride opisuje sprawę, w której wybawił oskarżonego z opresji za pomocą materiału wideo. Giles (imię fikcyjne) został uchwycony przez kamerę telewizji przemysłowej w chwili, gdy wymierzał komuś cios pięścią w twarz. Był rozebrany do pasa i każdy mógł bez trudu wyczytać z ruchu jego warg, że zaraz po ciosie powiedział: „Chcesz, ku..., jeszcze?”.



Kiedy McBride obejrzał ten film, mina mu zrzędła. Nagranie się skończyło i mężczyzna z przygnębieniem wpatrywał się w czarny ekran.

Niespodziewanie jednak ekran ożył. McBride patrzył ze zdziwieniem, jak policjant popycha na ścianę oskarżonego o współudział kolegę Gilesa

(nazwijmy go Dave), unosi go za koszulę, a następnie ciska nim o podłogę. Kiedy dziewczyna Dave'a próbuje interweniować, policjant przewraca ją na ziemię, a potem przygniata butem.

McBride pokazał film obrońcy Dave'a i razem postanowili domagać się od prokuratury wycofania oskarżenia w zamian za odstąpienie od złożenia skargi na niezgodne z prawem zatrzymanie. Ku ich radości prokuratura zgodziła się i Dave oraz Giles wyszli na wolność.

Aby uratować klienta, McBride posłużył się odrzutem z filmu, który miał dowieść winy Gilesa. „Złota zasada obrony – pisze w swojej książce – brzmi: im mniej dowodów, tym lepiej. Chyba że są to dowody, które zaprzeczają zeznaniom świadków oskarżenia”.

Koronna Służba Prokuratorska jest instytucją państwową.

Powiązania z policją dają jej przewagę nad obroną, jednak przed procesem musi podzielić się wszystkimi swoimi odkryciami ze stroną przeciwną. Wynika to z tak zwanej zasady równości broni, w myśl której obie strony postępowania powinny mieć dostęp do podobnych źródeł.

Bez tego niemożliwy jest sprawiedliwy proces.

W teorii zasada równości broni oznacza, że zarówno prokurator, jak i obrońca powinni mieć możliwość powołania własnych biegłych, którzy wypowiedzą się na temat dowodów. W praktyce sędziowie coraz częściej zachęcają biegłych obu stron do współdziałania i przedstawiania swoich odkryć na spotkaniach mediacyjnych przed rozpoczęciem procesu. Sprzyja to zasadzie równości broni, ponieważ oszczędza czas i pieniądze, których obie strony nie mają za dużo (wystarczy przypomnieć niedawne cięcia w sferze szeroko rozumianego wymiaru sprawiedliwości w Wielkiej Brytanii). Zaoszczędzone fundusze można wykorzystać do powołania innych biegłych. Jednak chodzi w tym również o coś więcej. Jak wyjaśnia jeden z psychologów sądowych:

Sporządzam opinię, biegły drugiej strony również. Jeśli te opinie znacząco się od siebie różnią, możemy podczas takiego spotkania wspólnie wypracować kompromis. Dzięki temu nie musimy stawiać się w sądzie i przez trzy dni zanudzać ławników, którzy i tak nie mają zielonego pojęcia, o czym mówimy.

Zgadza się z tym antropolożka sądowa Sue Black: „Dobrze jest spotkać się zawczasu i ustalić, w czym się zgadzamy, a w czym nie. To pomaga w dużej mierze ograniczyć tę szopkę, która rozgrywa się w sądzie”. W jednej z ostatnich spraw, w których Sue występowała jako biegła



obrony, nie zorganizowano spotkania mediacyjnego. Rozprawa okazała się „jedną wielką klęską biegłych powołanych przez oskarżenie”. W pewnej chwili sędzia zapytał, czy biegli obu stron nie mogliby się dogadać. Jednak obrońca i oskarżyciel uznali, że opinie przedstawione przez ekspertów tak bardzo różnią się od siebie, iż nie ma żadnej płaszczyzny porozumienia. Oskarżenie upadło, co „nikomu nie wyszło na dobre”.

Biegli nie zawsze muszą zeznawać osobiście – sądowni często wystarczają ich pisemne opinie. Jak twierdzi specjalistka od badania śladów krwi Val Tomlinson: „Zajmuję się wieloma sprawami (...), ale w sądzie pojawiają się najwyżej dwa, trzy razy do roku”. Zeznania przed sądem wiążą się z wieloma emocjami: podnieceniem, dumą, satysfakcją, strachem, irytacją, upokorzeniem. Wszystko zależy od charakteru sprawy i osobowości biegłego.

Nawet najlepsi specjaliści mogą kiepsko wypadać przed sądem, ponieważ brakuje im pewności siebie albo samokontroli. Dick Shepherd zauważa: „Wielu naukowców potrafi znaleźć satysfakcjonujący materiał dowodowy, ale niewielu z nich umie zaprezentować ten materiał w sądzie w taki sposób, by ławnicy, niemający na ten temat wiedzy, wszystko zrozumieli”. Prawda jest taka, że rozprawy sądowe mają w sobie wiele z przedstawienia teatralnego – największe wrażenie na ławie przysięgłych robią dobrzy aktorzy, tacy jak słynny charyzmatyczny lekarz sądowy Bernard Spilsbury.

Chociaż biegli mogą tylko odpowiadać na pytania prawników, zachęca się ich także do wyrażania własnych opinii. Muszą one jednak być ściśle powiązane z dowodami i nie mogą powtarzać znanych faktów.



Oczywiście różnica między jednym a drugim jest płynna i biegły musi uważać, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby wprowadzić ławników w błąd. Jeśli na przykład zeznaje, że niewyraźny odcisk palca jest odciskiem pozostawionym przez Joego Bloggsa, jest to fakt czy opinia?

Albo jeśli zdaniem specjalisty od badania śladów krwi układ kropli krwi świadczy o tym, że ofiara leżała na ziemi, kiedy zadano jej śmiertelny cios, w jaki sposób ławnicy mają ocenić ten dowód?

Co więcej, nauka z natury rzeczy jest tymczasowa – teorie modyfikuje się lub całkowicie odrzuca, gdy pojawiają się nowe dowody.

„Większość zeznań biegłych – uważa Fiona Raitt – sięga do podstaw nauki, a te wciąż się zmieniają i ewoluują. To, co wiemy dzisiaj, czasami znacząco odbiega od tego, co wiedzieliśmy wczoraj”.

Biegły sądowy to ekspert w danej dziedzinie, osoba o specjalistycznej wiedzy wykraczającej poza wiedzę przeciętnego człowieka. Niezależnie od swoich przekonań musi on zostawiać ławnikom kwestię rozstrzygnięcia o winie lub niewinności oskarżonego.

Do pewnego stopnia jest to kwestia doboru odpowiednich słów. O ile Val Tomlinson (s. 216) nie mogła powiedzieć: „Ślady DNA udowadniają, że to bracia Reed są sprawcami”, o tyle nic nie stało na przeszkodzie, by stwierdziła: „Moim zdaniem najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem wyników testu DNA jest to, że noże do domu ofiary przynieśli Terence Reed z Davidem Reedem i że to oni trzymali je w chwili zadawania ciosów”.

Zasada dotycząca „wiedzy wykraczającej poza wiedzę przeciętnego człowieka” została potwierdzona w 1975 roku, po procesie Terence’a Turnera. Turner siedział w samochodzie ze swoją dziewczyną Wendy, która twierdziła, że jest z nim w ciąży. Pokłócili się i Wendy w gniewie powiedziała mu, że kiedy był w więzieniu, sypiała z innymi.

Któryś z tych mężczyzn mógł być ojcem dziecka. Turner wściekł się, wziął młotek, który leżał za siedzeniem pasażera, i zadał Wendy piętnaście ciosów w głowę i twarz. Następnie wysiadł z auta i poszedł na pobliską farmę. Powiedział, że ktoś właśnie zabił jego dziewczynę.

W sądzie zeznał, że nie wiedział, co czyni – jego palce same zacisnęły się na trzonku młotka, a on nigdy nie chciał skrzywdzić Wendy.

Turner nie był w ciemni bity. Gdyby ławnicy łyknęli jego historyjkę, odpowiadałby jedynie za nieumyślne spowodowanie śmierci.

W innym wypadku – za morderstwo. Odwołał się od wyroku, argumentując, że sędzia nie dopuścił do odczytania ławnikom opinii psychiatry na temat jego zdrowia. Lekarz napisał, że choć Turner nie jest chory psychicznie, charakteryzuje się wielką wrażliwością i empatią.

Jego struktura osobowości sprawia, że jest podatny na wybuchy gniewu.

A to, że zareagował gniewem na wyznanie ofiary, można w pełni zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę, co go z nią łączyło. Jeśli jej słowa go zaskoczyły, mógł zabić ją w wybuchu ślepej furii.

Adwokat argumentował, że gdyby ławnicy wysłuchali tej opinii, lepiej zrozumieliby czyn Turnera. Jednak sędzia Lawton przypomniał sądowi apelacyjnemu, że „ława przysięgłych nie potrzebuje psychiatrów, aby powiedzieli, w jaki sposób zwykły człowiek, który nie jest chory psychicznie, reaguje na stresujące wydarzenia”. Gdyby psychiatrów i psychologów wzywało się za każdym razem, kiedy trzeba udowodnić, że oskarżony mówi prawdę, „to prawdopodobnie nie sędziowie by sądzili, lecz psychiatrzy”. Apelacja Turnera została oddalona. Fiona Raitt wyjaśnia: „Biegły musi wykazać, że zajmuje się naprawdę ekspercką dziedziną. Dla sędziego jest nią na przykład grafologia czy wiedza na temat materiałów wybuchowych, natomiast psychologia już niekoniecznie”.

W ogromnej większości spraw eksperci kryminalistyczni dostarczają ławnikom ważnych informacji i pomagają je zrozumieć. Jeśli coś nie wyszło, proces poddają analizie sędziowie i naukowcy tacy jak Fiona. Jest to przykre dla wszystkich zainteresowanych, lecz przynajmniej pozwala następnym razem uniknąć podobnych błędów.

Największe znaczenie mają zeznania biegłych z nieskończoną bibliografią własnych książek i mnóstwem tytułów przed nazwiskami.

Wszyscy ławnicy przywiązują do ich opinii wielką wagę, zwłaszcza jeśli mogą się oni pochwalić również pewną charyzmą.

Jednym z ostatnich tego typu naukowców jest Roy Meadow, pediatra, który zasłynął tym, że jako pierwszy opisał zastępczy zespół Münchhausena. To występujące u rodziców zaburzenie psychiczne polegające na tym, że specjalnie robią oni krzywdę swoim dzieciom, żeby zwrócić uwagę lekarzy. Jednak w Wielkiej Brytanii nazwisko Meadowa kojarzone jest głównie z zespołem nagłej śmierci łóżeczkowej niemowlęcia. Według Meadowa: „Jedna nagła śmierć łóżeczkowa niemowlęcia to tragedia, dwie – coś podejrzanego, a trzy – morderstwo, o ile nie zostanie udowodnione coś innego”. Brytyjskie organizacje zajmujące się ochroną dzieci i pracownicy społeczni wzięli sobie do serca to „prawo Meadowa” – z katastrofalnymi skutkami dla wielu rodzin.

W 1996 roku jedenastotygodniowy chłopczyk zmarł nagle w nosidełku w swoim domu w Cheshire. Dwa lata później jego brat umarł w podobnych okolicznościach w wieku zaledwie ośmiu tygodni.

Lekarze sądowi znaleźli ślady urazów na ciałach dzieci. Ich matkę, Sally Clark, prawniczkę i córkę policjanta, aresztowano i oskarżono o dwa

morderstwa.

Sally stanęła przed sądem w listopadzie 1999 roku. Kilku biegłych pediatrów zeznało, że dzieci prawdopodobnie zmarły z przyczyn naturalnych. Uważali, że urazy mogły powstać podczas prób reanimacji.

Jednak oskarżyciel opisał Sally jako „samotną pijaczkę”, która porzuciła dobrze płatną pracę radczynie prawnej i miała żal do dzieci, że uwięzły ją w domu. Powołani przez niego biegli, w tym sir Roy Meadow, początkowo utrzymywali, że dzieci umarły na skutek potrząsania, później natomiast orzekli, że zostały uduszone. Meadow wykluczył śmierć łóżeczkową. Oszacował, że prawdopodobieństwo wystąpienia dwóch takich zgonów w jednej rodzinie jest jak jeden do siedemdziesięciu trzech milionów. Dla lepszego zobrazowania posłużył się następującym porównaniem: „To tak, jakby przez cztery lata obstawiać w wyścigach Grand National fuksa i za każdym razem wygrywać”. Pod wpływem obciążających zeznań pana doktora ze świeżutkim tytułem szlacheckim ławnicy uznali Sally Clark za winną popełnienia morderstwa stosunkiem głosów dziesięć do dwóch.

Kobieta złożyła apelację, gdy Królewskie Towarzystwo Statystyczne nazwało wyliczenia Meadowa poważnym błędem statystycznym. Meadow po prostu podniósł do kwadratu  $1/8543$  (stosunek liczby śmierci łóżeczkowych do liczby narodzin w zamożnych niepalących rodzinach). Te wyliczenia nie uwzględniały tego, że zmarłe dzieci były rodzeństwem o bardzo podobnych genach i wychowywały się w tym samym środowisku, więc występowało u nich większe ryzyko śmierci niż u innych dzieci, które zmarły w wyniku śmierci łóżeczkowej.

Fundacja na rzecz Badań nad Zespołem Nagłego Zgonu Niemowląt (Foundation for the Study of Infant Deaths) oświadczyła, że w Wielkiej Brytanii druga śmierć łóżeczkowa w tej samej rodzinie zdarza się mniej więcej raz do roku. Mimo to w październiku 2000 roku apelacja Sally została odrzucona. Sędziowie stwierdzili, że wyliczenia Meadowa były kwestią drugorzędną i nie miały wpływu na werdykt ławników.

I wtedy na jaw wyszedł nowy dowód pochodzący ze szpitala w Macclesfield. Okazało się, że jeden z biegłych, lekarz sądowy Alan Williams, zataił wyniki testów krwi, z których wynikało, że jedno z dzieci zmarło z powodu zakażenia gronkowcem złocistym, a nie na skutek potrząsania czy uduszenia. Sally ponownie złożyła apelację. Tym razem, w styczniu 2003 roku, została uniewinniona i wyszła na wolność.

Sędziowie sądu apelacyjnego podkreślili, że chociaż Meadow dokonał błędnych obliczeń, dopiero znalezienie przez prawnika pracującego pro bono dowodu w szpitalu w Macclesfield umożliwiło zmianę wyroku.

Uznali za całkowicie nie do przyjęcia wyjaśnienia Alana Williamsa, że zataił wyniki testów, ponieważ były niezgodne z jego przekonaniem, że niemowlę nie umarło z przyczyn naturalnych.

Uwolnienie Sally doprowadziło do rewizji kilku podobnych spraw.

Dwie inne kobiety, Donna Anthony i Angela Cannings, zostały uniewinnione od zarzutu morderstwa i wyszły z więzienia. Troje dzieci Canningsów zmarło przed dwudziestym tygodniem życia. Kobieta złożyła apelację, kiedy okazało się, że dwoje dzieci jej babki ze strony ojca również zmarło na skutek śmierci łóżeczkowej, podobnie jak jedno z dzieci prababki. Trupti Patel, którą również oskarżono o zamordowanie trojga dzieci, została uniewinniona w czerwcu 2003 roku. W każdej z tych spraw sir Roy Meadow zeznawał, że to niemożliwe, by w jednej rodzinie dochodziło do kilku śmierci łóżeczkowych. „Ogólnie rzecz biorąc – twierdził – nagłe i niespodziewane śmierci nie są cechą dziedziczną”.



Roy Meadow stający przed komisją odpowiedzialności zawodowej  
w związku z zeznaniami dotyczącymi przypadków nagłej śmierci  
łożeczkowej

Roy Meadow i Alan Williams zostali skreśleni z listy General Medical Council – brytyjskiego odpowiednika Naczelnej Izby Lekarskiej – za działania niezgodne z etyką zawodową. Meadow odwołał się od tej decyzji. Argumentował, że działał w dobrej wierze, i w 2006 roku przywrócono mu prawo do wykonywania zawodu.

Jednak w przeciwieństwie do przypadku Bernarda Spilsbury'ego jego reputacja legła w gruzach jeszcze za jego życia.



W 2009 roku sam wystąpił do izby lekarskiej z wnioskiem o wykreślenie go z listy GMC, co oznacza, że nie ma już prawa do prowadzenia praktyki lekarskiej w Wielkiej Brytanii ani zeznawania jako biegły. Brytyjskie sądy nie sądzą już rodziców dzieci, które umarły w wyniku śmierci łóżeczkowej, na podstawie dowodów przedstawionych przez tylko jednego biegłego.

Sally Clark nigdy nie podniosła się po tej tragedii. Nie dość, że straciła dwóch synków, to jeszcze media przedstawiały ją jako dzieciobójczynię. Spędziła trzy lata w więzieniu, w którym inne skazane traktowały ją jak wcielenie zła. Zmarła w 2007 roku, w wieku czterdziestu dwóch lat, na skutek zatrucia alkoholowego. Osierociła trzeciego syna.

Naukowcy lubią, gdy ich teorie zyskują rozgłos. Wykorzystują je z powodzeniem w sprawach karnych, co poprawia ich notowania w świecie akademickim. Sue Black nauczyła się podchodzić do tego z rezerwą. „Byłam biegłą w procesie, podczas którego obie strony uzgodniły, że niezależnie od tego, jakie wnioski sformułuję, zgodzą się z nimi. Nie mogę powiedzieć, że to dobre, bo w pewnych okolicznościach ślepe zaufanie do wiedzy eksperta może okazać się niebezpieczne”. Gdy Fiona Raitt analizuje niektóre pomyłki sądowe, zastanawia się: „Czy niektórzy eksperci nie są czasami przekupni?”

Chciałabym odpowiedzieć, że nie, ale świat jest, jaki jest”.

Oczywiście akceptowanie w ciemno słów eksperta może być niebezpieczne. Jednak równie niebezpieczne są przypadki, gdy sąd idzie w odwrotnym kierunku i odrzuca wszystkie nowinki naukowe jako niesprawdzone i niepewne. Idealny scenariusz jest taki, że sędziowie i prawnicy dają wycisk biegłym podczas składania przez nich zeznań.

Sprawdzają w ten sposób ograniczenia nowej metody badawczej i udzielają nowych wskazówek do pracy w laboratorium. Kiedy Sue Black po raz pierwszy próbowała zidentyfikować pedofila na podstawie układu żył na jego ręce, obrońca zarzucił jej stosowanie niesprawdzonej metody. Zaniepokojona, że może przez to przyczynić się do uniewinnienia oskarżonego, Sue zrozumiała, że musi podeprzeć swoją metodę analizy układu żył większą liczbą badań (s. 257). Ostatecznie nowa technika pomogła skazać pedofila, który filmował gwałty na nieletnich.

To dobry przykład na to, w jaki sposób przesłuchania w sądzie mogą wspomagać pracę ekspertów kryminalistycznych. Jeśli dowód jest mocny, dzięki ławnikom może stać się jeszcze mocniejszy. Jednak nie zawsze tak

się dzieje. W rzeczywistości od bardzo dawna ludzie zastanawiają się nad tym, czy system ławniczy sprzyja ustaleniu prawdy.

Krótko przed śmiercią w 1592 roku francuski prawnik i filozof Michel de Montaigne napisał: „Popadamy w nienawiść najpierw przeciw racjom, potem przeciw człowiekowi (...) i gdy tak każdy przeczy i jemu przeczą wzajem, zdarza się, iż dysputa przynosi jako owoc jedynie zagubę i zaciemnienie prawdy”<sup>30</sup>. Innymi słowy, kiedy prawnikom nie udaje się podważyć dowodu, zwracają się przeciwko osobie, która go dostarczyła.

Jeden z ekspertów kryminalistycznych, z którymi rozmawiałam, twierdzi, że czerpie z tego wiele radości: „Uwielbiam być przesłuchiwany przez obrońców. Na początku swojej kariery słyszałem: »Młody człowieku, a co ty o tym możesz wiedzieć?«. Obecnie często sobie z nimi żartuję. To ma na celu zmylenie przeciwnika”. Robert Forrest dodaje ze stoickim spokojem: „Jeśli nie lubisz gorąca, powinieneś wyjść z kuchni”.



Sally Clark przed sądem po uniewinnieniu

Jeden z prawników uważa, że to wielki wstyd dla biegłego nie potrafić odpowiedzieć na pytania zadawane na rozprawie:

Podawanie w wątpliwość kwalifikacji biegłego to w pełni uzasadniona linia obrony. Jednak jest ona także ryzykowna, bo może nie spodobać się ławnikom. A jeśli stracimy ich sympatię, prawdopodobnie przegramy



sprawę. Rada, jaką mam dla adwokatów, brzmi: nie wykorzystujcie biegłych do własnych gier, ale sprawcie, że przestaną być pewni własnych analiz. Eksperci również czasami popełniają błędy.

Dlatego muszą dokładnie sprawdzać nawet najdrobniejsze szczegóły.

Pewien lekarz sądowy zauważył, że z biegiem lat prawnicy coraz chętniej go atakowali. Jego zdaniem to zaszło już za daleko:

W początkach mojej pracy zawodowej rozumiano, że biegły jest po to, by służyć całą swoją wiedzą. Obecnie powinniśmy przedstawiać bibliografię swoich prac. Nie mogę już powiedzieć: „Widziałem dwadzieścia podobnych spraw i moim zdaniem ta jest podobna”, bo od razu ktoś zapyta: „Naprawdę? A publikował pan coś na ten temat?

Najlepiej w którymś z pism naukowych? Bo jeśli nie, to wie pan, równie dobrze mógł się pan mylić te dwadzieścia razy”. A jeśli powiem: „Wykonuję ten zawód od trzydziestu lat, dokonałem dwudziestu pięciu tysięcy ekspertyz i nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałem”, odpowiedzą: „To przypadek”.

Wszyscy eksperci, z którymi rozmawiałam na potrzeby tej książki, są biegłymi sądowymi. Val Tomlinson straciła już rachubę, ile razy zeznawała przed sądem podczas swojej trzydziestoletniej kariery zawodowej: Pewnie setki razy. Czasami są to straszne doświadczenia.

Pamiętam sprawę chłopaka, który zginął skopany przez bandę wyrostków. Jeden z nich miał plamki krwi na butach, ale trudno je było zobaczyć, bo wymieszały się z cydrem i spieniły. Pewien adwokat od razu stwierdził: „Na ubraniu mojego klienta nie ma śladów krwi, więc to nie on jest sprawcą”. Zapytano mnie więc o tę parę butów i zrobiłam mały wykład na temat tego, że są na nich plamy krwi. Wracałam już zadowolona na miejsce, kiedy nagle adwokat powiedział: „Ach, byłbym zapomniał. Kiedy mówiła pani o tych butach, miałem poprosić, żeby pokazała je pani ławie przysięgłych, ale nie chciałem pani przerywać.

Czy byłaby pani tak dobra i zrobiła to teraz?”. Wzięłam więc buty, stanęłam przed ławnikami i powiedziałam: „Nie widać za dobrze tych plam, ale są tutaj”. W tej samej chwili adwokat stojący za mną wpadł w szal. Okazało się, że nie miałam prawa przemawiać do ławników.

Usłyszałam za sobą szelest togi. Odwróciłam się i spojrzałam na sędziego, a ten powiedział: „Proszę po prostu pokazać te buty”. Stałam więc z butami w ręku przed ławą przysięgłych i zastanawiałam się, co się dzieje za mną. Gdy w końcu wyszłam z sądu, wsiałam do samochodu

i zaczęłam się głowić nad tym, o co w tym wszystkim chodziło. Przedstawienie, które rozgrywało się za mną, było po prostu śmieszne. Najwyraźniej adwokat chciał, żebym tam stała bez słowa – wówczas ławnicy doszliby do wniosku, że nie widzą na tych butach żadnej krwi.

Zdaniem entomologa sądowego Martina Halla przesłuchanie to „zawsze nerwowy czas. Serce bije odrobinę szybciej. Podważa się twój profesjonalizm. (...) Jesteś poddawany szczegółowej kontroli”.

Specjalistka od daktyloskopii Catherine Tweedy mówi:

Najbardziej nienawidzę tego, że nie umieją zadawać poprawnych pytań ani podjąć jakiegokolwiek dyskusji na temat materiału dowodowego. Musisz tam siedzieć i czekać na pytania, i nawet nie pozwolą ci rozwinąć myśli. Czasami możesz to zrobić, ale w większości przypadków nie. A strona przeciwna oczywiście ciągle próbuje zapędzić cię w kozi róg, bo nie chce, żeby ci się udało (...). Mogą całkowicie nie rozumieć, o co chodzi, albo celowo ignorować rzeczy szczególnie ważne. Nie masz nawet kontroli nad tym, co zostanie pokazane ławnikom.

Catherine przyznaje też, że minęło sporo czasu, zanim zrozumiała, czemu w istocie służy sala sądowa: Dopiero niedawno zorientowałam się, że kiedy przedstawia się dowody w sądzie, prokurator i obrońca nie szukają prawdy. To ty przysięgasz mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Ich rola natomiast polega na przedstawieniu odpowiedniej argumentacji i jeśli cokolwiek z tego, co powiedziałaś, się z nią nie zgadza, zaatakują cię albo zwyczajnie zignorują.

Świadkowie mogą mówić „całą prawdę” tylko wtedy, gdy odpowiadają na pytania, które im zadano. Jeśli chcą powiedzieć coś jeszcze, mogą mieć kłopoty. Jeden z biegłych przyznaje:

Gdy występuje się w roli eksperta, bardzo trudno jest powiedzieć: „Przepraszam, ale o czymś pan zapomniał”. Zrobiłem tak kilka razy.

Myślicie, że sędzia albo adwokat spojrzeli na mnie z wdzięcznością i wykrzyknęli: „O, rzeczywiście! Dobra robota, stary, faktycznie o tym zapomnieliśmy, a niech to!”? Nic z tych rzeczy. Sędzia powiedział: „No dobra, przyjrzyjmy się jeszcze i temu”, a pomyślał pewnie: „Dlaczego on sprawia tyle kłopotów? Robiliśmy wszystko, jak Pan Bóg przykazał, a ten dureń to zniszczył”. Potem wszyscy wyżywają się na tobie przez czterdzieści pięć minut, aż w końcu masz dość i uciekasz do domu.

Sue Black postrzega salę sądową jako potencjalnie „niezwykle wartościowe” miejsce, jednak wizyty w sądzie uważa za „najmniej fajną

część tej roboty, bo nie toczy się na naszych zasadach”:

To po prostu nie nasz świat. Właśnie z tego powodu tak wielu biegłych rzuca ten zawód. Twoja renoma jako naukowca to wszystko, co masz, a nasz system sądowniczy za wszelką cenę chce cię jej pozbawić.

Czasami ma to bardzo osobisty wymiar. I często jest bardzo agresywne.

Wychodzisz z sądu jako światowej sławy specjalista albo jako największy głupiec na świecie. Byłam i jednym, i drugim (...).

Niedawno podczas przesłuchania zapytano mojego młodego kolegę: „Kim dla pana jest profesor Black?”. Odpowiedział: „Moją dyrektorką”.

A na to obrońca: „Och, myślę, że jednak kimś więcej, prawda?”.

Powiedział mi potem, że w tamtej chwili poczuł, jak czerwienieją mu uszy. To był ordynarny atak. Odpowiedział adwokatowi: „Nie wiem, co pan ma na myśli”, a ten odparł: „Chodziło mi o to, że była również promotorką pańskiego doktoratu”. „To prawda” – przyznał kolega. A na to obrońca: „Czyli wyglądało to tak, że pani profesor, osoba z przerośniętym ego, rozejrzała się po swoim imperium i jej oczy spoczęły na ulubionym doktorancie. Przywołała go kiwnięciem palca i zapytała: »Masz ochotę spędzać całe dni w kostnicy?«. Tak to się właśnie odbyło?”. Na szczęście kolega zachował na tyle spokoju, żeby rozejrzeć się dookoła i odpowiedzieć: „Nie, zupełnie nie tak!”.

Kiedy dochodzi do jakiegoś rodzaju osobistego ataku – ciągnie Sue – cierpi na tym sprawiedliwość, bo biegły może wstać i oświadczyć: „Nie muszę tego znosić”. W tym roku byłam bardzo bliska tego, żeby dać sobie z tym spokój. Po co mi to wszystko?

Ofiarami bezprzykładnych ataków prawników padają nie tylko takie wygi jak Sue Black czy sumienni młodzi biegli, tacy jak jej kolega.

Dobry prawnik zawsze szuka najłabszego ogniwa. Czasami okazuje się nim ofiara. Pewien kanadyjski obrońca udzielił kiedyś swoim kolegom rady: „Jeśli zniszczycie powoda (...), ukęcicie łeb całej sprawie”.

Fiona Raitt współpracowała z Centrum Kryzysowym dla Ofiar Gwałtu (Rape Crisis). Pomagała ofiarom napaści seksualnych skierować sprawę do sądu. Dla zachowania zasady równości broni obrońca oskarżonego o gwałt ma dostęp do tej samej dokumentacji medycznej ofiary co prokurator.

Kobiety są w szoku, gdy się o tym dowiadują – twierdzi Fiona.

Kiedy obrońca pyta: „Czy to prawda, że trzy lata temu musiała pani zażywać środki uspokajające z powodu problemów ze zdrowiem

psychicznym?”, myślą sobie: „Skąd on o tym wie?”. Ma to pomóc w wykreowaniu obrazu osoby mało wiarygodnej, która prawdopodobnie nie pamięta za dobrze tego, co się stało, i zapewne wciąż bierze tabletki.

Tak czy owak, świadkowie z bogatą dokumentacją medyczną zawsze są najbardziej narażeni na ataki. Dla prawników strony przeciwnej są tłustym kąskiem. Ofiary mają prawo nie zgodzić się na udostępnienie swojej dokumentacji medycznej, lecz rzadko to robią, bo nie zdają sobie sprawy z tego, do czego zostanie wykorzystana.

W styczniu 2013 roku skrzypaczka Frances Andrade była świadkiem w procesie Michaela Brewera, jej dawnego nauczyciela muzyki, którego oskarżyła o gwałt i inne czynności seksualne. Podczas przesłuchania wielokrotnie zarzucano jej kłamstwo i doprowadzono do płaczu. W SMS-ie wysłanym do przyjaciela napisała, że czuła się tak, jakby ją ponownie zgwałcono. Niecały tydzień po złożeniu zeznań, przed końcem procesu popełniła samobójstwo w swoim domu w Guildford w Surrey. Brewer został uznany za winnego dopuszczania się innych czynności seksualnych z osobą małoletnią.

Kiedy Louise Ellison, profesor prawa na Uniwersytecie Leeds, utworzyła ławę przysięgłych z czterdziestu członków lokalnej społeczności i wynajęła aktorów oraz prawników do odegrania przed nimi procesu o gwałt, odkryła, że na ławników wpływają dwie rzeczy: zachowanie ofiary w sądzie (czy była opanowana, czy wręcz przeciwnie) oraz to, ile czasu minęło od gwałtu do jego zgłoszenia. Kiedy jednak sędzia lub biegły wyjaśniał, jak zróżnicowane mogą być reakcje na przemoc seksualną, ławnicy byli bardziej skłonni do uznania sprawcy za winnego mimo spokojnego zachowania ofiary lub zwłoki w zgłoszeniu gwałtu.

Fiona dodaje jednak, że sędziowie zwykle zachowują milczenie.

Zdarzają się postępowania, podczas których sędziowie nie interweniują nawet wtedy, gdy załamany świadek zaczyna płakać.

Mówią najwyżej: „Zrobimy teraz krótką przerwę. Czy ktoś może przynieść tej pani szklankę wody?”. Nie robią nic, co mogłoby wskazywać na ich stronnictwo. Są bardzo ostrożni. Ale... chyba mogliby trochę lepiej chronić świadków.

Sędziowie muszą być ostrożni, ponieważ w razie podejrzeń o tendencyjność sąd apelacyjny może uchylić wyrok i stwierdzić nieważność postępowania.



Zasada niewpływania na ławników, by mogli podjąć suwerenne decyzje, to kamień węgielny kontradiktoryjnego systemu sądowego.

Jednak nie została ona zbadana w wystarczającym stopniu. Fionie Raitt i Louise Ellison nie pozwolono przeprowadzić żadnych badań na prawdziwych ławnikach, by mogły swobodnie sprawdzić, jak wpływają na nich dowody i argumenty stron. W badaniach Ellison pojawia się pytanie, czy sędzia doświadczony w pracy z ofiarami gwałtu jest bardziej kompetentny niż ławnicy wywodzący się z szerokich kręgów społeczeństwa.

Pewne czynniki sprawiają, że sala sądowa może być środowiskiem nieprzyjaznym również dla ławników. Nie przeprowadzono żadnych badań nad ich umiejętnością radzenia sobie z różnorodnym materiałem dowodowym podczas procesu, który może trwać nawet kilka tygodni.

Fiona pamięta czasy, gdy „ławnicy nie mogli przynosić notesów, bo cały czas mieli patrzeć na to, co się dzieje”. Niektórzy z nich muszą mieć mętlik w głowie z powodu natłoku nowych informacji podawanych przez biegłych, które starają się podważyć adwokaci, i przez zeznania innych biegłych, które przeczą tym pierwszym. Ławnicy nie zawsze sobie z tym radzą i przywiązują nieodpowiednią wagę do pewnych dowodów. Z badań przeprowadzonych w 2014 roku przez specjalistów z dziedziny prawa i statystyki z Michigan i Pensylwanii wynika, że 4,1 procent więźniów skazanych w Stanach Zjednoczonych na karę śmierci było niewinnych.

Niektórzy uważają przesłuchiwanie świadków przez obydwie strony postępowania za tak dalece bezużyteczne, że najchętniej w ogóle by się bez tego obyli. Przeciwnieństwem systemu kontradiktoryjnego obowiązującego w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych jest stosowany w wielu krajach, w tym we Francji i Włoszech, system mieszany, inkwizycyjno-kontradiktoryjny. Sędzia pełni w nim funkcje śledcze i przesłuchuje świadków oraz oskarżonych jeszcze przed procesem. Tylko w wypadku znalezienia dostatecznych dowodów winy decyduje się na wszczęcie procesu. W tym momencie przekazuje wszystkie zgromadzone przez siebie dowody oskarżycielowi i obrońcy.

Podczas procesu może ponownie przesłuchać świadków, jeśli chce dodatkowo potwierdzić lub wyjaśnić ich wcześniejsze zeznania.

Prokurator i obrońca nie są dopuszczani do przesłuchania świadków, ale mogą przedstawiać sędziemu swoje opinie.

Oba systemy mają swoje wady i zalety. Procesy z ławnikami wywodzą się ze starożytnych systemów prawnych Grecji i Rzymu, a w Anglii przeprowadza się je od roku 1219. W miarę jak rosło ich znaczenie, ławnicy zaczęli być postrzegani jako filar społeczeństwa: to grupa równych sobie skazywała cię na więzienie, a nie wielmoża w peruce. Do osiemnastego wieku uważano, że ławnicy ograniczają skłonność rządzących do zamykania w więzieniach tych, których nie lubią moiżni.

W tak zwanych sądach Diplocka, ustanowionych w 1973 roku podczas konfliktu w Irlandii Północnej, zawieszono działalność ław przysięgłych. Miało to powstrzymać nękanie ławników. Niektórzy są zdania, że obradujący w izolacji sędziowie Diplocka zrobili więcej dobrego niż złego, a ich wyroki były sprawiedliwsze od wyroków ławników. Fiona uważa, że sądy te działają „szybciej, o wiele szybciej”, co ma niebagatelne znaczenie, jeśli weźmie się pod uwagę, że funkcjonowanie sądu kosztuje codziennie tysiące funtów. Jednak Michel de Montaigne wyraził kilka cennych uwag dotyczących tego rodzaju systemu: „Gdy sędzia przyniesie z domu bóle podagryczne, zazdrość albo złość na sługę łasownika i duszę całą przepelnioną i spęczniałą gniewem, nie ma wątpienia, iż i jego sąd przechyli się ku tej stronie”<sup>31</sup>.

Prawnik, z którym rozmawiałam, broni systemu kontradyktoryjnego. „Jego prawdziwe piękno polega na tym, że tak długo, jak obie strony są kompetentne, można dopracować wszystkie kwestie i proces będzie taki, jak należy. Rada adwokacka zaleca, aby walka w sądzie była nieustraszona i sprawiedliwa”. Z punktu widzenia biegłych system inkwizycyjny zakończyłby teatralność i agresywne ataki, których tak bardzo nie znoszą. Mimo to niektórzy z nich są przeciwnikami tak radykalnych zmian. Warto przypomnieć sobie, co na początku tej książki mówił Peter Arnold:



Rozumiem konieczność istnienia systemu kontradyktoryjnego.

Musiałem zmierzyć się z tym wyzwaniem, ale gdy pokazałem, że dowody nie zostały w żaden sposób zmanipulowane, wzmocniłem akt oskarżenia. Nie grozi nam więc, że za dziesięć lat ktoś wniesie apelację i spróbuje podważyć materiał dowodowy. Woląłem od razu mieć to za sobą i poddać się drobiazgowemu przesłuchaniu.

Inni biegli uważają, że te drobiazgowo przesłuchania, jakim są poddawani przez prawników, mogłyby być lepiej przeprowadzane. Jak wspomina jeden z nich: Obrońca przyszedł do mojego gabinetu i powiedział: „Wiemy, że oskarżony jest winny, ale naszym obowiązkiem jest utrudnianie panu życia”. Często to słyszę od adwokatów. Tyle że ich obowiązkiem wcale nie jest utrudnianie nam życia. Ich obowiązkiem jest analiza materiału dowodowego.

Z doświadczeń eksperta do spraw pożarów, z którym rozmawiałam, wynika, że „rozprawa sądowa to gra tocząca się między prawnikami a biegłymi. Prawnicy mogą błędnie zinterpretować nawet najlepszy scenariusz, który im przedstawiłeś, i do ławników dotrze zupełnie inny przekaz”. Z kolei Fiona Raitt dostrzega rozbieżności między dążeniami systemu kontradiktoryjnego a dążeniem do prawdy:

Nie sądzę, aby osoby broniące systemu kontradiktoryjnego wierzyły, że to najlepszy sposób na dotarcie do prawdy. (...) Moim zdaniem on raczej wypacza prawdę. Władze za wszelką cenę chcą uniknąć analizowania działań ławników. Prawdopodobnie zwyczajnie się boją, bo przekonałyby się, że te działania są wysoce szkodliwe.

W większości przypadków wynika to ze sposobu, w jaki obradują ławnicy. W uproszczeniu wygląda to tak, że najsilniejszy ławnik narzuca innym swoją wolę. Nikt nie protestuje.

Brytyjczycy upowszechnili system kontradiktoryjny w całym imperium. Przetrwiał w takich krajach jak Stany Zjednoczone, Kanada, Australia i Nowa Zelandia. Najlepiej znany jest z USA, po części dlatego, że często pozwala się tam na filmowanie procesów.

W amerykańskich sądach jeszcze częściej niż w Wielkiej Brytanii bardziej kompetentni prawnicy i biegli przypadają temu, kto ma więcej pieniędzy. Najlepszym przykładem są osoby, które w 1995 roku zatrudnił O.J. Simpson, gdy został oskarżony o zabicie swojej żony Nicole Brown Simpson i Ronalda Goldmana.

W tym haniebnym procesie główny obrońca, Johnnie Cochran, pozyskał ławników kolorowymi garniturami, ostrym traktowaniem świadków i charyzmą. W pewnym momencie poprosił Simpsona, by włożył rękawiczkę znalezioną w jego domu, na której – według prokuratury – znajdowała się krew ofiar i DNA oskarżonego. Simpson miał z tym kłopot. Cochran popatrzył na ławników i wykrzyknął: „Skoro nie pasuje, ktoś tu na uwolnienie zasługuje!”. Oskarżyciel zasugerował, że

rękawiczka skurczyła się, ponieważ podczas testów DNA kilka razy zamrażano ją i odmrażano. Pokazał zdjęcie, na którym oskarżony nosi takie rękawiczki. Jednak ani ten, ani inne dowody nie przeszkodziły O.J.

Simpsonowi wyjść na wolność, chociaż w późniejszym procesie cywilnym wytoczonym przez rodziny Brown i Goldmana udowodniono mu winę.

Znacznie częściej oskarżony nie jest bogatą gwiazdą sportu. Kiedy dochodzi do zatrudniania prawników, większość osób musi wybrać ich w zależności od zasobności portfela. Działacz na rzecz praw człowieka Clive Stafford-Smith w wydanej w 2013 roku książce *Injustice* (Niesprawiedliwość) podaje przykład zadziwiającej sprawy Krishny „Krisa” Maharaja, brytyjskiego biznesmena oskarżonego o popełnienie podwójnego morderstwa w pokoju hotelowym w Miami w 1986 roku.

Ławnicy uznali Krisa za winnego zabicia jego jamajskiego współnika Derricka Moo Younga i jego syna Duane’a Moo Younga. Mający obecnie siedemdziesiąt pięć lat Kris spędził jak dotąd w więzieniu na Florydzie dwadzieścia siedem lat.

Mowa wstępna oskarżyciela Johna Kastrenakesa zrobiła wrażenie na ławnikach: „Przedstawimy naukowe dowody z dziedziny daktyloskopii i balistyki (...). Wszystkie wskazują jednoznacznie, że to właśnie oskarżony jest mordercą”. Odciski palców Krisa znaleziono w pokoju hotelowym, w którym popełniono morderstwa, ponieważ jak utrzymywał mężczyzna, uczestniczył on w spotkaniu biznesowym, które się tam odbyło. Kastrenakes wezwał wielu świadków, w tym funkcjonariusza policji, który zeznał, że kilka miesięcy przed morderstwem sprzedał Krisowi pistolet Smith & Wesson kalibru dziewięć milimetrów. Kastrenakes uznał to za ważną okoliczność obciążającą. Używał przy tym takich wyrażeń jak „starannie zaplanowane”, „okrutny czyn” i „niezbity dowód”.

Kiedy przyszła kolej na przesłuchanie świadków obrony, adwokat Eric Hendon zszokował wszystkich obecnych. Powiedział tylko: „Obrona rezygnuje”. Hendon miał do dyspozycji sześć osób gotowych zeznać, że w czasie morderstwa Kris bawił w ich towarzystwie sześćdziesiąt kilometrów od hotelu. Jednak ławnicy nigdy nie mieli okazji wysłuchać ich zeznań. Z niewyjaśnionych powodów Hendon nie wykorzystał okazji, by zasiać wątpliwości co do twierdzeń Kastrenakesa.



Po krótkiej naradzie ławnicy uznali Krisa za winnego morderstwa pierwszego stopnia. Ten zemdlał z wrażenia. Jakiś czas później ponownie wrócili do sali rozpraw i skazali go na śmierć.

Przypadki zatrudniania przez niewinnych oskarżonych prawników pokroju Hendona nie należą w Stanach Zjednoczonych do rzadkości.

Z reguły oskarżeni niewiele wiedzą o działaniu aparatu sprawiedliwości.

Wyobrażają sobie, że skoro są niewinni, nie muszą się bronić.

Przekonani, że na pewno zdołają się oczyścić z zarzutów, nie zatrudniają kompetentnych adwokatów.

Kris zapłacił Hendonowi marne dwadzieścia tysięcy dolarów (dla porównania: O.J. Simpson wydał na swoich obrońców około dziesięciu milionów dolarów, co oznacza, że każdy z nich zarabiał szesnaście tysięcy dziennie). Jak zauważa Stafford-Smith, „poważna kara czeka tylko tych, którzy nie mają poważnych środków”. Oprócz tego Kris nie powołał żadnych biegłych.

Uznał najwidoczniej, że nie ma sensu podważać dowodów, skoro ich nie ma. Chociaż zbił majątek na eksporcie owoców z Karaibów do Wielkiej Brytanii, ostatecznie, kiedy doszło do apelacji, zrujnował zarówno siebie, jak i cierpiącą w milczeniu żonę Maritę.

Wszystko wskazuje na to, że niemrawa postawa Hendona w sądzie nie wynikała jedynie z braku motywacji finansowej. Według śledczego pracującego z nim nad sprawą Krisa kilka tygodni przed procesem Hendon otrzymał telefon z pogrózkami. Rozmówca zapowiedział, że jeśli adwokat przyłoży rękę do uwolnienia swojego klienta, coś złego przytrafi się jego synowi.

Oskarżenie dysponowało nie tylko energią godziwie opłacanego Johna Kastrenakesa. Do skazania Krisa przyczyniły się również zeznania świadków, zwłaszcza eksperta do spraw balistyki Thomasa Quirka.

Ławnicy głowili się nad tym, co było narzędziem zbrodni, ponieważ policja go nie znalazła. Quirk zeznał, że kule znalezione w ciałach Moo Youngów wystrzelono z pistoletu kalibru dziewięć milimetrów. W grę wchodziło sześć modeli. W swoim laboratorium wypróbował je wszystkie i odkrył, że w jednym przypadku ślady na kulach zrobione przez gwint wewnątrz lufy przypominają ślady znalezione na pociskach w ciele ofiar.

Następnie Quirk opowiedział o łuskach znalezionych przez techników kryminalistycznych w pokoju hotelowym: „Jedyny model broni pasujący

do łusek z miejsca zbrodni, który mam w laboratorium, to model 39 Smith & Wesson”. Jeśli wziąć pod uwagę zeznania policjanta, który sprzedał taki pistolet Krisowi kilka miesięcy przed morderstwem, były to bardzo obciążające słowa.

W końcu Quirk pokazał ławnikom zdjęcie srebrnego pistoletu Smith & Wesson. Uzupełniło ono lukę spowodowaną brakiem narzędzia zbrodni i zapadło ławnikom w pamięć. Hendon zaprotestował przeciwko temu okazaniu, stwierdził, że nie ma nic wspólnego z faktami, ale sędzia warknął: „To dowód rzeczowy!”, i pozwolił Quirkowi kontynuować.

Podczas przesłuchania przez Hendona ekspert przyznał, że od lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku w Stanach Zjednoczonych wyprodukowano około dwustu siedemdziesięciu tysięcy pistoletów Smith & Wesson i że kula mogła być wystrzelona przez każdy z nich.

Jednak ławnikom wydawało się już, że widzieli narzędzie zbrodni.

Czy Quirk doszedł do słusznych wniosków? Czy naprawdę mógł ustalić, że kule wystrzelono z modelu 39 Smith & Wesson? Czy po prostu Moo Youngowie zostali zastrzeleni z jednego z sześćdziesięciu pięciu milionów pistoletów znajdujących się w Stanach Zjednoczonych w 1986 roku? Zdolność ekspertów w zakresie dopasowywania pocisków do broni nie została podważona od czasu powstania balistyki w dziewiętnastym wieku. Podobnie jak specjaliści badający odciski palców i włosy, eksperci do spraw balistyki niechętnie opowiadają o naukowych podstawach swojego zawodu. Dopiero w 2008 roku nowojorski sędzia federalny Jed Rakoff po raz pierwszy odroczył rozprawę, ponieważ uznał, że badania balistyczne nie mają podstaw naukowych. Zasugerował, że były bardziej wiarygodne w czasach, gdy kule wytwarzano na własną rękę, niż obecnie, w czasach masowej produkcji. „Niezależnie od twierdzeń specjalistów do spraw balistyki – powiedział – to, co robią, trudno nazwać nauką”.

Później okazało się, że Quirk zawsze zeznaje z podobną pewnością. Na przykład w sprawie Dietera Riechmanna, oskarżonego o zamordowanie swojej dziewczyny na przednim siedzeniu wypożyczonego samochodu w Miami Beach w październiku 1987 roku, zeznał, że kula pochodziła z jednego z trzech typów broni (z czego oskarżony posiadał dwa). Riechmann został uznany za winnego i skazany na śmierć. Podczas rozprawy apelacyjnej, która odbyła się dziesięć lat później, Quirk przyznał, że przy porównywaniu kul korzystał z bazy danych policji Miami zamiast z bazy FBI oferującej tysiące razy większe możliwości.

Z pomocą organizacji Reprieve Clive Stafford-Smith badał sprawę morderstwa Moo Youngów przez dziesięć lat. Dzięki rozmowom z osobami zaangażowanymi w śledztwo i przejrzeniu policyjnych akt zdobył wiele nowych dowodów.

W hotelowym pokoju, w którym Moo Youngowie zostali zastrzeleni, znajdowały się dokumenty dowodzące, że wyprali około pięciu miliardów dolarów kolumbijskiego kartelu z Medellín. Próbowali przywłaszczyć sobie z tego jeden procent, co mogło nie spodobać się kartelowi. Co więcej, ławnikom nigdy nie powiedziano o mężczyźnie mieszkającym w pokoju naprzeciwko – Kolumbijczyku, przeciwko któremu toczyło się śledztwo w związku z próbą przemytu do Szwajcarii czterdziestu milionów dolarów. W dniu morderstwa tylko on i ofiary byli zameldowani na tym piętrze hotelu.

W 2002 roku wyrok Krisa zamieniono na dożywocie z możliwością zwolnienia warunkowego po osiągnięciu sto trzeciego roku życia. W kwietniu 2014 roku sędzia z Miami wyraził zgodę na ponowne wszczęcie procesu w związku z pojawieniem się nowych dowodów. Według organizacji Reprieve „stanowi to największy krok ku oczyszczeniu Krisa z zarzutów od skazania go w 1987 roku”.

W systemie kontradyktoryjnym zasada równości broni umożliwia przeprowadzenie sprawiedliwego procesu. Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby Kris Maharaj miał lepszego adwokata i powołał własnych biegłych. Każda hipoteza postawiona w sali sądowej powinna zostać sprawdzona przez kompetentne osoby z zewnątrz. Tego wymagają naukowe metody pracy.

Bez weryfikacji teorie ekspertów kryminalistycznych nie mają znaczenia. Ich zadaniem jest wspieranie systemu prawnego, począwszy od miejsca zbrodni, a skończywszy na sali rozpraw. Wszystko jednak zależy od tego, czy ten ostatni etap jest uczciwy i bezstronny.

Sprawdzenie tego leży nie tylko w interesie nauki – leży w interesie nas wszystkich.

## Podsumowanie

Ta książka miała za zadanie przedstawić niesamowity postęp, jaki dokonał się w kryminalistyce w ciągu ostatnich dwustu lat. Gdybyśmy zapoznali Michaela Faradaya albo Paracelsusa ze środkami, które daje współczesna nauka, ci najbardziej drobiazgowi z badaczy uznaliby je za wytwór magii. Jednak postęp nauki musiał iść w parze z rozwojem aparatu sprawiedliwości.

Kiedy posterunkowy John Neil zjawił się na miejscu pierwszego morderstwa Kuby Rozpruwacza w 1888 roku, napotkał problemy nie do pokonania. Tej sierpniowej nocy nikt w labiryncie uliczek i alejek Whitechapel nie widział mordercy. Nie było oczywistego motywu i żadnego oczywistego podejrzanego. Badanie zwłok Mary Nichols pomogło w ustaleniu narzędzia zbrodni, siły mordercy i stanu jego chorego umysłu. Jednak nic z tego nie wskazywało jednoznacznie na kierunek poszukiwań.

Gdyby Neil i jego koledzy mieli umiejętności i technologię współczesnych ekspertów kryminalistycznych, badanie miejsca zbrodni niemal na pewno pozwoliłoby im podążyć za – jak to ujął Sherlock Holmes – „szkarłatną nicią morderstwa”<sup>32</sup> i dotrzeć do człowieka, który zabijał w środku nocy kobiety z Whitechapel. Jednak pozbawiona wsparcia nauki policja błędziła w ciemności. Zdawali sobie z tego sprawę zarówno funkcjonariusze, jak i opinia publiczna: popularny w tamtych czasach rysunek przedstawiał policjanta z opaską na oczach, który stoi niepewnie na ulicy pełnej Rozpruwaczy śmiejących się z niego do rozpuku.

Pięć niewątpliwych ofiar Kuby Rozpruwacza to Mary Ann Nichols, Annie Chapman, Elizabeth Stride, Catherine Eddowes i Mary Jane Kelly. Reprezentują one ten niewielki procent mężczyzn, kobiet i dzieci, których mordercy uszli sprawiedliwości dlatego, że nie dało się ustalić skomplikowanych okoliczności śmierci. Jednak policja i eksperci kryminalistyki dzięki tym porażkom nauczyli się skuteczniej chronić innych. Nawet kilka tysięcy psów, które umierały w męczarniach, otrute

na początku dziewiętnastego wieku przez ojca toksykologii Mathieu Orfilę, odegrały w tym procesie znaczącą rolę.

W trakcie zbierania materiałów do tej książki byłam pod wielkim wrażeniem uczciwości zawodowej, pomysłowości i wspaniałomyślności ekspertów kryminalistyki, których poznałam. Z tak wielką troską podchodzili do spraw, nad którymi pracowali, że byli gotowi codziennie stawiać czoła najmroczniejszym i najbardziej przerażającym aspektom ludzkiego zachowania. Byli gotowi tak jak Niamh Nic Daéid spędzać wiele godzin w mokrych szczątkach pozostałych po pożarze; tak jak Martin Hall pobierać czerwie z tygodniowych zwłok; albo tak jak Caroline Wilkinson rekonstruować twarz okaleczonego dziecka będącego w tym samym wieku co jej własne. Oni wszyscy poświęcają się, byśmy mogli żyć w przekonaniu, że jeśli padniemy ofiarą zbrodni, sprawcom zostanie wymierzona sprawiedliwość. Łączy ich nadzieja, że pewnego dnia któryś z ich kolegów wykorzysta wyniki ich badań, by dokonać kolejnego przełomu w nauce.

Wykazują się przy tym zadziwiającą pomysłowością w obliczu skomplikowanych problemów kryminalistycznych. W ciągu ostatnich dwustu lat przybyło tak wiele narzędzi przydatnych w trakcie dochodzeń, że wręcz zapiera to dech w piersiach. I chociaż te narzędzia są niedoskonałe, niemal wszystkie wzmocniły działania aparatu sprawiedliwości. Pierwsze testy DNA były stosunkowo prymitywne.

Obecnie tacy naukowcy jak Val Tomlinson i Gill Tully mogą zbadać plamę krwi milion razy mniejszą od drobinki soli i na tej podstawie ustalić nie tylko tożsamość ofiary, lecz także członka jej rodziny, który mógł być zamieszany w jej zabicie, nawet wiele lat temu. Kiedy Sue Black pokazała materiał wideo, na którym nie było widać twarzy pedofila molestującego seksualnie dziewczynkę, zidentyfikowała go na podstawie układu żył na przedramionach i piegów na ręce. Wszyscy ci naukowcy odkryli, że dochodzenia wcale nie ograniczają ich wyobraźni.

Wręcz przeciwnie – one ją rozwijają. Podobnie jak związana z tym konieczność bycia drobiazgowym.

Dowody z miejsca zbrodni nie byłyby obecnie tak skutecznie wykorzystywane, gdyby przez ponad dwieście lat nie testowano surowo ich wiarygodności przed sądem. Pierwszym sprawdzianem teorii naukowca jest opinia jego kolegów, którzy zmuszają go albo do jej porzucenia, albo do zebrania mocnego materiału dowodowego. Potem

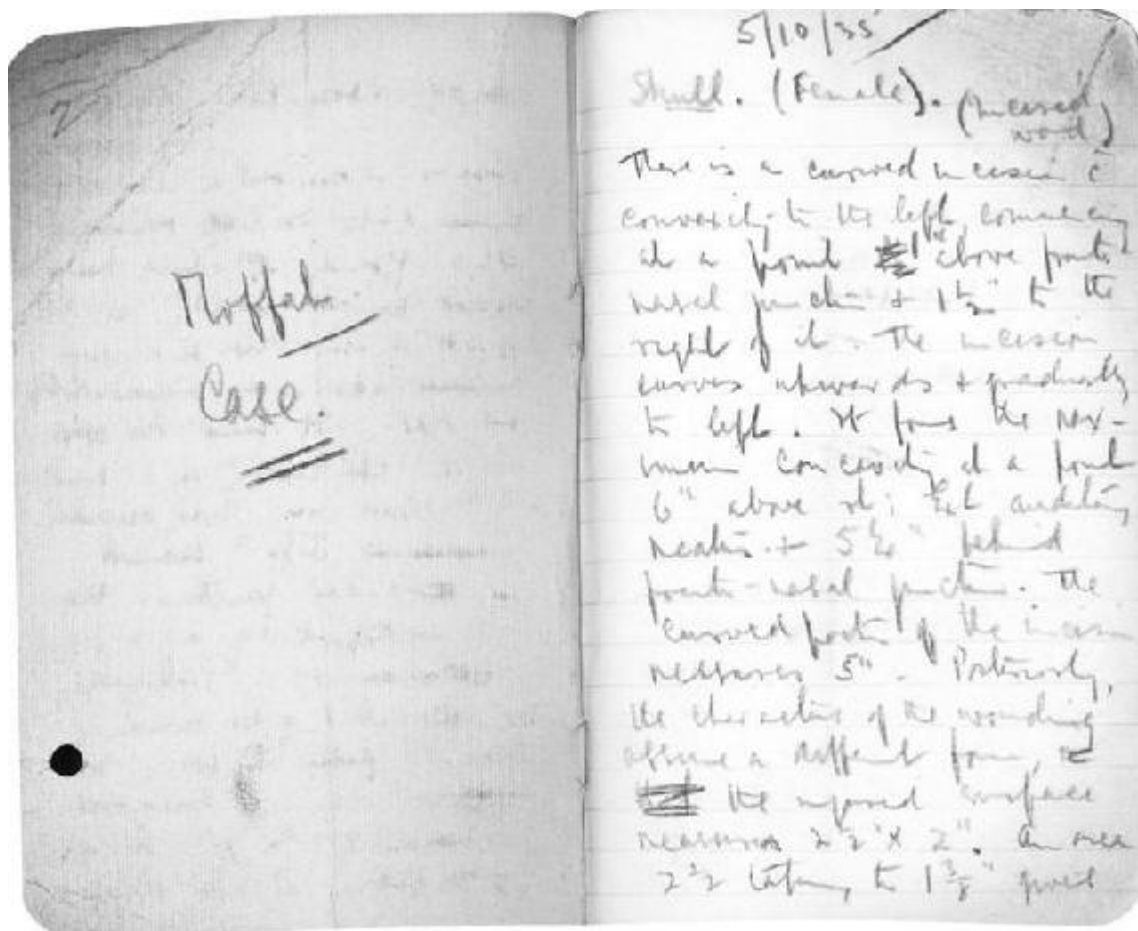
w sali sądowej prawnicy robią wszystko, co w ich mocy, by zasiać ziarno zwątpienia wśród członków ławy przysięgłych. Ignorują naukowe dokonania biegłych i pozwalają sobie na osobiste wycieczki. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo zestresowani są naukowcy podczas zeznań, sala sądowa stanowi kowadło, na którym kładzie się ich dowód.

Dobrze przygotowany prawnik odgrywa tu rolę młota, który albo wzmocni metody przedstawione przez naukowca, albo roztrzaska je na kawałki, w zależności od tego, na co zasłużą.

Naturalnie, jak dowiodło kilka przykładów z tej książki, nie zawsze wszystko działa jak w zegarku. Jednak jeśli działa, w tej kuźni wykuwa się nowe pomysły, dzięki którym przestępcy mają o wiele mniejsze pole manewru.

Nauka i sprawiedliwość mają ze sobą wiele wspólnego. Próbuje rozproszyc mrok i niepewność blaskiem zrozumienia. Mają wspólny cel, gdyż starają się wykroczyć poza hipotezy i dotrzeć do prawdy. Ponieważ z ekspertyzami kryminalistycznymi wiąże się działalność wielu osób – przestępców, świadków, policjantów, techników kryminalistyki, naukowców, prawników, sędziów, ławników – czasami łatwo przegapić prawdę lub ją wypaczyć. Stawka jest zawsze wysoka; zależą od tego ludzkie życie i ludzka wolność. Mam nadzieję, że udało mi się należycie przedstawić, z jak wielkim oddaniem, wyobraźnią, otwartością, skrupulatnością i szczerością eksperci kryminalistyki podchodzą do nauki. Działają przy tym w interesie sprawiedliwości i nas wszystkich.

Z pewnością przypomniało mi to prawdę, którą znałam od bardzo dawna – to niezwykła praca, a ludzie, którzy ją wykonują, są naprawdę fantastyczni.

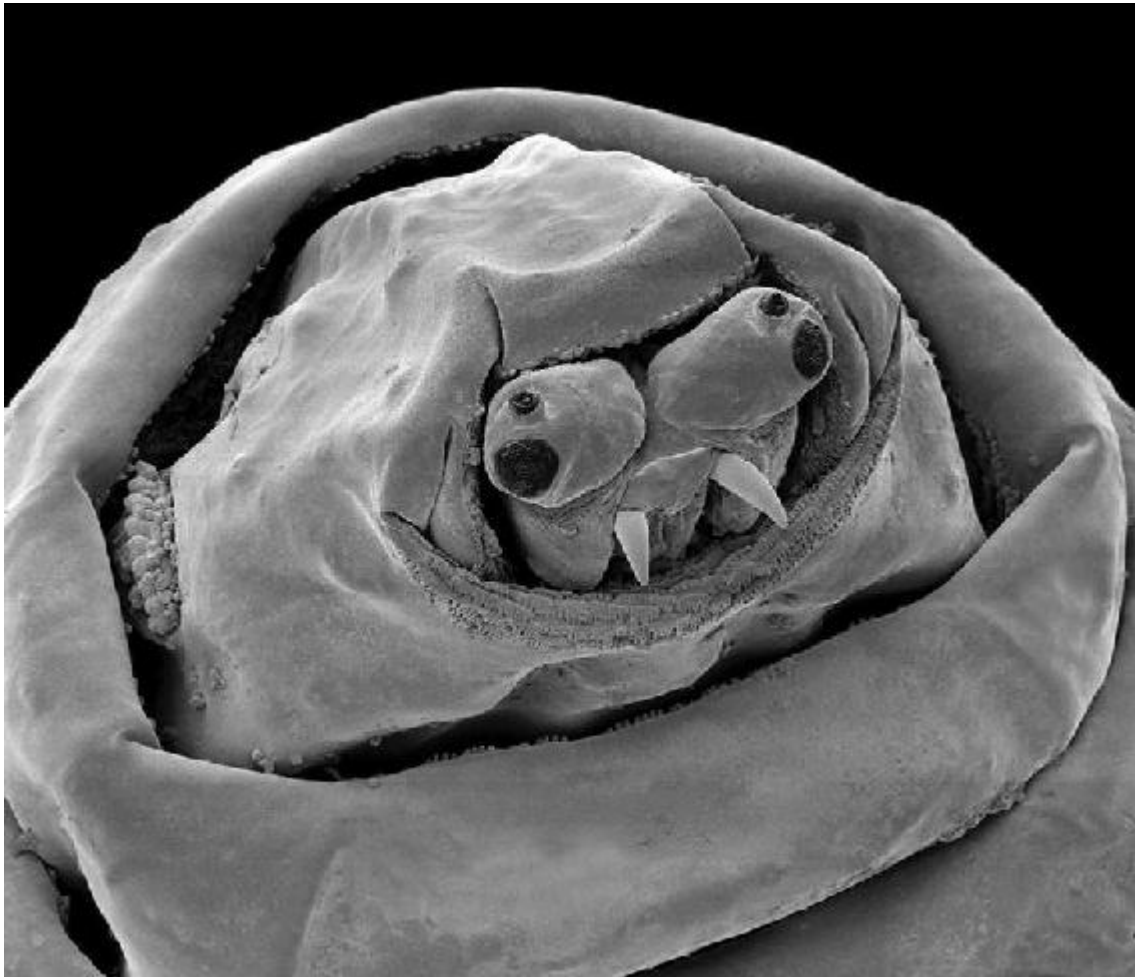


1. Notatki z miejsca zbrodni, spisane przez Johna Glasteira Juniora



2.,3. Policjanci przeczesujący teren, na którym znaleziono szczątki Isabelli Ruxton i jej pokojówki, Mary Rogerson

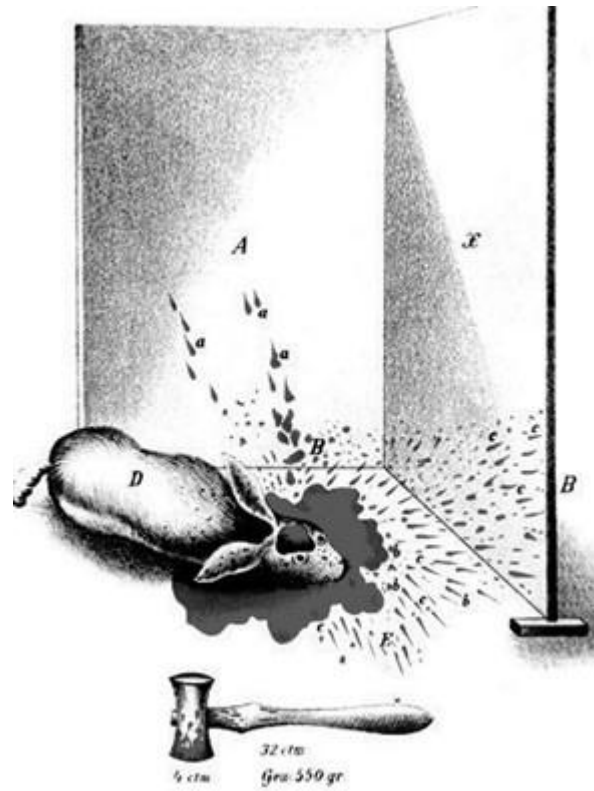




4. Głowa larwy w powiększeniu mikroskopowym



5. Mucha plujka pożywiająca się gnijącym mięsem



6. Ilustracja towarzysząca artykułowi Edwarda Piotrowskiego na temat  
rozbryzgów krwi



7. Zwłoki w stanie rozkładu na Trupiej Farmie w Tennessee







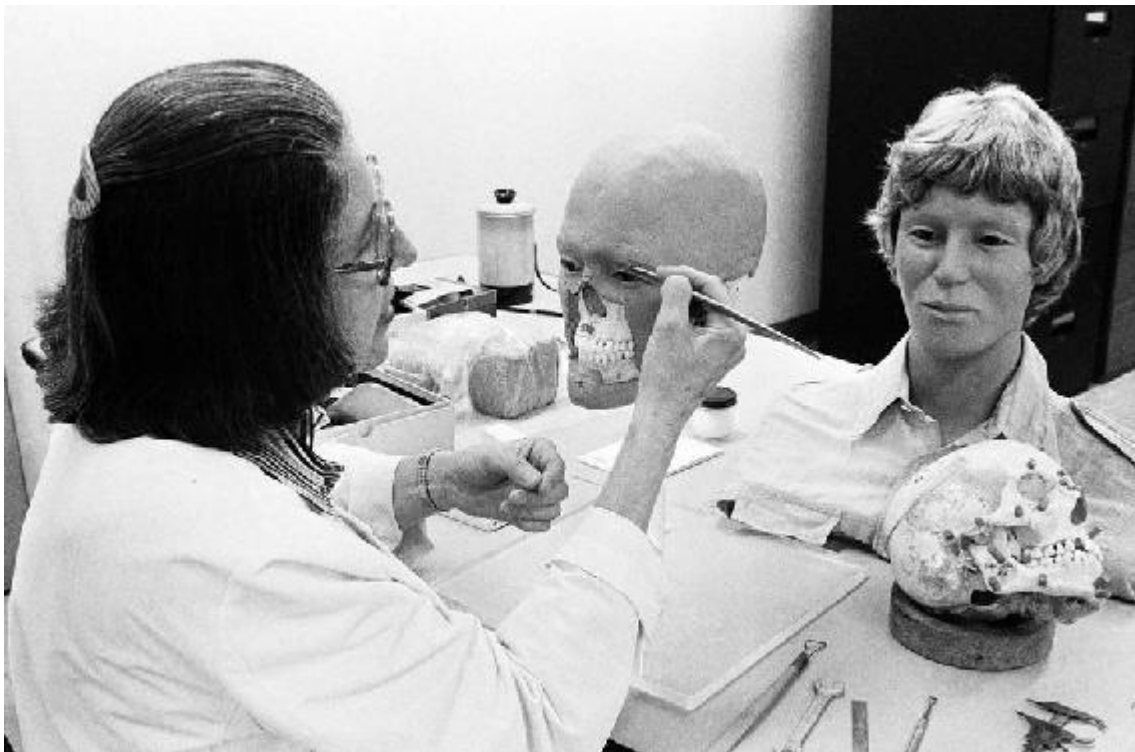
8., 9., 10. Graham Coutts, skazany za zamordowanie Jane Longhurst, na zdjęciach z kamery telewizji przemysłowej podczas przenoszenia jej ciała



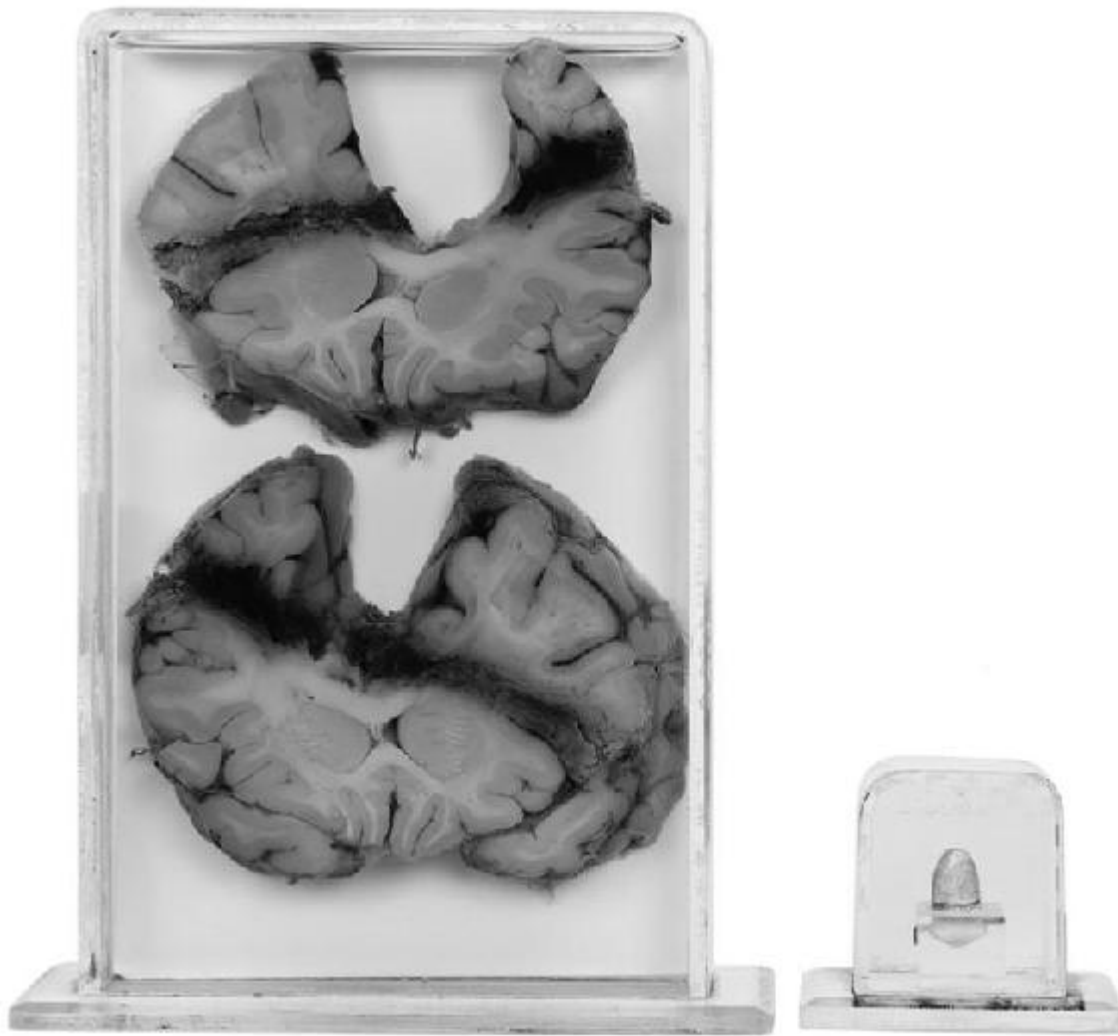


11., 12, 13. Śmierć damy dworu, seria japońskich akwarel, datowanych mniej więcej na XVIII wiek

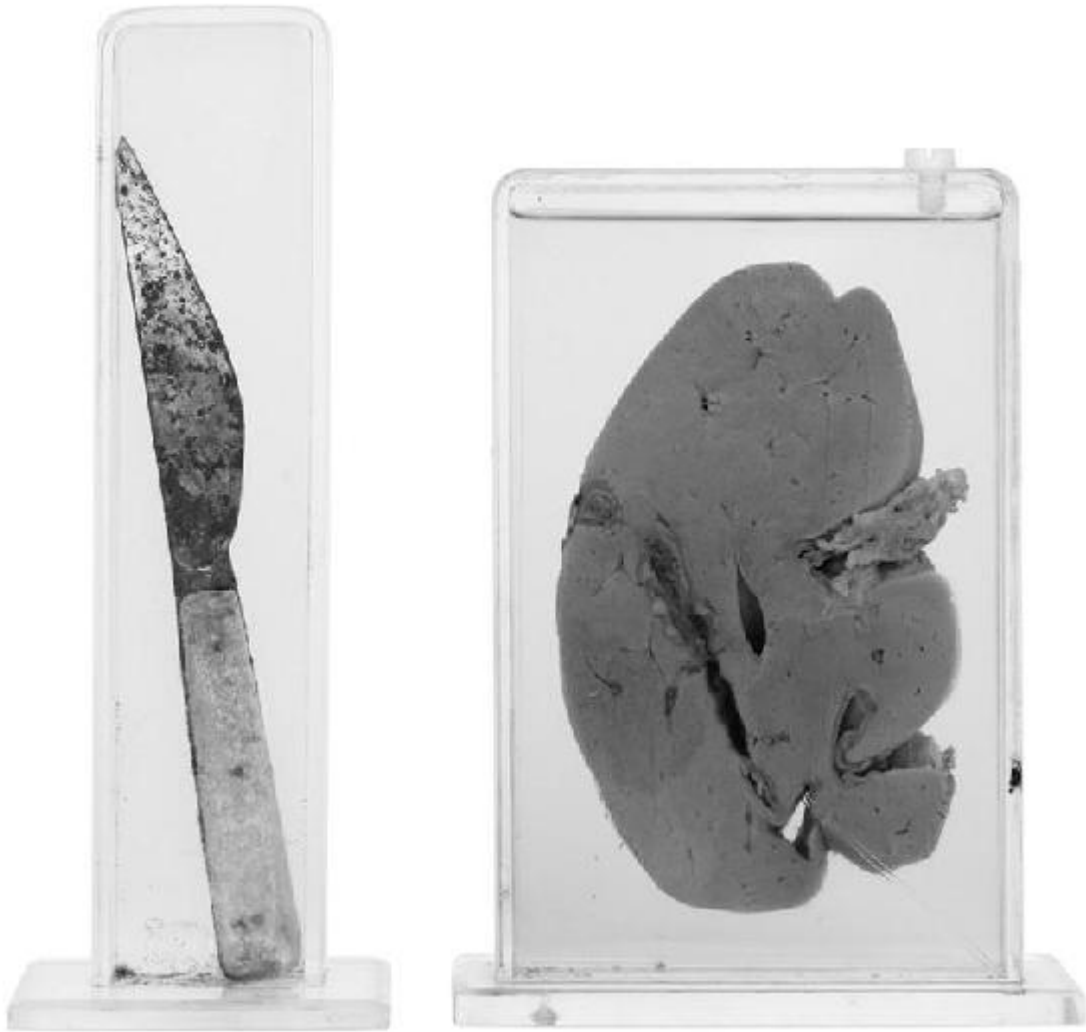




14., 15. Betty P. Gatliff pracująca nad rekonstrukcją twarzy



16. Mózg z drogą pocisku i pociskiem



17. Wątroba z raną po nożu i nożem



18. Jedna z makiet Frances Glessner Lee obrazujących miejsca niewyjaśnionych zbrodni



19. Model głowy staruszka wykonany przez siedemnastowiecznego rzeźbiarza Giulia Zumbę

# Podziękowania

Miałam szczęście uczyć się w Szkocji, gdzie system edukacji pozwala zdobywać wiedzę z zakresu sztuki oraz nauk ścisłych aż do poziomu studiów wyższych. Lubiłam zarówno jedną, jak i drugą – i wciąż uwielbiam być zaskakiwana rozwojem nauki i techniki.

Piszę głównie książki beletrystyczne, aczkolwiek mocno osadzone w rzeczywistości. Dlatego kiedy mam do napisania coś niefikcyjnego, potrzebuję pomocy. Na szczęście ta pomoc nadeszła.

Przede wszystkim mam olbrzymi dług wdzięczności u specjalistów, z którymi rozmawiałam o różnych problemach poruszonych w tej książce. Miałam zaszczyt poczuć ich entuzjazm, doświadczyć poczucia humoru i poznać ich spostrzeżenia na temat tego, jak pełna wyzwań i stresująca jest ich praca. Niektórych z nich znam od lat, innych dopiero poznałam. Nie mogłabym przystąpić do pracy nad tą książką, gdyby nie poświęcili mi czasu i nie podzielili się ze mną swoją wiedzą.

Na podziękowania niewątpliwie zasługują następujące osoby: Peter Arnold, Mike Berry, Sue Black, Niamh Nic Daéid, Robert Forrest, Martin Hall, Angus Marshall, Fiona Raitt, Dick Shepherd, Val Tomlinson, Gill Tully, Catherine Tweedy i Caroline Wilkinson.

Od samego początku nieocenione wsparcie i pomoc okazywali mi Kirty Topiwala i jej koledzy z Wellcome Trust. Zawdzięczam im wiele różnych rzeczy – począwszy od dostępu do rękopisów Bernarda Spilbury'ego, a na hektolitrach kawy skończywszy!

Miałam pierwszorzędnych researcherów, którzy dostarczali mi wszystko, czego potrzebowałam. Anne Baker i Ned Pennant Rea wykazali się nie lada cierpliwością i kompetencjami. Nie zdołałabym napisać tej książki bez ich pomocy. Niemniej to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za wszelkie błędy.

Jednak najbardziej chciałabym podziękować wydawcy Andrew Franklinowi z Profile, który wpadł na ten szalony pomysł, i swojej redaktorce Cecily Gayford, którą ta książka kosztowała tyle potu, ile przebiegnięcie maratonu. Nie do wiary, ale ani razu na mnie nie nakrzyczała. A zasłużyłam.

I wreszcie dziękuję swojej niezmordowanej agentce Jane Gregory, która zawsze mnie wspiera, i rodzinie, która zawsze jest przy mnie, kiedy jej potrzebuję.

## Wybrana bibliografia

Arthur Appleton, *Mary Ann Cotton: Her Story and Trial*, Londyn 1973.

Bill Bass, *Trupia farma. Sekrety legendarnego laboratorium sądowego, gdzie zmarli opowiadają swoje historie*, przeł. Janusz Ochab, Kraków 2012.

Colin Beavan, *Fingerprints: The Origins of Crime Detection and the Murder Case that Launched Forensic Science*, Nowy Jork 2002.

Carl Berg, *The Sadist: An Account of the Crimes of Peter Kürten*, Londyn 1945.

Paul Britton, *Profil mordercy*, przeł. Przemysław Kiliński, Kraków 2010.

David Canter, *Criminal Shadows: Inside the Mind of the Serial Killer*, Londyn 1994.

David Canter, *Forensic Psychology: A Very Short Introduction*, Oxford 2010.

David Canter, *Forensic Psychology for Dummies*, Chichester 2012.

David Canter, *Mapping Murder: The Secrets of Geographical Profiling*, Londyn 2007.

David Canter, Donna Youngs, *Investigative Psychology: Offender Profiling and the Analysis of Criminal Action*, Chichester 2009.

Paul Chambers, *Body 115: The Mystery of the Last Victim of the King's Cross Fire*, Chichester 2007.

Crime Scene to Court: The Essentials of Forensic Science, red. P.C. White, Cambridge 2004.

Dominick Dunne, *Justice: Crimes, Trials and Punishments*, Londyn 2001.

Zakaria Erzinçlioğlu, *Forensics: Crime Scene Investigations from Murder to Global Terrorism*, Londyn 2006.

Zakaria Erzinçlioğlu, *Maggots, Murder and Men: Memories and Reflections of a Forensic Entomologist*, Colchester 2000.

Colin Evans, *The Father of Forensics: How Sir Bernard Spilsbury Invented Modern CSI*, Thriplow 2008.

Stewart Evans, Donald Rumbelow, *Jack the Ripper: Scotland Yard Investigates*, Stroud 2010.

Nicholas Faith, *Blaze: The Forensics of Fire*, Londyn 1999.

James Fallon, *The Psychopath Inside: A Neuroscientist's Personal Journey into the Dark Side of the Brain*, Londyn 2013.



Roxana Ferllini, *Silent Witness: How Forensic Anthropology is Used to Solve the World's Toughest Crimes*, Willowdale 2002.

Neil Fetherstonhaugh, Tony McCullagh, *They Never Came Home: The Stardust Story*, Dublin 2001.

*Fifty Years of Forensic Science: A Commentary*, red. Niamh Nic Daéid, Oxford 2010.

*Fire Investigation*, red. Niamh Nic Daéid, Nowy Jork 2004.

*Forensic Anthropology: 2000 to 2010*, red. Sue Black, Eilidh Ferguson, Londyn 2011.

*Forensic Anthropology: An Introduction*, red. Maria Teresa Tersigni-Tarrant, Natalie Shirley, Boca Raton 2013.

Patricia Frank, Alice Ottoboni, *The Dose Makes the Poison: A Plain-Language Guide to Toxicology*, Oxford 2011.

Jim Fraser, *Forensic Science: A Very Short Introduction*, Oxford 2010.

Ngairé Genge, *The Forensic Casebook: The Science of Crime Scene Investigation*, Londyn 2004.

Hans Gross, *Criminal Investigation: A Practical Handbook for Magistrates, Police Officers, and Lawyers*, wyd. piąte, Londyn 1962.

Neil Hanson, *The Dreadful Judgement: The True Story of the Great Fire of London, 1666*, Londyn 2001.

Lorraine Hopping, *Crime Scene Science: Autopsies & Bone Detectives*, Tunbridge Wells 2007.

David Icove, John DeHaan, *Forensic Fire Scene Reconstruction*, wyd. drugie, Londyn 2009.

Frank James, *Michael Faraday: A Very Short Introduction*, Oxford 2010.

Gerald Lambourne, *The Fingerprint Story*, Londyn 1984.

John Lentini, *Scientific Protocols for Fire Investigation*, Boca Raton 2013.

Douglas P. Lyle, *Forensics for Dummies*, Chichester 2004.

Michael Lynch, *Truth Machine: The Contentious History of DNA Fingerprinting*, Chicago – Londyn 2008.

Mary Manhein, *Bone Remains: Cold Cases in Forensic Anthropology*, Baton Rouge 2013.

Mary Manhein, *Trial of Bones: More Cases from the Files of a Forensic Anthropologist*, Baton Rouge 2005.

Mary Manhein, *The Bone Lady: Life as a Forensic Anthropologist*, Baton Rouge 1999.

Alex McBride, *Defending the Guilty: Truth and Lies in the Criminal Courtroom*, Londyn 2010.

William Murray, *Serial Killers*, Eastbourne 2009.

Roy Porter, *The Greatest Benefit to Mankind: A Medical History of Humanity from Antiquity to the Present*, Londyn 1997.

John Prag, Richard Neave, *Making Faces: Using Forensic and Archaeological Evidence*, Londyn 1997.

Fiona Raitt, *Evidence: Principles, Policy and Practice*, Edynburg 2008.

Kalipatnapu Rao, *Forensic Toxicology: Medico-legal Case Studies*, Boca Raton 2012.

Mike Redmayne, *Expert Evidence and Criminal Justice*, Oxford 2001.

Mary Roach, *Sztywniak. Osobliwe życie nieboszczyków*, przeł.

Maciek Sekerdej, Kraków 2010.

Jane Robins, *The Magnificent Spilsbury and the Case of the Brides in the Bath*, Londyn 2010.

Andrew Rose, *Lethal Witness: Sir Bernard Spilsbury, Honorary Pathologist*, Stroud 2007.

Edith Saunders, *The Mystery of Marie Lafarge*, Londyn 1951.

Keith Simpson, *Forty Years of Murder*, Londyn 1980.

Kenneth Smith, *A Manual of Forensic Entomology*, Londyn 1986.

Clive Stafford-Smith, *Injustice: Life and Death in the Courtrooms of America*, Londyn 2012.

The Handbook of Forensic Science, red. Jim Fraser, Robin Williams, Cullompton 2009.

Thorwald Jürgen, *Stulecie detektywów*, przeł. Wanda Kragen i Karol Bunsch, Kraków 1971.

Brent E. Turvey, *Criminal Profiling: An Introduction to Behavioral Science*, Amsterdam – Oxford 2012.

Francis Wellman, *The Art of Cross-examination: With the Cross-examinations of Important Witnesses in Some Celebrated Cases*, Nowy Jork 1997.

James Whorton, *The Arsenic Century: How Victorian Britain Was Poisoned at Home, Work and Play*, Oxford 2010.

Caroline Wilkinson, *Forensic Facial Reconstruction*, Cambridge 2008.

Caroline Wilkinson, Christopher Rynn, *Craniofacial Identification*, Cambridge 2012.

George Wilton, *Fingerprints: Scotland Yard and Henry Faulds*, Edynburg  
1951.

# Źródła zdjęć

Dołożono wszelkich starań, aby ustalić autorów i właścicieli praw autorskich wszystkich fotografii. Ponieważ jednak nie we wszystkich przypadkach się to udało, autorka i wydawca będą wdzięczni za informacje, które umożliwią ich odnalezienie. Zostaną oni uwzględnieni w następnych wydaniach książki.

- 1, 3, 9, 20: © Getty Images
- 2: © Maurice Jarnoux/Paris Match via Getty Images
- 4, 7, 14, 18: © Wellcome Library, London
- 5: © „The Irish Times”
- 6: © Spike Walker/Wellcome Images
- 8: fot. Dzięki uprzejmości Uniwersytetu Glasgow
- 10: © Pictorial Press/Alamy
- 11: © The Royal London Hospital Archives and Museum
- 12, 13: © TopFoto
- 15: © Science Photo Library
- 16, 17, 30: © PA Photos
- 19: © adoc-photos/Corbis
- 21: © Archiwum Uniwersytetu Glasgow, dział medycyny sądowej i nauki, GB0248 GUA FM2A/25
- 22: © Pierre-Philippe Marcou/AFP/Getty Images
- 23, 24: © Bettmann/Corbis
- 25, 33 (góra), 39, 41, 42: © Rex Features
- 26: © AP/PA Photos
- 27: © Daniel Muzio/AFP/Getty Images
- 28: © EAAF/AFP/Getty Images
- 29: © Mary Evans Picture Library
- 31: © AFP/Getty Images
- 32: © Mirrormix
- 34: © Henry Romero/Reuters/Corbis
- 35: © Imagno/Austrian Archives/TopFoto
- 36: © Rex Features/Associated Newspapers

- 37: © Interfoto Agentur/Mary Evans Picture Library  
38: © Rex Features/CSU Archives/Everett Collection  
40: © CPS  
43: Archiwum Uniwersytetu Glasgow, dział medycyny sądowej i nauki,  
GB0248 GUAFM2A/1  
44, 45: Archiwum Uniwersytetu Glasgow, dział medycyny sądowej  
i nauki, GB0248 GUAFM2A/73 and 109  
46: Science Photo Library/Getty  
47: Wikimedia Commons  
48: © Sally Mann. Dzięki uprzejmości Gagosian Gallery  
49, 50, 51: Rex Features  
52, 53, 54: Wellcome Library, London  
55, 56: PA Photos  
57, 58: Dzięki uprzejmości Bart's Pathology Museum, Uniwersytet  
Królowej Marii w Londynie  
59: Dzięki uprzejmości Bethlehem Heritage Society/The Rocks Estate/  
SPNHF, Bethlehem, New Hampshire  
60: Bridgeman Art

# Przypisy

- 1 Arthur Conan Doyle, *Studium w szkarłacie*, przeł. Tadeusz Evert, Gdańsk 2000, s. 22.
- 2 Samuel Pepys, *Dziennik Samuela Pepysa*, tom II, wybór, przekład i przypisy Marii Dąbrowskiej, posłowie Juliana Hochfelda, Warszawa 1978.
- 3 Tamże.
- 4 William Shakespeare, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, w: *Tragedie. Romeo i Julia, Makbet, Otello*, Gdańsk 2000, s. 177.
- 5 Michel de Montaigne, *Próby. Księga pierwsza*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1957, s. 52.
- 6 John Donne, *Medytacja XVII*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, Warszawa 1991, s. 55.
- 7 William Shakespeare, *Romeo i Julia*, przeł. Józef Paszkowski, w: *Tragedie. Romeo i Julia, Makbet, Otello*, dz. cyt., s. 45.
- 8 Jürgen Thorwald, *Stulecie detektywów*, przeł. Wanda Kragen i Karol Bunsch, Kraków 2009, s. 319.
- 9 Burke i Hare to para seryjnych morderców, którzy sprzedawali ciała ofiar kostnicy w Edynburgu (przyp. tłum.).
- 10 *Biblia Tysiąclecia*, Poznań – Warszawa 1980, s. 96.
- 11 William Shakespeare, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, w: *Tragedie. Romeo i Julia, Makbet, Otello*, dz. cyt., s. 150.
- 12 Arthur Conan Doyle, *Studium w szkarłacie*, dz. cyt., s. 7.
- 13 Tamże, s. 8.
- 14 Tamże.
- 15 Tamże, s. 35.
- 16 Tamże, s. 36.
- 17 Tamże, s. 8.
- 18 Tamże, s. 13.
- 19 William Shakespeare, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski, w: *Tragedie. Romeo i Julia, Makbet, Otello*, dz. cyt., s. 134.
- 20 Paul Britton, *Profil mordercy*, przeł. Przemysław Kiliński, Kraków 2010, s. 201.
- 21 Tamże, s. 203.

22 Tamże, s. 204.

23 Tamże, s. 205.

24 Tamże, s. 274–275.

25 Tamże, s. 275.

26 Tamże, s. 279.

27 Tamże, s. 284.

28 Tamże, s. 431.

29 Tamże, s. 204.

30 Michel de Montaigne, *Próby. Księga trzecia*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1957, s. 80.

31 Michel de Montaigne, *Próby. Księga druga*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1957, s. 133.

32 Arthur Conan Doyle, *Studium w szkarłacie*, dz. cyt.



Przekład: Piotr Grzegorzewski, Marcin Wróbel  
Konsultacja prawnicza: Iwona Grzegorzewska  
Redakcja: Milena Schefs  
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Małgorzata Denys

Projekt okładki: Krzysztof Rychter  
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © funebre/istockphoto.com

Układ typograficzny, łamanie: Anna Hegman

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-2342-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

